

# Clarke Janet Kotselas

## W pogoni za sławą

*Wiadomość o przygotowaniach do nowego serialu telewizyjnego porusza cały świat aktorów Nowego Jorku, zwłaszcza że nazwiska producenta i reżysera gwarantują odpowiedni poziom. Do walki o role stają i ci znani, i jeszcze nie znani...*

*Niewinna i słodka Caitlin Cornell olśniewa swym talentem i urodą, lecz mając wszelkie zadatki na angaż, walczy nie tyle o rolę, co o wspólne życie z Craigiem Wellerem. On jednak ma w głowie co innego... przede wszystkim Onyx Jones - zimną, bezwzględną aktoreczkę, która w walce o sławę nie cofnie się przed niczym.*

*Kto otrzyma upragnione role? Jaką cenę trzeba zapłacić za wzbicie się na szczyt sławy i sukcesu? I czy ta cena nie jest zbyt wysoka?*

*"W pogoni za sławą" przenosi nas w bajeczny świat, o którym śnimy wszyscy, lecz który dostępny jest tylko dla tych, co nie boją się spełnienia swych marzeń.*

Księga pierwsza

1

Wystarczył powitalny uścisk dłoni, by Caitlin Cornell pojęła, że spotkanie ze Steve'em Warnerem zakończy się dla niej piramidalną klęską.

Facet był niewiarygodnie przystojny, z tych co mają się za boże objawienie dla kobiet, w dodatku jeśli sądzić po jego spojrzeniu i sposobie, w jaki przytrzymał jej dłoń, uważał, że Caitlin oczywiście podziela tę opinię.

Najprawdopodobniej był mniej więcej w jej wieku, miał ze dwadzieścia dwa lata, może trochę więcej, wyraźnie jednak powodziło mu się dobrze, piął się do góry. Zajmował osobny, elegancko wyposażony pokój w nowej agencji reklamowej Leeson, Lowe, DiFeo i nosił kosztowne ubranie.

Usiadł za biurkiem, wskazał jej miejsce na krześle naprzeciwko, po czym założył ręce.

- A więc to ty jesteś dziewczyną Wellera.

- Mhm. Zamrugął.

- Nie sądzę, żebym cię mógł wykorzystać.

- Słucham?

- Nie sądzę, żebym cię mógł wykorzystać. - Wzruszył ramionami. - Nie pasujesz do tej kampanii.

- Przecież nawet nie popatrzył pan na moje zdjęcia.

- Ale patrzę na ciebie, Caitlin. Kompletnie się nie nadajesz.

Przez chwilę nie mogła oderwać wzroku od jego

*Janet Kotselas Clarke*

dłoni, które zawisły nad notatnikiem na biurku. Były bardzo opalone, prawie brunatne, jak u mężczyzn w jej stronach albo u Eugene'a, choć na pewno nie od roboty w polu ani innej pracy pod gołym niebem. Ogorzały raczej na korcie tenisowym lub w ekskluzywnej nadmorskiej posiadłości.

- No... - powiedziała.

- Posłuchaj. Mógłbym dla świętego spokoju załatwić ci próbne zdjęcia i wmówić, że jesteś wspaniała, tylko po co? Po cholere tracić mój i twój czas?

Caitlin przełknęła ślinę. Boże. Craig całkiem się załamał. Próbowali już w tylu miejscach. Do Steve'a Warnera nie chciał nawet zadzwonić. „Tylko nie znajomi ze szkoły! - powiedział. - Żadnych starych kumpli, póki nie będziemy na szczycie.” Caitlin zdołała go jednak namówić, bo Warner był ich jedynym dojściem do świata reklamy. W modzie, kinie i teatrze nie znali nikogo.

Ale co teraz?

- No tak, proszę posłuchać... - powiedziała cicho. - Naprawdę doceniam pańską szczerą, ale... może zechciałby mi pan poświęcić dwie minuty i wyjaśnić, dlaczego się nie nadaję. Nie mogę wrócić do Craiga, żeby powiedzieć mu po prostu: „Nie nadaję się, i kropka”. Albo nie wiem... może dałby pan nam kilka nazwisk...

Steve Warner westchnął i rozparł się na krześle, tymczasem Caitlin usiłowała przybrać wygląd osoby, której ma się ochotę pomóc.

- W porządku - odezwał się wreszcie. - Pokaż mi swoje fotki.

Dzięki Bogu. To już było coś. Wyciągnęła z siatki album ze zdjęciami. Warner wstał zza biurka i podszedł do kanapy. Caitlin podała mu teczkę i z powrotem usiadła na krześle.

- Craig sam robił te zdjęcia, specjalnie pożyczył sprzęt. - O cholera. Miała o tym nie wspominać. Craig powiedział, że w ten sposób zrobią wrażenie całkiem przegranych.

Steve'a Warnera jakby to jednak nie obchodziło, może

### *W pogoni za sławą*

nawet nie usłyszał. Przyglądał się pierwszej stronie. Właściwie zwyczajnie się na nią gapił. Nie cierpiała tego zdjęcia, ale Craig umieścił je na samym początku. Jego zdaniem było obłędne i choć Caitlin patrzyła na nie z odrazą, to wyczuwała, o co Craigowi chodzi, gdyż właśnie po obejrzeniu tego rodzaju zdjęć mężczyźni mówili o niej, że jest piękna. Prezentowała się na nim jak dziewczyna z „Playboya” w czasach, gdy obyczaje były jeszcze mniej liberalne. Miała na sobie bikini, ale pochylała się nad idiotycznie niskim stolikiem, który ustawił Craig. Przypominała kelnerkę podającą drinka, a poza została wymyślona specjalnie po to, by okazały biust Caitlin wydawał się jeszcze większy niż w rzeczywistości. Z całego zdjęcia lubiła jedynie fragment z butami na wysokich obcasach, który był zupełnie w porządku, bo jeśli chodzi o nogi, to nawet Craig przyznawał, że są odrobinę za krótkie. No, może jeszcze zgodziłaby się na włosy, bardzo jasne i kręcone. Mogła z nimi uchodzić za Szwedkę czy Holen-derkę, mimo zdecydowanie piwnych oczu.

Była jednak pewna, że Steve Warner nie zastanawia się nad jej narodowością.

Zrobiło jej się niedobrze.

Facet nie mógł oderwać spojrzenia od pierwszego zdjęcia, w końcu odwrócił stronę i jeszcze dłużej wlepił gały w następne, na którym Caitlin siedziała na plaży, unosząc nogi. Patrząc na to, pożałowała, że w ogóle przyszła.

Miała pewną teorię na temat mężczyzn, i chociaż nigdy przedtem o niej nie czytała, nawet w takich piśmiągach jak „Enquirer”, była pewna jej słuszności. Otóż podnieceni mężczyźni wyraźnie się odznaczają. Nie zapachem i nie głosem, lecz raczej czymś w rodzaju fluidu, zwierzęcego ciepła. Podobno piżmo przyciąga, mężczyźni mogą go używać jako przynęty na kobiety i na odwrót. Tym razem jednak nie była to przynęta, lecz po prostu obwieszczenie. Steve Warner wydzielał ów fluid jak szalony. Kiedy podniósł wzrok znad albumu ze zdję-

*Janet Kotselas Ciarke*

ciamy, w oczach miał obłąd. Caitlin zastanawiała się, co robić, gdyby zaczął się do niej dobierać.

- Są nieziemskie - powiedział ochryple i wrócił do przeglądania zawartości albumu.

Chwilowo nadeszło ulaskawienie, ale Caitlin wiedziała, że coś wisi w powietrzu. Czowała to szczególne ciepło. Boże, czy naprawdę nie miała innego wyjścia?

A gdyby się zdecydowała, jak wielkie obrzydzenie do siebie czułaby potem? Craig tak bardzo chciał, żeby dostała tę pracę.

Spojrzała z nienawiścią na Steve'a Warnera, który prawie się ślinił, oglądając jej zdjęcia. Mężczyźni. Tak łatwo ich rozgryźć. „Rączka rączkę myje”, mówią. Tyle że wcale nie chodzi im o mycie rąk.

- Może i byłem w błędzie - powiedział, odłożywszy album, i spojrzał na Caitlin. Odchylił się do tyłu i potarł podbródek. - Może jednak będzie można coś z tobą zrobić, mimo że do kampanii Tempest się nie nadajesz.

- Cóż... - Odwaga ją opuściła.

- Naprawdę tak uważam - powiedział, patrząc jej w oczy przerażająco wygłodniałym wzrokiem. - Co dwie głowy, to nie jedna. Spróbujmy coś razem wymyślić. - Wstał z kanapy i wolnym krokiem podszedł do drzwi. Otworzył je, potem zamknął z trzaskiem, ale tego Caitlin już nie zobaczyła, nie chciała się bowiem przyglądać przekręcaniu klucza w zamku.

Kątem oka obserwowała Warnera, który z powrotem usiadł na kanapie.

- Chodź, będziemy podziwiać cię we dwoje. Odwróciła się do niego, starając się sprawiać wrażenie osoby opanowanej i obojętnej na to, co się dzieje.

- Nie lubię oglądać swoich zdjęć.

- Wobec tego chodź popatrzeć, jak ja cię podziwiam. Zauważyła jego wymuszony uśmiech. Chyba był zdenerwowany.

To ją ucieszyło. Mężczyźni byli przeważnie tacy pewni siebie. Poczwała nowy przypływ odwagi.

Jeszcze mogła powiedzieć „nie”.

Tylko co z Craigiem?

Wstała, podeszła do kanapy i usiadła przy Warnerze.

- Wiesz, w ogóle cię nie widać, chowasz się w tych luźnych zawojach. Sukienkę masz jak namiot.

- Mnie się podoba - odparła, unikając jego spojrzenia.

Boże, ależ gwałtowne pragnienie! Craig, na szczęście, nie miewał go w takim stopniu jak inni mężczyźni. Ale tego faceta aż paliło. Caitlin wyczuwała, że teraz każda chwila może okazać się niebezpieczna.

Położył jej rękę na udzie. Ciepło dłoni przenikało przez bawełnianą tkaninę.

- I różne wesołe zabawy też ci się podobają, prawda?

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

Uniósł dłoń, a następnie wsunął ją pod sukienkę dotykając ciała.

- Nic Craigowi nie powiem - szepnął. - Chyba że będziesz chciała. - Przesunął dłoń wyżej. -

Wytłumaczmy mu, że dostałaś rolę za sam wygląd i talent. Mogłaby to być prawda.

- Ale jaką rolę?

- Coś wymyślimy. - Chwycił ją za przegub i pociągnął ku sobie. Pożądliwie przysunął się w kierunku coraz bliższej jej dłoni. Był twardy jak skała. Mężczyznom zawsze się to wydawało powodem do dumy. Właściwie dlaczego? Co jest wspaniałego w czymś co odbiera człowiekowi panowanie nad sobą?

Mimo woli spojrzała mu w oczy i przeraziła się, zobaczyła w nich bowiem niemal szaleństwo.

- Zrób mi to - wyszeptał. Zaczął ocierać się o jej dłoń, wykonując rytmiczne ruchy miednicą. Caitlin przyglądała się jak przez szybę jego majstrowaniu przy slipach. Nawet nie musiał nic z nich wyciągać, bo jego wielki interes wyskoczył jak pies z budy.

Był wielki i czerwony, zupełnie inny niż u Eugene'a czy Craiga. Boże. Nie mogła z siebie wydobyć żadnego dźwięku prócz „och”.

I wtedy poczuła w okolicach karku napór rąk, które

tak samo jak w wielu podobnych sytuacjach próbowały ją popchnąć na kanapę. Jednocześnie Steve usiłował wcisnąć jej w dłoń swój interes.

- Chodź, kotku - wyszeptał.

Nadal ją popychał i Caitlin dziękowała Bogu, że jest silna. Co jednak miała zrobić? Biegiem wypaść z biura? Krzyczeć? Jak powinna się zachować, żeby Craig był z niej zadowolony?

- Ja... no... nie mogę tego zrobić - wymamrotała i wykręciła ciało tak, że uciekła z zasięgu jego rąk. Zerwała się i energicznie podeszła do biurka, chcąc znaleźć się z dala od Warnera i jednocześnie... dać mu szansę włożenia spodni.

Nie usłyszała jednak niczego: ani słów, ani gorączkowych poruszeń, ani odgłosu zasuwanego zamka błyskawicznego.

Na drżących nogach stanęła przy oknie i wtedy dotarły do niej najpierw nieartykułowane dźwięki, a potem szmer kroków. Steve chwycił ją nagle za przegub i odwrócił.

- Posłuchaj, Caitlin. Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. Nie taka z ciebie znów piękność.

Jesteś ładna. Jesteś bystra. Ale masz do mnie sprawę, prosisz mnie o coś. A co ja dostanę od ciebie w zamian?

- Myślałam... myślałam, że przyjęcie kogoś nowego pod opiekę agencji pomoże panu w pracy.

- Pomoże mi? Czy ja wyglądam na faceta potrzebującego pomocy? Dziewczyny pchają się tutaj drzwiami i oknami. Wylizywałyby mi kutasa co godzina, żeby tylko podsunąć do obejrzenia swoje fotki.

- Ale pan jest przyjacielem Craiga. Myślałam...

- Co myślałaś?! Że to robi jakąkolwiek różnicę? Craig i ja nie widzieliśmy się diabli wiedzą jak długo. Dziewięć lat, może dziesięć. I powiem ci jeszcze coś, on wcale nie przysłał cię tutaj, żebyś przewracała dla mnie strony w tym ślicznym albumiku.

- Chciał, żeby pan mnie zobaczył.

- I poznał twoją uroczą osobowość? Nie żartuj. Bądź dorosła.



- Jestem dorosła. Myślę, że to pan nie jest. - Minęła go, wzięła zdjęcia i posłała mu spojrzenie z nadzieją, że widzi faceta ostatni raz w życiu.

- Powinien pan wiedzieć, Warner, że obsady nie kompletuje się w łóżku. To było dobre wiele lat temu!-Wyszła, trzaskając drzwiami.

Minęła sekretarkę, która obdarzyła ją rozbawionym spojrzeniem. Phi, co tam, i tak wiem, że postąpiłam słusznie, pomyślała w duchu.

Tyle że w istocie wcale nie była tego pewna. Jej przyjaciółka Dawn, układająca włosy w salonie fryzjerskim Vidala Sassoon, przepuściła już przez łóżko ze stu facetów tylko po to, by dostać prywatnie kilka robót u ludzi z towarzystwa. Postanowiła się usamodzielnic i założyć własny zakład. Twierdziła więc, że kilku chłopów mniej czy więcej nie robi jej różnicy.

Caitlin nie mogła się z tym pogodzić. Jeśli tak się myśli i pracuje, to skąd można wiedzieć po osiągnięciu szczytów kariery, czy sukces zawdzięcza się talentowi czy łózkowym wyczynom? I dlaczego właściwie trzeba robić to coś? Zwłaszcza z ludźmi, których się nie zna ani nie lubi.

W windzie dosiadł się do niej mężczyzna wychodzący z agencji Warnera, a kiedy się odwróciła, rzucił jej znaczące spojrzenie, jakby o czymś wiedział.

Idź w cholere, pomyślała Caitlin. Wszystko mi jedno, co ci chodzi po głowie. Jadę do domu, do człowieka, który mnie kocha, mimo że nie dostałam tej durnej pracy.

Kłopot polegał na tym, że to wcale nie była durna praca. Craig próbował już wszystkiego. Tego ranka powiedział, że Steve Warner jest jego ostatnią znajomością. Zaczynał podupadać na duchu.

Wprawdzie nie uważał, by byli całkiem bez szans, nie mając żadnych kontaktów, ale doceniał ich znaczenie. Tymczasem na Steve Warnerze jego możliwości się kończyły.

W holu Caitlin spojrzała na zegarek i omal nie wróciła pędem na górę, żeby spróbować jeszcze raz. Było piętnaście po jedenastej. Craig miał czekać od wpół do dwunastej, ale tak naprawdę nie spodziewał się jej

z powrotem jeszcze przez ponad godzinę. „Jeśli zrobisz furorę, to wyjdiesz najwcześniej o wpół do pierwszej-powiedział. - Jestem pewien, że tak będzie, Cait. - A potem dodał ściszym tonem, którego używał tylko do podkreślania naprawdę ważnych spraw: - Musi się udać, Cait. Po prostu musi.” Wiedziała, że to prawda.

Dokładnie miesiąc wcześniej Craiga wyrzucono z pracy w agencji ICM i od tego czasu był jak odmieniony, maska twardego skrywała całkowicie zniechęconego do wszystkiego człowieka.

Dzień, w którym Craig stracił zajęcie, Caitlin wspominała jako najgorszy w życiu, gorszy nawet niż ten, gdy zabił się Eugene.

Craig cieszył się swoją pracą bez zastrzeżeń. Był asystentem, „nic wielkiego, ale co za perspektywy”. Tak zawsze mawiał, a obowiązki miał „lekkie, łatwe i przyjemne”. Rezerwował miejsca w hotelach dla gwiazd przyjeżdżających do Nowego Jorku i dużo wiedział o szczegółach ich kontraktów. Z niektórymi artystami zdarzało mu się rozmawiać osobiście, innych tylko widywał. Ustalili z Caitlin, że we właściwym czasie, kiedy zadomowi się w agencji, wprowadzi ją tam i spróbuje jej załatwić umieszczenie na liście dyspozycyjnych aktorów, może nawet zdoła uczynić z niej swą pierwszą podopieczną.

Ten plan bardzo podniecał Caitlin, ale jeszcze bardziej podniecało ją szczęście Craiga, który poświęcał tyle czasu jej samej i myśleniu o ich wspólnej przyszłości. Sprawiało jej to wielką przyjemność. Poza tym Craig był taki zapracowany, że nawet seks interesował go mniej niż przedtem, co przyjmowała z wielką ulgą.

Miesiąc temu Craig niespodziewanie wrócił do domu z kompletnie zbielełą twarzą. Caitlin miała dla niego gotowego drinka w lodówce, rum z colą jak zwykle, podała mu więc, starając się opanować i nie wścibiać nosa, gdzie nie trzeba. On jednak z miejsca wyłożył kawę na ławę.

- Już po mnie - powiedział, opadłszy na kanapę. - Wylali mnie, Cait.

Najbardziej przeraził ją jego strach, dziwne, bo przeważnie kiedy coś mu się nie powiodło, reagował wściekłością. Tym razem jednak był właśnie przestraszony i zagubiony.

Przez cztery dni tulił się do niej i sprawiał wrażenie, jakby myślał tylko o tym, żeby ona nie wróciła na prowincję.

- Tylko mnie nie zostawiaj - jęczał błagalnie. - Obiecuj, że mnie nie zostawisz, Cait. - Powiedziała mu, że oszalał, jeśli tak myśli, bo ona go kocha, i to miasto też kocha. Jakoś sobie poradzą.

Czwartego dnia Craig otrząsnął się z depresji i nagle wpadł w złość.

- Jeszcze ich kiedyś wszystkich wykupię - powiedział do niej. - Pożalują skurwysyny, że tak się ześwinili. Wobec mnie i wobec ciebie.

- Ależ oni nawet nie wiedzą o moim istnieniu - odparła, nie miało to jednak najmniejszego znaczenia.

Craig postanowił, że Caitlin stanie się jego jedyną klientką, a on doprowadzi ich oboje na szczyty.

Początkowo Caitlin nie przywiązywała wagi do tak niewiarygodnego pomysłu. Czasem Craig życzył sobie, żeby poszła tu czy tam albo ubrała się w określony sposób, więc robiła to dla jego przyjemności, i na tym się kończyło.

Ludzie zaczęli ją jednak zachęcać. Pewna znajoma Craiga z wytwórni filmowej poleciła jej lekcje gry aktorskiej u niejakiego Franklina Amesa, po których Caitlin miałaby duże szanse na pracę, gdyby tylko się przyłożyła. Kobieta co prawda nie mogła jej dać bagatelnej rólki, z powodu której Craig zorganizował spotkanie, ale wspomniała coś o „typie”, który „nieczęsto się spotyka”. Tego popołudnia Caitlin była tak podniecona, że nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu i powtórzy to Craigowi, on jednak niespodziewanie się wściekł.

- A to dziwka - powiedział. - Za kogo ona się uważa, że cię odsyła pod inny adres? Akurat znam tego gościa:

dupek do kwadratu. Po minucie zacznie sprawdzać, czy można cię obmacać.

I w ten sposób epizod do niczego konkretnego nie doprowadził, chociaż wbrew zdaniu Craiga Caitlin wiedziała, że kobieta mówiła szczerze.

Pomysł zostania aktorką nagle wydał jej się realny i bardzo podniecający.

Był jednak pewien kłopot, zdawało jej się bowiem, że dla Craiga nastalby absolutny koniec świata, gdyby z jej kariery gwiazdy nic nie wyszło.

A Steve Warner był jego ostatnią szansą.

Caitlin minęła budkę z gazetami, znajdującą się w holu, i wyszła przez obrotowe drzwi. Na zewnątrz nogi ugięły się pod nią od gorąca, po chodniku przelewały się tłumy, ale nie chciała pętać się po budynku na wypadek, gdyby Steve Warner akurat postanowił wyjść z biura.

- Cait! Obróciła się.

Craig biegł chodnikiem. Uśmiechnęła się do niego. Boże, był taki przystojny: czarne włosy, niebieskie oczy, wypisz wymaluj filmowy amant. Miał w wyglądzie tylko jedną drobną skazę, zniechęconą przez siebie, mimo że Caitlin bardzo ją lubiła: nigdy nie wspomnianą w rozmowie bliznę na wardze.

Pochodziła z lat dzieciństwa, o którym Craig również nigdy nie wspominał. Prawdę mówiąc, wgłębienia prawie nie było widać, ale on potrafił godzinami się w nie wpatrywać przed lustrem, Caitlin rozumiała więc, dlaczego w jego oczach ten ślad przybiera wręcz gigantyczne rozmiary.

- Cześć, kochanie - powiedziała, gdy pocałował ją na powitanie. Usiłowała sprawiać wrażenie szczęśliwej, ale z oczu Craiga wyczytała, że nie udało jej się ukryć niepowodzenia.

- Co się stało? - spytał, chwytając ją za ramię.

- Nie mówmy o tym tutaj, dobrze?

- Niech będzie - powiedział i zabrał ją przed agencję. Skręcili z Park Avenue w Czterdziestą Szóstą Ulicę,

Craig trzymał ją za rękę i Caitlin miała ochotę iść tak

dalej i dalej, i wcale nie rozmawiać. Ale nawet z kroku Craiga wyczuwała jednak, że powinna się pośpieszyć i jak najszybciej opowiedzieć wszystko ze szczegółami.

A mogło być całkiem inaczej. Miała przecież nadzieję, że wróci do domu tanecznym krokiem z butelką szampana i kwiatami, potem pójdą z Craigiem do restauracji trzymając się za ręce, usiądą przy stoliku i tam, przy zapalonych świecach, powie mu, że dostała pracę: oprócz pozowania do zdjęć w czasopiśmie również propozycję występu w telewizji. Craig byłby szczęśliwy i ona byłaby szczęśliwa, i może nawet ludzie w jej rodzinnych stronach zobaczyliby ją na ekranie, i wszystko ułożyłoby się jak najlepiej.

Craig otworzył drzwi kawiarni i zaprowadził ją do kąta w głębi, gdzie usiedli naprzeciwko siebie na długich ławach, rozdzieleni stolikiem.

- Dobra, co się stało? - spytał. Caitlin głęboko zaczerpnęła tchu.

- Nie dostanę pracy. On chciał, żebym... - Zrobiło jej się sucho w ustach, więc musiała zacząć od nowa, tym razem ciszej. - On chciał czegoś w zamian.

Craig zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli? Spojrzała z niechęcią.

- Nie mogę ci powiedzieć w tym miejscu.

Myślała, że Craig się wścieknie, będzie chciał biegiem wrócić do Steve'a Warnera i zrobić z niego miazgę. Myślała, że dostanie szału. On jednak tylko wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w stół.

- Craig? Spojrzał na nią.

- I co zrobiłaś?

Kelnerka rzuciła im karty dań.

- No więc? - odezwał się Craig po jej odejściu.

- Oczywiście nie zrobiłam tego, co chciał. Nie miałam racji?

- Jasne, jasne - powiedział szybko. - Oczywiście. Przyjrzała mu się uważnie.

- Chyba nie jesteś przekonany.

Lekko go zirytowała.

- Czego ode mnie chcesz, Caitlin? To ty miałaś podjąć decyzję i ją podjąć.

- Nie mogę uwierzyć - wyszeptała niewyraźnie. - Ty chciałbyś, żebym to zrobiła?

Kelnerka podeszła i spytała, czy już się zdecydowali, a Caitlin przez cały czas spoglądała na Craiga zdziwionym wzrokiem.

- Dwie grzanki z serem i dwie cole - zamówił Craig i kelnerka zniknęła.

- Boże - szepnęła Caitlin. - On powiedział, że właśnie po to mnie do niego przysłałeś, a ja mu nie wierzyłam. Myślałam, że chce po świńsku wykorzystać sytuację.

- Hej, przecież wcale nie powiedziałem, że chciałbym, żebyś to zrobiła. Ale gdybyś miała ochotę... Tak tylko pomyślałem... bo przecież opowiadałaś mi o sobie i swoim ojczymie.

- Ciszej, Craig! Na Boga, powiedziałam ci to w sekrecie.

- Nikt nie słucha. Nie wariuj.

- Powiedziałam ci w sekrecie. Tylko tobie i nikomu innemu, więc nie gadaj o tym tak zwyczajnie w każdej kawiarni, do której wchodzimy. A poza tym... Boże, jak mogłeś tak pomyśleć? Jak mogłeś chcieć, żebym coś takiego zrobiła? - Z wrażenia spuściła powieki, ale oczami wyobraźni zobaczyła wszystko jeszcze jaśniej: oto klęka i bierze w usta wielki interes Steve'a Warnera, a Craig się cieszy. - Mdl mi.

Usłyszała, że Craig wstaje, więc otworzyła oczy. Przeniósł się na jej ławę i otoczył ją ramieniem.

- Posłuchaj mnie, kochanie, i to uważnie, bo nie mogę znieść, kiedy tak na mnie patrzysz. Nie chcę, żebyś płakała. Kocham cię. - Przycisnął ją mocniej do siebie. - Skłamałbym, gdybym powiedział, że robię to wszystko dla ciebie. Robię to dla nas obojga, dla mnie i dla ciebie. Ale zgodziłem się na wszystko, żeby tylko się udało. - Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Obrabowałem bank, popełniłem... no, nie wiem co, wszystko. I czasem zapominam, że ty odczuwasz to inaczej.

- O Boże, Craig. Zrozum, cieszyłabym się, gdyby wszystko się udało, ale jak możesz chcieć, żebym...  
- Rozejrzała się dookoła, czy nikt nie podsłuchuje. - Jak możesz chcieć, żebym poszła do łóżka z tym wstrętnym typem? Jak możesz chcieć, żebym była z innym mężczyzną?

- Nie chcę - powiedział cicho. - Wiesz, że nie chcę. Ale dla ciebie mogłoby to wyglądać inaczej...  
gdybyś robiła to z kimś, kogo nie kochasz. Przepraszam. Chyba naprawdę nie rozumiem.

Pokręciła głową.

- Nie mogę uwierzyć. Ja oszalałabym, gdybyś przespał się z inną kobietą tylko po to, żeby dostać pracę. - Głośno wypowiedziawszy te słowa, natychmiast zorientowała się, że skłamała. Ale czy nie powinna tego odczuwać właśnie w ten sposób? Czy nie tak powinna zareagować normalna osoba? Dlatego właśnie Craig był dla niej szansą: grając normalność, mogła wrócić do normalności, a o przeszłości zapomnieć i w ten sposób odebrać jej znaczenie. Spojrzała mu w oczy. Chciało jej się płakać. - Powiedz tylko, że ruszyłoby cię, gdybym to zrobiła.

Craig wziął ją w ramiona.

- Oszalałbym - wyszeptał w jej włosy.

Zaczęła się zastanawiać. Czyżby była po prostu nieroz-garnięta, że nie dała Steve'owi Warnerowi tego, co chciał? Przecież na domiar złego facet zachowywał się jak skończony cham. Ale jej przyjaciółka Dawn czerpała spore zyski ze swoich „kontaktów”. Utrzymywała je ze sporą grupką mężczyzn, bez wyjątku należących do ekskluzywnego prywatnego klubu, prowadzonego przez jakiegoś niemieckiego księcia. Dawn pozwalała im się rznąć do woli, w zamian za co miała pełne ręce roboty. Obcinała włosy wszystkim tym facetom, a w dodatku jeszcze żonom niektórych. I wcale nie sprawiała wrażenia przygnębionej.

Ale Dawn była inna. Dawn nie miała sekretów. Jej ojczym nie był podobny do Eugene'a.

Caitlin nikomu dotąd nie opowiedziała wszystkiego ze szczegółami. Nawet Craigowi. To było takie skomplikowane.

Zaczął się od śmierci ojca. Miała osiem lat, kiedy wróciwszy ze szkoły, zastała szlochającą matkę przed telewizorem. Okazało się, że szlocha nie z powodu popularnego serialu, lecz wypadku, którego ojciec nie przeżył.

Również Caitlin płakała, przez wiele dni. Nie mogła zrozumieć, jak to jest, że ojciec nagle znikł, jeszcze przed chwilą był i już go nie ma na zawsze. Wraz z nim odeszły wszystkie urazy, jakie do niego czuła, na przykład o to, że nie wziął jej na wycieczkę w góry Catskill. Czyżby uczucia umarły razem z ojcem?

Potem Caitlin kazano mówić do matki per „Nancy” i nagle pojawiło się wokół mnóstwo mężczyzn. Z niektórymi Nancy „wychodziła”, inni chyba tylko przynosili to i owo do jedzenia i zostawiali na kolacji. Caitlin nie wiedziała, co robić. Wśród tylu obcych nie czuła się już jak w domu. Nawet matka wydawała jej się obca.

Pewnego wieczoru matka wybiegła po ketchup, a mężczyzna, który przyszedł na pieczeń z rusztu, niejaki Richie Stiles, zawołał Caitlin, żeby usiadła mu na kolanie. Caitlin szczególnie go lubiła: zachowywał się zbyt głośno, a poza tym zawsze sprawiał wrażenie, jakby był właścicielem ich domu na kółkach. Nie wiedziała jednak, jak odmówić. Stała więc w milczeniu i stała, a on powtarzał „chodź” i klepał się po kolanie. W końcu podeszła, zupełnie jakby była w transie.

Natychmiast zorientowała się jednak, że popełniła błąd. Facet spoważniał, ścichł i sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Powiedział jej, żeby go dotknęła i rozpiął spodnie. Nie miała ochoty, ale on zaczął ją popychać, ściskając za kark a głos zrobił mu się dziwny. Dotknęła go w chwili, gdy samochód matki pojawił się na podjeździe.

Richie Stiles praktycznie zrzucił ją z kolana, a kiedy matka weszła do środka, wszystko wyglądało tak jak powinno. Facet przeglądał gazetę, a Caitlin, która nie wiedziała, co ze sobą zrobić, stała pośrodku pokoju. Ale matka nawet nie zwróciła na nią uwagi.

Stiles poszedł następnego dnia rano, a Caitlin nie mogła przestać myśleć o tym, co się stało. No bo gdyby



zażyczył sobie tego samego jeszcze raz? Wcale nie miała na to ochoty. Była sobota, Nancy oglądała telewizję. Caitlin podeszła do niej i usiadła na poręczu fotela.

- Czy ty lubisz Richiego Stilesa? - Tylko takie pytanie mogła wymyślić.

- Oczywiście, że lubię - odparła Nancy. - Inaczej bym z nim nie wychodziła.

Caitlin spojrzała na ekran. „Alka-Seltzer” uśmierzy twój ból, usłyszała.

- Ale gdyby... - Nie była w stanie dokończyć, a matka się nie odzywała. - A gdyby...

- Czy nie powinnaś przypadkiem posprzątać, Caitlin? - spytała matka. - Daj człowiekowi święty spokój, chociaż przez pięć minut.

I tak to było. Po prostu nie umiała zapytać. Na szczęście Richie Stiles nie ponowił już próby, Caitlin jednak nie dopuściłaby do tego, żeby jeszcze raz zostać z nim sam na sam. Nie wiedziała, czego się może po nim spodziewać.

Nie wiedziała też, czy ma on coś wspólnego z tym, co mawiała do niej matka. Czasem rzucała na przykład ni stąd, ni zowąd: „W tych twoich oczach siedzą obok siebie anioł i diabeł”, a innym razem: „To diabła sprawka, że jesteś ładniejsza ode mnie”. Caitlin nie rozumiała jej, bo dla niej matka była najpiękniejszą kobietą świata. Ale Richie Stiles powiedział, że to ona jest śliczna i słodka.

Caitlin doszła więc do wniosku, że musi się trzymać z dala od mężczyzn. Jedynym, do którego się odzywała po historii z Richiem Stilesem, był śmieciarz Joe, który miał tylko jedną nogę i kikut jednej ręki, i był wojennym weteranem. Nikt inny z nim nie rozmawiał, a ona nie chciała porzucić przyjaciela.

Wkrótce jej matka poślubiła mężczyznę o imieniu Eugene. Stało się to w niecałe dwa tygodnie po tym, jak się poznali. Caitlin była przerażona. Czowała się coraz bardziej osamotniona, bo tymczasem skończyła dwanaście lat, zaokrągliła się i doskonale już wiedziała, co ma na myśli

Eugene, kiedy patrzy na nią w pewien określony sposób. Bardzo nie chciała, żeby zmuszano ją do robienia tego, czego omal nie zrobiła z Richiem Stilesem.

Czasem, kiedy była sama, na przykład myła się w łazience albo po prostu szła ulicą, nawiedzało ją nie wiadomo dlaczego przerażające podejrzenie, że Eugene jej się przypatruje. Oglądała się za siebie i z niepokojem omiatała ulicę wzrokiem, a jeśli akurat stała w łazience, mrużyła oczy i groźnie spoglądała na tapetę i małe rysunekzki w ramkach, które powiesiła tam matka. Starła się wtedy wyglądać tak, jakby wiedziała, że Eugene rzeczywiście patrzy, i „miała dość jego idiotycznego zachowania”. Nigdy jednak nie była całkiem pewna, czy Eugene naprawdę ją obserwuje; przychodziło jej do głowy, że może zaczyna tracić zmysły. Oglądała swoje lustrzane odbicie i widziała piersi, których nie chciała widzieć, i krągłości takie jak u matki, i myślała, że przecież ma dopiero dwanaście lat. I że może zdarzyło jej się to wszystko, bo Bóg powiedział: „Caitlin Cornell, robiłaś brzydkie rzeczy, kiedy miałaś osiem lat, i teraz wszyscy będą o tym wiedzieć”.

Któregoś dnia po szkole wzięła nożyczki do paznokci i obcięła sobie włosy na zapałkę. Kiedy matka wróciła do domu, zaczęła na nią wrzeszczeć. I dobrze, bo to znaczyło, że Caitlin wygląda okropnie, a właśnie o to jej chodziło.

Ale kiedy wrócił do domu Eugene, zachował się zupełnie nie tak, jak oczekiwała. Powinien powiedzieć, że źle to wymyśliła albo że wygląda jak chłopak. On jednak pojawił się akurat na obiad i gdy Caitlin podniosła głowę, położywszy na stole ostatni widelec, wcale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, tylko uśmiechnął się głupio i stwierdził:

- Wszystkiego musisz popробować, co?

Była wstrząśnięta. Jeśli miał na myśli to, o co go podejrzewała, znaczyło to, że nie liczy się nawet z matką. A matka stała odwrócona plecami, mieszając makaron z serem, i co na to powiedziała? Nic! Tej nocy Caitlin leżała w łóżku zbyt przerażona, żeby zasnąć. Nie mogła wstać, bo po domu kręcił się Eugene,

ale bała się też być u siebie w pokoju. Nagle usłyszała kroki, serce podskoczyło jej do gardła. Potem klamka obróciła się i drzwi się otworzyły. Świetlista szczelina robiła się coraz szersza, aż w końcu na ułamek sekundy pokój zalała jasność. Potem znów zrobiło się ciemno i Caitlin poczuła zapach Eugene'a: alkohol i tytoń.

Podszedł do niej, słyszała, że jest pijany, bo poruszał się tak jak wtedy, gdy chciał to robić szczególnie cicho. (Nawet matka nabijała się z niego w takich sytuacjach. „Słoń, który myśli, że jest rosyjskim tancerzem”, mówiła)

Doleciał do niej dźwięk jego oddechu, ciężkiego oddechu, który znała z chwil, gdy wszyscy pozornie oglądali telewizję, choć Caitlin wiedziała, że Eugene jej się przygląda.

Podchodził coraz bliżej, krok po kroku, oddech miał coraz szybszy.

Chciała powiedzieć: „Wynoś się”, albo krzyknąć, ale nie mogła.

Kiedy stanął dokładnie nad nią, poczuła jego zapach wyraźniej niż kiedykolwiek, w nozdrza uderzył ją kwaśny odór potu, przerażający jeszcze bardziej niż woń alkoholu i tytoniu.

- Nie trzeba było obcinać włosów - powiedział. Nie odezwała się.

- Myślałaś, że w ten sposób utrzymasz mnie z dala od siebie, co?

Mocniej zacisnęła powieki.

- Słoneczko, z takimi cycuszkami i taką słodką gorącą dupcią mogłabyś nawet ogolić się na łyso, a ja i tak miałbym chęć cię zerznąć. Spodoba ci się to, zobaczysz. Już widzę, jak ci od tej myśli radośnie bije małe serduszko. Biję tak głośno, że mógłbym je zobaczyć, gdybyś tak nie chowała twojego ślicznego ciała pod tymi kocami i...

Zrzuciła z siebie koce i skoczyła w ciemność pokoju, tam gdzie powinny znajdować się drzwi.

Usłyszała przekleństwo Eugene'a i podążające za nią kroki, na szczęście wyczuła dłonią chłód klamki i gwałtownie otworzywszy drzwi na oścież, wypadła na korytarz.

Pobiegła do pokoju matki, właściwie matki i Eugene'a, ale nie lubiła myśleć o nim w ten sposób.

Nancy tam nie było.

Cały dom składał się zaledwie z czterech pokoi i Caitlin nagle stwierdziła z drzeniem kolan, że matki nie ma w żadnym z nich. Słyszała zbliżającego się Eugene'a.

Tej nocy musiała spędzić z nim całą godzinę, robiąc rzeczy, których nie potrafiłaby sobie wyobrazić, nawet gdyby chciała.

Mimo wszystko Eugene nie był aż tak wredny jak jej matka. Później bowiem Caitlin zrozumiała, że to Nancy chciała, żeby sprawy tak się ułożyły. Hołdowała przecież niepisanej regule, że mężatka nie wychodzi wieczorami sama, tamtego wieczoru jednak wyszła.

Przez następny rok działo się coś przerastającego jej wyobrażenia. Chociaż nie cierpiała tego, co robiła z Eugene'em, nie cierpiała sposobu, w jaki to się odbywało, to jednocześnie czuła, że Eugene stał się dla niej najbliższym człowiekiem na świecie. Nie miała przyjaciółek, chłopców w szkole unikała, matki nienawidziła za to, do czego dopuściła. Wprawdzie to właśnie Eugene był sprawcą, lecz jednocześnie był kimś, kto wiedział, co się z nią dzieje, i wcale nie wypierał się swojego w tym udziału. Czasem opowiadał jej różne zabawne historie, które przydarzyły mu się podczas pracy w fabryce, czasem nawet ją tym rozśmieszał, a za każdym razem, gdy się z nią kochał (tak to nazywał), powtarzał jej, jak wiele ma dla niej miłości. Było zupełnie inaczej niż tej pierwszej nocy, kiedy kłął jak szewc. Któregoś razu nawet przeprosił ją, że tak na siłę „to” się zaczęło. Przede wszystkim jednak, był jedyną osobą na świecie, która wspominała o „tym”, co robili razem, i za to prawie go kochała.

Wszyscy inni ludzie wyglądali, jakby o tym wiedzieli, szczególnie dziewczęta w szkole spoglądające spod przymrużonych powiek i szepczące po kątach. Widziała znaczące trącanie się łokciami. Chłopcy wciąż złośliwie rechotali. Ale Eugene ją kochał.

Pewnego dnia coś jednak jakby pękło. Poczwała, że

dłużej tak nie może. Eugene spędzał teraz dużo czasu w Innej części Nowego Jorku przy nowej pracy. Był operatorem koparki używanej do przebudowy jakiejś ulicy. Ni^dy nie było go w domu, Caitlin bez przerwy niyAlii, że już nie wróci. Niespodziewanie wracał I wtedy miała tysiące sprzecznych pragnień. W końcu powiedziała mu, że musi zostawić ją w spokoju. Ponieważ po raz pierwszy i ona zaczęła coś odczuwać. Nie była już całkiem obojętna, tak jak przedtem. Myślała o nim nocami. Brakowało jej go. A to był najcięższy z ciężkich grzechów. TORO wieczoru, kiedy zażądała, by zostawił ją w spokoju, upił się. Nie protestował, po prostu poszedł do kuchni i zaczął pić. A następnego ranka nie było po nim śladu. Przez cały dzień miała taką migrenę, że ledwie widziała na oczy. Zawaliła test z geometrii, a po lekcji gimnastyki odesłano ją do pielęgniarki, ponieważ z powodu bólu głowy nie była w stanie się ruszyć. Całą jej uwagę zajmowała myśl, że Eugene'owi coś się stało. Przypuszczenie było niedorzeczne. Eugene zawsze wychodził do miasta bardzo wcześnie, o czwartej, czasem nawet o wpół do czwartej. A potem pracował. Tak kiedyś powiedział Nancy. Ale każde łupnięcie w głowie stanowiło dla niej znak, że Eugene'a zabito, zmasakrowano. I na zawsze już zostało mu w pamięci jej ostatnie „nie”. Bo przecież nie mogła powiedzieć mu „tak”, nie mogła się zdradzić z tym, że go kocha. Kiedy przyszła ze szkoły, matka siedziała przed telewizorem. Eugene nie dzwonił ani nie wrócił. Nancy jakby się tym wcale nie przejmowała. - Znajdzie się - powiedziała. - Na pewno gra w pokera. Tej nocy Eugene nie spędził jednak w domu. Nawet nie zatelefonował. Caitlin odchodziła od zmysłów. Nie żyje, nie żyje. Sześć miesięcy później dostały wiadomość od jego przyjaciela, kierowcy ciężarówki. Okazało się, że Eugene zalewał robaka, aż wreszcie wyprawił się na Alaskę

sądząc, że znajdzie tam mnóstwo roboty. A że właściwie nie trzeźwiał, któregoś dnia o świcie jego ciężarówka wleciała na betonową barierę rozdzielającą jezdnie szosy i Eugene się zabił.

Caitlin nie mogła zrozumieć, co właściwie jest nie tak z mężczyznami, że zaraz odchodzą; gdy tylko zagarną dla siebie lwią część jej życia, wtedy znikają na zawsze.

Może miało to jakiś związek z jej przeszłością, z tym co kiedyś robiła?

Cait?

Podniosła głowę. Craig spoglądał na nią ze zmarszczonym czołem.

- Nie martw się - powiedział, głaszcząc ją po głowie. - Zapomnij Steve'a Warnera. Znajdziemy kogoś innego.

Słyszając, jakim głosem to mówi, wiedziała jednak, że gdyby nie był mężczyzną, rozplakałby się.

Jeszcze go nie widziała tak zasmuconego.

- Craig, czy dajesz słowo, że miałbyś coś przeciwko temu, żebym poszła do łóżka ze Steve'em Warnerem?

- Przecież wiesz. Nie wygłupiaj się.

Spojrzała mu w oczy i zamyśliła się. Może powinna to jednak zrobić. Skoro ma pewność, że coś dla niego znaczy...

2

Dziesięć minut do nagrania, panie Grayson - powiedział głos zza drzwi.

Jake Grayson wstał od stolika do charakteryzacji i chwiejnym krokiem przeszedł do łazienki. W sam czas, bo gdy opadł na kolana, natychmiast zwymiotował. Soczyste chluśnięcie opróżniło mu żołądek i skręciło wnętrzności, zostawiając go z głową bezwładnie wspartą na ramieniu i łzami cisnącymi się do oczu.

Jeszcze jeden program, jeszcze parę wywiadów. Należało o tym myśleć raczej w ten sposób, a nie obliczać

wartość jednego roku, dwu, czterech, czterdziestu... Czy nie w ten sposób ludzie rzucają palenie?

Najpierw minuta bez papierosa, potem dwie, potem dwa tysiące.

Z paleniem też oczywiście nie doszedł tą metodą do żadnych wyników.

Boże, ostatnio wprawdzie mniej palił, ale tylko z powodu tych mdłości.

- Idź do lekarza - wciąż powtarzała mu Barbara, a ludzie z telewizji zaciągnęliby go tam przemocą, gdyby dowiedzieli się, co jest grane. On jednak trzymał to w tajemnicy. Cholera, co za głupia i kłopotliwa tajemnica. Czymś takim mógłby ośmieszyć każdego ze swych gości.

Współczuł sobie. Był jednym z najbardziej wziętych ludzi w Stanach, właśnie miał przedłużyć o następne cztery lata kontrakt na najwyżej notowany w kraju *talk show*, a przy tym współczuł sobie jak cholera. Chciał wreszcie skończyć z tymi przekłętymi wywiadami i wrócić do dramaturgii, zamieszkać incognito w Paryżu lub Rzymie i tam napisać powieść pod zmienionym nazwiskiem. Wszystko to było nierealne, przynajmniej w ciągu najbliższych czterech lat. Zamierzał bowiem podpisać z siecią telewizyjną nowy kontrakt opiewający na sumę, która trafi do nagłówków większości gazet w kraju. A za każdym razem gdy o tym myślał, każdego wieczoru przed występem, dostawał straszliwego ataku mdłości z torsjami, które odwadniały mu organizm i sprawiały szarpiący ból.

Było to dziwne: przez te wszystkie lata bardzo lubił swój program.

Przed siedemnastoma laty, po klęsce w pierwszym tygodniu, producenci oznajmili mu, że zawieszają emisję. Rozwścieczony do granic możliwości, przed ostatnim występem spił się w trupa. Przecież był dramaturgiem, który się sprzedał. Boże, gdyby spieprzył ten program (który wówczas szedł jeszcze na żywo), tym lepiej. Wywołałby trochę hałasu i mógł wrócić do świata, który naprawdę kochał.

Stacja zaprosiła na ten wieczór niejakiego Toma

Austina, dwudziestokilkuletniego aktora cieszącego się wówczas olbrzymim rozgłosem. Rozmawiali z nim w swych programach czołowi prezenterzy, wspomiano go w „Today”, porannym programie informacyjnym sieci NBC. On tymczasem starał się o odnowienie kontraktu na rolę w komediowym serialu *Zapukaj dwa razy*, którego Jake w życiu nie oglądał.

Jake miał przed oczami podwójny obraz, zanim jeszcze Austin wyszedł na scenę, machając ręką w kierunku, w którym spodziewał się zastać publiczność złożoną z tysięcy rozwrzeszczanych fanów. Ha! Głupek, nie wie nawet, że w studio nie ma publiczności, stwierdził Jake i z pijacką satysfakcją przyglądał się, jak uśmiech Austina topnieje, a ręka bezsensownie zatrzymuje się w pół gestu.

- Będę z tobą szczery, przyjacielu - powiedział Austin, gdy w końcu usiadł. - Muszę być szczery wobec ciebie i twojej widowni, która pewnie nic nie wie o sytuacji, w jakiej się znalazłem. Mówi się, że publiczność jest kapryśna i nie można jej wierzyć. Ja się z tym zupełnie nie zgadzam. Ameryka została zbudowana na swobodnej wymianie poglądów i ludzie nadal z tej wolności korzystają. Chcę więc skorzystać z niej wobec producentów programu, w którym występuję.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz - powiedział Jake i zobaczył w oczach Austina zaskoczenie, a zarazem nienawiść.

- Jak to? - zachnął się Austin, na chwilę przystopowany. - Mówię o *Zapukaj dwa razy*, Jake. O moim serialu. Niewykluczone, że w przyszłym roku już mnie w nim nie będzie. - Zrobił efektowną pauzę, ale ponieważ w studio nie było widowni, a Jake nie zamierzał bynajmniej nawet mruknąć na znak oczekiwanego sprzeciwu, zapadła po prostu martwa cisza. - Nie będzie mnie - ciągnął Austin - nie dlatego, że amerykański naród mnie nie lubi, zmęczył się mną albo wolałby oglądać kogo innego. Powód jest inny: producenci nie chcą mi dać godziwej podwyżki.

Jake się obudził.

- Godziwej podwyżki? - powtórzył sięgając po



szklanek z wodą. Nagle zaschło mu w ustach. - Nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby ujawnić, ile ta godziwa podwyżka powinna wynieść?

- Oczywiście, że nie - odparł szybko Austin. - Ale chciałbym najpierw powiedzieć kilka słów wprowadzenia, Jake. Po pierwsze, mamy rok 1969. Jest to rok dobrej koniunktury. Po drugie, mój serial był tydzień w tydzień przez cały sezon w krajowej dziesiątce najlepszych programów. A po trzecie, ludzie myślą, że jestem krótkotrwałym objawieniem, Jake. Myślą, że dostałem rolę w *Zapukaj dwa razy* i dlatego zdobyłem rozgłos. A ja ciężko przedtem harowałem przez dziesięć lat. Walczyłem, ciulałem i oszczędzałem. Inni ludzie na moim miejscu załamaliby się. Inni ludzie poddaliby się. Ale mnie zawsze udaje się przeżyć, Jake. Musiałem i nadal muszę utrzymywać żonę i syna, więc robię, co mogę, żeby mieli we mnie oparcie. Byłem kelnerem, grabarzem, pielęgniarzem, dostarczałem pizzę do domów...

- I co z tego? - przerwał mu Jake.

- Jak to co'

- No co z tego, do cholery? Od pięciu minut słucham, jak jójczysz, Austin, i czekam na słowo prawdy, na jedno słowo nie pachnące kitem... - uświadomił sobie że to powiedział, kiedy było już za późno -... ale jak dotąd nie doczekałem się...

Austin poczerwieniał na twarzy.

- Nie wiem, jakiej zaszranego pensji się domagałeś, ale przestało mnie to interesować, bo nie chcę się porzygać. Jak możesz opowiadać mi, że przez dziesięć lat uczciwie pracowałeś i dlatego teraz życzysz sobie dziesięciu kawałków za odcinek, czy diabli wiedzą ilu?

- Wcale nie dziesięciu - zająknął się Austin. - Tylko

pięć. Pięć tysięcy na tydzień? Za to, że tyle wycierpiałeś przez te lata? A co z ludźmi, którzy po czterdziestu i pięćdziesiąt lat robią to, co ty robiłeś dorywczo przez kilka miesięcy, a jak cię znam, to pewnie nawet przez kilka tygodni? Jak śmiesz mówić, że zawsze udaje ci się

przeżyć, skoro ogląda cię zapewne mnóstwo widzów, którzy musieli przeżyć znacznie trudniejsze sytuacje^ może nawet obozy koncentracyjne? Wynocha z mojego programu. Wynoś się...

- Słucham?

- Podnieś się z krzesła i wyjdź.

- Chyba nie mówisz poważnie? - zaprotestował Austin, ale wstał.

- Wynoś się, zanim sam wykopię cię z tej pieprzonej sceny - powiedział Jake.

Austin zszedł w absolutnym oszołomieniu, reżyser puścił reklamę, a Jake'a odwołano sprzed kamery na dobre. Po raz pierwszy od miesiąca czuł się cudownie. Odszedł z hukiem i ucziwie. To było doprawdy zabawne.

Następnego rana David Garroway wspomniał o tym incydencie w „Today”, a po południu Jake odebrał telefon od producenta. Chcieli, żeby wrócił do programu. Poprzedniego wieczoru stacja miała tyle telefonów, ilu nie było w sumie przez cały rok. Były co prawda pewne problemy z tak zwaną obscenicznością, ale ktoś posmarował tam gdzie trzeba i zapomniano o tym. Tak się wszystko zaczęło przed siedemnastu laty.

- Jeszcze pięć minut, panie Grayson.

Cholera Musi się szybko pozbierać. Wprawdzie „TV Guide” przyczepił mu etykietkę Paula Newmana późnowieczornej telewizji, ale w tej właśnie chwili przedstawiał sobą raczej żałosny widok. Oczy miał bardziej czerwone niż niebieskie i prawdopodobnie zwyczajnie cuchnął.

Wymył zęby, ochlapał twarz i poczuł się lepiej. Pierwszego gościa lubił, był nim aktor średniego pokolenia, który wracał do łask po latach niezasłużonej odstawki.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył tak szybko, że dziewczyna, która zapewne wolałaby zostać nazwana kobietą, choć nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat, bąknęła zaskoczona:

- Och!

- Coś ty za jedna? - warknął Jake. - Gdzie jest Susan-

nah? - Na Susannah mógł liczyć we wszystkim, mimo że nominalnie była tylko jedną z licznych asystentek reżysera.

- Dzisiaj jest, eee... chora.

- A ty to kto?

- Eee... praktykantka. Helen Hughes.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się.

- Przyjął cię Harrington, prawda? - Mhm.

Wszystko grało. Była jedną z najbardziej uroczych młodych dziewczyn, jakie zdarzyło mu się widzieć, choć nie bardziej urocą niż inne praktykantki Harringtona. Cie-mnorude włosy, zielone oczy, pełne usta, gładkie ciało i budząca zawiść młodość. Najbardziej jednak zaciekawiło Jake'a, gdzie Harrington znalazł tak świeży wdzięk i subtelność. Prawie że niewinność, nie na tyle jednak nieskazitelną, by Helen Hughes nie była świadoma, że pod materiałem bluzki rysują się kontury sutek, że w bluzce jest rozpięty o jeden guzik za dużo. Jake nieodmiennie chciał zobaczyć naprawdę niewinną dziewczynę i wydało mu się, że to jednak nie Helen Hughes, ale mimo wszystko w jej oczach było coś takiego...

- No dobrze, Helen. Rozumiem, że jesteś tu po to, żeby zaprowadzić starego wygę Jake'a Graysona na plan. - Och, przecież pan nie jest taki stary, panie Grayson - powiedziała, oglądając go z podziwem. - Mówi się, że mężczyźni się nie starzeją, tylko nabierają doświadczenia.

- Czy tak się mówi, czy ty tak mówisz, dziecko? Zaczerwieniła się.

- Hm... Ja też tak uważam.

- Aha, w porządku. Wobec tego prowadź - powiedział, biorąc ją pod rękę.

Po raz pierwszy tego dnia dobrze się poczuł.

Tak więc - opowiadał George Clay - wywalono mnie z telewizji i potem przez pięć lat nie pracowałem.

- Domyślam się, że z powodu twoich przekonań politycznych.

George Clay wzruszył ramionami. Jake pamiętał ten gest z niezliczonych filmów. Boże, Clay był starszy od niego zaledwie o dziesięć lat, miał sześćdziesiąt pięć, a mimo to Jake myślał o nim jak o starym człowieku.

- Kto to wie? - spytał Clay, nie oczekując odpowiedzi. - Osobiście chętnie powiedziałbym, że stało się to z powodu oświadczeń dla prasy, jakie złożyłem, gdy stacja zaczęła nadawać cykl stanowiący moim zdaniem prawicową propagandę. Podobno nie miałem prawa składać takich oświadczeń, bo fani mogliby słuchać mnie znacznie uważniej niż George'a Claya, zwykłego człowieka z ulicy. Ale co na to poradzę? Mam nie wypowiadać się na żaden temat? Jestem aktorem, ale nigdy nie godziłem się na rezygnację z prawa do swobodnego wyrażania poglądów. - Sięgnął do paczki papierosów, którą trzymał w kieszeni, ale ręce tak mu drżały, że nie mógł z niej nic wyjąć.

Jake znał to. Jego ojcu ręce drżały tak samo, kiedy potrzebował drinka.

- Zaraz wrócimy - powiedział szybko Jake, a reżyser, przyzwyczajony do jego nagłych decyzji, puścił reklamę.

Jake wyłączył mikrofony i pochylił się do George'a Claya.

- Nic ci nie jest?

- Jezu, Jake, ale głupoty ładują. Czemu mi nie zatkałeś gęby?

- Dobrze szło, George. Naprawdę mnie zainteresowałeś.

- Może ciebie, ale publiczność szemrała. Na miłość boską, ludzie nie chcą polityki. Wolą słuchać o skandalu seksualnym na planie któregoś z moich dawnych filmów albo o fatalnym wypadku, który wstrzymał produkcję. Do tego są przyzwyczajeni. - George Clay się pocił.

- Na pewno nie chcesz drinka, George? Mogę ci przynieść.

Clay posłał mu spojrzenie, o którym Jake wiedział, że zapamięta je do końca życia. Była w nim determinacja przemieszana z wściekłością.

- Nie potrzebuję żadnego drinka - warknął i bliski furii wlepił wzrok w jakiś punkt przed sobą.

Jake pochylił się jeszcze bardziej do Georgia

- Wcale nie chciałem, żebyś potraktował to jako krytykę

George Clay spojrział na niego z nienawiścią.

- W porządku. Nie ma sprawy - powiedział chłodno i rzucił okiem na zegarek. - Kiedy, do cholery, gramy dalej'

Jake spojrział na zegar kwarcowy w górze.

- Za około półtorej minuty.

George Clay nie odezwał się, ale po twarzy zaczął mu sciekac pot.

Gdzie do diabła, podziała się charakteryzatorka? Jake dał znak i z kulisów wypadła młoda kobieta, uzbrojona w puder i wacik.

Clay siedział beznamiętnie, gdy kobieta likwidowała ślady zniszczenia. Kiedy zabłysła czerwona lampka oznajmiająca, że do nagrania pozostały trzy sekundy, George przesłał Jake'owi desperackie spojrzenie.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Sypię się.

Nie było czasu na odpowiedź. Jake czuł lęk Claya, a co najgorsze, nie wiedział, jakie jest jego źródło. George bez wątpienia zdawał sobie sprawę, że ma Jake'a po swojej stronie. Luke McKenzie dał znak do rozpoczęcia i Jake próbował dodać Clayowi otuchy wyjątkowo ciepłym spój- Mówiliśmy o twojej długiej i dla wielu widzów na pewno denerwującej nieobecności w filmie i telewizji, George. Może chciałbyś teraz porozmawiać o terażniejszości, powiedzieć, nad czym właśnie pracujesz? - Jezu, co za potworny banał. Było mu jednak żal Claya.

- Tak, oczywiście - odparł z wahaniem Clay właśnie w chwili, gdy Jake uświadomił sobie, że nawet mu nie przekazano, czy George w ogóle nad czymś pracuje. Po prostu zatelefonował agent, Jake odpowiedział mu tak" i wśród personelu natychmiast rozeszła się pogłoska o „powrocie George'a Claya". Ale czy rzeczywiście był jakiś powrót? Jezu?!

- No... próbuję coś zrobić - powiedział George i pot zaczął mu się saczyć przez warstwę pudru. - Wiedziałem, że dostanę się do twojego programu... bo słyszałem, że mnie lubisz...

Jezu!

- Owszem - szybko przytaknął Jake. George'owi łzy napłynęły do oczu.

- Prawdę mówiąc jednak... No, właściwie nie mam się czym chwalić. Nie ma mowy o powrocie dawnych dni, jeśli o to pytasz.

Widownia grobowo milczała. Nie było słycać ani jednego kaszlnięcia, ani jednego szeptu.

Jake, absolutnie przerażony sposobem, w jaki George się podkłada, próbował łagodzić sytuację.

- No tak - powiedział z uśmiechem. - Wywiad tu czy tam nie oznacza prawdziwego powrotu. Ale słyszałem od przyjaciół, że masz się starać o przyjęcie do stacji, dla której poprzednio pracowałeś.

George znów sięgnął do kieszeni i tym razem, mimo drżących rąk, zdołał wyciągnąć, a potem zapalić papierosa. Zaciągnąwszy się spojrzał najsmutniejszymi oczami, jakie Jake kiedykolwiek widział.

Wiedział, że jest to jedna z tych niesłychanie rzadkich chwil, kiedy gość zostaje w studio sam na sam z prowadzącym. George Clay całkowicie zapomniał o istnieniu publiczności.

- Tak... - zaczął. - Chciałbym, żeby to była prawda.

- Potarł nasadę nosa i odchylił się na krześle.

Jake zaczął się martwić. George naprawdę się sypał. A on nie chciał, żeby aktor, którego przez ryle lat podziwiał i szanował, całkowicie się rozłożył na oczach tysięcy amerykańskich widzów.

- To będzie prawda - szybko wtrącił.

George spojrzał na niego i smutno się uśmiechnął.

- Nie wiem, co mi się właściwie zdawało - mruknął tak cicho, że chyba nawet nie wszyscy widzowie go usłyszeli.

- Poprosiłem agenta, żeby do ciebie zadzwonił, ty się zgodziłeś na mój udział w programie...

Myślałem, że uda mi się jakoś... że stanie się cud... - Upuścił papierosa

i chwycił się za klatkę piersiową, z twarzą wykrzywioną nagle bolesnym spazmem. - O Jezu - wyczarzał. - Lekarza! - krzyknął ktoś.

Jake przyłożył ucho do piersi George'a, i nic nie usłyszał. Sięgając dłonią do miejsca, gdzie na tętnicy szyjnej Claya powinien być wyczuwalny puls, słyszał tylko bicie własnego serca. Ale jeszcze nim zdążył dotknąć ciała, zorientował się, że robi to na próżno. Dotknął i lekko ucisnął, dotknął gdzie indziej i ucisnął... bez skutku.

Na scenę wpadł człowiek w bieli. Jake odskoczył, żeby zrobić mu miejsce. Lekarz szukał pulsu dokładnie w tym samym miejscu, gdzie on przed chwilą. Zaraz potem na scenę wbiegło dwóch mężczyzn, za nimi jeszcze dwóch z noszami i Jake przyglądał się z poczuciem absolutnej bezsilności, jak układają George'a Claya na podłodze i rozpoczynają masaż serca.

Bezradnie potoczył wzrokiem dookoła. Publiczność wstała z miejsc, większość ludzi wyciągała szyje i przytykała daszki z dłoni do czół, żeby zobaczyć jak najwięcej. Personel stłoczył się na scenie.

Dzięki Bogu, przerwano zapis... może nawet zgodnie z zasadami, bo jeśli człowiek umiera w studio podczas nagrywania, nie wolno tego filmować. A było jasne, że George Clay, człowiek, który przyszedł do programu Jake'a Graysona, desperacko szukając dla siebie szansy, już nie żyje.

Oczywiście krążyły historie o ludziach wracających do życia, wszak reanimacja była cudem sama w sobie, no i były efektowne relacje w „Reader Digest” czytowanym przez jego sekretarkę. Jedna z nich zaczynała się tak:

„Wróciłem z martwych, doznawszy miłości i światła. Słyszałem tak piękną muzykę, jakiej nigdy przedtem nie słyszałem”.

Ale George Clay wyglądał jak stuprocentowy nieboszczyk.

Pół godziny później Jake siedział w garderobie z głową ukrytą w dłoniach. Pomieszczenie było ciemne, tylko małą lampkę na stole do charakteryzacji otaczał krążek

światła. Panowała absolutna cisza rozpraszana tylko dźwiękiem oddechu. Przypominało to właściwie westchnienia. Jake rozpaczliwie szukał łez, których w nim nie było.

Człowiek umarł mu na scenie, człowiek, który przestał istnieć dla publiczności nie dlatego, że był nie dość dobry, lecz dlatego że jasno wyraził swoje stanowisko, pewnie także dlatego, że nie miał za sobą wystarczającej sity. Jutro ten incydent znajdzie się na pierwszych stronach gazet w całym kraju. I już na zawsze George Clay zapisze się w pamięci ludzi nie jako wybitny aktor czy porządny człowiek, nawet nie jako ktoś, kto przez pięć lat znajdował się na czarnej liście. Suma jego życia zawrze się w jednym zdaniu: zmarł podczas programu Jake'a Graysona.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Jake?

Jezu, czyżby Barbara? Nigdy nie zdarzało jej się przychodzić do studia.

Wstał i otworzył drzwi. Pocałowała go i uścisnęła.

- Dobrze się czujesz? - spytała cicho.

- Tak. W każdym razie lepiej niż George Clay. Co tutaj robisz?

Przeszła obok niego i usiadła przy stoliku do charakteryzacji. O dziwo, spojrzała w lustro. Na ogół czynność ta zajmowała jej mniej czasu niż większości kobiet, które były dwa razy młodsze. Z pewnością i tym razem zobaczyła zielone oczy, włosy w kolorze lekko osmalonego złota, tu i ówdzie zaczynające siwieć, a w sumie wysoką, niezwykle atrakcyjną kobietę. Czyżby był to przykry widok? Czubkiem różowego paznokcia zeszkrobała kawałeczek szminki, potem usiadła na kozetce i zwróciła się do męża.

- Myślałam, że potrzebujesz, żeby ktoś z tobą pobył. Na zewnątrz czatuje chyba ze stu dziennikarzy.

- Wiem. Już powiedziałem Dave'owi, że z żadnym nie będę rozmawiał.

- Uważasz, że postępujesz słusznie?

- Guzik mnie to obchodzi, Barbaro. Nie mam nastroju do karmienia stada tych pieprzonych sępów.

Jasne?



- Jasne - powiedziała bezbarwnie. Ten ton zawsze przywodził mu na myśl niemiłe wspomnienia. Odkąd się pobrali, Barbara mówiła bardzo często głosem poszkodowanej kobiety, która za chwilę zostanie zraniona po raz kolejny. - Myślałam po prostu... - Urwała.
  - Co takiego? - spytał zniecierpliwiony.
  - Myślałam, że ponieważ negocjujesz w tej chwili nowy kontrakt, a negocjacje są zawsze bardzo delikatną sprawą, nawet w przypadku twojej osoby...
  - To co? Powiniennem wyjść do dziennikarzy i wygłosić przejmującą mowę o tym, jaka to straszna tragedia? Rzeczywiście stała się tragedia, cholerna, daję słowo, Barbaro. Dla mnie George Clay był wielkim aktorem i żałuję, że nie znałem go lepiej. Ale nie zamierzam wychodzić do tych wymóżdżonych pismaków. Powinni byli w porę pomóc Clayowi. Dlaczego mam im teraz dawać tekst na pierwszą stronę do porannego wydania?
  - Słucha się ciebie jak któregoś z twoich wrogów.
  - Co takiego? O czym ty mówisz? Wbiła wzrok w swoje dłonie.
  - Tak często krytykujesz ludzi za to, że są niedostępni, że padają ofiarami syndromu gwiazdorstwa i jęczą, że nie mogą anonimowo zrobić zakupów w supermarkecie.
  - Nie rozmawiamy o chodzeniu do supermarketu, Barbaro - powiedział z irytacją. - Mówimy o śmierci człowieka. Podczas mojego programu.
- Podniosła torebkę i wstała.
- Cóż, zdaje się, że byłam w błędzie. Wyraźnie nie potrzebujesz mojego towarzystwa.
- Podniósł wzrok i ugryzł się w język. Jaki sens miałoby zatrzymywanie jej? Tę grę znali już od dawna. On zaczyna krzyczeć, ona jest urażona i daje do zrozumienia, że lepiej zrobiłaby odchodząc, on prosi ją, żeby została. I znowu zaczyna się kłótnia.
- Nie wiesz przypadkiem, czy drzwi od tyłu są jeszcze nieczynne?
  - Nieczynne?

- Zablokowane - powiedziała ze zniecierpliwieniem. - Zamknięte.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nigdy ich nie używam. - Zmarszczył czoło. - A czemu pytasz?

- Bo chciałabym tamtędy wyjść. Jeśli oczywiście całkiem dobrze się czujesz.

- Mniejsza o to. Interesuje mnie tylko...

- Nie chcę, żeby ta setka dziennikarzy zobaczyła mnie, jak wracam po dwóch minutach, rozumiesz, Jake? Żeby zasypywano mnie pytaniami i żebym musiała kłamać. „Dlaczego Jake Grayson nie wyszedł z nami porozmawiać, pani Grayson?” „Dlaczego pani tak szybko wychodzi?” Co mam im powiedzieć? Że jesteś za bardzo wstrząśnięty, żeby złożyć jakiegokolwiek oświadczenie?

- Kompletnie mnie nie obchodzi, co im powiesz. Stado pasożytów.

- Ale mnie obchodzi! - wykrzyknęła. - Tego właśnie nigdy nie umiesz pojąć. Mnie obchodzi, co sobie myśli portier, co myślą twoje sekretarki i co myślą dziennikarze. Po tych wszystkich latach wiem, że dla ciebie to naprawdę nie ma znaczenia, ale przez ten czas mógłbyś się nauczyć rozumieć choć trochę to, co ja czuję. I szanować moje uczucia.

Powoli skłonił głowę.

- W porządku. Rozumiem twój punkt widzenia. Zamknęła oczy i mocno zacisnęła wargi.

- I co teraz? - spytał.

- Ty możesz... ty możesz doprowadzić człowieka do szału! Mówisz, że rozumiesz mój punkt widzenia. Dlaczego nie rozumiałeś go wcześniej? Dlaczego zawsze muszę wygłaszać tyradę, żebyś zrozumiał, o co mi chodzi?

- Raczej nie nazywałbym tego tyradą. I przykro mi, że nie umiem czytać w twoich myślach.

- Świetnie. Mnie też przykro. Przyszłam tutaj, bo myślałam, że może potrzebujesz ode mnie... nie wiem, jak to nazwać, no, uczuciowego wsparcia. Przykro mi, że się tak bardzo myliłam.

Pokręcił głową i przetarł oczy.

- Mnie też przykro - mruknął niewyraźnie i spojrzał na nią. - Naprawdę. Ale teraz chcę zostać sam, zgoda?

Westchnęła, i wtedy ktoś zapukał do drzwi.

- Panie Grayson - zawołał wysoki dziewczęcy głos. Jake nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem na Barbarę, a dopiero potem odpowiedział:

- Proszę.

Drzwi się otworzyły i Helen Hughes wetknęła głowę w szparę.

- Chciałam tylko spytać, czy pan czegoś nie potrzebuje, panie Grayson. Wszyscy mówili, żeby zostawić pana w spokoju, ale pomyślałam, że może jednak coś jest potrzebne. Więc gdyby...

- Nie, nie - przerwał jej szybko. - To jest moja żona - powiedział, wskazując Barbarę. Z zaskoczonego spojrzenia i gwałtownego wzdrygnięcia się wywnioskował, że dziewczyna nawet nie zauważyła jej obecności w pokoju. Właśnie tak przypuszczał.

- Halo - odezwała się Barbara z chłodem w głosie.

- A to jest Helen Hughes, jedna z naszych nowych praktykantek. - Jake usłyszał, że powiedział coś takiego, chociaż o ile wiedział, innej nowej praktykantki nie było. Ale wyraz twarzy Barbary całkiem go zbił z tropu. Żona natychmiast zaczęła myśleć, obliczać, notować w pamięci, bo tą niespójnością, niby banalną, lecz wcale nie banalną dla Barbary, załatwił sobie pierwszy gwóźdź do trumny.

- Tak, no... skoro nie jest pan sam... - powiedziała Helen i straszliwie się zaczerwieniła. - Przepraszam - rzuciła pośpiesznie, wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

Jake podniósł spojrzenie na Barbarę i omal się nie roześmiał. Stała wyprostowana, z założonymi rękami, emanowała z niej surowość, wściekłość i uraza jednocześnie, uczucia jakby zatopione w szkle, gdyż Barbara za nic nie pozwoliłaby im się uzewnętrznić, dopóki mogła trwać z nimi i cierpieć. O Boże, Jake zdawał sobie sprawę z tego, że wygląda jak dzieciak złapany na

wsadzaniu ręki do słoika z cukierkami, kiedy nawet jeszcze nie zdążył żadnego skosztować.

- Dziękuję za tę formę prezentacji - powiedziała.

- O co ci chodzi? Zawsze wrzeszczysz na mnie, że nie przedstawiam cię w pierwszych trzech milisekundach każdej rozmowy. Zrobiłem to najszybciej, jak umiem.

- O, czyżby właśnie taki był cel?

- Barbaro, o co ci naprawdę chodzi?

- Może masz z nią romans, może nie, tego nie wiem. Ale czy nie pojmujesz, jak wyglądała ta wymiana zdań? Ta pośpieszna prezentacja? Zupełnie jakbyś mówił: „Nie chlapnij nic głupiego, Helen, moja żona jest tutaj”. - Urwała, intensywnie wpatrując mu się w oczy. - Nie przypuszczam jednak, żebym musiała ci to wyjaśniać. Mam rację?

Przetarł oczy zmęczonym ruchem, pragnąc, żeby diabli wzięli cały świat z Barbarą włącznie, zanim znowu je otworzy.

- Mam rację? - powtórzyła.

Spojrzał na nią, starając się odpowiedzieć w sposób wyważony i obojętny.

- Może porozmawiamy o tym później?

- I po co udawać? Nie ma o czym mówić. - Z tymi słowami obróciła się i wyszła, zatraskując za sobą drzwi.

Jake bez pośpiechu wstał, czując nagle, że wszystko go boli. Nalał sobie duży kieliszek wódki bez dodatków poza dwiema kostkami lodu. Do diabła, tyle razy w przeszłości Barbara miałaby rację, gdyby okazała się podejrzliwa i zdecydowała się głośno wyrazić te podejrzenia. Jake nie był wzorem męża i przez dziewięć dziesiątych ich małżeństwa Barbara wolała przymykać oczy na prawdę. Od wielu lat sypiała z nim rzadko i tak niechętnie, że Jake nie posądzał jej o zainteresowanie tą stroną romansów. Prawdopodobnie nawet czuła z ich powodu ulgę, do tego jednak nigdy w życiu by się nie przyznała, nawet przed sobą. Obraz ich związku w oczach innych ludzi miał dla niej natomiast zadziwiające znaczenie.

- Panie Grayson? - Znowu rozległo się pukanie do drzwi i Jake rozpoznał głos Helen Hughes.
- Czego? - burknął głośno. Do diabła, ślicznotka czy nie, ale miała niewiarygodny tupet, żeby zawracać mu głowę w ten sposób.
- Eee... - Otworzyła drzwi i zerknęła do środka. - Proszę, niech się pan nie złości. Przyszedłam w ważnej sprawie.
- Co, do cholery... - Zerwał się z krzesła i poczuł, jakby w głowę wbito mu długi nóż. - Jezu - jęknął. Przycisnął dłonie do skroni i ból ustąpił. Helen Hughes zrobiła kilka kroków naprzód.
- Nic panu nie jest?
- Cholera jasna, znowu to samo! Wchodzisz nie proszona, mówisz do mnie, jakbym był... jakbym był twoim kumplem z pracy. Panno Hughes, czy pani wie, gdzie pani pracuje?
- Przepraszam - wykrzyknęła zakrywając ręką usta. - Naprawdę przepraszam. Ja tylko... Naprawdę nie wiedziałam, że robię coś złego. - Po policzkach zaczęły jej płynąć łzy i Jake osłupiał. Co takiego jej powiedział? Czyżby zachował się aż tak opryskliwie?
- Nie płacz - złagodniał od razu. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie, a Helen objęła go za szyję, szlochając jeszcze gwałtowniej.
- Błagam pana - jęknęła. - Proszę nie zdradzić mnie przed panem Harringtonem. Rozpowiadam wszystkim dookoła, że znam się na tej pracy. To największe wydarzenie w moim życiu. Umarłabym, gdyby mnie wyrzucono.
- Wolnego - odparł rozplatając jej ramiona. Spojrzała na niego z bliska i Jake otarł łzy z najdelikatniejszej twarzy, jakiej dotykał od lat. - Nikt jeszcze nikogo nie wyrzuca. Chcę tylko, żebyś zrozumiała pewne rzeczy. Przełknęła ślinę i pociągnęła nosem. Jake nie mógł się nadziwić, że może być taka ładna nawet wtedy, kiedy płacze.
- Ja tylko... pan nie wie...
- Owszem, wiem - odparł cicho.
- Ale jeśli wylecę...

- Nie wylecisz.

Te zielone oczy były wręcz nieziemskie, a te wargi... lekko rozchylone, niewinne, przyzywające.

- Och, panie Grayson - szepnęła.

Potem zaczęła okrywać go pocałunkami, przeczesywać palcami jego włosy, a ręką podążyła w kierunku kłamry od paska i zatrzymała ją poniżej, na członku. Jake doznał wzwołu, czuł się silny, twardy i tak samo młody jak ona. I wtedy przemknęło mu przed oczami wspomnienie George'a Claya. Człowiek zwiotczała na krześle. Boże. Helen Hughes uważnie mu się przyjrzała.

Dobrze mi tak, pomyślał, wielki Jake Grayson nie jest już nawet w stanie utrzymać erekcji.

- Kocham pana, odkąd byłam dzieckiem - powiedziała cicho. Nagle szeroko otworzyła oczy i zakryła usta dłonią. - O mój Boże, zapomniałam!

- O czym znowu?

- Dlaczego właściwie tutaj przyszłam. Pan Harrington chce się z panem widzieć.

Otoczył ramieniem jej plecy i odprowadził ją do drzwi.

- Powiedz panu Harringtonowi, że zaraz będę. -Otworzył drzwi i znowu zobaczył smutek na jej twarzy. -A teraz co się stało?

- To dlatego, że mogę już pana nie zobaczyć. Pewnie będę musiała wrócić do domu. Mój tata jest poważnie chory. Odgarnął jej grzywkę znad oczu.

- Skąd jesteś? Z Kansas? Zaczerwieniła się.

- ZNebraska.

- Wracaj do domu i tam zostań - powiedział. - Wierz mi, że będziesz wtedy szczęśliwsza. I powiedz Harringtonowi, że za parę minut się zjawię.

Zamknął drzwi i wrócił do stolika po wódkę. Kieliszek zaparował, a cały lód stopniał, ale płyn wciąż smakował dobrze i wchodził gładko, więc Jake nalał sobie jeszcze raz i znowu wypił, usiłując wytworzyć w sobie jak najwięcej błogiego ciepła.

Cholera, mimo to nie czuł błogostanu.

Wytknęła mu to tydzień temu podczas lunchu Carla Rossiter. Była jego pierwszą „inną kobietą”, a zarazem jedyną znaczącą. Prawdopodobnie zostawiłby dla niej Barbarę, gdyby Carla nie poczuła się lesbijką. Dzięki temu jednak mogli zostać najlepszymi przyjaciółmi. Carla dostrzegała jego słabe strony i w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto miała rację.

Właśnie tydzień temu powiedziała mu:

- Dziewczyny cię zrujniają, przyjacielu. Nie możesz pozwolić, żeby uwodziła cię byle nimfetka wchodząca do twojego pokoju w obcisłej spódnicy. Musisz się tego nauczyć.

- Ostatnio się ograniczam - powiedział z naciskiem. - To już koniec. Albo początek końca. Zresztą nie ma to najmniejszego znaczenia. Barbarze jest wszystko jedno, ona mnie nie chce.

Carla pokręciła głową.

- Odkrywasz się, Jake. I nie przerywaj mi teraz. Wiem, o czym mówię, przyjacielu, bo dotyczy to również mnie. Ani z tobą, ani ze mną nikt nie chodzi do łóżka dlatego, że jesteśmy wspaniałymi ludźmi.

- Ty się pewnie odkrywasz, ale w twojej sytuacji nie można tego uniknąć. Jeśli nawet dużo ludzi wie, że wielka dama mody woli kochanki od kochanków, to tak zwany świat o tym nie wie.

- Och, Jake - westchnęła. - Nie mówię o szantażu. Mówię o odkrywaniu się w sensie uczuciowym. Na dłuższą metę to się musi źle skończyć. Szczególnie dla ciebie.

- Czemu właśnie dla mnie?

- Bo jesteś uzależniony. A to stanowi twoją słabość. Wiedział, że Carla ma rację.

Nigdy nie uważał się za naiwnego. Odkąd jego program odniósł sukces, zawsze zdawał sobie sprawę, że ludzie, i to obojga płci, będą chcieli od niego różnych rzeczy, będą próbowali się nim posługiwać, będą oferować swoje usługi na wszystkie możliwe sposoby. Nigdy nie żywił złudzeń co do powodów swej atrakcyjności. Ostatnio jednak opadła go dziwna melancholia, która dyskretnie dawała o so-

bie znać za każdym razem, gdy zadał się w jakikolwiek sposób z kobietą. Mimo że zawsze widział w sobie twardego człowieka i realistę, zaczynał pojmować, że przez te wszystkie lata niezmiennie pielegnował złudzenia.

Czy Barbara byłaby z nim, gdyby nie nazywał się Jake Grayson?

To pytanie od pewnego czasu obsesyjnie go prześladowało. Miał pięćdziesiąt pięć lat i podobno był pociągający, choć wiedział, że powinien trochę popracować nad swoim ciałem, które mogło w najbliższym czasie odmówić posłuszeństwa, mimo iż, o dziwo, jeszcze tego nie zrobiło. Kobiety zawsze zwracały uwagę na jego oczy, na głowie nadal miał ciemnobrązowe włosy, lekko zaczynające siwieć. W opinii różnych ludzi uchodził za przystojnego, no i przyłgnęła do niego ta etykieta Paula Newmana. Ale czy coś z tego można było oddzielić od jego publicznego obrazu?

Dziewczyna, która właśnie wyszła, miała dwadzieścia jeden lat, najwyżej dwadzieścia dwa. Zbudź się, Jake, kiedy stałeś się taki naiwny? Nie miał nawet pewności, czy byłby w stanie postawić żagiel, gdyby George Clay nie umarł chwilę wcześniej. Dziewczyna „kochała” nie jego osobiście, lecz jego program.

Obejrzał się w lustrze i dopił wódkę.

Przygotuj się do stawienia czoła światu, Jake. Bóg wie, że zasługujesz na jakąś karę.

3

Christopher Grayson zrzucił plecak, postawił go na chodniku i usiadł przy jednym z malutkich stolików przed kafejką. Czuł się straszliwie skrępowany, zupełnie jakby nosił wielką tablicę z napisem: „Amerykański student (nie: absolwent) po raz pierwszy w Paryżu, sztywny ze strachu, zapomniał języka w gębie, a przy okazji cały zapas francuszczyzny”.

Siedział w pierwszym rzędzie stolików, najbliżej



chodnika, kark płonął mu czerwienią, jakby wszyscy ludzie z tyłu gapili się akurat na niego. Dureń jesteś, jeśli się denerwujesz, powiedział sobie. Przecież wszyscy marzą o czymś takim. Zdecydował się na tę podróż z przekonaniem, że Paryż stanie się punktem zwrotnym w jego życiu. Koniec z Sarah, koniec z rodzicami, tylko swoboda, szansa, żeby trochę uczciwie popisać i pożyć. Trzy miesiące, prawie przez całe lato, zajmował się wymyślaniem tekstów reklam w agencji. „Daiquiri - najświeższy pomysł na relaks”, tak brzmiał jego najwyżej oceniony slogan. Wymyślił go w metrze, w ostatniej chwili przed terminem. Nie podobał mu się, ale czując pistolet przy skroni, pokazał ten wytwór intelektu w agencji i tam pomysł chwycił. A Chris uznał, że oszaleje, jeśli zostanie w tym miejscu choć chwilę dłużej. Jak mógł dobrze wykonywać pracę, której nawet nie rozumiał? Jego ojciec niespodziewanie przyznał mu rację.

- Jedź do Paryża - powiedział. - Zabaw się trochę za zaoszczędzone pieniądze. Być może masz na to ostatnią szansę. Później wrócisz i znajdziesz sobie zajęcie, które naprawdę ci się spodoba.

Teraz jednak naszła go refleksja. Miał się zabawić. Odkryć pełnię życia, jak nie wiadomo czemu ludzie mówią o tych potwornych latach, które właśnie zostały za nim.

I wszyscy dookoła rzeczywiście zdawali się dobrze bawić. Z miejsca, gdzie wysadził go taksówkarz, kilka przecznic wcześniej, zobaczył gromady studentów i ludzi w swoim wieku, po części Francuzów, po części Amerykanów. Śmiali się i najwyraźniej miło spędzali czas. Cóż, mógł przyjechać w czerwcu z grupą przyjaciół z Harvardu, tak jak życzyła sobie Sarah. Ale on chciał być sam, z dala od wszystkich znajomych, z dala od ról, które przyjęli w college'u na długie cztery lata.

- *Oni, monsieur?*

Boże, kelner wyrósł jak spod ziemi.

- Eee... *un cafe, s'H vous plait* - wyjąkał.

Z ust kelnera trysnął najbystrzejszy i najgłośniejszy potok francuszczyzny, jaki Chris kiedykolwiek słyszał.

- Słucham? *Comment?* - rzucił zdesperowany Chris. Zaczął się podnosić, bo kelner pokazywał plecak leżący na ziemi, ale wtedy kelner zniemacka *się* schylił, wziął bagaż i rzucił go na krzesło.

- Aha. *Oui* - powiedział Chris, czując do siebie wściekłą niechęć. Był czerwony aż po cebulki włosów. W kilka minut później kelner wrócił z kawą i rachunkiem. Kawę podał w wielkiej filiżance, najprawdopodobniej „po amerykańsku”, zupełnie nie tak, jak sobie Chris wyobrażał, ale kiedy podniósł wzrok, żeby to powiedzieć, okazało się, że kelner spogląda na niego jak na śmieć, i Chris nie zdołał wydobyć z siebie nic oprócz cichego „*merci*”.

Kwaśna kawa, paskudna jak rzadko, w dodatku bez jedzenia, bo Chris przestraszył się i nic nie zamówił. Czy tak miał wyglądać jego pobyt w Paryżu?

Przestań się nad sobą litować, pomyślał. Jest na świecie mnóstwo ludzi, którzy nigdy nie byli w Paryżu i nigdy nie będą w stanie tu przyjechać.

Chętnie zamieniłby się z nimi na miejsca.

Nagle pomyślał o matce. W taksówce wiozącej ich na lotnisko była absolutnie nieznośna.

- Nie czytaj, jadąc samochodem, Chris. Nie wiesz, że masz chorobę lokomocyjną?

- Już nie, mam.

- Ale trzeba zwracać uwagę na światło. Tu jest zupełnie ciemno! Zniszczysz sobie oczy od tego drobnego druku.

Nie odezwał się, w takiej sytuacji najlepiej było nic nie mówić, więc tylko z powrotem wsunął bilet do portfela.

Na lotnisku omal nie umarł z zażenowania. Miał dwadzieścia dwa lata, od czterech mieszkał poza domem, ale matce nagle zebrało się na opiekuńczość, jakby to był jego pierwszy wyjazd w życiu.

- Chris potrzebuje miejsca dla niepalących - powie-

działa do kobiety za kontuarem. - I to z dala od części dla palących. Tak żeby naprawdę nie było tam dymu.

Miał ochotę powiedzieć: - Proszę jej nie słuchać, przecież ja palę. - Albo coś innego. Cokolwiek. Ale w ten sposób jeszcze bardziej by się pograżył.

Nigdy przedtem nie odczuwał lęku przed lotem. W ogóle. Zanim jednak doczekali się na start (co zajęło im trzy godziny i kwadrans, dzięki Barbarze, która uparła się, żeby wyjść na mniej więcej dziesięć lat przed właściwą godziną), był autentycznie przerażony.

Dzięki, Barbaro.

Ależ łatwo było się oszukać, patrząc na jego matkę. Wciąż była piękna. Naprawdę piękna, bez żadnej taryfy ulgowej, nie urodziwa czy dobrze zakonserwowana jak na swój wiek. Piękna, z makijażem i bez makijażu. Nie miała też żadnego charakterystycznego akcentu, nie słyszało się u niej ani Bronxu, ani Nowego Jorku, ani nawet Rosji rodziców. Dlatego przez wszystkie te lata pozwalał się nabierać. Nigdy nie widział w mej klasycznego typu żydowskiej matki, nie miała bowiem żadnych cech które byłby skłonny takowemu przypisywać. Nigdy nie pomyślał o niej jako o przekazującej neurozę ani też o typie kobiety, z której żyją komicy, jeśli szczęśliwym trafem w porę uda im się wyrwać spod opiekuńczych skrzydeł.

Matka była kimś, od kogo musiał uciec. O tym wiedział. Podobnie Sarah, od niej też musiał uciec, przez jej ekspansywność, życie w poczuciu zagrożenia, nadmierne wymagania i potrzeby. Poza tym nie chciał się żenić Był za młody. I chociaż nie znosił tego banału, rodem z Kalifornii lat siedemdziesiątych, potrzebował przestrzeni i czasu dla siebie.

Gdzieś z tyłu rozległ się wybuch śmiechu i Chrisowi poczerwieniały uszy. Siedział jak dupek, pijąc kwaśną kawę i gapiąc się przed siebie. Czuł się samotny jak nigdy przedtem.

Czuł też, że zrobił z siebie głupca. Jake próbował go namówić, żeby zarezerwował pokój w hotelu przed wy-

lotem z Nowego Jorku. On jednak odmówił. Wyjazd bez żadnych planów wydawał mu się o wiele bardziej romantyczny, o wiele bardziej dorosły. Czy Hemingway robił rezerwację, kiedy przyjeżdżał tutaj w latach dwudziestych? Albo Fitzgerald? (Teraz kiedy myślał na ten temat, przypuszczał, że obaj jednak robili. Fitzgerald na pewno.) Nie to jednak było dla niego najważniejsze. Przede wszystkim starał się uciec od tego wszystkiego... Właściwie od czego?

Żałował, że nie wziął ze sobą przynajmniej książki *Europa za 25 \$ dziennie* kupionej mu przez siostrę. Osioł z niego.

Nie chciał jednak brać czegokolwiek, nawet od Ellie. Próbując w czymś pomóc, siostra bywała tak bardzo podobna do matki. („Może przynajmniej chcesz zanotować nazwisko mojego znajomego, który mieszka w Paryżu? To miasto może okazać się bardzo przygnębiające, jeśli się tam nikogo nie zna, Chris”).

„Nie wygłupiaj się. Poznam mnóstwo ludzi”, powiedział w sposób, który nawet jemu samemu przypominał dąsy rozzłoszczonego dzieciaka.)

A potem Barbara, niech ją diabli, wygłosiła jedną ze swych przemów na temat „łych oczu wypisz, wymaluj jak ojca”, z powodu których „każda kobieta w Paryżu, Londynie czy Madrycie zrobiłaby wszystko, żeby tylko móc porozmawiać z twoim bratem, Ellie”.

A jeszcze potem przyjrzała się krytycznym okiem Ellie, jakby nie umiała się choć raz przed tym powstrzymać. „Obcinałaś ostatnio włosy? Grzywka nie bardzo ci pasuje do kształtu twarzy.”

Westchnął i dokończył kawę, która wydała mu się jeszcze kwaśniejsza niż przedtem. Zaczynało zmierzchać, był głodny jak wilk i musiał znaleźć nocleg.

Znajdował się dokładnie w miejscu, które zaplanował, w sercu dzielnicy Saint Germain. Było tu jednak jakoś inaczej, niż się spodziewał. Wyobrażenia podsuwała mu obraz wszelkiego rodzaju kafejek, kawiarni i czys-

tych hotelików, jeden obok drugiego. No, i pozwolił się oszukać wyobraźni.

Usłyszał za sobą jakąś parkę gadającą po angielsku. Chłopak głądził coś o przemocy w filmach, a dziewczyna się z nim spierała.

Mógłby ich zapytać, czy nie znają miejsca, gdzie warto się zatrzymać.

Pomysł mu się jednak nie spodobał. Chłopak opowiadał przedtem o swych aktorskich zajęciach, a studenci, mający coś wspólnego ze sceną, dziwnym sposobem zawsze orientowali się w ciągu pół minuty, że Chris jest synem Jake'a Graysona, telewizyjnego gwiazdora, specja od wywiadów. Po czym następowały nieuniknione napomknienia, pytania o innych znanych mu ludzi, wreszcie zaproszenia, które nie padłyby nigdy, gdyby Chris był synem handlarza obuwem.

Zapłacił, zarzucił plecak na ramiona i nagle dostrzegł knajpkę, która przypominała Burger Kinga lub McDonalda. Przeleciało mu przez myśl, że można się załamać jedząc pierwszy posiłek w Paryżu w amerykańskim barze szybkiej obsługi, ale po kwadransie cieszył się już, że tam wszedł. Najadł się, nie groził mu głód z powodu śmiesznej językowej fobii, i w końcu postanowił, że zaraz znajdzie nocleg i skończy z tymi głupimi lękami. Przyjechał, żeby zakosztować wolności, niezależności. I nie pozwoli się zniechęcić wyglądem tego, co zobaczył do tej pory. Głupio było oczekiwać Paryża żywcem wyjętego z Hemingwayowskiego *Ruchomego święta*.

Znowu ruszył przed siebie i w końcu skręcił z bulwaru. Być może hotele były przy bocznych uliczkach.

Dojrzał to miejsce bardzo szybko, kilka metrów za rogiem. Wyglądało raczej brudno i obskurnie, w Nowym Jorku nigdy w życiu nie zatrzymałby się w czymś takim, ale przecież trudno było porównywać te dwa miasta. W Paryżu pokój bez toalety mieścił się w standardzie przeciętnego hotelu, w Nowym Jorku było to możliwe tylko w wyjątkowej mordowni. Przypuszczał więc, że musi się dostosować do warunków. Odstrecza-

jący czteropiętrowy budynek był ciemny i wiekowy, ale w oknie pokoju na pierwszym piętrze rosły pelargonie, co stanowiło chyba dobry znak.

Wszedł do holu, równie ciemnego jak mury na zewnątrz. Stary, zezowały facet stał za zniszczonym, porysowanym kontuarem i Chris na moment się zawahał. Może ten hotel miał w sobie jednak odrobinę za dużo przeciętności? Ale wyobraził sobie niespokojne oczy matki, nieznaczny grymas brzydko wykrzywiający jej wargi, ręce założone w geście zawsze wyrażającym zdenerwowanie. Nie, zostanie tutaj. Ona by chciała, żeby zatrzymał się w jakimś wymyślnym miejscu (ciekawe za jakie pieniądze?) albo w jednym z hoteli, które zawsze określała mianem „pogodnych i jasno oświetlonych”. Dlatego zostanie tutaj. Właśnie tutaj.

Torsje chwyciły go w środku nocy. Nie wiedział nawet kiedy, uświadomił sobie tylko, że jest strasznie słaby i nie ma siły wstać z łóżka. Coś stało w pobliżu, chyba kosz na śmieci, sięgnął więc po to coś, ale zwymiotował prosto na podłogę. Boże, wiedział, że to jeszcze nie koniec. Naszła go wielka fala mdłości, jeden raz nie rozwiązał sprawy. Pomyślał o mięsie, które jadł... może zaszkodziła mu ta konina. Przecież matka mówiła, że zatrucia żywnością podawaną w samolotach są częstsze, niż ludzie sobie wyobrażają.

Oparł się na łokciu i wywindował do pozycji siedzącej, potem zrobił wymach i postawił nogi na podłodze. Muszę dostać się do łazienki, pomyślał, i wszystko będzie w porządku. Pozbędę się tego wszystkiego, co jest we mnie.

Powoli, jak starzec w piżamie, dowlókł się przez ciemność do drzwi.

Poruszanie się na bosaka było potworne. Stopy kleiły mu się do podłogi, a myśl o przyczynie tej kleistości...

...Musiał się dostać do łazienki.

Otworzył drzwi i uświadomił sobie, że zapomniał klu-

cza. Ale był przecież środek nocy, postanowił zostawić szparę.

Korytarz był ciemny, jedyna goła żarówka świeciła przy jego końcu nad drzwiami do łazienki. Chris posuwał się naprzód, opierając się dłońmi o obie ściany naraz. Ściany też były lepkie.

Nie myśl o niczym. Musisz tylko zdążyć.

Otworzył drzwi, zapalił światło wewnątrz i pożałował, że ma wzrok, węch i dotyk. Śmierdziało uryną, wyłożona płytkami podłoga była mokra, a żarówka wydawała syknięcia i mrugała, przez co ściany robiły się na zmianę zielone, szare, zielone...

Nie chciał klękać, żeby nie zamoczyć kolan, ale zanim zdążył cokolwiek wymyślić, następna fala mdłości zgięła go w pół, wyrywając z niego jęk.

Chlusnęło z niego obficie ohydną, półpłynną, mięsistą substancją. Nie chciał na to patrzeć, ale nie miał wyjścia. Zobaczył kawałki mięsa przyklejone do krawędzi muszli klozetowej, czuł, że kilka utkwiło mu w nosie. Rozejrzał się za papierem toaletowym, ale nigdzie go nie było. Przypomniawszy sobie, że kiedy miał katar żołądka, matka zawsze trzymała go za głowę, nawet jeszcze w szkole średniej. Znów czuł do siebie nienawiść, ale nie mógł pohamować żalu, że teraz nie ma przy nim matki. Ona wiedziałaby, co robić. Znalazłaby papier toaletowy, nawet gdyby musiała przynieść go z zewnątrz, a i podłoga byłaby sucha, a pokój nie cuchnąłby...

O Boże, znowu.

Tym razem rzygowina była całkiem płynna. Mięso się skończyło, dzięki Bogu. Ale ten odór... nie zapomni go nigdy, i nigdy nie przestanie zwracać, jeśli stamtąd nie wyjdzie. Czy naprawdę ani jeden człowiek nie odlał się tu do muszli zamiast na podłogę?

Znowu.

Zbierało mu się na płacz, przyszedł następny odruch wymiotny, ale tym razem na sucho.

Chris podniósł głowę. W powietrzu unosiły się czarne cętki. Wstał, wyprostował nogi, oparł się o ścianę i prze-

szedł do zlewu. Puścił wodę i wsadził głowę do miski, po czym powoli wypłukał usta. Nie zacząłeś od mycia rąk.

Fantastycznie. Ściany tutaj prawdopodobnie roją się od zarazków. Od drobnoustrojów, by użyć ulubionego słowa matki.

Było już jednak za późno. Czego właściwie dotykał? Krawędzi sedesu. Ścian. Czy podłogi też? Nie wiedział i był za bardzo zmęczony, o wiele za bardzo zmęczony, żeby myśleć. Nogi się pod nim załamywały, należało koniecznie wrócić do łóżka...

Wolno się obrócił, pociągnął za łańcuszek do spuszczenia wody, zmuszając się do zatrzymania wzroku na ścianach, żeby nie patrzeć na wirujące resztki mięsa.

Potem otarł usta przedramieniem, otworzył drzwi i zgasił światło.

W korytarzu panowała jednak ciemność, światło nad wejściem do łazienki zgasło. (Czy przypadkiem Ellie nie wspominała o tym? Zdaje się, że we Francji obwód rozłącza się po kilku minutach dla zaoszczędzenia energii.)

Widział jednak smugę światła padającą ze swojego pokoju i chwiejnym, wolnym krokiem zaczął się do niej zbliżać.

Nagle ktoś otworzył drzwi na oścież. Światło zalało korytarz, a z pomieszczenia wyskoczył mężczyzna. Co jest?...

- Hej! - krzyknął Chris.

Ze schodów było słycać pośpiesznie oddalające się kroki. Cisza.

Chris dowlóknął się do pokoju i zamknął drzwi. Boże, wprawdzie nie wypakował niczego z walizki, ale to, co znajdowało się przedtem w środku, było teraz rozrzucone po całej podłodze. W pokoju cuchnęło. Koszula i para slipów, leżały w rzygowinie. Ale co się stało z paszportem i portfelem?

Ukląkł i zaczął macać pod łóżkiem. Buty znajdowały się na miejscu. Wysunął je i omal nie wydał okrzyku ulgi. Portfel i paszport były w środku.



Przebiegł wzrokiem po pokoju, wielkim pawiu, rozrzuconych ubraniach, i miał ochotę się rozplakać. Oto jego pierwsza noc w Paryżu. Omal nie został obrabowany, żołądek miał obolały, jakby zawodowy bokser okładał go pięściami przez kilka rund, śmierdział rzygowiną i do tego czuł się ohydnie brudny... Jak miał usunąć tę cuchnącą maź bez papierowych ręczników i papieru toaletowego? Jak, do diabła, myje się różne rzeczy w tym cholernym kraju?

Najpierw wstrzymując oddech, potem oddychając przez usta, zaczął wycierać nieczystości koszulą. Gdzieś kupi sobie inną. A kiedy sprzątnie to, co zwymiotował, będzie mógł wylać na podłogę trochę szamponu albo czegoś w tym rodzaju, żeby zabić odór.

Gdyby ktoś jednak chciał znać całą prawdę, to w owej chwili pragnął tylko jednego: wrócić do domu.

4

Onyx miała ochotę podpalić budynek.

Ta Helen Hughes! Kurwa nafaszerowana słodzikami. Co ona robiła w garderobie Jake'a Graysona?

Onyx uśmiechnęła się do sekretarki Normana siedzącej na swym tronie przed wejściem do jego gabinetu i niefrasobliwie ją minęła.

- Chwileczkę! - wykrzyknęła ta stara czarownica. Boże, omal przy tym nie spadła z krzesła.

- Wszystko w porządku. Czeka na mnie - powiedziała Onyx z jeszcze szerszym uśmiechem, wiedząc, że doprowadzi nim pannę Priss do furii, po czym otworzyła drzwi.

Norman podniósł wzrok znad jakichś papierów na biurku i spojrzał na nią z niechęcią.

- Gdzie, do diabła, jest Vera?

- Och, tam, w sekretariacie... - Odpowiedziawszy tak głośno, żeby Vera usłyszała, Onyx zamknęła drzwi.

- Onyx, nie życzę sobie, żebyś tu wchodziła bez uprzedniego meldowania się u sekretarki.

- O? Czy na wypadek, gdybyś akurat był na konferencji? Takiej jak mieliśmy ostatniej nocy? Wydawało się to nieprawdopodobne, ale autentycznie się zaczerwienił... mężczyzna mający czterdzieści pięć, może czterdzieści sześć lat, przyznający się zresztą do czterdziestu, w co Onyx nie uwierzyła ani przez chwilę. A przecież Norman naprawdę był pociągający, stanowił jakby odrobinę zdeformowaną żydowską wersję supermana, raczej z czasów Clarka Kenta niż Christophera Reevesa.

- Nie mam czasu się pieprzyć, Onyx. Mówię poważnie. Usiadła mu na biurku i strząsnęła buty z nóg.

- Nie masz czasu, żeby się pieprzyć? Czy masz na myśli mnie?

- Mam na myśli zasady. Regulamin. Dobre wychowanie.

- Aha. Czyli nie mnie. - Położyła ręce na kolanach i zaczęła powoli podciągać długą spódnicę na uda i wyżej, sprawiała jednak wrażenie, że dzieje się to bez jej świadomego udziału, jednocześnie machała bowiem nogami, kopiąc szuflady biurka. (Już dawno odkryła, że większości mężczyzn podoba się, kiedy zachowuje się jak dziecko. Było to łatwe, a często sprawiało jej szczerą przyjemność.)-Jeśli akurat tego chcesz... - Podciągnęła już całą spódnicę i Normanowi oczy omal nie wyskoczyły z orbit. Onyx nie miała pod spodem bielizny. Rozchyliła nogi. - To znaczy, mogę zaraz wyjść, jeśli sobie tego życzysz. - Potarła dłonią wewnątrz ud. - Ale chciałam złożyć reklamację. - Głęboko odetchnęła i z powrotem opuściła spódnicę za kolana.

Norman wyglądał, jakby wymierzono mu policzek. Zeskoczyła z biurka.

- Żałuję, że w ogóle o tym pomyślałam, ale skoro już tak się stało, to całkiem odeszła mi ochota na co innego.

Nie wyglądał zbyt radośnie. Oczy mu spochmurniały, brwi ściągnął w jedną linię. Bardzo lubiła jego oczy,

z długimi rzęsami i żydowskim spojrzeniem, czułym i byстрыm. Teraz jednak widziała w nich przede wszystkim złość.

- Czego chcesz?

- No, powiedziałaś, że poznam Jake'a Graysona. Minał już tydzień. A ja widzę, jak jego garderobę odwiedzają najróżniejsi ludzie. - Obdarzył ją morderczym spojrzeniem i Onyx zorientowała się, że musi sobie dać na wstrzymanie. - Nie chodzi o to, że mam ochotę iść do jego garderoby, ale obiecałeś mi. Przynajmniej autograf.

- Dziś wieczorem nic z tego nie będzie - powiedział. Potarł dłonią krocze. Cholera! Mógł mieć przed chwilą erekcję, a ona nawet tego nie zauważyła. Podstawowy błąd. - Wiesz, co się stało podczas nagrywania programu?

- Wiem, wiem. Nie musi być dzisiaj. Ale kiedy?

- Niedługo. Obiecuję. - Spojrzał na zegarek. - Na wypadek gdybyś nie zauważyła, zwracam ci uwagę, że w tej chwili wszystko stoi na głowie. Teraz idź stąd. To nie jest odpowiedni moment.

Wzruszyła ramionami.

- W porządku. Chciałam się tylko przypomnieć. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Zobaczymy się jutro wieczorem.

- Jutro wieczorem? A co z pracą, Onyx? Wepchnąłem cię do pomocy technicznej, ale jeśli nie będziesz siedzieć w studio w swoich godzinach, to nie będę mógł ci pomóc.

- Miałam na myśli jutro wieczorem, wiesz gdzie, Norman. Nie bądź taki przewrażliwiony. Wiem, że się muszę zjawić w pracy. Nie przejmuj się aż tak bardzo.

Norman się jednak przejmował. O ile wiedziała, była jego pierwszą dziewczyną na boku, a na pewno pierwszą, której załatwił pracę w CTC. Nie chciała wystawiać jego nerwów na zbyt ciężką próbę. Nie rozumiała wprawdzie, o co tyle szumu, że wpadła do niego na chwilę do biura, ale skoro tak wariuje z tego powodu, to powinna trochę zmniejszyć nacisk.

Pocałowała go jeszcze raz i wyszła, a kiedy panna

Priss strzeliła w nią triumfującym spojrzeniem, omal nie zadarła przed nią spódnicy. To sobie sprawdź, wiedźmo. Mam zamiar zostać.

Miała jednak przed sobą długą drogę. Po co robić sobie wrogów? Dostała pracę w telewizji i teraz otworzyły się przed nią nieskończone możliwości. A Norman sprawiał wrażenie gotowego na prawie wszystko.

5

Niech to szlag trafi, tego popołudnia wszystko wyszło nie tak jak trzeba.

Barbara gapiała się w ekran telewizora, na którym bezgłośnie poruszała się twarz Randa Robertsona, i chciała, żeby Jake wrócił do domu, i żeby mogła w jakiś sposób unieważnić to, co mu powiedziała.

Co prawda wcale nie myślała inaczej. Nie, podpisałyby się pod każdym słowem. Ale nie musiała tego wszystkiego mówić. Nawet jeśli narażał negocjacje w sprawie przedłużenia kontraktu, nawet jeśli przespał się z jeszcze jedną laleczką, to wszystko było tylko częścią o wiele, wiele szerszego tematu, którego w żaden sposób nie mogła z nim poruszyć.

Ogarniała ją trwoga.

Jake prawdopodobnie zamierzał podpisać kontrakt z telewizją na następne cztery lata. Ellie przyzwyczajała się do swojej pracy i życia z Markiem. Chris był w Europie. Wszyscy troje ścigali marzenia, urzeczywistniali pasjonujące plany, zresztą zupełnie z sobą nie powiązane. I nie dotyczące jej. A ona nie miała nic.

Wspomniała o swej trwodze Joannie, która była jej najbliższą przyjaciółką, ale nawet przed nią nie mogła odkryć sedna sprawy, opisywała tylko powierzchowne lęki, które nawarstwiały się na tym największym, nie tkniętym. To, że zrezygnowała z kariery zawodowej, było nieistotne. Ellie i Chris dorastali, ale przecież zawsze

wiedziała, że kiedyś to się stanie. Kontrakt Jake'a stanowczo nie miał znaczenia. Jego kobiety też, czyż nie romansował od lat?

Mimo to zbudziła się w środku którejś nocy pewna, że koniec jest bliski, że następnego dnia odkryje u siebie raka, guza mózgu albo tętniaka, i będzie już za późno na... Tu zaczynała się zagadka. Na co będzie za późno? Czy cokolwiek by się zmieniło, gdyby została pisarką, nad czym zastanawiała się od dawna? Czy cokolwiek by się zmieniło, gdyby została wielką malarką albo uwielbianą aktorką?

Nawet nie skończyła college'u. W owym czasie nie miało to znaczenia. Jake, Chris i Ellie byli wtedy wszystkim, całym jej światem. Teraz jednak żadne z nich nie chciało z nią rozmawiać. Nie mogła nawet zatelefonować do własnej córki, żeby nie usłyszeć natychmiast jej zirytowanego głosu. A Chris po trzech miesiącach mieszkania w domu, za wszelką cenę pragnął wypuścić się do Europy. Czy chciał oddzielić się pięcioma tysiącami kilometrów od rodziców, czy tylko od niej?

Marzyła, żeby znowu mieć w dłoni pałeczkę dyrygenta, zawrócić rodzinę do punktu, w którym kiedyś się znajdowała, gdy Jake nazywał się jeszcze Grozinski i walczył o przetrwanie jako dramaturg, dwuletni Chris wściekle rozrabiał, a Ellie była nieśmiała i słodka.

A teraz, mimo iż pamiętała każdy szczegół początków swojego związku z Jake'em, wspomnienia ją raniły, bo przecież wtedy żyła tak niewinnie i szczęśliwie, a oboje byli zupełnie innymi ludźmi. Zanim go poznała, Jake wydawał się najbardziej zagadkowym człowiekiem, jakiego widywała wraz z przyjaciółkami z Barnard School. Młody gniewny dramaturg, prowadzący jakieś zajęcia na uniwersytecie Columbia, tkwił w najciemniejszym kącie baru „West End” i palił papierosy. Był przystojny, efektowny i absolutnie nieprzystępny. Zawsze miał pod ręką zniszczony kołonołatnik, a z drugiej strony piwo, siedział tak i siedział bez końca, patrząc nie wiadomo gdzie. Rozmyślał i wyglądał wspaniale.

Wszystkie przyjaciółki Barbary były w nim zakochane, a Joanna, wtedy Joanna Rosen, snuła poważne plany poznania go. Ale to Barbara dowiedziała się od zaprzyjaźnionego barmana, że tajemniczy Jake Grozinski jada w barze „West End” także śniadania. I spotkała go już przy pierwszej próbie.

- Po raz pierwszy widzę cię tu samą - powiedział, wsuwając się za stolik, żeby usiąść na ławie naprzeciwko. Zapalił papierosa i uśmiechnął się.

Zauważyła, że ma Camela bez filtra i pożałowała, że nie może niepostrzeżenie wyciągnąć filtra ze swoich Larków.

- I po raz pierwszy widzę cię tutaj na śniadaniu - ciągnął. - Chyba nie chodzisz za mną?

- Słucham?

Roześmiał się. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby się śmiał.

- To takie błaznowanie, dzieciaku. Cieszę się, że przyszedłeś. Zawsze siedzisz z tymi głupimi dziewczuchami. Wzruszyła ramionami, bo na chwilę odebrało jej mowę.

- To są moje przyjaciółki - mruknęła. - Padłyby, gdyby wiedziały, że z tobą rozmawiam.

- Wydajesz się o wiele bardziej doświadczone od tamtych dwóch - powiedział cicho, wydmuchując z nozdrzy dym.

Nie wiedziała, czy z niej nie kpi, ale dziękowała Bogu, że w końcu znalazła tego ranka czarny golf i że doprowadziła do porządku grzywkę.

Patrzył na nią, mając w oczach wyzwanie.

- Nabijasz się ze mnie? - odpowiedziała pytaniem.

- Po co miałbym to robić?

- Nie wiem. Ale mówienie, że jestem bardziej doświadczone...

Uśmiechnął się.

- Nie potrafisz wyczuć, kiedy mężczyzna próbuje ci sprawić przyjemność?

Mężczyzna. Boże. On był mężczyzną, nie tak jak te żałosne istoty wyczekujące pod oknami internatu i wy-

dające okrzyki entuzjazmu na widok dziewczęcej bielizny. Te młode byczki były tak wyraźnie zainteresowane jednym, że aż śmieszne. Ale Jake Grozinski, ciemnooki przystojny mężczyzna, powiedział coś o sprawianiu jej przyjemności. I wydmuchnął następną cienką smugę dymu. Boże, czy to coś znaczy?

- Chyba nie czekasz na nikogo? - spytał nagle.

- Ja? Nie... Roześmiał się.

- Nie bądź taka zaskoczona. To przecież możliwe. A ja od dawna chciałem cię poznać.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Czyżby znowu z niej kpił?

- Naprawdę - dodał, jakby czytał w jej myślach.

- Ja też chciałam cię poznać - usłyszała swój głos. Kiedy gasiła papierosa, zadrżała jej dłoń.

Wciąż wpatrywał się w jej oczy.

- Za pół godziny mam zajęcia, ale może pójdziemy razem na lunch?

- Chętnie.

- A ty nie masz żadnych zajęć?

- Nie - skłamała. I co z tego, jeśli opuści amerykańskie powieści niepokoju społecznego i nowoczesny taniec? Jake Grozinski był dramaturgiem.

Odpuściła sobie też poranne zajęcia ze średniowiecznej wsi i miasta i resztę czasu pozostałego do lunchu spędziła w księgarni, przeglądając tytuły sztuk teatralnych. Jake Grozinski pomyśli, że spotkał geniusza, a nie jeszcze jedną nieopierzoną gęś z pierwszego roku.

Potem nadeszła dwunasta trzydzieści i Barbara w oszołomieniu przeszła po Broadwayu o dwie przecznice dalej, do baru „West End”, a wewnętrzny głos podpowiadał jej, że ten dzień będzie jednym z najważniejszych w jej życiu.

Podczas lunchu nie miała okazji wykorzystać w rozmowie zapamiętanych z księgarni tytułów, ale nie miało to chyba znaczenia. Jake starał się dowiedzieć o niej wszystkiego, co tylko możliwe, i nawet kiedy Barbara

czuła, że gada za dużo, i wbijała wzrok w swoją szklanke piwa, rumieniąc się na twarzy, Jake zachęcał ją, żeby mówiła dalej.

Tego popołudnia poszła z nim do łóżka i przez kilka tygodni przychodziła do jego mieszkania co wieczór. Pochłaniał jej myśli całkowicie, o nic więcej nie dbała. Prawie nie uczyła się do egzaminów na koniec roku i ledwie wszystkie zaliczyła, ale co tam. Związek z Jake'em był dla niej czymś absolutnie najważniejszym na świecie.

Znała tylko jeden sposób, żeby utrwalić go na zawsze.

Po tym, jak się pierwszy raz kochali, Jake wymógł na niej obietnicę, że sprawi sobie krążek, co wkrótce zrobiła.

Wiedziała, że nie może po prostu krążka nie używać. Jake wyczułby, gdyby go nie włożyła. Ale na pewno nie wyczułby w nim dziury.

Wiedziała, że ryzykuje. Z gazet i ze szkoły dowiadywała się wszak codziennie o tysiącach dziewcząt, które zachodząc w ciążę, zrujnowały sobie życie. Gazetowe historie zwykle kończyły się krwawo, w robocie był nóż, którym on pchał ją albo ona jego. Barbara była pewna, że nic takiego się nie zdarzy. Ale gdyby Jake ją rzucił?

Ta myśl przerażała ją, ale przez większość czasu po prostu jej do siebie nie dopuszczała. Wiedziała, że ona i Jake są dla siebie stworzeni.

Kiedy zatrzymała jej się miesiączka, poszła do ginekologa, którego adres znalazła w książce telefonicznej. Podała się za panią Grozinski, widząc w tym dobry omen na przyszłość. Ale kiedy pielęgniarka ją wezwała i powiedziała: „Pani Grozinski? Mam dla pani wspaniałą nowinę”, Barbara czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Przygotowywała się na tę wiadomość, ale tak naprawdę nie wierzyła, że jest w ciąży. I oto córeczka pani Levin, po której spodziewano się przyjazdu do domu na letnie wakacje i jeszcze Bóg wie czego, sama miała zostać matką. W pewnym sensie była niezwykle zadowolona, dziecko było dla niej biletem do niezależności, do nowego życia. Ale była też pełna obaw.



Nie zdradziła się jednak przed Jake'em od razu. Zdawała sobie sprawę, że im wcześniej to zrobi, tym większe prawdopodobieństwo, że każe jej iść do jakiegoś okropnego doktora. A mogła przecież udawać, że nie wiedziała...

Szepnęła jednak Joannie, a ta poradziła jej mimo wszystko powiedzieć Jake'owi. Bo to zbyt inteligentny chłopak, żeby uwierzyć w jej niewiedzę.

Któregoś wieczoru więc, kiedy Jake wydawał się szczególnie zadowolony, bo akurat skończył scenę w nowej sztuce, powiedziała mu prosto z mostu, bo inaczej w ogóle nie mogła o tym myśleć:

- Jestem w ciąży.

Nigdy nie zapomni wyrazu jego oczu... wysublimowanego przerażenia. Wstał i wymamrotał:

„Przepraszam, wrócę później”, a ona poszła do łazienki i zwymiotowała. Mam stan przedrzucawkowy, pomyślała, święcie o tym przekonana, zdążyła bowiem tymczasem wbić sobie do głowy wszystkie niebezpieczne objawy związane z ciążą, wypisane w domowej encyklopedii medycznej. A Jake nawet nie będzie mnie chciał już zobaczyć.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała, że to dziecko jest osobą, czymś więcej niż tylko sposobem na pozostanie z Jake'em. Miała zamiar zrezygnować z college'u, urodzić dziecko... i co? Zamieszkać w domu razem z matką? Iść do pracy? Iść na zasiłek? Nie chciała żadnej z tych możliwości. Chciała wyłącznie Jake'a.

Położyła się do łóżka o czwartej rano, mimo iż Jake jeszcze nie wrócił. Oczy same jej się zamykały, ale kiedy wsunęła się w pościel, wcisnęła głowę w poduszkę i wyczuła zapach tytoniu, potu Jake'a, wybuchnęła płaczem. Najwyraźniej popełniła kardynalny błąd.

Rano, kiedy usłyszała Jake'a wchodzącego do mieszkania, naciągnęła prześcieradło na głowę i zaczęła udawać, że śpi. Nie mogła znieść myśli, że spojrzy mu w twarz i jeszcze raz zobaczy ten wyraz absolutnego przerażenia.

Słyszała, jak Jake się rozbiera: klamra paska brzęknęła o podłogę, koszula opadła na krzesło. Kiedy podchodził do łóżka, przygryzła wargę i jeszcze mocniej zacisnęła powieki, a potem wstrzymała oddech, bo kładł się obok niej. Przytulił się do jej pleców i otoczył ją ramionami, a kiedy dotknął podbródkiem czubka jej głowy, zaczęła płakać. Tak bardzo go kochała. Czyżby dawał znak, że wszystko jest w porządku?

Pobrali się w następnym tygodniu w ratuszu. I chyba byli szczęśliwi.

W miarę rozwoju ciąży miała jednak coraz więcej strapiień. Jake siedział po uszy w nowej sztuce i spędzał większość czasu na wykładach w Columbii, więc chociaż starał się okazywać jej troskę, po prostu za mało bywał w domu. Barbara nie mogła odpędzić od siebie myśli, że przez resztę ich małżeństwa Jake będzie odpłacał jej za wciągnięcie w pułapkę, najpierw drobiazgami, potem zapewne bardziej boleśnie. Niewykluczone, że nieświadomie, wiedziała przecież, że dziecko na pewno zostanie przez niego przyjęte z miłością, ale była też pewna jego pęczniejącej pod skórą urazy.

I miała rację.

Nie było w tym winy Jake'a. Nikt nie był winien temu, że przez lata małżeństwo powoli się rozpadało, komórka po komórce, słowo po słowie.

Dwadzieścia osiem lat. Ludzie zawsze wpadali w zachwyt nad tą liczbą i mówili: „Mieliście świętą rację, że wybraliście na mieszkanie Nowy Jork, a nie Los Angeles”, jakby to Nowy Jork stanowił zbawczy czynnik.

Tymczasem zbawczym czynnikiem bardziej niż cokolwiek innego była negacja rozpadu, odmowa przyjęcia go do wiadomości.

Straszne. Negacja przenikała każdą cząstkę ich życia. Jak choćby w ostatnim tygodniu. Jake przekonał CTC, że nie potrzebuje już ochrony osobistej. Tak po prostu, dla kaprysu, ponieważ znużyli go goryle.

A ci cholerni ludzie z telewizji go poparli!

- Nie jestem taką znowu ważną osobistością, Barba-

ro - powiedział z nutą irytacji, która nadawała szorstkość jego głosowi. - Po jaką cholere jest mi potrzebna ochrona osobista?

Na każdy z jej argumentów odpowiadał jeszcze większym uporem.

Negacja zabijała ich oboje. Ale Barbara nie mogła zdobyć się na szczerość wobec siebie.

(„Małżeństwo się skończyło.”) Skąd mogłaby zdobyć pewność, co istotnie jest szczere? W głębi duszy nie wątpiła, że gdyby to małżeństwo naprawdę było skończone raz na zawsze, to wyprowadziłaby się o wiele wcześniej. Ono wcale nie musiało być skończone. Jaki tytuł miał ten kryminal, który właśnie ostatnio czytała? „Nie umarła, tylko odpoczywa.” Może.

Usłyszała otwieranie frontowych drzwi, więc ulegając dawno wykształconemu odruchowi, podkreśliła dźwięk, żeby Jake domyślił się, że jego żona ogląda telewizję.

Rozległy się kroki w korytarzu... wolne i nie pijackie... przyszła chwila prawdy: czy zajrzy do jej pokoju, czy pójdzie prosto do siebie?

Jeden krok, drugi, trzeci...

- Barbaro, nie śpisz?

- Nie, wejdz - zawołała.

Otworzył drzwi. Poczula w sercu litość, widząc, jak bardzo jest zmęczony.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że jednak złożyłem oświadczenie dla prasy. A stacja nadaje program do chwili na mniej więcej trzydzieści sekund przed śmiercią George'a.

- Naprawdę?

- Mhm. Żeby naród mógł zobaczyć, że ten okropny Grayson nie jest odpowiedzialny za zabicie biednego George'a Claya.

- To dobre wyjście, jak sądzę. Chociaż odrobinę upiorne. Westchnął.

- Myślałem, że o to ci chodziło - powiedział podnosząc głos pod wpływem rosnącej irytacji.

- Ależ tak, właśnie tak - przyznała szybko. - Wcale nie chciałam kręcić nosem. Tylko wydaje mi się to trochę makabryczne, i już.

- No cóż, stało się. Jeśli obejrzysz wiadomości o jedenastej, zobaczysz to w glorii kolorów. - Sięgnął na toaletkę po małe porcelanowe pudierko, które przywieźli parę lat temu z podróży do Londynu. - To wszystko jest takie cholernie przygnębiające.

- Wiem - westchnęła. - Aha, rozmawiałam dzisiaj z Ellie.

- I?

- Sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Nowi właściciele „Spotlightu” chcą zrobić z pisma dość dziwną mieszankę: trochę „Enquirer” i trochę „Vanity Fair”. Tak, zdaje się, powiedziała. - Jake pokręcił głową. - Na pewno zadzwoniłaby do ciebie dzisiaj, gdyby nie była taka zajęta.

Jake zamrugął.

- Dlaczego niby miałyby do mnie dzwonić?

- No, bo się zadrecza. Przecież pisze dla tego magazynu, a tam takie zmiany.

- Barbaro... - Zawiesił głos. - Po co to robisz? Po co szukasz dla niej alibi? Nie trzeba mi powtarzać, że zadzwoniłaby do mnie, gdyby nie była taka zajęta. Czy nie rozumiesz, że w ten sposób brzmi to tak, jakby wcale nie miała zadzwonić? Po co fabrykujesz dla niej usprawiedliwienie?

- Ja...

- To jest po prostu metoda, żeby mi pokazać różne możliwości wyboru, w razie gdybym zrezygnował z programu i postanowił pisać sztukę. Mówisz w istocie: „Jeśli sztuka nie wypali, możesz robić X, Y albo Z”. Nie mam ochoty tego słuchać. Po co to robisz?

Przełknęła ślinę.

- Czy jesteś zainteresowany odpowiedzią, czy chcesz dalej zadawać pytania?

- Jestem zainteresowany rym, żeby mieć kogoś, kto we mnie wierzy. Kiedy w zeszłym roku zaczęłaś pisać po-

wieść, chciałem jak wszyscy diabli, żeby udało ci się ją skończyć. Nawet więcej, sądziłem, że może przynieść ci sukces. I ani razu nie powiedziałem: Jeśli nie wypali".

- Nie wiedziałam, że moje zdanie tak się dla ciebie liczy.

- Ech, do diabła, dlaczego miałyby się nie liczyć? - Pokręcił głową. - To jest cholernie przygnębiające, kiedy próbuję zacząć coś nowego, a nade mną unosi się kłęb pesymizmu bijący od ciebie. - Wyjął z kieszeni papierosa. - I nie mów mi, żebym nie palił. Już wychodzę. Dobranoc.

Podszedł do drzwi, otworzył je i przez chwilę Barbarze wydawało się, że jeszcze się obróci i coś doda. Stał wahając się, ale w końcu wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Niech to szlag trafi. Nie rozumiała, o czym Jake mówi. Czy do jej roli żony i matki nie należało łagodzenie kłopotów i pielęgnowanie rodzinnej atmosfery? Chciała tylko dać Jake'owi do zrozumienia, że jest mnóstwo możliwości. Był przecież taki zdecydowany na pisanie tej sztuki, że gdyby nic z tego nie wyszło, runąłby cały jego świat. Wprawdzie nie uważała, że Jake powinien zrezygnować z telewizji, ale gdyby tak postanowił...

Boże. W tej rodzinie nie mogła już nic nikomu powiedzieć, bo zaraz chciano ją utopić w łyżce wody. Na czym polegał jej błąd?

6

Chris wyszedł na rozświetloną ulicę i rozejrzał się. Był jeden z najcudowniejszych dni, jakie widział w życiu, wyraźnie różny od trzech poprzednich, podczas których padł chyba paryski rekord wrześniowych opadów.

Ta część Paryża, w której znajdowało się biuro American Express, była dla niego nowa. W końcu udało mu

się dotrzeć na Champs Elysees, i chociaż panował tam straszny tłok, miejsce mu się spodobało. Świeciło słońce, w powietrzu unosił się wspaniały zapach, a i on czuł się o wiele lepiej, przeprowadziwszy się do niepozornego, lecz o niebo lepszego hotelu niż ta spelunka, w której spędził pierwszą noc.

W biurze American Express znalazł dwa listy ze Stanów adresowane do siebie: od matki i Sarah. Przeszedł przez szeroką jezdnię i usiadł w cieniu na ławce. Sam fakt, że matka do niego napisała, był irytujący i Chris miał świadomość, że jeśli będzie myślał na ten temat, rozdrażnienie go nie opuści, toteż list od matki otworzył najpierw.

*Drogi Synku,*

*Piszę ten list, kiedy jesteś jeszcze w Nowym Jorku, więc będzie czekał na Ciebie w Paryżu zaraz po przyjeździe. Wiem, jak przygnębiające może się wydać nie znane miasto, szczególnie jeśli nie ma się w nim znajomych. Żałuję, że nie wzięłaś adresów, które Ci dałam. W większości są to całkiem sympatyczni ludzie, a niektórzy z nich (jak Eklandowie, ńedzący w Paryżu od pięciu czy sześciu lat) wręcz świetni. Gdybyś zmienił zdanie i chciał jednak do kogoś zadzwonić, daj nam telefonicznie znać na nasz koszt (pamiętaj o sie-dmiogodńnej różnicy czasu). Także gdybyś zmienił zdanie w sprawie podróży i chciał wrócić do domu już po kilku dniach, wracaj, nie oglądając się na nic. Nikt nie będzie miał Ci tego za złe. Dodatkową należność za zmianę daty powrotu na bilecie możesz, jak wiesz, uregulować za pomocą karty kredytowej ojca.*

*Twój pokój przypomina w tej chwili pobojuwisko, wszędzie leżą koszule i bielizna. Przypomina mi to widok sprzed Twojego wyjazdu na obóz. Czuję się prawie tak, jakby trzeba było naszywać tasiemki z nazwiskiem. (Nie złość się, wiem, że jesteś na to za duży. Po prostu chcę ci napisać, jak się czuję.)*

*Aha, chyba powinnam Ci też przypomnieć, że gdyby zrobiło się zimno i paskudnie (bywa, że w Paryżu jesienią*

*chłód przychodzi bardzo szybko), to idź do miasta i kup sobie wszystko, co potrzebne. Szkoda, że nie zarezerwowałaś miejsca w hotelu przed wyjazdem. Proszę, daj nam znać, jak się czujesz i jak Ci się tam podoba. Czy poznałaś jakichś sympatycznych ludzi? Francuzów czy Amerykanów? Napisz jak najszybciej.*

*Ojciec Cię pozdrawia.*

*Całusy i uściski*

*Mama*

Boże. Ile on ma dla niej lat? Nic dziwnego, że tak się wyrywał. Przez pierwsze dni tutaj był taki chory, że nie należy się dziwić tęsknocie za domem, samotności i słabości. Teraz jednak przypomniał sobie, jak bardzo chciał wyjechać z Nowego Jorku, jak bardzo chciał zakosztować swobody.

Odłożył list matki do kieszeni na piersi i otworzył list Sarah.

*Chris, mój drogi (mówiły drobne, prawie niewidoczne zuczki).*

*Cóż, już Cię nie ma w Stanach Jest sobota i zaczynam się pakować przed wyjazdem do Wirginii.*

Coś zostało wykreślone bardzo dokładnie, tak że nie mógł odczytać. Przesunął wzrok dalej:

*Nie wiem, jak Ci powiedzieć to, co chcę, więc powiem po prostu. Uważam, że zachowałeś się egoistycznie, wyjeżdżając w taki sposób. Może nawet nie zdawałeś sobie sprawy, jaką zrobiłeś mi przykrość, ale jest mi z tym wyjątkowo paskudnie. Latem, kiedy Jeff z Missy i Christina z Tomem jechali do Europy, starałam się im nie zazdrościć, wiedziałam bowiem, że wybierzemy się tam razem jesienią. Podjęłam jednak decyzję: skoro potrzebujesz czasu, skoro potrzebujesz przestrzeni to ciesz się nimi Są Twoje. Ja przyjąłam pracę w szkole prawniczej, zamierzam poznać tam nowych ludzi i zanim wrócisz, kto wie, co będę robiła. Nie trać jednak czasu, żeby się dowiadywać. Od egoizmu takiego rodzaju, jaki prezentujesz, chcę się trzymać z daleka. Do*

*wiedz się jeszcze więcej: powiedziałaś, że nie mógłbyś się ożenić, bo obawiasz się, że będziesz przypominał Twojego ojca, a w małżeństwie nie widzisz nic prócz pułapki. Cóż, takie poglądy są samospelniającą się przepowiednią, prawdopodobnie rzeczywiście okażesz się podobny do ojca. Twierdziłaś, że myśl o tym, co czuje matka z powodu jego romansów, budzi w Tobie wstręt, uważałaś, że ojciec postępuje źle, ale mnie zawsze się zdawało, że w głębi duszy go podziwiasz. Cóż, wydaje mi się bardzo samotnym człowiekiem. Niewykluczone, że i Tobie się to może któregoś dnia przydarzyć. Dla Twojego dobra chciałabym nie mieć racji, ale tymczasem bez wątpienia zmierzasz właśnie w tym kierunku.*

*Chyba nie ma sensu ciągnąć dalej tego, co piszę. Proszę Cię, nie dzwoń do mnie, kiedy wrócisz.*

- Złe nowiny?

Chris podniósł głowę. Przy nim, z numerem „Paris Match” pod pachą, stał jego rówieśnik. W pytaniu pobrzmiwał francuski akcent, ale nieznaczny, jakby chłopak radził sobie z angielskim całkiem dobrze. Sądząc po stroju, był zamożny, miał eleganckie jedwabne ubranie i ładną koszulę.

Przede wszystkim jednak wyglądał w dziwnie znajomy sposób.

Chris przypomniał sobie, że zadano mu pytanie.

- Hm, nie. A właściwie tak. Ale to nie ma znaczenia.

- Wyglądasz, jakby miało.

Chris przyjrzał się chłopakowi, który usiadł obok na ławce. Miał koci wdzięk. Może tancerz? Ktoś znany Chrisowi z kina?

- Ech... to takie tam wyjaśnienia - powiedział w końcu, składając kartkę na cztery.

- Od dziewczyny? Chris skinął głową.

- Musi tęsknić za tobą.

Chris odpowiedział uśmiechem.



- Prawdę mówiąc to nie. - Teraz chłopak się uśmiechnął i Chrisa ogarnęło dziwne, niepokojące uczucie, bo wrażenie podobieństwa brało się stąd, że tamten przypominał nie jakąś znaną osobę, lecz samego Chrisa we francuskiej wersji, może z nieco większą dozą próżności. Te niebieskie oczy... Boże, jakie podobne. I blond włosy też wyglądały podobnie, były proste, dość długie, z jaśniejszymi pasemkami w taki sam sposób odbijającymi światło.

- Dopiero teraz zauważyłeś? Chris znów się uśmiechnął.

- Owszem.

- Musisz słabo sobie zdawać sprawę z własnego wyglądu.

Była to prawda. Sam bardzo się starał, żeby do tego doprowadzić. Bo jak daleko sięgał pamięcią, zawsze miał kłopoty z wyglądem. To Ellie powinna była odziedziczyć najpiękniejsze rysy Jake'a i Barbary, ale trafiło akurat na niego. Dobrze pamiętał przyjaciółki matki mówiące: „Co za wstyd, że to nie Ellie ma te oczy” albo „Jest za ładny jak na chłopca”. Kiedyś bawili się z Ellie w chowanego i siedząc w kryjówce pod pianinem usłyszał matkę, mówiącą do kobiety o imieniu Roberta: „Martwię się o Ellie. Przechodzi teraz taki niefortunny okres, jest jak brzydkie kaczątko”. A Ellie, która przykucnęła w kącie, też to słyszała, widział, jak jej się trzęsie broda. Czuł wstręt do matki i pragnął oddać siostrze swoją twarz. Potem, gdy dorósł, ten wstręt jeszcze się nasilił. Nie z powodu kaprysu natury, która nie zauważyła Ellie, lecz z powodu nastawienia Barbary. Bo Ellie wyglądała dobrze. Dzięki brązowym włosom i pięknym ciemnym, prawie czarnym oczom miała wiele wdzięku. Koledzy Chrisa zakochiwali się w niej raz po raz. Ale w oczach Barbary córka na zawsze pozostała brzydkim kaczątkiem. To przez nią Ellie miała kłopoty ze sobą, a jego dręczyło poczucie winy.

- Jesteś modelem? - zapytał Francuz.

- Słucham? Nie, zdecydowanie nie. A ty? Francuz uśmiechnął się i pokręcił głową. Chris po raz pierwszy zauważył, że jego skóra jest ospowata.

- Tak w ogóle, to jestem Gerard. A ty?

Po raz pierwszy od tygodnia ktoś zapytał go o imię, dlatego poczuł się dziwnie wymawiając słowo „Chris”, a potem „Grozinski”. Uznał jednak, że najlepiej pozostać w Paryżu incognito.

Przez resztę popołudnia rozmawiali, spacerowali, jedli i pili. Chris nie miał przekonania, czy podoba mu się ten Gerard, ale był tak wdzięczny, że ktoś z nim rozmawia i obdarza go zainteresowaniem, tak zachwycony pięknym dniem, w którym słońce świeciło, a wszystko, co jadł i pił, smakowało mu, że chciał, by ten dzień trwał i trwał.

Wieczorem, kiedy mieli już w nogach pół Paryża, Gerard zaprosił go do siebie i Chris z radością się zgodził. Miał przecież za sobą najbardziej udany dzień wakacji, a wiedział, że Francuzi, szczególnie mieszkańcy Paryża, zapraszają do domu tylko osoby, które im się szczególnie podobają.

Gerard przygotował obiad w mieszkaniu, które okazało się zaskakująco eleganckie i znajdowało się w zaskakująco dobrej dzielnicy. Wypili dużo wina, potem pernodu, potem jeszcze trochę wina, wydało się więc całkiem naturalne, że Chris zostanie na noc. Był zmęczony, pijany i zdezorientowany, a Gerard był jego nowym przyjacielem. W mieszkaniu znajdował się nawet pokój gościnny. Kiedy rano Chris zbudził się z nudnościami i gigantycznym bólem głowy, stwierdził, że znajduje się w znacznie przyjemniejszym miejscu niż jego hotelowy pokój.

Gerard usłyszał, że gość się porusza, przyniósł rogaliki i mocną czarną kawę, a potem kazał mu się jeszcze przespać. Chris zjadł śniadanie z wdzięcznością i zasnął z wdzięcznością, a gdy znów się zbudził, musiało już być chyba popołudnie. Gerard siedział na krawędzi łóżka i uważnie mu się przyglądał.

Chrisowi przypomniawsł się sen sprzed chwili: spał w ramionach Gerarda i mieli się zacząć całować. Spojrzał Gerardowi w oczy i poczuł falę pożądania. Szybko odwrócił wzrok, potem westchnął i zamknął oczy. Czy nie było bezpieczniej udawać, że jest śpiący?

Czy jednak nie udawał jeszcze czegoś?

Nie miał dotąd za sobą żadnych homoseksualnych doświadczeń. Raz, w ósmiej klasie, jego najlepszy kumpel zaproponował mu, że pójda razem zwalić konia, jeden drugim, ale Chris odmówił. Pomysł napawał go lękiem. Bo gdyby mu się spodobało? Gdyby mu się bardzo spodobało? Nocami, gdy trzepał małego albo po prostu snuł fantazje, zdarzało mu się, że nagle widział przed oczami obraz męskiego krocza gwałtownie spychający na bok wizję kobiecych ciał. „Precz”, mówił wtedy, ale zdarzało się, że właśnie w takiej chwili targał nim orgazm, bo męskie dłonie zaczynały zdzierać z niego slipy. Bywało nawet, że obraz stawał się jeszcze bardziej konkretny: dłonie na członkach, męskie piersi ocierające się o siebie, objęcia, wytryski w sytuacjach, jakich nigdy nie poznał z Sarah. Tyle, że jego w tych fantazjach nie było. Ani jego, ani nikogo innego. Ciała były zawsze młode, silne, muskularne, lecz pozbawione twarzy.

A przecież nie był pedałem. Wiedział, że nie. Jeszcze w szkole średniej poszedł do publicznej czytelnii, daleko od miejsca, w którym mieszkał, wypożyczył pięć książek o seksualizmie wieku dorastania i w każdej z nich wyczytał, że doświadczanie od czasu do czasu homoseksualnych fantazji jest całkiem normalne. W czterech napisano nawet, że dla większości Amerykanów normalne są także „eksperymentalne zabawy homoseksualne” (co kojarzyło się bardziej z klocekami i samochodzikami w przedszkolu niż z jego wyobrażeniami). Czy jednak on był normalny?

A co sądzić o tej chwili? Oczy miał zamknięte, ale członek zaczynał mu stawać, i Chrisowi wydawało się, że Gerard spogląda właśnie w to miejsce. A gdyby sta-

nał mu jak baobab i Gerard by to zauważył? Gdyby Gerard rzucił się na łóżko, zdarł z niego koc i wziął jego członek w usta?

Obrócił się i wyobraził sobie maczetę, jednym cięciem pozbawiającą go członka.

No. Sflaczał.

Poczuł, że łóżko sprężynuje, bo Gerard wstał. Leżał bez ruchu i nasłuchiwał, jak kroki gospodarza się oddalają. Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Gdzieś w jego głowie rozległ się głos: „Jesteś na najlepszej drodze, żeby pozwolić się uwieść”.

Nie wiedział, czy Gerard jest pedałem. Może po prostu był podobny do niego, wypełniały go wzburzone żądze niczym z malowideł Boscha, obrazów zła, których Chris nie chciał oglądać, ale widział wbrew woli, jak materializują mu się przed oczami w chwilach, gdy nachodziły go te dziwne nastroje. Gdyby Gerard był Amerykaninem, jego zainteresowania odkrywałoby się łatwiej, ale ponieważ nie był, brakowało kulturowych poszlak, Chris nie znał francuskiego języka gestów. Przelęknięty, ale i nieco podniecony, zdawał sobie jednak sprawę z własnej, kołaczącej gdzieś w głębi ducha nadziei, że Gerard mimo wszystko okaże się pedałem i go uwiedzie.

Kiedy się zbudził, w pokoju panowała ciemność, a drzwi były jeszcze zamknięte. Wstał i włożył ubranie, spodziewając się ostrych łupnięć w głowie przy każdym gwałtowniejszym poruszeniu, ale nic takiego się nie stało. Otworzył drzwi i usłyszał gniewną, szybką francuszczyznę Gerarda. W chwilę później trzasnęła rzucona słuchawka telefonu.

Chris odczekał kilka sekund, po czym zszedł do holu. Gerard podniósł głowę i uśmiechnął się do niego.

- Teraz wyglądasz o wiele lepiej.
- Dzięki. Czuję się też lepiej.
- Wiele razy tego popołudnia oparłem się pokusie. Chris nic nie odpowiedział.
- Zbudzenia cię - dodał Gerard z uśmiechem.

- Aha. - Ale czy rzeczywiście to miał na myśli? Okazało się, że Gerard gotował obiad, i kilka minut później usiedli do następnego wspaniałego posiłku.

- Oparłem się pokusie kupienia czerwonego mięsa -powiedział Gerard, kiedy jedli kurczaka. - Po prostu jest za drogie.

- Mogę ci dać pieniądze. Nie wygłupiaj się. Gerard się uśmiechnął.

- To ty się nie wygłupiaj.

Chris odwrócił wzrok. Znowu zalała go ta fala, gdy tylko padło na niego wszystkowiedzące spojrzenie; Gerard musiał znać jego myśli.

Wola oporu w nim słabła. Część jego ja chciała, żeby wszystko ułożyło się jak najprościej, stosunki z Gerardem pozostały przyjaźnią, czy jak je tam nazwać, a Gerard zwykłym znajomym. Ale w głębi czuł jakąś szaleńczą siłę, jakby przemawiał stamtąd inny głos, mocniejszy, który lada chwila mógł wziąć górę.

I tak się stało.

- Zdaje się, że ostatnio opierasz się bardzo wielu pokusom. - Wyrwało mu się to mimo woli, a jednocześnie coś zmusiło go do spojrzenia w oczy Gerarda.

- Czy tylko ja? - spytał cicho Gerard. Chris uciekł spojrzeniem.

- Chodź - usłyszał głos Gerarda i podniósł głowę. Gerard stał, wyciągając ku niemu dłoń, Chris ją ujął.

Dotyk podziałał na niego jak elektryczna iskra, jak ogień, czegoś takiego nigdy przedtem nie doznał.

Nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Czuł się rozdarty, wyjęty spod własnej kontroli, jakby nie całował tego człowieka naprawdę, jakby nie miał naprawdę pod plecami łóżka i nie pozwalał temu obcemu czule się głaskać.

- Poczekaj - powiedział, próbując usiąść. Gerard się uśmiechał.

- To ty poczekaj - powiedział i wziął w dłoń członek Chrisa.

O Boże.

Myśli go opuściły. Czuł tylko doznania zmysłów, pojękiwał i w końcu osiągnął rozkosz. To jest całkiem w porządku, myślał potem. Wszystko jest w porządku. Słyszał o bezpiecznym seksie, a ten był bezpieczny, z kondomem.

Ale co się właściwie stało? Czyżby podniecenie, lecz również panika, sprawiły, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że w końcu robi coś, nad czym zastanawiał się przez całe życie? Co w nim pękło? Czy po prostu zaważyło to, że znalazł się po raz pierwszy naprawdę daleko od domu? (College się nie liczył, miał tam zbyt wielu przyjaciół.)

A gdyby matka się dowiedziała? Chryste!

Jego serce zmyliło rytm, a potem zaczęło walić. Dostałem ataku serca, pomyślał. „Syn amerykańskiego te-legwiazdora znaleziony martwy w łóżku paryskiego homoseksualisty. Miłosne gniazdko odnalezione. Rodzina okryta wstydem.”

Była też jednak druga strona medalu: przyjemność. Niewielka, lecz sadystyczna, jak malutki, lecz ostry nóż. Wiedział, że część jego ja cieszyłaby się bardzo, gdyby matka, a w mniejszym stopniu także Ellie, dowiedziały się o nim, że uprawiał seks z mężczyzną. Przeżyłyby wstrząs, cierpiałyby zastanawiając się, jaki popełniły błąd, odniosłyby ten fakt raczej do siebie niż do niego. Chris wprawdzie kochał je obie, wprawdzie zrobiłby dla Ellie wszystko, ale mimo to czułby pewne zadowolenie z ich konsternacji.

Bo większość kobiet była taka naiwna. Zdawało się, że nie są w stanie pojąć, na czym polega ten szczególnie dreszcz emocji, kiedy się uprawia seks z obcym człowiekiem (mężczyzną czy kobietą, wszystko jedno), seks, z którym łączy się niebezpieczeństwo, tajemnica. Albo seks absolutnie wyzwolony. A on tego właśnie chciał. Nikt nie pytał go o datę ślubu ani następnego obiadu u jej rodziców.

Ale czy rzeczywiście znalazł wyzwolenie? Przecież czuł się jak więzień.

7

Caitlin Cornell uśmiechnęła się do kamery i powiedziała:

- Nigdy przedtem nie próbowałam wina Cellini. Ale przedtem nie znałam Michaela.

- Stop!

Przygryzła wargę i odstawiła kieliszek na stół.

- Caitlin, za bardzo się uśmiechasz - powiedział reżyser, Art McCullough. - Powinnaś wyglądać tak, jakbyś chowała coś w sekrecie. Nie chcę widzieć tyle zębów.

- Ojej, dobrze.

Pan McCullough się oddalił, a podszedł do niej Craig.

- Kochanie, nieziemsko mu się podobasz, ale musisz się odprężyć - powiedział. - Art może uznać, że jesteś spięta.

- W porządku, tylko... No nic, tym razem na pewno będzie dobrze.

Pan McCullough przesłał Craigowi mordercze spojrzenie. Zazwyczaj Art McCullough wyglądał wyjątkowo łagodnie, był zagrożonym otyłością ciemnowłosym, niedźwiadkowatym facetem, z bardzo brązowymi oczami i superuprzejmym głosem. W tej chwili jednak sprawiał wrażenie furiata.

- Postaraj się pomyśleć o czymś pięknym - powiedział Craig. - Pomyśl o Cuddebackville i tej farmie, na którą tak lubiłaś jeździć. Albo o naszej przyszłości, o tym, jak będzie wspaniale. Pomyśl o naszym tajnym kodzie.

Uśmiechnęła się. To rzeczywiście sprawiało jej wielką przyjemność. Dla karty bankowej do podejmowania pieniędzy z automatu wymyślili kod CZZC, co oznaczało „Craig zawsze z Caitlin”. Ile razy sobie to przypominała, robiło jej się miło.

- W porządku. Ale pozwól, że spróbuję o własnych siłach. Muszę się skoncentrować.

- Dobra. Pamiętaj tylko: Craig zawsze z Caitlin.

W oczach pojawiły jej się łzy.

- Będę pamiętać.

Cmoknął ją i odszedł na skraj planu. Caitlin widziała, że Art McCullough praktycznie się gotuje. Mimo to poczuła się lepiej. Dotąd bała się, że źle powie tekst, bo przecież nie zasługiwała na tę pracę. Ale jeśli skupi się na przyszłości, wszystko pójdzie gładko. Dla Craiga i dla nich obojga zrobiła coś potwornego. Czyż więc nie powinno się to dla nich dobrze skończyć?

- Pięć minut przerwy - wykrzyknął jakiś głos i Caitlin zobaczyła, że Art McCullough rozmawia z Alem Giardino, bardzo sympatycznie wyglądającym asystentem. Ucieszyła się z tego, bo jakoś nie mogła przestać myśleć o tym, co zrobiła ze Steve'em Warnerem.

Przez dwa dni po tym, jak poszła do Steve'a Warnera, zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego właściwie to, co z nim zrobiła, miałoby być o wiele gorsze od innych rzeczy, które robiła w życiu. Kiedy Eugene skłonił ją... Ale wtedy była taka młoda. Tym razem sytuacja wyglądała inaczej: nie postąpiła tak wbrew własnej woli. I to ją przerażało. Bo gdyby upodobniła się do Dawn? Gdyby zaczęła robić to coś stale? Poza tym, sama się postarała. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, nie wpadła w pułapkę, po prostu zadzwoniła do Steve'a Warnera. Rozmawiając przez telefon, słyszała w nim wygłodniałe zwierzę, mdliło ją od tego, ale brnęła dalej. A następnego ranka, kiedy odwiedziła go w mieszkaniu, oczy mu lśniły jak Damienowi w *Omenie*.

- Bystra z ciebie dziewczyna - powiedział, gdy weszła do środka. - Wiedziałem, że zmienisz zdanie.

- Proszę tylko pamiętać, że obiecał pan nie mówić Craigowi - odezwała się, niezupełnie świadoma swoich słów.

Mieszkanie wydało jej się niesamowite. Przypomniała sobie, że Warner napomknął coś o poddaszu, ale to, co zobaczyła, zupełnie nie odpowiadało jej wyobrażeniom związanym z tym słowem. Na tej samej przestrzeni zmieściłoby się dziesięć takich mieszkań jak jej i Craiga.



Wszędzie dookoła wznosiły się gigantyczne kolumny; a wizerunki obnażonych kobiet w syrenim typie spoglądały ze ścian, całość uzupełniał zaś gąszcz olbrzymich tropikalnych roślin. A meble... no, mebli w zasadzie nie było. Tylko wielkie łóże, stół i parę krzeseł. Wszystko niezwykle wyrafinowane.

- Podoba ci się? - spytał, stojąc gdzieś z tyłu.

- Hm, tak - powiedziała, choć nie była to prawda. Jak można się odprężyć w takim miejscu? Gdzie kładzie się zwykle rzeczy? Na przykład pocztę?

- Kwietniowy „Architectural Digest”, nowa kampania Ardence i kampania Tempo.

- Co takiego? - Obróciła się do niego.

- Dekoracje. Wynajmuję to pomieszczenie dla potrzeb reklamowych. Teraz widać je bardzo często w reklamach „Architectural Digest”.

Objął ją w talii.

- Ale przecież nie przyszedłeś tu rozmawiać ze mną

o tym poddaszu, prawda? - Przesunął dłonie na jej biodra i Caitlin pożałowała, że nie włożyła na siebie czegoś innego. Musiała jednak powiedzieć Craigowi, że idzie do miasta po zakupy, więc nie mogła ubrać się w dżinsy ani nic bardziej codziennego, przez co Steve Warner myślał teraz, że spódnica i efektowna góra są dla niego.

- Hm? - Przeniósł ręce wyżej, na jej piersi, i zaczął miętosić sutki tak, jak robili to wszyscy mężczyźni, nawet Craig. Z lektur i kina Caitlin wiedziała, że powinno jej to sprawiać przyjemność. - Zobaczyłem, że masz na mnie ochotę, kiedy weszłaś pierwszy raz do mojej agencji - szepnął, prowadząc ją do łóżka. - Ale czasem... cholera, wiem, jak to jest. Chłopcy, dziewczyny, komplikacje...

Myślała, że się na nią rzuci, że natychmiast wywali swój interes, jak za pierwszym razem, ale on poprosił ją, żeby usiadła, podszedł do nocnego stolika, wyciągnął lusterko i jakieś zawiniątko z aluminiowej folii. Położył lusterko na stoliku, wysypał na nie proszek z zawiniątka i staromodną brzytwą zaczął dzielić go na równoległe

pasemka. Caitlin ledwie mogła uwierzyć, że widzi na żywo coś, co tyle razy oglądała w różnych filmach, najczęściej w telewizji.

Miała ochotę spróbować, wielu ludzi zapewne uważałoby, że jej doświadczenia seksualne są czymś o wiele gorszym niż branie narkotyków, ale już dawno podjęła niezłomne postanowienie: żadnego alkoholu, żadnych środków oszłamiających, z wyjątkiem proszków od bólu głowy, które czasami dawał jej Craig. Nie chciała sprawiać wrażenia nawróconej, więc raczej nie mówiła na ten temat, nie poruszała go na przykład z Dawn (która brała tonami wszystko, co tylko można). Ale ponieważ na własne oczy widziała, co robi z człowiekiem alkohol, szczególnie na przykładzie Eugene'a, nie rozumiała, jak można w ogóle zaczynać.

Steve Warner klęczał na podłodze, pochylając się nad stolikiem ze słomką wsadzoną do nosa.

- Mmm - powiedział, wciągając słomkę z pół porcji.
- Teraz ty, kochanie - powiedział, podając jej słomkę.
- Nie, dziękuję.
- Nie protestuj, zanim nie spróbujesz.
- Nie, naprawdę dziękuję.

Myślała, że jeszcze będzie ją namawiał, ale on tylko wzruszył ramionami i zużył resztę sam.

Potem wlaź na łóżko i zaczął się do niej dobierać. Było to jednak dziwne: zachowywał się dziko, gryzł ją w szyję, ślinał i drapał sztywnymi baczkami (czemu się nie ogolił?), ale po chwili jakby się wycofywał i wtedy sprawiał wrażenie zagubionego.

- Zdejmijmy trochę ubrania - powiedział, wskazując głową bluzkę. - Chcę mieć przedsmak tego, co widziałem na zdjęciach.

Na poły nie zdając sobie sprawy z tego, co właściwie robi, zdjęła bluzkę, usiłując nie patrzeć w oczy Steve'a (które płonęły jak u bestii). Połowa jej ja była już jednak spokojna, mówiła jej: „Nie robisz tego naprawdę”. Z tym nie miała kłopotu, bo podobnie radziła sobie będąc z Eugene'em. Robił to kto inny, nie ona.

Steve Warner kazał jej zdjąć z siebie wszystko i przyjąć kilka póż ze zdjęć. Wiedziała, że rumieni się po uszy, nawet klatkę piersiową miała ognistoczerwoną, ale czuła się właściwie, jakby była bardzo daleko od tego miejsca.

Przecież to wszystko dla Craiga.

- Teraz rozłóż nogi i zrób to sobie sama - zażądał i przez moment Caitlin nie mogła uwierzyć, że to rzeczywiście powiedział; to i jeszcze coś o szparze świadczącej, że jest naturalną blondynką.

Wiedziała jednak, czego Steve chce: tak samo robiły kobiety na zdjęciach w magazynie „Penthouse”, a jeszcze częściej w „Hustle-rze”. Wydawało jej się, że jest coraz bardziej napalony. Zdaje się, że należał do typów ugniatających sobie fiuta przez spodnie.

Potem skoczył na nią, zerwał z siebie ubranie i znów zaczął gryźć ją w szyję, potem zrobił to coś, i nie było nawet tak źle, bo skończyło się w parę minut. Steve pojękiwał i robił mnóstwo szumu, ale Caitlin nie wiedziała, czy dlatego, że jego zdaniem była wspaniała, czy po prostu udawał. Tak czy owak, mało ją to obchodziło.

Po tym wszystkim długo leżał jak kloc, co także jej się podobało, bo uwalnił się obok, a nie na niej.

W końcu poruszył się, spojrzał na nią i jakby się uśmiechnął.

- Dobrze z ciebie dziecko, Caitlin. Pieprzysz się jak stara, ale jesteś dobre dziecko. Nie myśl tylko, że powiem Craigowi, co się stało dzisiaj rano.

Serce podskoczyło jej do gardła, uniosła się na łokciach:

- Gdybyś chciał to zrobić, powiem, że kłamiesz. Pociągnął ją za włosy w tamtym miejscu.

- Naprawdę? To jak wyjaśnisz moją nagłą zmianę poglądów?

- Steve, umówiliśmy się. Uśmiechnął się.

- Wiem. Tak sobie żartuję.

Ale co z Craigiem? Czy naprawdę nie będzie wiedział, dlaczego Steve dzwoni i mówi, że zmienił zdanie? A gdyby kiedykolwiek się dowiedział, to czy miałby coś przeciwko temu?

Po raz pierwszy spotkała Craiga w centrum Nowego Jorku. Pracowała wtedy jako magazynierka. Zaczął z nią rozmawiać i natychmiast odkryli, że pochodzą z miasteczek leżących bardzo blisko siebie, natychmiast też Craig wiedział o niej wszystko.

- Nie możesz mieszkać z Dawn - powiedział, kiedy odwiedził ją w Queens. - Ta dziewczyna to nic dobrego.

Okazało się, że ma rację, chociaż Dawn była jej najlepszą przyjaciółką. Prawdę mówiąc, potem Caitlin zastanawiała się, czy nie skończyłaby tak jak ona, sypiając z mężczyznami na prawo i lewo, może nawet za pieniądze.

Craig ją od tego uratował. Ale co zrobiła teraz ze Steve'em Warnerem? Czy było to w porządku, jeśli postąpiła tak, żeby ratować ich związek?

Dobra, jedziemy - zawołał Al Giardino. Wyprostowała się na krześle.

- Craig zawsze z Caitlin - powiedziała sobie pod nosem i ujęcie poszło jak z płatka, bez dubli.

Z twarzy Arta McCullougha mogła wyczytać, że jest bardzo zadowolony. Nawet się uśmiechnął, kiedy Craig podbiegł do niego i uściskał mu dłoń.

Wybuchł wielki rozgardiasz, przesuwano cały sprzęt, więc ludzie biegali dookoła i wzajemnie na siebie wrzeszczeli. Przez chwilę Caitlin żałowała, że to już koniec. Spodobało jej się bycie w centrum uwagi. I wtedy zobaczyła, jak w głębi studia otwierają się drzwi i ukazują się w nich Steve Warner.

Poczuła, że zaraz rozboli ją głowa.

Steve Warner ledwie spojrzał na Craiga, który nadal rozmawiał z panem McCulloughem, a potem zaczął się przepychać przez tłok do obrzeża planu, tam gdzie stała Caitlin.

- Jesteś jedyną osobą tutaj, która się nie uśmiecha - powiedział. Podeszedł o wiele za blisko jak na jej gust Wzruszyła ramionami.

- Jestem szczęśliwa.

- Właśnie słyszałem, jak Art McCullough nazwał cię marzeniem.

- Naprawdę?

- O, jest i uśmiech. - Wyciągnął rękę i przełożył palec przez patkę paska na jej dzinsach. - Może weźmiesz ze sobą ten uśmiech na moje poddasze dziś wieczorem? Świetnie pasuje do tego żaru, który jest w tobie. - Chyba żartujesz!? Nie!

Twarz mu poczerwieniała i Caitlin żałowała, że nie ugryzła się w język i zawczasu nie pomyślała. Ale przecież nie było mowy o ciągnięciu tej historii!

- Co takiego? - Głos mu dziwnie drżał.

- Przepraszam - powiedziała szybko. - Nie chciałam powiedzieć tego tak ostro. Ale muszę być z Craigiem, Steve. Wiesz o tym. Nadal był rozwścieczony, bladoniebieskie oczy były chłodem, źrenice zwięzły się do malutkich punkcików, co według „Star” oznaczało, że wcale mu się nie podobała.

Czekała i czekała, żeby coś powiedział, ale on w końcu rzucił tylko: - Ech, idź do diabła. - i odszedł.

W tej samej chwili zbliżył się Craig. - Hej, Steve. Jak...

Ale Steve Wamer po prostu go minął.

- O co mu chodzi?

Caitlin wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Co takiego mu powiedziałaś?

- Nic nie mówiłam. Zdaje się, że jest w kiepskim nastroju. Dlaczego uważasz, że to moja wina?

- Wszystko jedno, i tak już go nie potrzebujemy.

- Co?

- Art McCullough. Wiesz, co powiedział przed chwilą?

- Według Steve'a spodobałam mu się.

- Nawet bardziej, Cait. - Objął ją w talii. - Chce zrobić ci zdjęcia próbne do roli w filmie.

Caitlin wydała okrzyk i natychmiast zakryła usta dłonią, bo uświadomiła sobie, że wszyscy się gapią. Craig pokręcił głową.

- Będzie coś robił w Grayson Productions, wiesz, w wytwórni Jake'a Graysona.

- Nie wierzę.

- Możesz wierzyć. Scenariusz ma być fantastyczny. Cacko. A główna rola dla nowej twarzy. Serce zabiło jej mocniej.

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że będę miała zdjęcia do głównej roli?

Craig rozłożył ręce.

- Nie wiem. Powiedział, że jesteś jak marzenie. Oszalał na twoim punkcie. - Znowu objął ją w talii i spojrzał jej w oczy. - Jestem z ciebie taki dumny, Cait - powiedział cicho. - A Steve może sobie być głupim dupkiem. Daliśmy sobie radę bez niego, niech spieprza.

- Mhm - mruknęła Caitlin, pragnąc, by nie musiała w tej chwili udawać. Czy postąpiła słusznie? Tak szczęśliwego Craiga nie widziała od miesiący, może nawet przez całe trzy lata. Ale to szczęście napawało ją lękiem, było prawie niekontrolowane. A poza tym zależało od niej i od tego, co zrobiła i co miała robić w przyszłości.

Craig patrzył na nią jak szaleniec, i to budziło w niej lęk, bo bardzo długo był dla niej oparciem. A gdyby zwariował? A jeśli wszystko się rozleci teraz, kiedy dzieje się tyle nowego? Zawsze musieli walczyć z wszystkimi i ze wszystkim, i w tej batalii z resztą świata wzajemnie się wspierali. Ale w pokazywanych późnym wieczorem filmach o sławnych ludziach, którzy wpadli w alkoholizm, klęskę zawsze sprowadzał na bohaterów rozgłos. Czy teraz też przyjdzie całe to zło? Czy Craig odejdzie tak jak Eugene? Nie wierzyła już jego oczom. Wyglądał jak obcy człowiek, mimo że szczęśliwy.

Onyx wyciągnęła ramiona nad głowę, tak że piersiami prawie omiatała twarz Normana. On to uwielbiał. I nie był chyba za bystry, bo z kim właściwie się ożenił? Z kobietą płaską jak deska. Zdyrektorzały babochłop. Nosi nawet męskie koszule i marynarki, wyglądając w tym jak facet w spódnicy. A na biurku Normana stoi fotografia, na której jego żona ma krawat.

Kto inny na pewno skłoniłby ją czymś takim do rozważań, czy nie jest homoniepewny. Ale jeśli byli na świecie całkiem homopewni ludzie, to bez wątpienia należał do nich Norman Lyons. Ten nigdy nie miał dość. Musiała tylko błysnąć mu czymś przed oczami. Podciągała spódnice, żeby zobaczyć pończochy na podwiązkach i trochę owłosienia, albo przychodziła do pracy bez stanika i po prostu rozpinała bluzkę, stojąc przy jego biurku, a już był dyszący i gotowy.

Musiała zresztą przyznać, że po seksie z nim miała całkiem niezłe wrażenia. Nie, o tym, żeby nie mogła bez niego żyć nie było mowy, ale miał ładne ciało, zgrabne ruchy, zawsze świeży oddech i częściej doprowadzał ją do orgazmu niż nie. Nie miała więc powodów do narzekań.

Tyle że chciała nieco szybszego rozwoju swojej kariery.

- Tak sobie myślałam... - powiedziała znowu się przeciągając.

Wyciągnął rękę do góry i zaczął się bawić jej sutkami, Onyx skręcała się nad nim z przyjemności.

- Mmm - westchnęła.

- O czym tak sobie myślałaś? - spytał gardłowym głosem.

Siedziała okrakiem na nim, w jego ulubionej pozycji, i czuła, że Norman znowu robi się twardy.

- Mmm, dobrze - szepnęła, odrzucając głowę do tyłu. To jedno odczucie naprawdę lubiła, kiedy jej aksamitne włosy dotykały ramion i pleców, smolista czerń na śnieżnej bieli.

- Tracisz koncentrację? - spytał.

- Mmm. - Przestała się poruszać i spojrzała mu w oczy najbardziej roznamiętnionym spojrzeniem, na jakie mogła się zdobyć. - Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy, powiedziałam ci, że nie chcę być aktorką, tylko dostać jakąś zakulisową pracę? - Sięgnęła ręką do tyłu i masowała mu teraz członek.

- O Boże, Onyx. - Zostawił w spokoju jej piersi, a Onyx odsunęła się nieco do tyłu, tak że siedziała teraz bardziej na jego udach i było jej łatwiej zebrać myśli.

- Tak sobie myślałam... - powiedziała, delikatnie go pieszcząc. - Bo wiesz, zakulisowa robota to wcale nie takie wielkie halo. Jestem tam strasznym popychadłem. Równie dobrze mogłabym pracować w fabryce. - Polizała palce i obiegła nimi żołądź członka. - Chcę powiedzieć, że gdybym mogła pracować dla ciebie i być z tobą przez cały czas, wszystko wyglądałoby inaczej. Teraz tylko mnie przedstawiają jak wagon, żebym nie przeszkadzała, nawet niczego się nie uczę. - Jedną ręką sięgnęła do jego sutek i Norman zaczął pojękiwać. Nawet już na nią nie patrzył. Oczy miał zamknięte, a oddech coraz szybszy.

- O Boże, nie chcę teraz rozmawiać - wyszeptała. - Wsadź mi go, Norman. Wsadź mi zaraz. - Lekko się uniosła i z okrzykiem opadła na niego.

Nieważne, że udawała. Raz już sobie zrobiła dobrze, więc jakie to miało znaczenie? Czasem wydawało jej się, że jest bardziej seksowna, okazuje więcej namiętności właśnie wtedy, kiedy udaje. I łatwiej jej się było skupić na tym, co podobało się mężczyźnie. Norman na przykład uwielbiał mieć ją na sobie, chwytać ją za biodra i cycki, i ta wiedza była bardzo użyteczna.

Tym razem wystrzelił jak rakietą, nawet nie zdążyła tego przewidzieć. Pośpiesznie sfabrykowała parę jęków i gwałtownych poruszeń, po czym ułożyła się na jego piersi zadowolona, że jest mokry, dzięki czemu i jej skóra zwilgotniała. Było to ważne, na wypadek gdyby chciał sprawdzić.



- Mmm - wymruczała mu w szyję. - To było fantastyczne.

Nie odezwał się.

- Norman?

- Mhm-mruknął.

- Co się stało?

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Nie podoba mi się to, co przedtem mówiłaś, Onyx.

- Masz na myśli moją pracę?

- Właśnie. Załatwiłem ci miejsce, na które pchają się setki dziewczyn. Tam nie jest łatwo się dostać.

Umiesz co trzeba, ale nie ty jedna. Nie chcę, żebyś po kilku dniach odchodziła. To źle wygląda.

Przygryzła wargę. - Coś ty, naprawdę? - Naprawdę.

- A gdybym okazała się dobra? Gdyby można było zrobić świetne posunięcie? Na przykład wprowadziłbyś mnie, żeby ratować sytuację.

- O czym ty mówisz? Jaką sytuację?

Zaczynał być rozdrażniony i Onyx wiedziała, że musi uważać. Facetowi, podobnie jak dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom pozostałych, należało wpoić przekonanie, że wszystko sam wymyślił. Tymczasem niewykluczone, że już zaszła za daleko.

- Oj, nie wiem - westchnęła. - Mniejsza o to. Nie warto się tym zajmować. Poza tym masz rację. Nie chcę, żebyś sobie narobił tyłów. - Zlazła z niego i opadła na poduszki.

- Ale co właściwie chciałaś powiedzieć?

- Oj, coś bardzo głupiego. Poczęstujesz mnie papierosem?

- Jasne. - Zaczął się gramolić z łóżka, ale go powstrzymała. - Nie, sama sobie wezmę. Powiedz mi, gdzie są. - W marynarce.

Zeskoczyła z łóżka i eksponując wdzięki, przedfilowała do marynarki. Starła się ze wszystkich sił usatys-

fakcjonować Normana. Wiedziała, że lubi oglądać ją naga, gdy chodzi po hotelowym pokoju i w każdej innej sytuacji, a właśnie teraz musiała za wszelką cenę utrzymać jego zainteresowanie.

- Nie lubię, jak palisz, Onyx - powiedział, kiedy wróciła, trzymając dwa żarzące się papierosy.

- Dlaczego?

- To mi psuje twój obraz. Wyglądasz jak gangster. Wzruszyła ramionami.

- Mam wiele różnych twarzy. Właśnie dlatego... no, nie wiem. Widziałam te aktorki przychodzące do programu Jake'a Graysona i do wiadomości o piątej. Pomyślałam, że byłabym nie gorsza niż połowa z nich. Może nawet wszystkie.

Nie odpowiedział. Po prostu leżał i palił.

- Ale chyba jednak masz rację - dodała szybko. - Nie chcę, żebyś robił sobie tyły i sama nie chcę wyjść na osobę nieodpowiedzialną, więc może powinnam poczekać rok, dwa. - Westchnęła. - Tylko akurat usłyszałam o nowym scenariuszu do realizacji w Grayson Productions. Wieść wydała mi się bardzo zachęcająca. Ale przecież to nie ostatni film, będą inne.

- O jakim scenariuszu mówisz?

- O tym, który ma robić Art McCullough. Taki facet od reklam.

Skinął głową.

- *Księżniczka przeznaczenia.*

- Właśnie. A pomyślałam o tym, bo wiem, że szuka nowej twarzy do głównej roli.

- Taaak, ale to jeszcze nie jest do końca postanowione. Rzecz zasadza się na budżecie, a budżet może się zmienić.

- Ach, rozumiem... - Wzruszyła ramionami i zaciągnęła się dymem. - Prawdopodobnie więc zaangażują jakąś gwiazdę. - Westchnęła i przebiegła mu palcami po klatce piersiowej, zahaczyła o sutkę i skierowała się w dół brzucha. - Mniejsza o to, chcę, żebyś wiedział, że i tak jestem ci wdzięczna za tę pracę, którą mam teraz.

- Oblizwała wargi. - Wdzięczna na zawsze. Nie sądź więc, że z zainteresowania aktorstwem zapomnę o tobie. Norman błądził myślami gdzieś daleko.

- Kto wie? Może któregoś dnia zostanę naprawdę wielką gwiazdą i będę producentem mojego własnego filmu, a ciebie wykupię z CTC i podbiore cię żonie.

Uśmiechnął się, ale jakby pod przymusem.

- Naprawdę mówisz to wszystko poważnie? Mam na myśli aktorstwo.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie. Bo widzisz, gdyby była potrzebna nowa twarz, to może miałabym szanse. Inaczej nie ma o czym mówić. Nadal leżał i palił. W końcu powiedział:

- No dobrze, zobaczymy. - Słowa były tak ciche, że ledwie je usłyszała.

- Naprawdę? Co rozumiesz przez „zobaczymy”.

- Nie znam dobrze Arta McCullougha, ale na pewno znam resztę ludzi związanych z tym interesem.

- Naprawdę?!

- Ale posłuchaj, Onyx, nie obiecuję ci niczego innego niż przesłuchanie. W najlepszym razie.

Rozumiemy się?

- Nie żartuj. Przesłuchanie to już mnóstwo!

- Nie podniecaj się za bardzo. Z tego co wiem, reżyser chce obejrzyć tłumy dziewczyn. Od przyszłego tygodnia będą je przysyłać agenci z całego miasta.

- Ile ich będzie?

- Dziesiątki. Może setki. McCullough jest fanatykiem, to wiem.

- A jaka jest ta rola? Czy możemy na przykład... czy moglibyśmy obejrzyć scenariusz? Albo może po prostu spojrzalbyś na niego i napomknął mi, kogo reżyser szuka. Bo wiesz, gdybyś na przykład podsunął wytwórni kogoś idealnego, to twoje akcje poszłyby w górę.

Westchnął. Co ona właściwie robi, do cholery? Szantażuje go? Niech to diabli, za stary z niego wróbel. Wprawdzie siedzi tylko w dziale sprzedaży CTC, ale co ona za jedna, żeby mu grozić?

Z drugiej strony nie miało to właściwie znaczenia. Domowe sprawy z Lesley układały mu się w ten sposób, że Onyx była dla niego darem niebios. A że prosiła go o różne przysługi... cóż, nie mógł jej za to winić. Wiedział, jak wyglądało jej życie, kiedy ją spotkał. Żyła z dorywczych prac, a wspólne mieszkanie z trzema czy czterema innymi dziewczynami też nie było szczytem marzeń. Nic dziwnego, że chciała mieć coś dla siebie.

A on nie mógł nie wyobrazić sobie przyszłości. Rozwiedzie się z Lesley, która chce rozwodu, nawet jeśli o tym nie wie. A potem kupi małe mieszkanie dla siebie i Onyx. Może nawet duże mieszkanie, bo Lesley nie wyłudzi od niego alimentów za żadne skarby. Tymczasem z jego pomocą Onyx będzie już wschodzącą gwiazdą. Będą szaleć i pędzić życie między dwoma wybrzeżami Stanów jak wszyscy ludzie telewizji. Może nawet będą mieli dzieci?

Czy był to tak bardzo nieprawdopodobny pomysł? Onyx bez wątpienia próbowała go skubać. Widział to samo dziesiątki razy u innych par. Ale widział też wiele takich przypadków zakończonych małżeństwem. Zgodnie z prawami natury budziła się prawdziwa miłość.

Kiedy Onyx wyskoczyła z tym aktorskim pomysłem, coś ścisnęło mu żołądek. Onyx chce więcej, niż ma, Onyx chce go puścić kantem, Onyx go upokorzy.

Ale jeśli zareagować odpowiednio, to ani nie będzie chciała odejść, ani go nie upokorzy.

Czy nie warto było spróbować, nawet gdyby ludzie mieli pomyśleć, że zdumiał na starość? On sam zaszedł dosyć daleko jak na chłopaka z Brooklynu, którego rodzice wciąż mówili z wyraźnym rosyjskim akcentem. Miał pracę dającą nieco władzy, pensję, o której matka mogła tylko marzyć, więcej bezpieczeństwa niż setki mężczyzn i kobiet w tej samej stacji telewizyjnej.

Ale każdego wieczoru, gdy wracał do domu, zresztą o coraz późniejszej godzinie, witała go Lesley. Żona już się nawet do niego nie uśmiechała, była zimna jak lód

i traktowała go jak obcego. „Moja żona mnie nie rozumie”, cóż za banał, ale przecież prawdziwy. Teraz jednak miał Onyx. I nie mógł powściągnąć marzeń o przyszłości.

Zrozumiałe więc, że Onyx chciała od niego to i owo. Wcale jej za to nie winił.

Wyobrażał sobie rozdzierający krzyk matki: „To zwyczajna szmata z Florydy! Boże, mój syn stracił rozum! Masz piękną żonę, śliczny dom, co ty robisz z jakąś Onyx? Co to za jedna?”

„Ależ mammo...”

„W małżeństwie nie wszystko jest doskonałością. Kto ma doskonałe małżeństwo po dziesięciu latach?”

Po tych dziesięciu latach brakowało mu jednak takiej miłości, jaką uprawiał z Onyx. Chciał obejmować kobietę w taki sposób jak ją. Chciał czuć zapach jej szyi, włosów, skóry, chciał budzić się w środku nocy wiedząc, że Onyx jest obok niego, budzić się rano z uśmiechem i widzieć uśmiech w odpowiedzi.

Pragnął też przeżywać ekscytującą radość snucia wspólnych planów, robić coś dla ich przyszłości we dwoje.

- Norman, czy nie moglibyśmy chociaż trochę tego zaplanować?

- Owszem, owszem - mruknął nieprzytomnie. - Muszę tylko wymyślić najlepszy sposób.

Cholera, skomplikowana sprawa. To było przedsięwzięcie Arta McCullougha. Jego dziecko. Po trzydziestu latach wymyślania i reżyserowania filmów reklamowych facet dostał życiową szansę. Wytwórnia Grayson Productions powierzyła mu niepewne przedsięwzięcie, które znajdowało się jeszcze na etapie kłopotów ze scenariuszem, ale z tego co Norman słyszał, McCullough chwycił szansę natychmiast, bo spodobał mu się zarys intrygi. A od Graysona dostał to, czego nie dano by mu w innych wytwórniach: taki poziom reżyserskiej wolności, jaki spotykało się coraz rzadziej, szczególnie w telewizji. Budżet był mały, a czasu na film niewiele, ale co

dla McCullougha ważne, reżyser miał olbrzymie możliwości, sam decydował o obsadzie i scenariuszu.

Był jednak kłopot. Norman Lyons znał wszystkie szczegóły sprawy dzięki koledze z działu inwestycji. Sam był facetem od liczenia, jednym z ważnych, lecz nie najważniejszych w dziale sprzedaży. Na takich jak on, wszyscy pracownicy nominalnie twórczy chętnie wyładowywali swe urazy. Norman nie miał najmniejszego wpływu na obsadę. Dla facetów w rodzaju Arta McCullougha był nikim, wręcz niczym, i to go drażniło. W college'u zajęcia z literatury robiły na nim duże wrażenie, uwielbiał Law-rence'a, Fitzgeralda i Hemingwaya tak samo jak Art McCullough. Może nawet bardziej. Co właściwie kazało myśleć takim typom, że mają wyłączność na bycie twórcami? Na miłość boską, przecież McCullough reżyserował same reklamówki. Co takiego twórczego jest w tłumaczeniu dzieciakowi, jak wycisnąć pastę z tubki na szczoteczkę, uśmiechając się do kamery? Niezaprzeczalnie jednak Art McCullough nie chciałby nawet słuchać jego sugestii w sprawie obsady. Należało więc zrobić Jake'a Graysona. A myśl o tym, że trzeba zmusić Jake'a do zwrócenia uwagi na Onyx i obudzić w nim myśl powierzenia jej roli, nie należała do najmiłszych. Oczami duszy już to widział...

Postanowił nie dopuścić do takiego rozwoju zdarzeń. Załatwić sprawę tak, by Onyx była wdzięczna jemu i nikomu innemu.

Znalazł się w przymusowej sytuacji.

9

Norman Lyons -zaczerpnął głęboki oddech, poprawił krawat i zapukał do drzwi gabinetu Jake'a Graysona.

- Proszę - zawołał Jake.

Norman odchrząknął i otworzył drzwi.

- O, Norman, co mogę dla ciebie zrobić?

Norman ruszył w stronę krzesła, ale po drodze zawadził kolanem o stolik. Cholera.

- Bardzo... bardzo dziękuję, Jake, że zgodziłeś się mnie przyjąć nie wiedząc, o co właściwie chodzi. - Jake spoglądał z marsową miną. - Ale chcę, żebyś wiedział, że miałem powody do, no... do pewnej tajemniczości, powiedzmy. - Powiedzmy? Cholera. Skąd mu się to wzięło?

Położył na biurku szarobrunatną teczkę ze zdjęciami, które zrobił Onyx, i spojrzał Jake'owi w oczy.

- Widzisz... chciałbym, żebyś się zastanowił, czy ona nie pasowałaby ci do roli Audrey Adams. -

Przesunął teczkę w kierunku Jake'a, ten wziął ją i otworzył.

Natychmiast podniósł głowę.

- Już ją chyba gdzieś widziałem...

- Prawdopodobnie. Pracuje u nas. Ma na imię Onyx. Jake pokręcił głową.

- Jezu, skąd ludzie biorą takie imiona? - Spojrzał na pierwsze zdjęcie i prawie natychmiast przeniósł wzrok na następne. Czy nie za szybko? Norman znał wszystkie fotki na pamięć: Onyx na krześle, Onyx na kanapie, Onyx na włochatym dywaniku (dzięki Bogu, że Lesley nie przyszła wtedy do domu). Jake przeglądał je o wiele za szybko!

- Ma dużo wdzięku - powiedział Jake.

- To znaczy, że ci się podoba.

Jake zamknął teczkę i odchylił się na oparcie krzesła.

- Norman, wiesz, że prosisz o niemożliwość.

- Źle się wyraziłem. Chodzi mi tylko o to, żeby Art ją przesłuchał, to wszystko. Nigdy nie poprosiłbym o więcej, Jake.

- Obsadą zajmuje się Art.

- Ale ty jesteś producentem. Gdybyś chciał, mógłbyś...

Jake pokręcił głową.

- Posłuchaj mnie, Norman. I spróbuj zrozumieć. Dokładnie rozumiem twoją sytuację i powinieneś wiedzieć, że chciałbym ci pomóc. Ale co do obsady, w kon-

trakcie Arta nie ma żadnych niedomówień. To należy wyłącznie do niego. Mógłbym oczywiście go poprosić i przeforsować swój punkt widzenia, ale nie zamierzam tego robić. Dałem mu słowo i chcę go dotrzymać.

- Ale na przesłuchania przychodzą do niego dziesiątki dziewczyn. Słyszałem, że nawet setki.

Jake rozłożył ręce.

- Możliwe. Ale on sam je wybiera.

- Tylko przesłuchanie. Popatrz na nią. Jake patrzył Normanowi prosto w oczy.

- Nie muszę. To nie do mnie należy. Nie mam nic wspólnego z wyborem obsady.

Norman spuścił oczy i zapatrzył się w dłonie, w odrobinę zbyt grube palce i obrączkę, która zrobiła się za ciasna i nie schodziła. Boże. Jak ma wrócić do Onyx i powiedzieć jej, że nic z tego? Odejdzie od niego jak nic. Mógł sobie snuć plany na przyszłość, ale prawda była właśnie taka. Nie znaczyło to, że Onyx jest z nim wyłącznie dla jego kontaktów, niemniej jednak stanowiły one w tym związku warunek konieczny, bez spełnienia którego po prostu nie mogli być razem. Dla niego podobną rolę odgrywał seks: był z Onyx nie tylko dlatego, ale czy bez seksu miałby na to ochotę?

Zdecydowanie nie, gdyby miała sypiać z innym mężczyzną. Tak się jednak złożyło, że Norman również ją kochał. I miał nadzieję...

Cholera. Już widział, jak to się kończy: wraca do domu, Onyx zarzuca mu ręce na ramiona tak jak zawsze, spogląda tymi wielkimi niebieskimi oczami, a potem on mówi, że nie jest w stanie załatwić przesłuchania u Arta. Ona cofa ręce, odstepuje o krok i mówi: „Chyba żartujesz? Poszedłeś do Jake'a Graysona i on ci odmówił? A ja, zdaje się, słyszałam od ciebie, że mi załatwisz, Norman". I to będzie jej do widzenia.

- Jake... - Coś zaczęło drapać go w gardle, a potem Grayson nie dał mu dokończyć.

- Norman, przecież ty nie prosisz mnie, żeby jej załatwić przesłuchanie. Dobrze o tym wiesz.



- O czym ty mówisz?

Jake splótł palce nad teczką ze zdjęciami.

- Art McCullough jest bystrym człowiekiem. Przypadkiem obaj mamy dość podobne gusty w ocenie aktorów, muzyki, scenariuszy. Poza tym Art ma oczywiście u mnie dług wdzięczności. Jeśli teraz zadzwonię do niego i powiem: „Hej, Art, jest tu ktoś, kogo mógłbyś przesłuchać do roli Audrey Adams”, to czy sądzisz, że będzie patrzył na tę dziewczynę tak samo jak na pozostałe? Cholera, nie. Uzna, że najzręczniejsz zrobi, dając jej tę rolę.

No i dobrze, pomyślał Norman. Ale powiedzieć tego nie mógł.

- Rozumiesz, co ci usiłuję powiedzieć? Nie chcę w jakikolwiek sposób wpływać na ocenę Arta. Obiecałem mu swobodę wyboru i zamierzam się z tego wywiązać.

Boże. Jedynym sposobem pozostało wyłożenie wszystkich kart na stół. W razie konieczności błaganie. Serce zaczęło mu walić, a dłonie nagle zwilgotniały.

- Jake, ja po prostu nie mogę jej w tej sprawie zawieść. Nie mogę. - Urwał na chwilę. - Wolę... wolę złożyć dymisję niż powiedzieć jej „nie”.

- Jezu, Norman, daj spokój. Bądź poważnym człowiekiem.

- Jestem poważny. Odpowiadam za każde słowo, które tu padło.

- A niech to diabli - westchnął Jake. Wydawał się zły, ale czy w jego głosie nie było także nuty zrozumienia? - Coś ci powiem - odezwał się w końcu. - Nie przysyłaj jej do mnie. Nie chcę jej widzieć. Nawet nie mam na to czasu, Norman. Ale Art się o niej dowie i ją przesłucha. To wszystko. Nie będzie żadnych telefonów: „Art, stary, tu jest taka dziewczyna, która doskonale pasuje do tej roli”. Ma załatwione przesłuchanie i koniec.

- Rozumiem.

Jake się uśmiechnął.

- Akurat. Owinęła cię dookoła palca tyle razy, że

nawet nie wiesz, który jest rok. Ale nie ma sprawy. Może później, kiedy jej dokładnie wytłumaczysz, na czym polega umowa, zaczniesz to do siebie docierać.

Norman nie musiał jednak czekać tak długo. Doskonale wiedział, co Jake ma na myśli. Onyx miała stanąć do przesłuchania, co według wszelkich rozsądnych kryteriów było dużą sprawą. Ale czy dla niej wystarczającą?

Czuł się jak mięczak, jak absolutne zero. I zupełnie nie wiedział, co robić, jeśli Onyx pomyśli o nim tak samo.

Nie poszła do pracy, czekała w domu, przez co sprawa przesłuchania stawała się jeszcze bardziej paląca. Cholera.

Zbliżał się koniec dnia, a on nawet nie miał ochoty do niej iść. Zostawiła dla niego cztery telefoniczne wiadomości (dzwoniąc jako Pearl), ale nie zareagował na żadną z nich. Miał nadzieję, że w ten sposób Onyx będzie się spodziewać jak najgorszych wiadomości.

Miał też kłopot z Lesley, coraz trudniej było mu wymyślać preteksty uzasadniające jego częste nieobecności. Chociaż jej to właściwie nie obchodziło. Kiedy był w domu, nawet na niego nie patrzyła. O siódmej wykręcił numer Onyx.

Odebrała, jeszcze zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

- Cześć, kochanie - powiedział.

- Tak czy nie?

- Może się zobaczymy? Zapadła cisza.

- Onyx, czy mogę przyjść, czy są z tobą Alice i Steely?

- Nie ma ich, obie wyszły. Przyjdź. Ale proszę, zdradź choć słowo. Proszę.

- Przepraszam, ale nie. Będę za chwilę. - Odwiesił słuchawkę.

Dwadzieścia minut później dotknął przycisku dzwonka. Drzwi otworzyły się z rozmachem, Onyx wyskoczyła jak na sprężynie i wciągnęła go do środka.

- Powiedz mi, powiedz, powiedz...

W taksówce wyobrażał sobie tę scenę dziesiątki razy: będzie zgaszony i oszczędny w słowach, zmusi ją, żeby wyciągała z niego wszystko tak długo, że kiedy w końcu usłyszy nowinę, zacznie skakać z radości.

Zamiast tego powiedział jednak tylko:

- Załatwione.

Wydała okrzyk i zakryła dłonią usta tak energicznie, że aż klasnęło. Potem oderwała się od niego i zaczęła biegać wkoło.

- Nie wierzę! Nie wierzę!

- Onyx, poczekaj.

Zatrzymała się i przestała krzyczeć, Norman musiał do niej podbiec. Kiedy złapał ją za ramiona, poczuł zapach perfum i pomyślał: to ostatni raz.

- Onyx, mówię o przesłuchaniu. Masz załatwione przesłuchanie.

- Co takiego?

- Myślałem, że zrozumiesz właściwie. Prosiłem, żeby przyjęto cię na przesłuchanie. Rolę może ci dać tylko Art McCullough i nikt inny. A tego się nie robi na podstawie samych zdjęć.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Przesłuchanie? Co... co rozumiesz przez „przesłuchanie”? Kiedy powiedziałeś, że załatwione...

- Przecież przez kilka ostatnich dni rozmawialiśmy właśnie o przesłuchaniu.

- Ale powiedziałeś, że załatwione - upierała się cicho. Jej głos brzmiał wyżej niż zwykle, zdawało się, że należy do dziecka, a nie osoby dorosłej. A oczy były dwa razy większe niż normalnie, olbrzymie i Jśniące od łez. - Onyx... - Wyciągnął rękę w geście pocieszenia, ale ją odepchnęła. - Onyx, nie spodziewałaś się chyba, że wykombinuję ci rolę. Nie żartuj. Przecież Art McCullough nawet nie widział cię na oczy. - Powiedziałeś, że załatwione...

Gapił się na nią. Oszalała czy co? Może przez parę sekund naprawdę myślała, że ma rolę, na tej zasadzie, na jakiej czasem człowiek dostaje histerycznego zawro-

tu głowy i wydaje mu się, że świat jest lepszy niż w rzeczywistości, a on będzie żył wiecznie. Ale nie mogło to trwać dłużej niż parę sekund. Co oznaczało, że teraz Onyx usiłuje go wciągnąć w jakąś grę.

- Bądź rozsądna - powiedział.

Stała wyczekująco przy oknie w salonie, jej wysoka postać w jasnoniebieskiej atlasowej sukience (którą dał Onyx w prezencie, żeby pasowała do koloru jej oczu) rysowała się na tle wieczornego nieba nad miastem. Na pewno starała się wyglądać tak pięknie, dramatycznie i boleśnie, jak tylko umiała.

- Przecież dopiero kilka dni temu zachciało ci się być aktorką - powiedział. - A teraz nagle życie traci dla ciebie wszelką wartość, jeśli nie dostaniesz głównej roli w filmie Arta. Nie wygłupiaj się. Musisz przyznać, że to dosyć obłądny pomysł.

- Jestem rozczarowana - krzyknęła. - Nie rozumiesz tego?

- Oczywiście. Ale przestanę mieć zrozumienie, jeśli będziesz rozczarowana zbyt długo. Załatwiłem ci to, o co się staraliśmy.

- Chcę zostać sama.

- Co takiego?

- Chcę zostać sama. Wszystko jedno, czy to rozsądne, Norman. Po prostu tak chcę.

Znowu obróciła się do okna i z wymuszonym spokojem czekała, co się stanie. Kiedy zaczynała stroić fochy, Norman początkowo się wściekał, potem wpadał w przygnębienie. Czasem ten sposób świetnie jej się sprawdzał, czasem przesadzała, ale jeśli zagrała odpowiednio, Norman przybiegał do niej jak szczeniak.

W tej chwili właściwie miał prawo być trochę rozżłoszczony. Przez parę sekund rzeczywiście sądziła, że załatwił dla niej rolę, no i może nie powinna robić takiego wielkiego hałasu, kiedy świeżo obudzone nadzieje się nie potwierdziły. Dlaczego jednak Norman w kółko głądził, że to niemożliwe? Boże! Nie wyglądał z tym imponująco. Powtarzał, bez końca, że nie ma wiele władzy.

- Onyx, popatrz na mnie.

Obróciła się. Norman stał dokładnie w tym samym miejscu, co przed chwilą, przy kanapie, i wyglądał jak jakaś durna statua.

- Wychodzę - powiedział. - Nie mam zamiaru siedzieć tutaj, skoro jestem niemiłe widziany. Ale ostrzegam: jeśli rzeczywiście masz takie odczucia, jeśli rzeczywiście w jakiś sposób cię zawiodłem, to z nami koniec. Bo w takim przypadku albo jesteś szalona, albo... - pokręcił głową - albo nie umiem sobie wyobrazić co. - Wziął do ręki teczkę i skierował się do drzwi.

- Norman, poczekaj!

Zanim pobięła za nim, odpięła pasek szlafroka. Dopadając go, oparła się plecami o drzwi wyjściowe, tak że atlas się rozchylił i znalazła się przed nim ubrana i naga zarazem.

- Przepraszam. Słowo daję, że przepraszam. Nie idź, Norman. - Zaczęła rozwiązywać mu krawat. - Musisz zrozumieć, że kiedy coś wpadnie mi do głowy, nie mogę się powstrzymać przed snuciem marzeń. Bardzo mnie zmartwiłeś, nie odpowiadając na telefony, a potem skończyłeś rozmowę odwieszeniem słuchawki, więc kiedy powiedziałaś, że załatwione, musiało się stać tak, jak się stało. - Pociągnęła za krawat, który zsunął się z szyi Normana na podłogę, potem zaczęła szukać przez koszułkę jego sutek i sprawiła, że stwardniały. - Zostań, proszę - szepnęła. - I proszę, wybacz mi. Wiem, że zachowałam się brzydko, powinnam być ci wdzięczna.

Sięgnęła w dół i położyła sobie jego dłonie na biodrach.

- Norman, proszę, zostań ze mną. Mamy całe dwie godziny do powrotu Alice i Steely.

Jeszcze się wściekał, to nie ulegało wątpliwości. Zwykle gdy tylko się do niego zbliżyła, robił się cały dla niej, dostawał erekcji od najlżejszego dotknięcia. Teraz jednak praktycznie go gwałciła. Miała nieodpartą wrażenie, że Norman jej się opiera.

Wyczuła przez spodnie jego członek.

- Proszę - wyszeptała, przyciskając mu usta do szyi. Wreszcie poczuła, że jej praca daje wyniki i Norman

zaczyna zdradzać objawy życia, mimo że była na nim skupiona tylko połowicznie, gdyż równocześnie snuła domysły, co będzie musiała zrobić z Artem McCul-loughem. Nigdy w życiu nie widziała tego faceta, więc trudno było powiedzieć na pewno, ale założyłaby się, że znajdzie w nim świetnego kandydata do wystrzałowego numeru w łóżku. Przedtem może jeszcze zafunduje mu kilka błysków ciała w wytwórni. Ten sposób prawie nigdy nie zawodził. Następny krok prowadził więc...

- Boże, Onyx.

... Do Arta McCullougha. A gdyby przypadkiem okazał się ponurym, świętoszkowatym mężulkiem, trzeba trochę odmienić jego poglądy.

- Tak, Onyx, tak.

10

Chris poruszył głowę i jęknął. Przypomnił sobie: pernod, wino, znowu pernod, brandy... I zdjęcia. To mu się chyba nie przyśniło... a może? Był z Gerardem w łóżku, pijany, i pokój wirował. Gerard nagle zaczął mu robić zdjęcia, a może im obu. Z samowyzwala-czem.

Boże. Zastanawiał się, jak bardzo był pijany.

Głowa bolała go tak bardzo, że nie mógł myśleć. Chciał tylko zamknąć oczy i odsunąć od siebie to wszystko jak najdalej.

Ale kiedy zamykał oczy, nachodziły go same potworności. Gerard opublikuje te zdjęcia w piśmie francuskich homoseksualistów. Gorzej, opublikuje je w piśmie amerykańskich homoseksualistów... Przyjedzie do Nowego Jorku i będzie próbował szantażu...

Co za głupota. Gerard nawet nie wiedział, kim jest jego gość.

Chris wiele mu opowiedział o swojej rodzinie, ale z Jake'a zrobił bankiera. Nie chodziło o to, że nie ufał Gerardowi, ale chciał, żeby obyło się bez komplikacji. I teraz cieszył się, że skorzystał z nazwiska Grozinski, a nie Grayson.

Być może zresztą wspomnienia z ostatniej nocy ubarwiła mu jakaś senna paranoja. Część z nich po prostu należała do świata snu. I może zdjęcia były żartem, nieprzemyślanym pijackim wymysłem. Usiadł i przyłożył dłonie do skroni. Uwaga. Nie ma potrzeby panikować. Jeśli tylko uda mu się wolno poruszyć...

Wciągnął szlafrok, otworzył drzwi i zaczął schodzić na dół, do holu. Miał nadzieję, że Gerard zrobił trochę tej wspaniałej mocnej kawy. Pośmieją się razem ze zdjęć i z głupich obaw, i na tym się skończy.

Ale Gerarda nie było ani w salonie, ani w kuchni, ani w żadnym z pozostałych pokoi. Mieszkanie sprawiało dziwnie puste wrażenie, jakby nie tylko Gerarda w nim brakowało.

Chris spojrzął na zegarek: pierwsza. Jak mógł tak długo spać? Przecież kłopoty z różnicą czasu już miał za sobą.

Może Gerard wyszedł kupić dla nich coś na śniadanie... albo na lunch.

Usłyszał obrót klucza w zamku i zszedł do holu, usiłując nie myśleć o bólu głowy. Ale zaraz potem zobaczył wysoką, przygarbioną postać, wpychającą do mieszkania dwie wielkie walizy. Nie był to Gerard.

Mężczyzna go nie widział. Był zajęty odkładaniem klucza na stół, wieszaniem kapelusza, przepychaniem walizek w głąb mieszkania. Wyglądał na biznesmena: ciemny płaszcz, szary garnitur, wypucowane do połysku półbuty. Był zapewne świeżo po pięćdziesiątce, choć Chris nie miał pewności, bo nie widział dokładnie twarzy.

I wtedy mężczyzna podniósł głowę.

Znieruchomiał i zagapił się w sposób całkowicie dla Chrisa niezrozumiały. Czyżby był wystraszony? Rozgniewany? Kto to, do diabła, w ogóle był? Kochanek Gerarda?

- *Ne bougez pas* - powiedział tamten niskim, zaciekłym głosem. To chyba znaczyło „Nie ruszaj się”? - *Je vais telephoner la police.*

- Nie - powiedział Chris, robiąc krok do przodu. Ale mężczyzna wycelował w niego dłonią niczym pistoletem.

- *Je vous ai dit ne bougez pas* - wykrzyknął.

- W porządku - zgodził się Chris. Francuskiego nie pamiętał kompletnie. - Ale zdaje mi się, że pan nie rozumie. - Boże, i co teraz powiedzieć? - *Je suis un houseguest de Gerard II est parti* - Miał nadzieję, że nie uśmiercił Gerarda tą wypowiedzią. - Wyszedł - dodał ostrożnie. - Nie wiem dokąd, ale na pewno zaraz wróci.

- Nie znam żadnego Gerarda - odpowiedział mężczyzna po angielsku z bardzo złym akcentem.

- Ale to... - Miał zamiar powiedzieć: „Ale to jest jego mieszkanie”.

Oczywiście jednak wcale tak nie było. A może jednak?

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, a głowa omal nie pękła na pół.

- Proszę posłuchać - powiedział. Bądź co bądź ten człowiek należał do francuskiej burżuazji i nie zamierzał zatopić mu noża między żebrami. - Wyraźnie zaszło olbrzymie nieporozumienie. Mogę natychmiast opuścić to mieszkanie. Ale proszę nie dzwonić na policję.

Mężczyzna zmrużył oczy.

- Gdzie jest Georges?

- Nie znam żadnego Georgesa - powiedział Chris stanowczo za wysokim głosem. - Bardzo przepraszam. Już wychodzę.

- Nigdzie nie wychodzisz. Najpierw muszę się dowiedzieć, co się stało w moim mieszkaniu.



- Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Przyjechałem z Nowego Jorku zaledwie kilka dni temu. Mężczyzna zaczął wrzeszczeć po francusku, raptownie uniósł ręce i zaczął się zbliżać do Chrisa.

- Proszę poczekać - powiedział Chris. - Proszę. Może...

- Jak się nazywasz? - spytał mężczyzna.

- Eee... - Doskonale. Jeszcze tego brakowało, żeby się wahał, które nazwisko podać. Ale przez ostatnie dni tak usilnie starał się być Chrisem Grozinskim, że odpowiedź rzucił właściwie machinalnie. - Christopher Grayson.

- A możesz pokazać mi jakiś dokument? Z nazwiskiem i adresem w Stanach? Oczywiście muszę jeszcze sprawdzić, czy mieszkanie jest w zadowalającym stanie.

- Naprawdę nie mam z tym nic wspólnego - powiedział Chris. - Czy nie mógłby mi pan przynajmniej wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

Mężczyzna znowu wykonał raptowny gest.

- Czy to nie jasne? Trzy miesiące temu poddzierżawiłem to mieszkanie. Wygląda na to, że stoi teraz puste. O ile mówisz prawdę. - Mężczyzna zmrużył oczy. - Czego oczywiście nie mogę wiedzieć.

- Rzeczywiście nie - przyznał Chris. - Zaraz pokażę panu... - Urwał jednak, bo nagle uświadomił sobie, że Gerard się wyniósł. Zostawił go tu i znikł. - Zdaje się, że obaj zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Okropnie. Ale słowo daję, że jestem tutaj tylko kilka dni i niczego nie zniszczyłem.

Mężczyzna wydawał się bliski furii.

- Zaraz - rzucił Chris. - Pokażę panu jakiś dokument. Zobacz pan... - Głos mu się załamał. Co właściwie tamten zobaczy? Nie bez powodu był przecież solidnie wyprowadzony z równowagi. Znalazł u siebie w domu całkiem obcego faceta. A jeśli coś z wyposażenia zginęło? Jeśli Gerard i jego przyjaciele, znajomi czy ktokolwiek zrobił tu czystkę?

Wrócił do pokoju, który przedtem uważał za sypialnię Gerarda. Kiedy ukląkł przy bagażu, poczuł się, jakby ktoś

przyłożył mu w głowę młotem kowalskim. Na sekundę zacisnął powieki i zatrzymał oddech. Miał nadzieję, że to pomoże. Potem rozgarnął ubrania w poszukiwaniu portfela i paszportu, wsadzonych uprzednio do skarpet. Dokumenty znikły.

Usłyszał kroki i w chwilę później mężczyzna stanął w drzwiach.

- Przepraszam za ten bałagan w pokoju - powiedział Chris. Znowu zaczął szukać. Muszą tu być!

Czyżby robił coś z dokumentami ostatniej nocy?

- Zgubiłeś coś? - zainteresował się mężczyzna. Chris bał się odpowiedzieć. Potwierdzenie mogło zapeszyć. Spojrzał na faceta.

- Zdaje się, że zgubiłem... - O! - Mam tu paszport i bilet... - Ale paszport znajdował się przedtem na dnie i na pewno w czarnej skarpecie.

- No? - powiedział mężczyzna.

- Zdaje się, że brakuje portfela. - Co oznaczało, że nie było także karty kredytowej Jake'a.

Fantastycznie.

- Dzwonię na policję - powiedział mężczyzna i skierował się na dół do holu.

Chris wstał i zdarł z siebie szlafrok. Wciągnął na siebie ubranie, chwycił bagaż i wybiegł do holu.

Usłyszał za sobą kroki, ból rozrywał mu czaszkę, ale dobiegł do drzwi, pokonał ciemne schody, potem następne ciemne schody i wypadł na ulicę z myślą, że chyba oszalał. Wydawało mu się jednak, że uniknięcie kontaktu z policją było najrozsądniejszym krokiem w jego sytuacji. Wciąż miał przy sobie paszport i bilet powrotny. Na lotnisku mógł zmienić datę odlotu na dzisiejszą.

Lotnisko! Boże, czy miał tyle pieniędzy, żeby tam dojechać? Pomacał tylną kieszeń spodni i wyczuł gruby plik franków, prawdopodobnie dość. W razie potrzeby mógł dodać taksówkarzowi zegarek.

Zrobiłby wszystko, żeby się stąd wydostać.

W pół godziny później, z drżącymi kolanami i morderczo bolącą głową, wchodził na Orły. W pobliżu kon-

tuaru Air France stał policjant. Jak oni tu ich nazywają? *Boulevardiers? Bombardiers?*... Policjant mu się przyglądał. Może zaalarmowano go wiadomością, że ma się pojawić Amerykanin.

Musiał dotrwać do końca, musiał odlecieć. Wprawdzie nie zrobił nic złego, w to nie wolno mu było wątpić, ale kto wie, co wyszłoby na jaw, gdyby w sprawę wmieszała się policja? Kto wie, w co został wplątany? Czy to Gerard zabrał jego portfel (co wydawało się całkiem oczywiste), czy też zeszłej nocy w mieszkaniu jeszcze ktoś był? Boże, nie potrafił sobie przypomnieć. Na całą noc i pół dnia przestał istnieć dla świata, może nawet zaaplikowano mu jakieś narkotyki.

Wiedział też, że najgorsze jeszcze ma przed sobą. Jeśli założyć, że uda mu się dostać do samolotu i policja go nie zatrzyma, najstraszniejsze będzie spojrzenie w twarz rodzicom po przylocie do Nowego Jorku. Teraz musiał jeszcze iść do biura American Express i zawiadomić o utracie karty, potem wysłać do rodziców telegram o zgubie i wcześniejszym powrocie do domu, a potem... Już słyszał te pytania: „W jaki sposób zgubiłeś kartę? Dlaczego nie poszedłeś na policję? Dlaczego wróciłeś do domu? (To go może ominie. Barbara nie zadałaby tego pytania. Ale trudno powiedzieć, co z Jake'em.) „Nadal nie rozumiemy, Chris, czemu nie zawiadomiłeś policji.”

11

Halo, tu Craig Weller. Chciałem mówić z Artem McCulloughem.

Caitlin odwróciła się i włączyła obraz w telewizji. Z programu wywnioskowała, że jest po jedenastej. Dlaczego oboje tak długo spali?

- Czekam! - zawołał, ale Caitlin na niego nie spojrzała.

Okropnie ją młilo. Nic dziwnego, ostatniego wieczoru Craig wlewał jej do gardła jednego drinka za drugim: szkocką, potem szampana, pitego z tymi dziwnymi ludźmi, którzy się przysiedli, potem znowu szkocką. Tfu.

Ten wieczór wydawał jej się teraz koszmarnym snem, choć zapowiadał się bardzo ekscytująco, kiedy dostali zaproszenia od pana McCullougha:

„Przedsiębiorstwo Eton Industries serdecznie zaprasza na wieczór promocyjny nowych perfum *A l'Amour*”.

Serdecznie zaprasza. Nikt jej dotąd nigdzie serdecznie nie zapraszał. Ale pan McCullough dał jej te bileciki dwa dni temu i od tego czasu Craig zachowywał się jak maniak.

- Musisz włożyć to, co masz najlepszego, Caitlin. Najlepsze ubranie, do tego fryzura, makijaż, galanteria. - Wyszedł do miasta i wykupił wszystkie magazyny mody, jakie mógł dostać, potem przez długie godziny je przeglądali, aż w końcu Craig cisnął jeden z nich na podłogę i wykrzyknął:

- To jest dobre na zimę! Potrzebujemy czegoś obcisłego i seksownego.

- Craig, mamy tylko dziewięćdziesiąt dolarów na najbliższe dwa tygodnie.

- Pieprzyć te dwa tygodnie. To jest nasza szansa. Poza tym dostaniemy czek za reklamę, więc się nie przejmuj.

Poszli do Bloomingdale'a i Craig zmusił ją do przymierzenia mniej więcej pięćdziesięciu tysięcy kreacji, co zajęło wieczność, bo nie wpuszczono go do garderoby, więc za każdym razem Caitlin musiała wychodzić, żeby się zaprezentować. Od czasu do czasu próbowała uniknąć przymierzania z okrzykiem: „To wygląda strasznie, nawet ci się nie będę pokazywać”, ale bezskutecznie.

Po czterech godzinach nie wybrali niczego.

- Pójdziemy do Soho - powiedział, ciągnąc ją za przegub dłoni. - Tam są najlepsze ciuchy.

I chociaż było jej wściekle gorąco, spływała potem i czuła, że zaraz ból rozłupie jej głowę, to musiała

docenić inicjatywę Craiga. Kochał ją i starał się zrobić z niej gwiazdę. Nikt nigdy nie okazywał jej tyle miłości, więc jak mogła to krytykować? A Soho było zabawne. Znaleźli tam czarną sukienkę za osiemdziesiąt trzy dolary (Craig powiedział, że jest warta swej ceny), a potem wrócili do domu i Craig zrobił jej makijaż. Było to u niego ciekawe i fajne. Dla wielu facetów zajmowanie się czymś takim jak makijaż jest dowodem zniewieściałości. Eugene mawiał na to „roboty dla cioty”, ale Craig nie przejmował się tym. Dbał wyłącznie o jej efektowny wygląd, usiłował rozjaśnić jej włosy na superblond i skonstrastować z oczami zrobionymi na superciemno. Skoro więc tak się poświęcał, absolutnie nie należało wspominać ani słowem o bólu głowy.

- Tak, nadal czekam! - Craig właściwie nie mówił do mikrofonu, lecz wrzeszczał.

Boże, nie powinien tak ryczeć. Czyżby nie wiedział, że sekretarka może połączyć albo nie? Taka kobieta ma więcej władzy, niż mu się zdaje.

- Dobrze, dobrze, jasne. - Usłyszała, że Craig zapala papierosa. - Cait, czy mogłabyś wyłączyć to pudło? - zawołał.

- Przecież nie ma dźwięku.

- Muszę się skoncentrować. Wyłącz.

Sięgnęła ręką i spełniła jego życzenie. Nieważne. I tak program jej nie interesował. Nie mogła przestać myśleć o ostatnim wieczorze. Craig zachowywał się zupełnie jak wariat. Na bileciku napisano, że są serdecznie zaproszeni, ale to nie znaczyło wcale, że znajdą się w centrum uwagi albo że Art McCullough osobiście czy ktokolwiek z przedsiębiorstwa Eton Industries będzie na nich czekać z zapartym tchem. To wiedziała nawet ona. Tymczasem w chwili, gdy weszli na salę, Craig zaczął się zachowywać, jakby podłączył się do źródła energii. Ciągle biegał do baru po nowe drinki, ciągał ją po całym parkiecie i części restauracyjnej („żeby wszyscy dobrze cię obejrzel”), i bez przerwy szukał pana McCullougha.

I to właśnie ją przerażało. Wszystko w ich życiu nagle zaczęło zależeć od pana McCullougha. Przez dwa dni po nakręceniu reklamówki nieustannie słyszała od Craiga, że „Art to” i „Art McCullough tamto”, ale reżyser nie zadzwonił. I nie przyszedł na wieczór promocyjny perfum, co doprowadziło Craiga do szału.

A ona bała się wypowiedzieć na głos swoje myśli. Bo Art McCullough prawdopodobnie zmienił zdanie. Powiedział wprawdzie, że chce zaangażować ją do filmu, ale żarty na bok. Czy nie było to dość nieprawdopodobne? Wydawało się raczej marzeniem, fantazją od początku do końca. Może nawet Craig się po prostu przesłyszał.

Była jednak zbyt wystraszona, żeby wystąpić z taką sugestią. Craig kazał jej zrezygnować z pracy w restauracji i spokojnie czekać na wieczór promocyjny, ale teraz, kiedy w końcu zadzwonił do biura pana McCullougha, prawda mogła nagle wyjść na jaw.

- Tak, tak - usłyszała jego głos. - Doskonale.

Odwróciła się i spojrzała na niego, a on wykonał znajomy okrągły gest kciukiem i palcem wskazującym. Może wszystko było w porządku?

- O, jak leci?... Nie ma sprawy. Zawsze mam pod ręką jakąś papierkową robotę, kiedy czekam na połączenie... Dzisiaj. Hm, jasne. - Zacisnął dłoń. - Zgadza się.

o czwartej. Rozumiem. Dziękuję, Art. Na razie. - Odłożył słuchawkę i przez sekundę wpatrywał się w stół, stojąc ze zgarbionymi ramionami, plecami do niej, nieruchomo jak posąg.

- Craig? Obrócił się powoli do niej, raptem wydał dziki okrzyk i chwycił ją w ramiona.

- Dzisiaj! - wykrzyknął. - Jedziemy tam dzisiaj, Art ma cię przesłuchać.

Przełknęła ślinę.

- Naprawdę?

- Hej, po co ten nos na kwintę? Jesteśmy do przodu, Cait! Do przodu! Już zaczynałem myśleć, że nic z tego,

ale Art mówi, że był zajęty jak sto diabłów. I ucieszył się, że zadzwoniłem. Możesz uwierzyć?

- Do czego to podobne, Craig, żebyś mówił do niego „Art”? Prawie go nie znamy. Moim zdaniem powinieneś się zwracać „panie McCullough”.

Craig pokręcił głową.

- Tego się nie robi, kochanie. Ale wiesz co? Ty możesz do niego mówić „panie McCullough”. Będzie to brzmiało naprawdę uroczo.

Następne trzy godziny przypominały poprzedni wieczór. Przymierzanie, zdejmowanie, jeszcze jedna bluzka, jeszcze nie ta... Potem włosy do góry, włosy zaczesane do tyłu, włosy rozpuszczone...

Ale kiedy weszli do holu budynku CTC, poczuła zadowolenie, że Craig napracował się nad jej wyglądem. Zwykła portierka przy windzie zadzierała nosa pod sufit, miała na sobie tonę kosmetyków, a na widok Caitlin spojrzała, jakby chciała powiedzieć „Jakim prawem pchasz się na górę?”

Marmurowe hole z dudniącym echem zawsze przyprawiały Caitlin o niepokojące symptomy w żołądku. Kiedy dostała pierwszą pracę, w banku, rozwolnienie nie opuszczało jej przez dwa tygodnie, podobnie było podczas innych dorywczo wykonywanych zajęć w ogromnych biurowcach.

Kiedyś w takie miejsce zabrał ją Eugene, ale nie mogła sobie przypomnieć po co. Wryła jej się w pamięć tylko stara Murzynka wydająca papierowe ręczniki w toalecie.

Aha, chodziło o adopcję. To wtedy Eugene zaadoptował ją oficjalnie i zgodnie z prawem.

- Cait, dobrze się czujesz?

Poczuła na plecach ramię Craiga i spojrzała mu w oczy.

- Dobrze, czemu pytasz?

- Jesteś biała jak ściana.

- Denerwuję się.

- Nie rób tego. On jest tobą zachwycony. Ja też.

Miała ochotę zapytać, czy będzie się nią dalej zachwycał, jeżeli zaraz spotka ją klęska. Miliony ludzi tłoczyły się, oczekując windy na piętra 21-29. Czy wszyscy jechali do CTC? Czy zwrócili uwagę na jej zdenerwowanie? Przyciągała wiele spojrzeń i Craig miał na twarzy wyraz, jaki zawsze pojawiał się u niego, gdy znajdował się z nią gdzieś w obecności innych mężczyzn. Było w nim coś z psa z nastroszoną sierścią. Wydawał się nawet wyższy niż w rzeczywistości.

Najgorsze jednak, że i on wydawał się zdenerwowany. Przypomniała sobie wizytę u Steve'a Warnera i to, co zrobiła, żeby przywrócić Craigowi radość życia. Miała wrażenie, że dzieli ją od tamtego dnia rok, choć w rzeczywistości ledwie minął tydzień. Craig był wtedy tak zdesperowany, że gdyby pomyślał ze Steve'em Warnerem zawiódł, mógłby nawet próbować samobójstwa albo oszaleć. Dlatego zrobiła to coś i cel osiągnęła. Ale teraz Craig znowu wpadał w desperację. A jeśli tym razem się nie uda? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z istnienia dziewięciu szans na dziesięć albo nawet dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu na tysiąc, że rola dostanie się komu innemu?

Winda przyjechała i Craig popchnął Caitlin naprzód. Poddała mu się bezwolnie, a sekundę później została wciśnięta w najgłębszy kąt kabiny, przede wszystkim przez mężczyzn w garniturach. Craig stał przy niej, a z jego zaciśniętych ust czytała, że jest bliski utraty panowania nad sobą.

Kabina wystartowała jak sadystyczna kolejka górską w wesołym miasteczku i Caitlin skoncentrowała wszystkie siły na powstrzymaniu nasilających się mdłości. Po chwili kabina szarpnęła i przystanąła na dwudziestym pierwszym piętrze.

- Wysiada się! - ryknął Craig. - Wysiada się!

Chwycił Caitlin za przegub dłoni, ale ludzie reagowali bardzo ospale, przesuwali się o nie więcej niż kilka centymetrów.

- Wysiada się! - ryknął Craig jeszcze raz.



Przypadkowym spojrzeniem w dół Caitlin pochwyciła akurat obraz jego nogi wymierzającej wściekły cios czyjejs łydce. Nie wierzyła własnym oczom, chociaż usłyszała też przekleństwo kopniętego mężczyzny, ale tłum stopniowo się rozstał i Craig wypchnął ją na zewnątrz. Sekundę później drzwi z trzaskiem się zamknęły.

- Craig, nie mogę uwierzyć, że tak się zachowałeś - powiedziała.

Znajdowali się w wyłożonym dywanami holu z wielkimi mosiężnymi literami CTC na ścianie i mnóstwem roślin w donicach.

- Jak?

- Widziałam, jak kopiesz tego mężczyznę. Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na nią, jakby oszalała.

- Daj spokój. Musiało ci się przywidzieć. Chodź już. -Hol kończył się z jednej strony całkiem zwykłymi drzwiami, z drugiej natomiast drzwi były wymyślne, szklane, z napisami CTC i sylwetkami wieżowca stanowiącymi znak programu.

Im bliżej byli, tym silniej Caitlin dręczyły mdłości. Co ona tu robi? Przecież nie jest z tego świata.

Craig otworzył przed nią drzwi, a potem podszedł za nią do recepcjonistki.

- Jesteśmy umówieni z panem McCulloughem - powiedział.

- Nazwiska? - Przynajmniej tutaj siedziała starsza kobieta z siwymi włosami, dzięki czemu Caitlin poczuła się odrobinę lepiej.

- Craig Weller i Caitlin Cornell.

- Zgadza się. Proszę usiąść.

To było przyjemne. Caitlin czuła łomotanie serca i myślała o kopniaku w windzie i o tym, jak Craig się go wyparł, co było w tym wszystkim najgorsze. Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby teraz wszystko okazało się nieprawdą. Recepcjonistka w każdej sekundzie mogła zadzwonić do Arta McCullougha, potem obrócić się do nich i powiedzieć:

- Pan McCullough nie ma dla was czasu. To był tylko żart. Wyoście się.

Po chwili jednak Art McCullough osobiście pojawił się w holu i na sam jego widok Caitlin poczuła się wspaniale.

Był typem człowieka budzącego zaufanie. Miał roześmiane brązowe oczy i nawet nie był w garniturze, lecz w sztruksowych spodniach i kraciastej koszuli.

Kiedy we troje ruszyli w głąb holu, reżyser wyjaśnił, że wprawdzie firma oddała mu do dyspozycji jeden pokój, ale w sieci CTC jest nowicjuszem. Caitlin promieniała. Ten człowiek zrobił setki filmów reklamowych, a mimo to przyznaje, że praca w fabule stanowi dla niego nowe doświadczenie.

McCullough otworzył drzwi w końcu holu i wprowadził ich do wielkiego pokoju biurowego z nowoczesnym, lecz skąpym wyposażeniem. Wyjaśnił, że jeszcze się na dobre nie wprowadził, były jednak trzy krzesła, usiedli więc przy małym stoliku, zupełnie jakby w czyimś salonie. Potem Art McCullough spojrzał na nią i powiedział:

- Od przyszłego tygodnia zacznym przesłuchania do roli Audrey.

Przesłuchania. Boże.

- Chciałbym jednak, żebyś przeczytała coś dzisiaj. Tylko dla mnie, dla nikogo innego.

Caitlin skinęła głową.

Art McCullough wstał i podał Caitlin skoroszyt z biurka.

Wzięła go i zapatrzyła się na okładkę. Z czerwonego tła wybijał się prostokąt z tekstem:

„*Księżniczka przeznaczenia*. Scenariusz: Baird Cane, na podstawie powieści Bairda Cane'a i Lizy Rothman. Producent: Jake Grayson Productions, Inc. Reżyser: Art McCullough. Własność Działu Scenariuszy Jake Grayson Productions, Inc., CTC.”

- Chcę teraz opowiedzieć ci trochę o scenariuszu, a potem przeczytasz mi fragment. Dobrze?

Caitlin ponownie skinęła głową. Dlaczego Craig się nie odzywa? Czyżby i on wpadł w nabożny zachwyty?

- Może napijcie się kawy albo herbaty, zanim zaczniemy?

Craig powiedział, że kawa jest wspaniałym pomysłem, a Caitlin przytaknęła mu skinieniem. Pan McCullough podszedł do biurka, połączył się z kimś na zewnątrz i poprosił o trzy kawy.

Caitlin rzuciła okiem na Craiga. Spoglądał na nią srogo.

- Jeśli nie otworzysz w końcu ust, pomyśli, że jesteś niemową. Odpowiadaj, kiedy cię o coś pyta.

- Słucham? - powiedział głośno Art McCullough.

- Nic takiego - szybko odpowiedziała Caitlin, bojąc się spojrzeć na Craiga.

Sekretarka przyniosła kawy i Art McCullough znów usiadł.

- Gdybyś wiedziała, jak znakomicie pasujesz do tej roli - powiedział. Patrzył prosto na nią, zupełnie jakby Craiga nie było w pokoju. Upił łyk kawy. - Do rzeczy. Scenariusz opowiada o młodej kobiecie, Audrey Adams, która dorasta w małym miasteczku w Tennessee. Jej matka jest właścicielką motelu i Audrey pracuje tam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poddaje się matce we wszystkim. Ojciec odszedł jeszcze przed urodzeniem Audrey. - Pochylił się i znowu upił kawy. - Pewnego dnia przez miasteczko przejeżdża mężczyzna. Audrey ma wtedy szesnaście lat i jest najpiękniejszą dziewczyną w okolicy. - Caitlin usiłowała powstrzymać rumieniec. - Ramona bardzo interesuje się tym nowym gościem, niejakim Calem Bradleyem. Cal ma trzydzieści pięć lat, jest wyjątkowo przystojny i tajemniczy. Nikt nie zna powodu jego przybycia. Po raz pierwszy od lat Ramona zaczyna trochę zajmować się motelem. Przynosi Calowi posiłki i obsługuje go. Ale on zwraca uwagę na Audrey i któregoś dnia zaprasza ją do Nowego Jorku. I Audrey jedzie, bo mieszkanie w motelu razem z matką jest dla niej absolutnym piekłem.

Cal nigdy nie miał pomysłu na życie. Odciał się od bogatego ojca, próbował różnych karier, ale nic mu się nigdy nie udało. Teraz wiemy, że skoro znalazł Audrey, to zdoła urzeczywistnić swe długoletnie marzenie i wejść do show businessu. Ma opcję na scenariusz filmowy, więc chce zostać agentem Audrey i w tym widzi początek nowego życia.

I dzięki niej rzeczywiście mu się udaje. Audrey czuje się bardzo niezręcznie w otoczeniu Bradleya, ale jego przyjaciele akceptują ją znacznie łatwiej niż samego Cala. W miarę jak Audrey nabiera pewności siebie, Cal staje się coraz bardziej zazdrosny, jest zagrożony i ma wrażenie, że wyhodował żmiję na własnym łonie. Zaczyna dziewczynę zdradzać i czuć do niej nienawiść, a ona nie może odpłacić mu pięknym za nadobne ani go rzucić, bo nie dość wierzy w siebie. - Urwał i umoczył usta w kawie, a tymczasem Caitlin pragnęła, żeby choć raz, choć na moment spojrzeć na Craiga, bo miało się wrażenie, że trzeciej osoby wcale z nimi nie ma.

- W każdym razie - podsumował Art - Audrey wreszcie od niego odchodzi, a reszta scenariusza jest o jej stopniowym godzeniu się z sobą, nabieraniu poczucia siły, o drodze do sukcesu i sławy. W końcu Audrey dostrzega swoje możliwości i bierze los w swoje ręce.

Złożył ręce na kolano i spojrział prosto w twarz Caitlin. Z jego oczu biło tyle siły, że przez moment Caitlin miała ochotę spytać Craiga, czy to w porządku i czy powinna odwzajemnić takie spojrzenie. Coś jednak kazało jej się odprężyć: wszystko w porządku, przecież chciała po prostu usłyszeć, co pan McCullough ma do powiedzenia.

- Craig - odezwał się reżyser. - Chciałbym, żebyś wyszedł na kilka minut A ty, Caitlin, obejrzyj scenariusz od strony sto dwudziestej trzeciej do sto trzydziestej. Kiedy wrócę, trochę poczytamy.

- Co to znaczy? - spytał Craig. Wydawał się mocno

rozwścieczony. - Chciałeś chyba powiedzieć, że poczytamy, kiedy ja wrócę?

- Obawiam się, że nie. Na tym etapie nigdy nie dopuszczam do czytania przy świadkach.

Craig widocznie musiał się ugryźć w język, bo o dziwo już nie protestował.

Kilka sekund później wyszedł z pokoju razem z Artem McCulloughem.

Caitlin czuła się, jakby śledziła ją ukryta kamera albo jakby przez przypadek dostała się do programu, którego uczestników spotykają różne przykre niespodzianki. Za chwilę mógł ktoś wejść i powiedzieć: „Czy naprawdę myślałaś, że chcemy ci dać jakąś rolę?!” A potem, podczas emisji programu, widzowie śmialiby się z niej do rozpuku.

Mimo to zaczęła czytać scenariusz. Art McCullough mógł wrócić w każdej chwili.

Podobały jej się fragmenty, które miała czytać, i wyjechała nawet poza stronę sto trzydziestą.

Pan McCullough wrócił do pokoju i uśmiechnął się do niej.

- Gotowa?

- Tak. To... Uniósł dłoń do góry.

- Teraz nie rozmawiajmy. Po prostu przeczytamy. Ja będę Calem, a ty Audrey. Zaczynamy od góry na stronie sto dwudziestej trzeciej.

- W porządku - odparła i spojrzała na niego. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Art nie pociągał jej, zupełnie nie o to chodziło. Ale czuła się bezpieczna, absolutnie bezpieczna. Nie chciał od niej niczego poza tym, żeby była dobrą aktorką.

- Jeśli już możesz, to jedziemy - powiedział. Spojrzała na tekst i zaczęła.

- Widziałam cię dzisiaj w mieście - powiedziała bardzo cicho, głęboko przekonana, że tak właśnie trzeba.

- Naprawdę? - odparł Art McCullough, nerwowo, właśnie tak jak zrobiłby to Cal.

- Na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Przed sklepem Bloomingdale'a.  
Cal-Art spoglądał na nią bez słowa.

- Kto to był, Cal? Trzymałeś ją pod ramię. Byliście blisko siebie.

- Klientka.

- Oho.

- Naprawdę, Audrey. Nazywa się Julia Faraday. Aktorka.

- Nie mówię „oho” z tego powodu. Nie wątpię, że jest twoją klientką. Ale kim jest dla ciebie prywatnie?

- Klientką. Wiesz przecież, jakie one czasem bywają. Lubią, żeby je rozpieszczać. Rozpaskudzać.  
Caitlin przełknęła ślinę.

- Nie jestem głupia, Cal. Nie oszukuj. - Pokręciła głową. - To jest dla mnie... ostatnia kropla. - Zrobiła pauzę. - Chcę, żebyś mnie zostawił w spokoju.  
Zamrugnął bez słowa.

- Za pewne rzeczy zawsze będę ci wdzięczna - powiedziała. - Ale moim zdaniem nie znaczy to, że mam z tobą zostać na zawsze. Kiedyś tak sądziłam, ale teraz już nie.  
Zadzwieczyła interkom na biurku. Art McCullough podskoczył jak oparzony.

- Jezu - powiedział. Przez moment wyglądał, jakby wyrwano go z transu. Potem podszedł do biurka. - Słucham. - Aha... Nie, w porządku, przełącz. I przyślij z powrotem Craiga Wellera, dobrze? - Dotknął innego przycisku na słuchawce i zaczął rozmowę, a tymczasem drzwi się otworzyły i do środka wszedł Craig. - Cześć, kochanie - powiedziała Caitlin. Craig usiadł przy niej.

- Jak poszło? - spytał cicho. Robił wrażenie naburmuszonego.

- Nie wiem. Bardzo mi tu było dobrze. Craig przewrócił oczami.

- Nie pytam, jak ci się podobało, tylko jak ci poszło.

- Nie wiem - syknęła. Art McCullough nadal stał ze słuchawką w dłoni, ale jakby nie interesował się roz-

mówcą, lecz wsłuchiwał się w jej słowa. - Chyba dobrze. - Boże. Po raz pierwszy w życiu powiedziała coś takiego o sobie na głos. Było to całkiem przyjemne. Pan McCullough odłożył słuchawkę.

- Caitlin czytała znakomicie - powiedział, uśmiechając się do niej zamiast do Craiga. - Naprawdę znakomicie.

- Świetnie. I co z tego wynika? - spytał Craig.

- Cóż, przesłuchania zaczynają się w przyszłym tygodniu, tak jak powiedziałem.

- Nadal ma pan zamiar je prowadzić? - nalegał Craig.

- O, tak.

- Ale...

- Nie ma sensu o tym dyskutować, przyjacielu - twardo powiedział Art McCullough. - Możesz mi wierzyć.

- Jakie wobec tego są jej szanse? - spytał Craig. - W najgorszym razie?

- Hm, w najgorszym razie zobaczymy. Bardzo chciałbym pracować z Caitlin. Jeśli nie nad tym, to z pewnością nad czymś innym w przyszłości.

- Ale kiedy dostaniemy jakąś wiadomość? - spytał Craig. - W tym czasie gdy będziesz się decydował, mam rozmawiać w sprawie Caitlin z kilkoma innymi osobami. Ktoś może ci ją podkupić.

- Weller, nie wciskaj mi takich pierdoł. Przepraszam, Caitlin. A ty, Weller, posłuchaj, wiem, co mówię. Nie dyskutujemy o kontrakcie Meryl Streep, jasne? Caitlin ma za sobą jedną niedużą robotę i obaj mamy tę świadomość, więc nie róbmy z siebie balonów.

Craig nie odpowiedział. Był mocno zirytowany.

- Skontaktuję się z wami po przesłuchaniach - powiedział pan McCullough. - Tymczasem zanim wyjdziecie, chciałbym jeszcze zamienić parę słów na osobności z Caitlin.

Craig spojrzął na swoje dłonie, rozstawił palce, jakby przyglądał się paznokciom, a potem spojrzął na Artta McCullougha.

- Jestem jej menedżerem - powiedział. - Wszystko jedno, co masz do powiedzenia Caitlin. Możesz powiedzieć to mnie.
  - Chcę zamienić kilka słów z Caitlin - powtórzył Art McCullough, z miną szkolnego wychowawcy, a może biurowego szefa. - Na osobności.
- Craig w końcu wstał.
- W porządku. Rozumiem. Powinienem chyba przeprosić. - Craig wyciągnął dłoń, a pan McCullough ją uściśnął.
  - Nie przejmuj się - powiedział reżyser. - Za minutę Caitlin będzie z tobą. A ja skontaktuję się z wami w przyszłym tygodniu.
  - Wspaniale. Wobec tego nie ma problemu - powiedział Craig i wyszedł, nie zwracając najmniejszej uwagi na Caitlin.
  - Hm... chciałem porozmawiać z tobą o dwóch sprawach - powiedział pan McCullough, siadając naprzeciwko. - Po pierwsze, świetnie czytałaś. Gdyby przypadkiem to nie wypaliło, naprawdę chcę z tobą pracować w przyszłości.
  - Dziękuję. Bardzo mnie to cieszy.
  - Druga sprawa jest nieco trudniejsza. - Przyjrzał się swoim dłoniom, a potem spojrzał jej w oczy. - Jak długo jesteś z Craigiem? - No... trzy lata.
- Pan McCullough skinął głową.
- On nie powinien być twoim menedżerem. Wiesz o tym, prawda?
- Wbiła wzrok w podłogę. Dlaczego czuła się z tym człowiekiem tak bezpiecznie? Miała wrażenie, że może mu powiedzieć absolutnie wszystko.
- Tak jakby. - Spojrzała mu w oczy. - Chcę powiedzieć, że rozumiem, o co panu chodzi. Craig nie jest zbyt doświadczony jako menedżer. Ale dla mnie to nie ma znaczenia.
  - Dlaczego nie?
  - Bo nie. Nie zależy mi tak bardzo na karierze. Chcę



po prostu być szczęśliwa. Być z kimś, kto naprawdę mnie kocha. A Craig mnie kocha. Temu pan nie zaprzeczy.

Art McCullough westchnął.

- W porządku - odezwał się w końcu. - Nie zamierzam cię w tej sprawie naciskać. Nie chciałbym, żebyś robiła cokolwiek, co burzy twój spokój. Ale obiecaj mi jedno.

- Zgoda.

- Przyjdź do mnie, gdybyś kiedyś miała kłopot. Jak do przyjaciela. Dobrze?

Skinęła głową. Dziwne, ale w pewnym sensie rozumiała, o czym reżyser mówi. Craig nie miał doświadczeń menedżera, mimo że pracował w ICM. A scenariusz *Księżniczki przeznaczenia* przypomniawszy jej wiele z tego, co sama przeżyła, może nawet do pewnego stopnia znalazła tam Craiga. Ale na pewno nie w tym, że ją zdradzał. To się nigdy nie zdarzy. Ale gdyby... Nie, to niemożliwe. A gdyby jednak... ech, seks nie jest przecież najważniejszą sprawą na świecie. Naprawdę ważne jest to, czy Craig ją kocha, a nie to, czy się sprawdza jako menedżer. Panu McCulloughowi mogło się to wydawać niepojęte, ale przecież nie stawało się z tego powodu fałszem.

- Jeśli będę potrzebować pomocy, to przyjdę do pana - powiedziała Caitlin. - Ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek musiała.

- Wystarczy mi twoja obietnica - powiedział i cmoknął ją w czoło.

- Daję słowo. - Bardzo chciała spędzić z nim jeszcze więcej czasu, dostać tę rolę i podzielić się swoim szczęściem. A może nawet pomóc w pracy nad scenariuszem, na przykład opowiadając, co czuje człowiek, który ma matkę zasługującą na miano nikczemnej.

Zaskoczyło ją, że właściwie miała ochotę tam zostać. Chciała, żeby za sprawą jakiejś siły Craig znikł z holu. Cóż za szalona myśl. Przecież kochała Craiga, a on kochał ją i potrzebował jej.

A gdyby dostała tę rolę, może będą potem żyli długo i szczęśliwie.

Onyx wróciła do pierwszej strony w teczce i przeczytała:

„Art McCullough, 532 West 19th Street, Nowy Jork, NY 10011, urodzony 9 sierpnia 1936 roku, stan zdrowia: doskonały, żonaty (Cassandra Vance McCullough, ukończyła Vassar School w 1971 roku)..."

Hm, według Normana, Cassandra była modelką. Prawdziwa piękność, chociaż nieco chłodna, powiedział. Mogła jednak po prostu chłodno odnosić się do Normana na przyjęciach. Na jego informacje trzeba było brać poprawkę.

„...Prezes Art McCullough Productions, Inc. od 1977".

Cholera. Odłożyła zyciorys na biurko Normana. Ten McCullough był doświadczony. Szkoda, bo to oznaczało, że bardziej niż inni faceci przywykł do tego, co miała do zaoferowania. Skoro od lat był reżyserem, musiał dziesiątki razy spotykać lecące na niego kobiety, nawet jeśli robił tylko reklamy i krótkometrażówki.

Nie, musiała pogrzebać mu w przeszłości. Tam zawsze znajdowało się klucze. Każdy ma coś do ukrycia. Ona też miała wspomnienia z Florydy. Ale zmieniła nazwisko, wróciła do naturalnej barwy włosów i miała spokój (w dodatku jako brunetka wyglądała dużo lepiej niż jako blondynka).

Może jednak Art McCullough nie był taki sprytny?

Przełknęła trochę coli, próbując sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział Norman o Arcie w odpowiedzi na miliony jej pytań. Była tam jakaś łózkowa historia z czasów, kiedy Art żenił się z Cassandrą. Niejaka Joce-lyn Lane wyleciała wtedy z pracy w McCullough Productions.

Prawdopodobnie dawna dziewczyna Arta, ale może niezupełnie dawna. Norman pobieżnie ją znał, bo starała się o pracę w CTC, w jego dziale. „Lekko nawiedzona", powiedział. Jeśli mu wierzyć, teraz Jocelyn Lane prowadziła jakiś obłądny butik w Soho,

gdzie sprzedawała bieliznę takim samym wariatkom jak ona.

Gdyby Onyx potrzebowała czegoś na Arta, trop wyglądał obiecująco.

Musiała jednak zachować ostrożność. Warto było przeprowadzić małe śledztwo, sprawdzić tę Jocelyn Lane i dokładnie ją wypytać, ale najpierw musiała się przekonać, czy istotnie należy się spodziewać wyników.

Oczywiście, jeśli Art McCullough spełni jej życzenie, takie zabiegi okażą się niepotrzebne. Nie będzie musiała nawet poznawać Cassandry Vance McCullough. Niech sobie żyje długo i szczęśliwie, tak samo jak Art.

Pod warunkiem, że Onyx dostanie to, czego chce.

Wsunęła życiorys z powrotem do szuflady Normana. Zabiłby ją, gdyby zostawiła te papiery na wierzchu. O co właściwie było robić tyle hałasu? Zachowywał się, jakby szturmował po nie Fort Knox. Wszystko jedno, musiała mu wynagrodzić ten wysiłek. Z tym na szczęście nie było kłopotu.

Księga druga

Chris zapalił Gauloise'a, a potem dokończył szklaneczkę martini. Każde z osobna smakowało paskudnie, a zestawienie jeszcze gorzej, ale tylko to trzymało go przy życiu, odkąd wrócił do domu. Trzy dni i trzy noce wypytywania, dokładnie tak, jak sobie to wyobrażał. Nie tylko o tę cholerną kartę kredytową, lecz i o każdą sekundę pobytu w Paryżu. „Dlaczego mieszkałeś w takim strasznym hotelu?” (Powiedział rodzicom, że kartę ukradziono mu z hotelowego pokoju, co było przecież prawdopodobne.) „Czy przynajmniej spotkałeś jakichś sympatycznych ludzi?” „Czy widziałeś Luwr?” „Więc co robiłeś przez ten cały czas?”

Pytania nie dręczyły go jednak tak bardzo jak cisza zza oceanu. Wspomnienie tej ostatniej nocy wróciło do niego w strzępkach: Gerard się śmieje, pijany, ale wcale nie tak bardzo, Gerard mówi mu, gdzie położyć ręce, nogi, usta...

Może to wszystko było tylko dla zabawy.

Tyle że Gerard albo jego przyjaciel ukradł portfel.

- Ellie i Mark powinni już tu być - powiedziała Barbara, wstając z kanapy, żeby poprawić ramę obrazu na ścianie. - A Jake zjawi się za godzinę.

- Usiądź, mamó - powiedział Chris. - Denerwujesz mnie.

- Tylko poprawiam, bo krzywo wisi.

- Ale przecież nie będzie nikogo oprócz Ellie z Markiem i taty. Spokojnie.

Westchnęła i usiadła.

- To dlatego, że dawno nie byliśmy wszyscy razem. - Westchnęła jeszcze raz.

- Czy na pewno nie chcesz drinka? - spytał.

- Może trochę białego wina - odparła bez przekonania.

Białe wino. Oto co powinien pić zamiast tych wszystkich szklaneczek martini. Ale od powrotu wlewał w siebie alkohol jak nałogowiec.

Piętnaście minut później, po przyjeździe Ellie, Chris pożałował, że wypił tyle martini. Chwiał się, widział niezbyt jasno, a do tego wydawało mu się, że wszyscy gapią się tylko na niego.

- Czy Mark nie przyjdzie? - spytała Barbara, kiedy Ellie usiadła.

- Nie.

Chris odniósł wrażenie, że siostra starannie unika jego wzroku.

- Co u niego? - spytała Barbara.

- Wszystko dobrze. - Ellie zwróciła się do Chrisa: - Robisz za barmana?

- Oczywiście.

- Co piłeś?

- Kilka martini. Roześmiała się.

- Dobra, dla mnie też jedno.

- Ellie, chciałabym, żebyś nie paliła - powiedziała Barbara.

- Do gościa nie powiedziałabyś czegoś takiego, mamó, więc dlaczego mówisz to mnie? - odparła Ellie i Chris z trudem powstrzymał się przed odwróceniem głowy.

- Po prostu żałuję, że znowu zaczęłaś - odparła cicho.

- Ja też, ale zaczęłam i nie ma o czym mówić. Chris niezbyt pewnie dokończył mieszać martini i z dwiema pełnymi szklaneczkami podszedł do kanapy.

- Masz, El - podał jej szklaneczkę, a swoją odstawił na stolik.

- Jak dużo palisz? - spytała Barbara.

- Paczkę dziennie, może półtorej. Barbara westchnęła.

- Tak długo tego nie robiłaś.
  - Wcale mnie nie cieszy, że znowu zaczęłam, wystarczy?
  - Dajcie spokój - powiedział Chris. Jezu, język mu się plątał. - Nie wróciłem, żeby słuchać waszych kłótni.
  - No bo co ona sobie myśli? Że mam powód do radości, bo znowu palę? - Ellie upiła łyk martini i opadła na poduchy kanapy. - Umówmy się, że wyłączamy z rozmowy dwa tematy, moje palenie i podróż Chrisa, dobra? Wszyscy już słyszeliśmy o potwornym hotelu i złodzieju. Nie ma sensu wracać do tego, co się nie odstanie. - Spojrzała na Chrisa. - Co teraz zamierzasz? Będiesz szukał pracy, mieszkania czy masz inne pomysły?
- Barbara pochyliła się do przodu i odezwała się, zanim Chris, który poczuł się, jakby ktoś wsadził mu szmatę do ust, zdołał wykrztusić słowo.
- Tłumaczyłam Chrisowi, że znalezienie tutaj mieszkania jest o wiele trudniejsze, niż mu się zdaje. Minie sporo czasu, zanim trafisz na coś znośnego, Chris.
  - Możesz zamieszkać ze mną i Markiem - powiedziała Ellie.
  - Naprawdę? Ale czy Mark...
  - Mark wyjechał na pewien czas do Los Angeles. Barbara poderwała głowę.
  - Co takiego?
  - Do pracy - powiedziała Ellie. - Konsultuje projekt nowych budynków dla uniwersytetu. Bynajmniej się nie wyprowadza.
  - Aha - mruknęła Barbara, niemal rozczarowana. Powiodła wzrok ku twarzy Ellie, i Chris uświadomił sobie, że dokładnie wie, co czuje siostra, kiedy odwraca oczy, usiłując się uwolnić od tego przenikliwego spojrzenia. Nawet Chris bowiem widział, że Ellie chyba nie powiedziała całej prawdy. Od lat oboje żartowali z Barbary, która zdawała się wiedzieć absolutnie wszystko o ich życiu, a nawet znać ich myśli. Dawniej jednak sprawy trzymane w sekrecie były błahe. Teraz sytuacja się zmieniła. Ellie naprawdę

nie chciała rozmawiać o tym, co zaszło między nią i Markiem, jeśli w ogóle coś zaszło. A on nie tylko nie chciał rozmawiać, lecz nawet myśleć o Paryżu.

A tymczasem znowu naszała go myśl o zdjęciach, o wyrazie twarzy, jaki musiał na nich mieć, o...

- Chris, co się stało?

Podniósł głowę. Matka i siostra wpatrywały się w niego z uwagą.

- Co takiego?

Barbara wyciągnęła rękę i pomacała mu czoło.

- Jesteś cały czerwony - powiedziała i przez chwilę Chrisa ogarnęło miłe wspomnienie wszystkich dni, kiedy nie musiał iść do szkoły, bo matka dotykała jego czoła chłodną dłonią obiecującą pociechę, a jej zatroskane oczy potwierdzały, że, dzięki Bogu, należy mu się jeszcze jeden dzień odpoczynku w domu.

Jak wyglądałyby te oczy, gdyby matka zobaczyła zdjęcia z Paryża?

- Jesteś bardzo rozpalony - powiedziała wstając. -Przyniosę termometr.

- Nie - zaprotestował głośniejszym głosem, niż zamierzał.

- Nie bądź niemądry - zawołała z progu pokoju. -Naprawdę jesteś okropnie rozpalony, Chris.

Po wyjściu Barbary Ellie spytała:

- Słowo dajesz, że nic ci nie jest?

- Słowo. - Czuł się tylko bardzo pijany.

- Wyglądasz przerażająco. Pokręcił głową, próbując się ogarnąć.

- Nic mi nie jest. - Zmrużył powieki i spojrzał jej w oczy. - A z tobą i Markiem wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami.

- On naprawdę dostał robotę w Los Angeles. Ale ostatnio nie bardzo mogliśmy się dogadać i... -

Usłyszała wracającą Barbarę, więc tak jak robiła to przez wiele lat, zniemacka zmieniła temat: - Bardzo podobała mi się widokówka od ciebie. Była taka zabawna.

- Proszę - powiedziała Barbara. - Wsadź na parę minut pod język, Chris.



Rzucił spojrzenie na Ellie i posłusznie włożył termometr do ust. Miał wrażenie, że czas cofnął się o piętnaście lat: on i siostra dzielą się sekretem, Barbara majestatyczna i czujna wietrzy najgorsze, a Jake... Jake jest nie wiadomo gdzie.

Przez długi czas dobrze im było razem. Szczególnie w college'u Chris słyszał tak wiele narzekań na najróżniejsze rodziny, że czuł się w czepku urodzony. Mieli oczywiście rodzinne kłopoty, jak wszyscy, ale niezaprzeczalnie bardzo się kochali. Nawet Jake kochał Barbarę na swój własny sposób. Dlaczego więc myśl o powierzeniu komuś najnowszego sekretu napawała Chrisa takim przerażeniem? Bał się o nim powiedzieć choćby Ellie... nie mógł znieść myśli o tym.

- Wystarczy, cztery minuty - powiedziała Barbara i wyciągnęła termometr z ust Chrisa. - Hm.

Trzydzieści sześć i sześć. - Zaczęła strzepywać termometr. - Może coś się dopiero wykluwa. Pewnie grypa. Powinieneś trochę odpocząć przez najbliższe kilka dni.

- Nic mi nie jest - powiedział Chris. Czuł jednak pijacką bezradność i rozpacz, czuł beznadziejne związanie z domem, jakby nigdy nie miał się z niego wydostać, bo jego jedyna heroiczna próba podjęcia życia na własny rachunek zakończyła się klęską. Europa. Jego wielka szansa A teraz był z powrotem, przepelniony strachem i otoczony przez ludzi, którzy zawsze przenikali każdą jego myśl.

- Nadal jesteś cały czerwony - powiedziała matka.

- Nic mi nie jest.

I co, Ellie, jak tam nowa szefowa „Spotlightu”? - spytał Jake, podając Chrisowi półmisek.

Ellie odstawiła kieliszek wina. Takie pytanie ze strony ojca było prawdopodobnie całkowicie niewinne. To matkę doprowadzała do obłędu jej praca w tym magazynie.

- Za wcześnie na ostateczne wnioski, ale nie wygląda to dobrze - odparła. - Wszyscy twierdzą, że Ashley Crawford i nowi właściciele chcą mieć skandalizującą szmatę w eleganckiej okładce. Mam wrażenie, że to

wredna baba. Dwie osoby już zrezygnowały. Nawiasem mówiąc, Ashley jest bardzo napalona, żeby cię obsmarować - dodała, spoglądając na ojca. Barbara pochyliła się do przodu.

- To nic nowego.

Elie pociągnęła łyk z kieliszka.

- Pomysł może nie jest nowy, ale zmieniło się podejście... Teraz szefowa zabiera się do wszystkiego jak drapieżne zwierzę.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego chcesz tam pracować - powiedziała Barbara.

- Mogę tam pisać. Nie jest łatwo znaleźć etatową pracę z pisaniem.

- Mogłabyś przecież współpracować z redakcjami jako wolny strzelec...

- Barbaro - powiedział Jake - Ellie podjęła decyzję za siebie. - Dolał sobie wina i spojrzał na Chrisa. - Za to ty, zdaje się, musisz rozejrzeć się za pracą.

- Wiem - powiedział Chris.

- Może wpadłbyś do CTC i zobaczył, co się robi ze scenariuszami, które nam proponują? Potrzebna jest jeszcze jedna osoba do czytania. Zawsze są też miejsca asystenta reżysera.

- Naprawdę? - spytał Chris.

Ellie patrzyła w osłupieniu. Jake nigdy nie chciał zatrudnić Chrisa u siebie, jej też nie. Miał zasady i uważał, że oboje powinni dawać sobie radę sami.

- Chcesz powiedzieć, że proponujesz mi pracę?

- Owszem, jeśli przyjmiesz.

- Czy to nie dość drastyczna zmiana poglądów? Jake westchnął i szeroko rozpostarł ręce na stole.

- No cóż, podjąłem decyzję - powiedział. - I mogę chyba oznajmić ją wam w tej chwili. Jak pewnie wszyscy wiecie, może z wyjątkiem Chrisa, zastanawiałem się, czy przedłużyć kontrakt na prowadzenie mojego programu.

Ellie rzuciła okiem na matkę. Barbara zdradzała objawy strachu.

- Nie jestem pewien, czy zdecydowałem słusznie

powiedział, przyglądając się stojącemu przed nim kieliszkowi wina - ale zostaję w telewizji.

Barbara głośno odetchnęła i Ellie zorientowała się, że matka czekała na tę chwilę z zapartym tchem.

- Jak powiedziałem, nie wiem, czy ta decyzja jest słuszna. Może słusznej decyzji w ogóle nie ma. Ale nie mogę uciec przed wyborem.

- O czym jeszcze myślałeś? - spytał Chris. Jake dopił wino i odstawił kieliszek na stół.

- Chciałem wrócić do dramaturgii.

- Przecież i tak możesz... - powiedziała Barbara. -Mógłbyś...

- Robić i to, i to? - przerwał jej Jake. - Wątpię. Gdybym mógł, doszedłbym do tego już dawno. Nie mogę na pewno. Ale nawet nie to jest najważniejsze.

- A co? - zainteresował się Chris. - Czy w ogóle porzuciłeś pomysł pisania?

Jake pokręcił głową.

- Nie wiem. To też nie. Ale po prostu śmiesznie byłoby w moim wieku i w takiej chwili życia przekreślać całą zawodową karierę. Na pisanie przyjdzie czas później. A w telewizji dużo się dzieje także poza moim programem. Kręcimy filmy, kupujemy opcje na książki. To jest szalenie zajmujące. -

Podniósł głowę i spojrzał na Chrisa. - I chciałbym, żeby przynajmniej jedno z was... przynajmniej - podkreślił, patrząc na Ellie - zobaczyło, jak to smakuje.

- Ojciec zajmuje się teraz produkcją krótkiego serialu *Księżniczka przeznaczenia* - powiedziała Barbara.

- Kto w tym gra? - zainteresował się Chris.

- Obsady jeszcze nie ma - odparł Jake. - Główną kobiecą rolę dostanie prawdopodobnie ktoś zupełnie nowy. Obsadza i reżyseruje Art McCullough.

Chris uniósł brew.

- Ten, który zgarnia tyle nagród za reklamy? Jake skinął głową.

- Najlepszy fachowiec w tej branży.

- Kiedy zaczyna kręcić? Nie miałbym nic przeciwko

temu, żeby połączyć mu trochę po planie. Chętnie obejrzałbym go przy pracy.

- Przyjdź do mnie jutro do biura - powiedział Jake. - Najlepiej wyjdźmy rano razem.

- Chris będzie mieszkał u mnie - powiedziała Ellie. Była pewna, że Chrisowi bardzo nie podoba się powrót do domu i że wszyscy już zaakceptowali ten pomysł, mimo iż prowizoryczny.

Ale Chris, odwracając od niej wzrok, powiedział:

- Myślę, Ellie, że dziś zostanę na noc tutaj. Nagle poczułem się potwornie zmęczony.

Normalnie Ellie nie zwróciłaby uwagi na niespodziewaną zmianę decyzji brata. Jedna noc mniej, jedna więcej, co za różnica. Ale sposób, w jaki unikał jej spojrzenia...

- Christopher?

W drzwiach jadalni stała Martha, gospodyni.

- Słucham?

- Telefon do ciebie. Zza Atlantyku. Mężczyzna z francuskim akcentem.

- Może policja odzyskała twój portfel! - wykrzyknęła Barbara.

Chris niepewnie wstał. Ellie nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widziała u niego tak pobladłą twarz.

14

Onyx jeszcze raz spojrzała w lustro i wydeła wargi. Znakomicie.

Kreacja była już sprawdzona. Norman na jej widok omal nie dostał apopleksji. Z pozoru wyglądała bardzo nobliwie, ale pod spodem...

To śmieszne, jak łatwo uwieść mężczyznę, jeśli wie się o kilku drobiazgach. Należy tylko mówić zmysłowym głosem, czasem zniżając ton, patrzeć w oczy, oblizywać

wargi, zatrzymywać oddech, kiedy spojrzenia się krzyżują, a potem, i to nigdy nie zawodzi, błysnąć mu przed oczami ciałem, tą jego częścią, którą najbardziej lubi. Mogą to być piersi, krocze, uda, wszystko. Łatwo wyczuwa się, o którą chodzi. Norman, na przykład, przepadał za kroczem. Kiedy tylko to zobaczyła, wiedziała, że jednym błyskiem doprowadzi go do szaleństwa. I miała rację. A ten durny bankier Carter Vemon był zdecydowanie cyckolubny. Stwardniała sutka pod bluzką rozpałała go w jednej sekundzie. Jakie to było łatwe.

W dzieciństwie razem z przyjaciółką, Laurą Bellini, poddzierały spódnice za miedziaki. Za miedziaki! Teraz trudno jej było w to uwierzyć. I kupowały za to słodycze, dla niej wafelki, a dla Laury lizaki z czekoladowym środkiem. Miały przy tym świetną zabawę. Zwykle klientami byli trzej chłopcy z ulicy DePuy: Felix, Jack i jeszcze jeden, taki milkliwy. Stawały przed nimi, podciągały spódnice, i to im w zasadzie wystarczało.

Teraz życie było odrobinę bardziej skomplikowane. Ale bez względu na wiek wszyscy mężczyźni byli dokładnie tacy jak ci trzej chłopcy z DePuy Street, trzeba było tylko wiedzieć, co lubią.

Spojrzała na zegarek: pięć po dziewiątej. Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, po czym opuściła damską toaletę i ponownie znalazła się w holu.

Nadal nie mogła uwierzyć w to, jak świetnie wszystko się składa. Norman robił wielkie halo z tego, że Jake Grayson nie zamierza załatwiać jej żadnych ulg, ale potem Art McCullough z własnej inicjatywy wyznaczył jej specjalny termin... bystry człowiek. Miała być przesłuchiwana jako pierwsza, przed innymi.

- Zwykła polityka - powiedział jej Norman. - Onyx, proszę cię, nie dopatruj się w tym czegoś więcej niż polityki. - Prawdopodobnie miał rację. Ale co z tego? To przecież także woda na jej młyn.

Żałowała tylko, że Art McCullough nie wyznaczył jej terminu na końcu. Każdy wie, że nie bierze się pierwszej obejrzonej osoby. Na to jednak nie miała rady. Trzeba było teraz przekonać go,

że danie jej tej roli będzie dla niego najszluszniejszą decyzją z możliwych.

- Panna Jones? Pan McCullough zaraz panią przyjmie. Proszę iść prosto do końca holu.

Onyx wstała i przeszła obok sekretarki. Teraz albo nigdy. Oto jej szansa. Bez nerwów, nie ma na to czasu. Dotarła do końca holu. Były tam drzwi, zamknięte. Zapukała.

- Proszę! Weszła do środka.

Jeśli przeciętniak w średnim wieku, który siedział za biurkiem, był Artem McCulloughem, to miała kłopot z głową.

Norman z trzaskiem odłożył słuchawkę i ukrył głowę w dłoniach. Boże, kwadrans po dziewiątej.

Oznaczało to, że właśnie trwa przesłuchanie Onyx u Arta McCullougha.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego to zrobił? Byłoby tak łatwo skierować ją na inną drogę. Tak, Onyx, będziesz wielką aktorką, ale powinnaś zacząć od lekcji gry aktorskiej. Mam tu dla ciebie nazwisko pewnego człowieka... Mógłby nawet zapłacić za lekcje. Tak, Onyx, zgadzam się, że potrzeba ci więcej czasu dla siebie, żebyś mogła się skupić na pracy. Pozwól, że wynajmę ci mieszkanie... Byłaby to powolna, pewna i długa droga, która zbliżyłaby ich o wiele bardziej. I dałaby mu znacznie więcej władzy.

A on co zrobił? Podał ją na tacy Artowi McCulloughowi. Jeśli dziwnym zrzędzeniem losu dostałaby tę rolę albo w ogóle jakąkolwiek rolę, bohaterem będzie Art McCullough. A jeśli nie, jeśli Onyx odejdzie z niczym, wszystko skrupi się na nim. To on, Norman, będzie łajdakiem albo nieudacznikiem.

Ale gdyby Onyx nie dostała żadnej roli, to przynajmniej będą mogli razem zacząć od początku.

Wprowadzi ją na tę wolniejszą, pewniejszą drogę, i to znowu on stanie się dla niej bohaterem.

W tej chwili jednak, kiedy cierpiał męczarnie za

biurkiem, Onyx rozmawiała już z McCulloughem. Rozmawiała z nim i czarowała go. Podbijała. Uwodziła.

Cholera. Był teraz związany głębokim, rozpaczliwym, najprawdopodobniej także beznadziejnym i trwałym uczuciem z Onyx. I bez względu na to, co by zrobił, bez względu na różnicę wieku, bez względu na wszystko, stosunek sił w ich związku będzie zawsze przechylać się na jej korzyść. Przez połowę wspólnie spędzanego przez nich czasu, no, w każdym razie przez jego część, sądził, że Onyx wcale mu się nie podoba. Ale Boże, jakże jej potrzebował. A teraz wiedział, że Onyx jest tam z McCulloughem, próbując skusić go, skokietować, oczarować, żeby dał jej tę rolę... i mógł tylko cierpieć, siedząc za biurkiem.

Przepraszam, że musiała pani czekać - powiedział McCullough, odkładając słuchawkę.

Onyx oblizła wargi i spojrzała mu w oczy.

- Mam nadzieję, że dobre nowiny? Był nieco zaskoczony.

- Nieszczerólnie. Zaraz, na czym stanęliśmy? Aha, na tym skąd pani jest. Południe Florydy, prawda, tak pani mówiła? Uśmiechnęła się.

- Zgadza się. Ma pan dobrą pamięć.

Znów to zaskoczenie. Tym razem Onyx odniosła jednak wrażenie, że więcej jest w tym irytacji. Może szła zbyt grubymi nićmi?

Spojrzał na zegarek.

- Proszę posłuchać, mam niewiele czasu. Przeczytamy kawałek razem i zobaczymy, jak nam będzie szło.

- Znakomicie. Bardzo jestem zobowiązana za to przesłuchanie.

- Nie ma za co. Jeśli jest pani świetna, względy nic do tego nie mają, a jeśli nie, to żadne względy nie pomogą.

Gapiała się na niego w milczeniu. Jezu, co takiego powiedziała? A może coś źle zrobiła? Rozumiała wprawdzie, że McCullough czuje się w pewnym sensie przyparty do

mur, bo nie mógł z góry odmówić Jake'owi Graysonowi, ale przecież zabierała mu tak niewiele czasu.

- No - powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to optymistycznie - miejmy nadzieję, że wydam się panu tak samo interesująca jak pan mnie. Bardzo lubię pańskie prace.

Wstał i podał jej scenariusz.

- Dziękuję, ale jak mówiłem, nie mam wiele czasu na czytanie z panią. Rozumiem, że Norman Lyons opowiedział już pani akcję, więc proszę łaskawie otworzyć na stronie sto dwudziestej trzeciej.

- Ojej, dobrze. - Znalazła potrzebne miejsce, a reżyser tymczasem znów usiadł.

- Proszę zacząć, kiedy pani będzie gotowa.

- Och, trochę się denerwuję.

- Mimo to proszę zacząć - powiedział bezbarwnie, jakby czuł do niej wstręt.

- W porządku. - Spojrzała do scenariusza i zobaczyła pierwszą zaznaczoną kwestię Audrey. W gardle miała sucho, ale odkaszlnęła i z największym trudem wydobyła z siebie głos: - Widziałam cię dzisiaj w mieście - powiedziała.

- Naprawdę?

- Na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Przed sklepem Bloomingdale'a.

Art McCullough patrzył na nią bez słowa. Wiedziała, że nie rzuca tym czytaniem na kolana, ale ciągnęła: - Kto to był, Cal? Trzymałeś ją pod ramię. Byliście blisko siebie.

- Klientka.

- Oho.

Art McCullough odłożył scenariusz i wstał.

- Przepraszam na chwilę, Onyx. - Przeszedł przez pokój, wyciągnął z paczki jednorazową chustkę i wydmuchał nos.

Przygryzła wargę, starając się wymyślić, co może w tej sytuacji zrobić. Wszystko układało się zupełnie, ale to zupełnie inaczej, niż planowała. Najoczywiej Art McCul-



lough zamierzał jedynie z obowiązku sprawdzić jej czytanie, żeby móc potem powiedzieć, że ma to za sobą.

Teraz wydawało się to szalone, ale miała plan, że będzie go uwodziła w trakcie czytania. Fantazja podsuwała jej wizję sceny erotycznej, od której można płynnie przejść do rzeczywistości. Tekst, który dostała, całkiem się jednak do jej celów nie nadawał. Chyba że...

- Dobra - powiedział Art McCullough, wracając na krzesło. - Zaczynamy od miejsca, w którym przerwaliśmy.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to chciałabym o coś zapytać. Usiadł obok niej.

- Co takiego?

- Ta kobieta, Audrey. Ona jest bardzo atrakcyjna, prawda?

- Bardzo.

Onyx zamilkła. Tu była jej szansa. Serce biło jej tak szybko, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Dlaczego więc Audrey nie może utrzymać tego mężczyzny przy sobie? Skoro jest taka ładna i uwodzicielska?... -Zaczęła rozpinąć guziki sukni. Przerwała na chwilę bez tchu, rozchyliwszy materiał na piersiach, po czym podążyła dalej w dół, tak że po chwili siedziała przed Artem McCulloughem, nie mając na sobie nic oprócz rozpiętej sukienki, czarnego pasa do podwiązek, pończoch (które uwielbiali wszyscy mężczyźni po czterdziestce) i pantofli. - Czy nie może go zatrzymać coś takim?... Art McCullough gapił się na jej biust.

Nie była zaskoczona. Kiedy dochodziło do konkretów, wielu mężczyzn w tym wieku zdradzało przynależność do typu cyckolubnego. Brak stanika i pas z podwiązkami niechybnie podniecały ich do szaleństwa.

- Wstawaj - powiedział.

Powoli wstała i wyciągnęła rękę w kierunku jego ramion. W porządku, może go trochę pokokietować, jeśli on ma na to ochotę.

- Do diabła ciężkiego, ubierz się - powiedział,

z wściekłą miną przechodząc na drugi koniec pokoju. Stał tam z ręką przy skroni, odwrócony do niej tyłem. Jasny gwint. Zdecydowanie popełniła błąd.

- Przepraszam - powiedziała. Ruszyła ku niemu.

- Po prostu się ubierz - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Boże. Naprawdę mówił poważnie. Obróciła się i zaczęła z powrotem zapinać guziki sukienki. Czyżby był utajonym pedałem, mimo że żonatym? Nie, na pewno nie. Nie mógł też być zaszokowany tym, co zrobiła. Jeśli pracował jako reżyser, kobiety niewątpliwie rzucały się na niego w dzień i w nocy.

Niech tam, musiała teraz jednak coś zrobić. Wygładziła sukienkę i podeszła do kanapy.

- Naprawdę bardzo przepraszam, panie McCullough. Czy chce pan wrócić do pracy nad scenariuszem?

Rzucił jej niespieszne spojrzenie.

- Nie chcę wracać do pracy nad scenariuszem. Próbowала pani i nie udało się. Teraz pani stąd wyjdzie, a ja powiem Graysonowi i Lyonsowi, że poszło całkiem nieźle, ale niestety nic z tego nie będzie.

- I już? To wszystko?

- Proszę nie żartować, panno Jones. Usiłowała pani zrobić coś, co wyraźnie przynosiło pani sukcesy w przeszłości, ale tym razem zawiodło. Jestem bardzo zajęty, więc...

- Chwileczkę. Jeszcze chwileczkę. Spojrzał na nią szczerze rozwścieczony.

- A to w jakim celu?

Boże. Co powiedzieć? Te bezlitosne brązowe oczy i zaciśnięte usta wyglądają tak stanowczo.

- No... chciałam jeszcze raz przeprosić. Skinął głową.

- W porządku. Przeprosiny przyjęte. - Rzucił okiem na zegarek. - Ale przesłuchanie dobiegło końca.

- Przecież przeprosiłam. Westchnął.

- Onyx, nic z tego nie będzie. To takie proste.

- Może nie tak bardzo - usłyszała własny głos.

- Co pani ma na myśli? - W jego głosie było jednak więcej rozdrażnienia niż zaciekawienia.

- Nic nigdy nie jest takie proste, jak się zdaje, panie McCullough. Wkrótce pan zobaczy.

Posłała mu jeszcze jedno spojrzenie i wypadła z pokoju jak burza.

Niech szlag trafi tego McCullougha! Przecież przeprosiła. I bynajmniej nie szła do niego z nożem. A on zachował się, jakby popełniła zbrodnię. Nie ma mowy, zapłaci jej za to, musi zapłacić! Teraz trzeba wybrać się do Soho, do sklepiku Jocelyn Lane, i zobaczyć, czy uda się tam znaleźć dość kompromitujących materiałów. Onyx była pewna, że coś wymyśli. Co za problem, robiła to przedtem, zrobi i teraz.

15

Na dźwięk kluczy w zamku Caitlin zamknęła drzwi łazienki. Nie była jeszcze gotowa do spotkania z Craigiem.

Boże. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd dostała tę rolę, jeszcze nie mogła w to uwierzyć, a on już się zachowywał, jakby miał w domu Elizabeth Taylor. Jej nazwisko trafiło nawet do telewizji, co stanowiło najbardziej ekscytujące wydarzenie w dotychczasowym życiu Caitlin, ale Craig zobaczywszy, że Mary Hart podaje tę informację w „Entertainment Today”, wrzasnął tylko: „Dlaczego mnie nie powiadomiono?!“ i nabzdyczył się na cały wieczór.

- Musimy zapewnić ci to, co dla ciebie najlepsze, Cait. We wszystkim. Nikt nie będzie cię wykorzystywał tylko dlatego, że jesteś w branży nowa. Niech to diabli, zamierzam zatelefonować w tej sprawie do Arta McCullougha.

Na szczęście nie udało mu się połączyć, a rano był już spokojniejszy. Wyszedł jednak z domu dosyć wcześnie, więc kto wie, co robił przez cały dzień.

- Cait?
- Sekundę.
- Wyjdź do mnie. Mam dobre nowiny.
- Dobra, za chwilę.

Boże. Czowała się jak więzień. Do tak ciasnej łazienki trudno było przywyknąć. Wanna mogła w zasadzie służyć do kąpania niemowląt, a obok wciśnięto tuż obok siebie umywalkę i sedes. Krótko mówiąc, był to właściwie kącik dumania, a zarazem małe schronienie.

- Wyjdź, Cait. Padniesz, jak usłyszysz.
- Jeszcze nie jestem gotowa! - zawołała. - O Boże! Usłyszała, że Craig spowodował potworny łomot. Brzmiało to, jakby uderzył w coś pięścią. Potem zapadła cisza
- Hm, może rzeczywiście należało już wyjść. Westchnęła i przejrzała się w lustrze. Już wyglądała starzej. Nie było w tym nic strasznego, nie zamierzała narzekać i upodabniać się do zrzędlivych gwiazd telewizyjnych. Craig miał jednak w sobie coś, przez co czowała się coraz starzej. Tak jakby ona się zmieniała, a on nie. Otworzyła drzwi i przeszła do salonu. Craig siedział przed telewizorem z wyłączoną fonią („Powinnaś przyglądać się ulubionym aktorom, Cait - mawiał. - Studiować ich gesty, mimikę, dłonie. Wiele się z tego nauczysz.”) Znowu leciały *Aniołki Charliego*, właśnie Farrah klóciła się z jakimś mężczyzną. - Craig?
- Popatrz na to - powiedział nie odwracając się. - Już wtedy miała potencjał. Wszyscy się z niej podśmiewali, ale teraz ona śmieje się ostatnia.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, siadając obok niego na kanapie.
- Popatrz na ten uśmiech. - Craig, co jest?
- Oho, parę minut temu nie byłaś taka ciekawa.
- Siedziałam w łazience!

Nie odezwał się. Ale nawet widząc go tylko z profilu, mogła powiedzieć, że tak naprawdę nie ogląda tego, co jest na ekranie. Intensywnie myślał.

- Nie drocz się.

W końcu na nią spojrział.

- Nie interesuje cię, co dzisiaj robiłem. Niech będzie. Ale posłuchaj tego: W biurze Arta spotkałem młodych Graysonów.

- Poszedłeś beze mnie do Arta McCullougha?

- Nie chciałem ci o tym mówić. Art i ja mamy parę rzeczy do przedyskutowania bez ciebie.

- Ale mogłeś mi powiedzieć, że w ogóle idziesz. Boże, Craig.

- Miałem swoje powody. No, więc chcesz usłyszeć cokolwiek o Graysonach?

- Oczywiście.

- Szkoda, że cię tam nie było, Cait. Właśnie rozmawiam z Artem w jego biurze w CTC, kiedy dzwoni telefon i słyszę, że czekają na niego Chris i Ellie Grayson. Na początku nawet nie skojarzyłem ich z Jake'em Graysonem. Chyba wyłączyła mi się maszynka do myślenia. Nawet nie wiedziałem, że ten facet ma dzieci. - Ja o tym słyszałam. Christopher Grayson właśnie skończył studia w Harvardzie.

- Skąd wiesz?

- Chyba z magazynu „Us”. Były zdjęcia młodego Graysona i jego siostry, razem z Jake'em i jego żoną. Zdaje się, że żona nazywa się Barbara.

- Owszem. Chyba wspominali coś o Barbarze. Tak czy owak, niewiarygodna historia, Cait.

Spędziliśmy prawie cały czas na oglądaniu twoich zdjęć.

- Naprawdę? Położył jej ręce na ramionach.

- Taki byłem dumny, że mogę im o tobie wszystko opowiedzieć. To było najwspanialsze uczucie na świecie. - Wyłączył telewizor i w pokoju zrobiło się całkiem cicho. - Kochanie, pobierzmy się.

Poczuła, że ją zmroziło.

- Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej.

Uścisk jego dłoni osłabł, ale tylko na chwilę.

- Nie chcesz? - spytał.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Rozmawialiśmy o byciu zawsze razem.

Pomyślała o matce i jej mężach. I o swojej przyjaciółce Candy, która wzięła ślub z Frankiem, facetem pracującym w aptece. I o wszystkich małżeństwach związanych z show businesssem. Praktycznie tylko Paul i Joanna byli nadal razem. No, jeszcze Steve Allen i Jayne Meadows i Bob Newhart z żoną. I wreszcie Jake Gray-son z żoną. Ale i tak niewiele osób.

- No cóż - powiedział cicho Craig. Puścił ją i wstał. - Widzę, że nie oczekiwałaś tej propozycji z zapartym tchem.

Miał rację. Ale nie mogła pozwolić, żeby tak myślał.

- Nieprawda - powiedziała, kierując ku niemu wzrok. Spojrzał na nią smutno.

- Myślałem, że to będzie dobra chwila - powiedział cicho. - Nowy start dla nas obojga. - Znowu usiadł i ujął jej dłoń. - Wiem, że zwykle ty polegasz na mnie, Cait, że to ja jestem tym, kto ma dawać siłę i oparcie. Ale po tych zmianach, które teraz zachodzą, może się zdarzyć, że czasem to ja będę się chciał oprzeć na tobie.

- Tak powinno być - odparła. - To jest uczciwe. Ale małżeństwo...

- Powiem jasno. Bardzo cię potrzebuję. Dzisiaj w biurze Arta, kiedy wszyscy patrzyli na twoje zdjęcia... miałem ochotę powiedzieć: „To moja żona”. Omal że tego nie powiedziałem.

Westchnęła. Czyżby było z nią coś nie w porządku? Boże. Tyle się ostatnio czyta o tym, jak trudno znaleźć męża. Kobiety z całego Nowego Jorku szukały takich mężczyzn jak Craig i nie mogły znaleźć. A ona go miała. Ale po prostu nie mogła wyjść za niego za mąż, i już.

Nigdy, przenigdy nie zamierzała wychodzić za mąż.

Majaczyła jej też inna, przykrzejsza myśl. Caitlin ledwie ją sobie uświadamiała i zupełnie nie wierzyła, że może być w niej choć ziarnko prawdy. Ale w głębi, jakby z bardzo daleka, słyszała głos: „On chce się z tobą ożenić, bo możesz stać się sławna”.

- Muszę mieć trochę czasu do namysłu - powiedziała. Czy nie powtórzyła tego, co usłyszała w zeszłym tygodniu z ekranu od Violet, bohaterki jej ulubionego serialu?

- Dam ci wszystko, czego chcesz, z czasem włącznie - powiedział, delikatnie głaszcząc jej policzek. - Ale tylko pod warunkiem, że obiecasz to przemyśleć.

Skinęła głową.

- Zgoda. O to proszę - powiedział. - Ale chodzi mi jeszcze o jedno.

- Co takiego?

- Gdyby ktoś pytał, mówmy oboje, że jesteśmy zaręczeni, dobrze?

Nie odpowiedziała.

- Cait, trzeba to powiedzieć wyraźnie. Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie mogę pomijać tej kwestii milczeniem? Oczy mu spochmurniały.

- Pomijaj sobie, jeśli chcesz. Proszę bardzo. - Wstał i wyszedł z pokoju, a w chwilę później Caitlin usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

Znowu był wściekły. Ale jak mogła postąpić inaczej? Wyskoczył z tą propozycją jak diabeł z pudełka.

Jak to możliwe, że w książkach i filmach kobietom zawsze wolno to „przemyśleć”? „Potrzebuję trochę czasu do namysłu”, mówią, a mężczyzna odpowiada: „Ile tylko chcesz, kochanie, pod warunkiem że odpowiesz twierdząco”.

O ile Caitlin wiedziała, życzenie, by mówić wszystkim „że jesteśmy zaręczeni”, nie było wypowiedane w serialach ani razu.

Boże. Dlaczego nie było żadnego człowieka, którego mogłaby się poradzić? Dlaczego nie miała takiej matki, do której mogłaby zadzwonić ze słowami: „Mamo, poprosił mnie o rękę”, na co matka odpowiedziałaby okrzykiem szczęścia.

Może oszalała, że powiedziała nie. Może jeśli ktoś zachowuje się tak jak normalni ludzie w książkach, to się do nich upodabnia.

Ale ona nie była normalna, zdecydowanie nie. Rzecz w tym, że ostatnio wiele mówiono w telewizji i publikowano w prasie, nawet w takim magazynie jak „Life”, artykuły na temat czegoś zwanego „nadużywaniem nieletnich”. „Tragedia naszych czasów”, „Największy z sekretów”, „Ukryty skandal”, pisano. Twierdzono, że jeśli jest się dzieckiem, powinno się powiedzieć o takiej sytuacji komuś dorosłemu, na to jednak było dla niej zdecydowanie za późno. Twierdzono też, że, „Jeśli nawet coś takiego ci się zdarzyło, nie świadczy to o twojej nienormalności”. Ale autorzy niczego w istocie nie tłumaczyli. Nie wyjaśniali, jakiego rodzaju człowiekiem jesteś, jeśli z własnej woli kochałeś sprawcę tych nadużyć, jeśli brakowało ci go, kiedy odszedł. Nie wyjaśniali też, jak to możliwe, że był on twoim jedynym przyjacielem. Nigdy nie wspomniano ani o tym, ani o matkach celowo przymykających oczy i traktujących dzieci jako przynętę.

Pisano za to, że sprawcy nadużyć wobec nieletnich w większości sami byli ofiarami nadużyć w wieku dziecięcym. Czasem widywałem na ulicy małe dziewczynki w krótkich spódniczkach albo dziewczynki siedzące na ławce z odkrytymi udami. Zastanawiała się wtedy, jak matka może na coś takiego pozwalać. Dla niej te obrazy były równie pełne seksu jak zdjęcia w „Playboyu” czy „Penthouse”. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie reaguje normalnie. Prawdopodobnie oznaczało to, że gdyby miała dzieci, dopuszczałyby się z nimi takich samych nadużyć, jakich dopuszczano się z nią. A skoro tak, to lepiej byłoby umrzeć.

16

Chcę, żebyś porozmawiał z Chrisem - powiedziała Barbara odstawiając kieliszek wina. Jake wzruszył ramionami.

- O czym? Wydaje mi się, że z nim jest wszystko w po-



rządu. Świetnie mu się będzie pracować z Artem nad *Księżniczką przeznaczenia*.

- Tam może być świetny, Jake, ale coś z nim jest nie tak. Mam takie wrażenie, wyczuwam to. A tak w ogóle to czy umyłś ręce?

Widelec Jake'a zatrzymał się w pół drogi do talerza.

- Co takiego?

- Czy umyłś ręce?

- Umyłem po powrocie do domu, mam nadzieję, że ci to wystarczy.

- Widziałam, że potem trzymałeś pieniądze. Wyjmowałeś banknoty z portfela.

- I co z tego?

- Przecież nie wiesz, kto miał je w dłoniach przed tobą, Jake. Jesteśmy w Nowym Jorku. Te pieniądze mogły znajdować się dosłownie wszędzie.

- Ręce mam czyste.

- Jake, proszę cię. Nie mogę jeść z myślą, że te wszystkie drobnoustroje roją się w porach twoich dłoni.

Westchnął, wstał i odrzucił serwetkę na stół.

- Jeśli ma cię to uszczęśliwić... - powiedział wychodząc.

Barbara spojrzała na serwetkę i stwierdziła, że upadła, zakrywając pół talerza Jake'a i niemal dotykając ryżu. Czy Jake naprawdę niczego nie rozumiał? Czyżby ostatnio nie czytał gazet? Czyżby nie wiedział, ile miliardów zgubnych drobnoustrojów opada na ulice Nowego Jorku? Dzięki Bogu, że przynajmniej nie jechał metrem i, o ile było jej wiadomo, spędził bardzo niewiele czasu na ulicy. Ale pieniądze! Czyżby nie wiedział, ilu chorych ludzi ich dotykało? Przecież zaledwie kilka miesięcy temu był w „Timesie” artykuł o niemal epidemicznym rozprzestrzenianiu się gruźlicy w mieście. Pewnego mężczyznę przyjęto na leczenie w szpitalu Bellevue w bardzo zaawansowanym stadium, miał gruźlicę od wielu miesięcy. Kiedy zapytano go, jak zarabiał na życie, wyjaśnił, że sprzedają hot dogów w Piątej Alei przy Centrum Rockefellera.

Słyszając powracającego męża Barbara odepchnęła jego serwetkę dalej od jedzenia.

- Już. Możesz się uspokoić - powiedział wyciągając przed siebie dłonie. - Klinicznie czyste, Barbaro.

- Nie musisz sobie ze mnie stroić żartów - powiedziała. - Ja po prostu stosuję się do zasad zdrowego rozsądku.

Usiadł i z powrotem położył serwetkę na kolanie.

- Skończmy już rozmowę o rękach, dobrze? Chcę wiedzieć, dlaczego twoim zdaniem powinienem porozmawiać z Chrisem.

- Dzieje się z nim coś bardzo niedobrego, ot co. Czuję'to.

- Matczyna intuicja? - spytał z powątpiewaniem.

- Tak, choć może trudno ci w to uwierzyć. Jest bardzo nerwowy. O byle co się irytuje. Podskakuje na metr przy każdym dzwonku telefonu.

- Cholera, Barbaro. Ten dzieciak skończył dwadzieścia dwa lata. Czy nie sądzisz, że ma prawo do prywatnego życia? Porozmawiam z nim, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale nie będę prowadził badania trzeciego stopnia ani robił z nim seansu psychoanalitycznego.

- O to cię nie prosiłam - odpowiedziała cicho. - Tylko z nim porozmawiaj, nic więcej.

- Sama mogłabyś z nim porozmawiać.

- To nie to samo. - Ugryzła kęs polędwicy i znów odłożyła widelec. - Wiesz, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Spojrzał jej w oczy.

- Tak?

- Coś znalazłam w jego pokoju.

Wbił w nią wzrok, bynajmniej nie przyjazny.

- Barbaro, przysięgnij, że nie myszkowałam po jego pokoju.

- Nie „myszkowałam”. Miałam tam sprawę.

- Jaką sprawę?

- Dzwonił telefon. Musiałam odebrać.

- Aha. W jego pokoju. I co wtedy znalazłaś?
- Nie mam zamiaru ci powiedzieć, jeżeli będziesz okazywał taką wrogość.
- Powiedz, co znalazłaś, Barbaro.
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Do ciężkiej cholery! Powiedz mi, co znalazłaś w jego pokoju!
- Jake, nie wrzeszcz.

Spojrzał na nią i upił długi łyk wina. Niech to szlag trafi, czy doczeka się kiedyś takiej rozmowy, że Barbara nie będzie odgrywać zranionej i urażonej? Że będzie mógł wrzasnąć, jeśli najdzie go złość, i wrzeszczeć na nią, i usłyszeć Barbarę odpowiadającą mu tym samym.

- Znalazłam kawałek papieru - powiedziała i bez pośpiechu wzięła głęboki oddech.
- Boże, Barbara potrafiła doprowadzić człowieka do furii. Kiedy chciała, ciągnęła opowieść przez miesiąc. Spojrzała na swój talerz. - To potwornie trudne - wymamrotała.
- Barbaro, po prostu mi powiedz.

Spojrząwszy na niego ponownie, miała w oczach łzy.

- Było tam napisane Ruch Delta, a pod tym adres i numer telefonu.
- I co z tego?
- Nie wiesz, czym zajmuje się Ruch Delta? Wzruszył ramionami.
- To jest kult, Jake, kult zwracający chłopców i dziewczęta z drogi homoseksualizmu. W zeszłym roku miałam okazję widzieć w telewizji sporo nawróconych, czy jak ich tam nazywają.
- Dobrze. I co z tego?
- Nie rozumiesz? To jest właśnie problem z Chrisem. To go dręczy. Czy nie pamiętasz, że kiedy tu nocował, miał rozmowę telefoniczną o trzeciej czy czwartej w nocy?
- Nie sprawdzam, kiedy i z kim rozmawia mój syn, Barbaro.
- A może powinieneś. Może oboje powinniśmy. Telefon był z Francji. Chris sprawiał wrażenie bardzo zdener-

wowanego, kiedy Martha powiedziała mu, że mężczyzna ma francuski akcent. A kiedy wrócił, powiedział, że nikt się nie odezwał, dobrze pamiętam. Dziwne to było.

- Masz niesamowitą pamięć do szczegółów z życia dzieci, Barbaro. Naprawdę nie wydaje mi się potrzebne zwracanie uwagi na takie rzeczy.

- Jake, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Bóg wie, co on robił tam w Paryżu, trzyma to w absolutnym sekrecie. Wiem, że twoim zdaniem za bardzo się wtrącam w życie Chrisa i Ellie, może rzeczywiście masz rację, ale czy to nie lepsze niż udawanie, że nic złego się nie dzieje? Gdyby któreś z nich miało problemy, chciałabym o tym wiedzieć. Boże, jeśli Chris zdecydował się teraz na homoseksualizm, ze wszystkimi tego konsekwencjami...

Westchnął i upił łyk wina. Naprawdę zadziwiało go, jak Barbara mogła być tak aktywna, agresywna i jednoznaczna, kiedy chodziło o życie jej, a właściwie ich, dzieci. Kiedy natomiast wspominał o tym, że nie spali ze sobą od trzech miesięcy, zatykała ją z wrażenia albo udawała, że nie rozumie w czym rzecz. Na taki temat nie miała zupełnie nic do powiedzenia. Nie było dyskusji. Ale dzieci... Tym chyba nigdy nie da spokoju.

Chris homoseksualistą. Niemożliwe, żeby to była prawda. Do diabła, pomyślał Jake, w jego wieku byłem zabijaką jak się patrzy. A parę lat później przypadkiem poznał Barbarę.

Dlatego między innymi chciał, żeby syn pojechał do Paryża i użył życia. Chrisowi było bardzo potrzebne rozstanie z rozpanoszoną dziewczyną, miał to wypisane na twarzy. Rzeczywiście, spakował manatki i załatwił sprawę. I w Paryżu prawdopodobnie zabawił się za wszystkie czasy. Ale Chris homoseksualistą? Niemożliwe.

Niestety, prawdę mówiąc, nawet Chrisa dobrze nie znał. Nigdy właściwie nie umieli ze sobą szczerze rozmawiać. Jake nie wątpił jednak, że mimo wszystko zna syna wystarczająco, żeby orzec, czy jest homoseksualistą.

Rzucała się w oczy znakomita sylwetka Chrisa, był wysoki, szczupły, muskularny, łączył w sobie najlepsze

cechy obojga rodziców. Pociągał z pewnością ludzi obu płci. Ale jego ciało... myśl o młodym ciele Chrisa zagłębiającym się w innym mężczyźnie albo biorącym w siebie innego mężczyznę przechodziła jego pojęcie, wyobraźnia Jake'a na szczęście przestawała w tym momencie pracować.

- Martwisz się - powiedziała Barbara. - Widzę to. Mam rację, Jake, prawda?

Nie mógł na nią spojrzeć. Nie chciał z nią rozmawiać na ten temat, nie chciał nawet o tym myśleć.

Chciał mieć święty spokój.

- Porozmawiam z nim - powiedział.

17

Norman siedział u siebie w biurze i palił papierosa.

Głowa go bolała, w piersiach rwało, w ustach czuł stężony kwas. Miał rozwolnienie przez cały dzień, odkąd zatelefonowała do niego Onyx.

- Jestem na ciebie naprawdę wściekła - powiedziała. - Dlaczego nie załatwiłeś tego przyzwoicie?

- Onyx, poczekaj...

Ale ona odłożyła słuchawkę. Dziś nie pokazała się w pracy, co mogło oznaczać wszystko, także to, że nie zamierza już tam wracać.

A on nawet nie wiedział, co dokładnie się stało. Najprawdopodobniej Onyx próbowała uwieść Arta McCullougha i nic jej z tego nie wyszło.

Zdobądź się na szczerłość wobec siebie, Norman, potraktowała cię tak, jak na to zasłużyłeś.

Nie mógł się z tym pogodzić.

Pomyślał o swoim mieszkaniu, o Lesley i tym, co żona robi. Pewnie czyta. Ale nie powieść, o nie: jakiś komputerowy podręcznik albo tomisko o zarządzaniu. Po jego powrocie podniesie na chwilę głowę i zaraz wróci do lektury.

Bądź szczery, Norman.

Onyx wykorzystała go i rzuciła. Koniec romansu.

Rzygać mu się chciało, kiedy myślał, że pozwolił się wykorzystać. I że został zlekceważony.

Zgasił niedopałek i usiłował wymyślić, jak zrewanżować się Onyx.

18

Szkoda, że nie wzięłaś roli w tym filmie - powiedział Art, patrząc przez stół na żonę. Pokręciła głową.

- Jeśli mam przestać być modelką, to chcę rozstać się z zawodem na dobre. Zresztą śmiertelnie mnie to już znużyło. Okropnie łatwo było mi się przyzwyczaić do późnego wstawania - powiedziała z uśmiechem.

Zadzwonił telefon.

- Niech się nagra na sekretarkę - powiedział.

- Art, nie. Nie znoszę, kiedy ludzie gadają do automatu.

Podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

- Słucham - powiedział. Cholerny telefon. Dlaczego zawsze musiał dzwonić, kiedy siadali do obiadu.

- Art? - Głos był wysoki, prawie dziewczęcy. Nieznajomy i pełen entuzjazmu.

- Tak - powiedział ostrożnie.

- Mówi Onyx.

Onyx. Onyx. Ach, ta z przesłuchania do *Księżniczki przeznaczenia*.

- Skąd pani wzięła mój numer?

- Czy to ważne? Chodzi o to, Art, żebyś zorganizował mi jeszcze jedno przesłuchanie. - Nastąpiła przerwa. - Jocelyn Lane jest tego samego zdania.

- Jocelyn... - Rzucił ukradkowe spojrzenie na Cassie. Siedziała przy stole, ogarniając go spojrzeniem.

- Musi być pani w błędzie - powiedział wolno. Odpowiedź nie

miała sensu. Zdawał sobie z tego sprawę, ale miał w głowie cholerną pustkę. Jocelyn? Co Onyx wiedziała na ten temat?

- Posłuchaj, Art. Nie chcę robić kłopotów, wszystko zależy od ciebie. Załatwmy sprawę krótko i bez komplikacji. Jutro o dziesiątej u ciebie w biurze, zgoda?

- Hmm... dobrze - odparł całkowicie sparaliżowany. Rozłączyła się, a Art raz jeszcze spojrzął na Cassie. Kiedy odkładał słuchawkę, sięgała po szklankę z wodą.

- Kto to był? - spytała.

- To... - Boże, odebrało mu zdolność myślenia. - Jakaś aktorka. Jake chce, żebym ją obejrzał w związku z *Księżniczką przeznaczenia*.

Cassandra spoglądała groźnie.

- Skąd ona wzięła ten numer?

- Domyślam się - odparł Art, wracając do stołu. Usiadł i przełknął trochę wina. - Ma romans z Norminem Lyonsem z CTC. Mogła bez trudu wyciągnąć od niego taką informację. Cichaczem albo i nie. - Tak było. Nagle Arta oświeciło: to prawdopodobnie od Lyonsa Onyx wiedziała o Jocelyn. Przecież właśnie u Lyonsa Jocelyn szukała pracy, zanim założyła sklep. Boże.

Nigdy nie myślał, że ta historia wyjdzie na jaw. Właściwie nie było w niej wiele do ukrywania. Zerwał z Jocelyn i poprosił ją o odejście z jego firmy. Prawdę mówiąc, nie było sposobu, żeby ją zostawić, skoro żenił się z Cassandrą. Jocelyn szukała przez kilka tygodni innej dobrej pracy, lepszej niż pańszczyzna, którą jej oferowano. A w nim obudziły się wyrzuty sumienia. Poprosił ją o opuszczenie McCullough Productions z własnych powodów, które nie miały z nią nic wspólnego. Jocelyn tymczasem zmagала się z losem. Myślała nawet o powrocie do Nowego Meksyku.

Pomógł jej więc finansowo w założeniu eleganckiego sklepu z bielizną. W tej branży Jocelyn z pewnością miała szanse na sukces, a zdaniem Arta zasługiwała na to.

Utrzymał jednak całą sprawę w sekrecie. Był wtedy świeżo po ślubie i nie wątpił, że Cassie dostałaby szalu,

gdyby się dowiedziała. Bo owszem, zerwał z Jocelyn, ale dobrze po tym, jak zaczął z Cassandrą. A Cassie właśnie w tym okresie powiedziała wyraźnie: „Spróbuj tylko romansu z inną kobietą, to nie zobaczysz mnie nigdy więcej w życiu”.

Nie przypuszczał, że ktoś wybierze się do Soho na przeszpiegi, nie robił więc ze sprawy wielkiego sekretu. Sfinansował ten sklep dla Jocelyn na poły dlatego, że miał poczucie winy, na poły dlatego, że wciąż darzył ją ciepłym uczuciem. Ale historia skończyła się zbyt późno. Byłoby mu cholernie trudno się z niej wytłumaczyć.

- Art? - odezwała się Cassandra.

- Tak, kochanie. - Upił jeszcze łyk wina.

- Na co się zgodziłeś, mówiąc „dobrze”?

- No... będę ją drugi raz przesłuchiwał. Dam jej szansę.

- Dlaczego?

- Jake tak chce. - Wzruszył ramionami. - Nie ma o co robić hałasu. Może się przyda do jakiegoś ogona. Cassie przyjrzała mu się uważnie.

- Art, nie obsadzaj jej tylko dlatego, że jest jakąś durną przyjaciółeczką Jake'a Graysona albo innego faceta z CTC. Jake dał ci wolną rękę w doborze obsady, powinieneś z tego skorzystać.

- Wiem, wiem. Ale może nie będzie to aż taki problem. - Czy na pewno nie? Co wie Onyx Jones o nim i Jocelyn? I czym ją można zadowolić w zamian za milczenie? Musiała przecież wiedzieć, że główne role zostały już obsadzone, a nazwiska poszły do prasy i telewizji. Czego więc, do diabła, chciała? -1 ona nazywa się Jocelyn? - spytała Cassandra.

- Co? Nie, nie. To jedna z ról, o którą się ubiegała. Ale jej nie dostanie. W najlepszym razie ma szansę na coś mniejszego. Myślę zresztą, że Jocelyn i tak trzeba będzie skreślić ze scenariusza.

Omam nie udławił się następnym łykiem wina. Boże, w co on się pakuje?



Chris wyszedł z kawiarni i ruszył Szóstą Aleją. Do Christopher Street miał jeszcze pięć przecznic. Przez cały wieczór udawał przed sobą, że wcale się tam nie wybiera. Było chłodno i pogodnie, Nowy Jork wyglądał wspaniale, przechadzka zdawała się więc naturalnym odruchem. Cóż dziwnego w chęci popatrzenia na ludzi i na budynki wzniesione przez lato, kiedy nie miał okazji bywać w Greenwich Village?

Czuł jednak także ciekawość, wewnętrzny przymus, potrzebę, które sprawiały, że szedł w tę stronę. Zdażył już zobaczyć dziesiątki homoseksualistów. Patrzyli na niego, mierzyli go wzrokiem, taksowali jako potencjalnego partnera.

Nie chciał należeć do tego świata. Nie wiedział nawet, kim właściwie jest ani co wywołało w nim zmianę.

Przystanął przed wystawą z koszulami bardzo podobnymi do tych, które nosił Gerard. Podniósł głowę i zobaczył w szybie swoje odbicie: smukły blondyn z blado-niebieskimi oczami. Homo czy nie? A potem dostrzegł odbicie jeszcze jednego człowieka, przystojnego, ciemnowłosego, mniej więcej trzydziestoletniego, pogrążonego w melancholijnej zadumie. Ich spojrzenia spotkały się w szybie, i Chris odszedł.

W pół drogi do następnej przecznicy przystanął znowu. Miał przed sobą sklep z czasopismami, w witrynie leżały francuskie i włoskie magazyny.

- Czy nie studiowałeś przypadkiem w Harvardzie? Chris się obrócił. Ten sam mężczyzna.

- Pracowałem tam parę lat temu w sklepie - powiedział mężczyzna. - Czy widziałem wtedy ciebie, czy masz sobowtóra?

I to, i to, miał ochotę odpowiedzieć. Tyle że mój sobowtór ma na imię Gerard i jest teraz w Paryżu.

- Pewnie mnie - odparł.

Pół godziny później spoglądał w drugi koniec poddasza należącego do Toma Maxwella, gdzie gospodarz mieszał dla nich dżin z sokiem cytrynowym. Tom dzielił to miejsce z przyjacielem, który tak samo jak on pracował na Strandzie i również był artystą.

Chris był pod wrażeniem tego, co Tom zrobił ze swym życiem, odkąd zrezygnował z pracy w sklepie: przeprowadził się do Nowego Jorku, umalował sobie ręce po łokcie, zanim w końcu przyjęli mu pierwszy obraz do galerii, pracował codziennie od rana do wieczora nad czymś, co prawie nie dawało pieniędzy. Nie miał bogatych rodziców, na których mógłby polegać, żadnych ukrytych zasobów, nic poza wpływami z pracy na nabrzeżu, i kropka. Chris podejrzewał, że Tom musi też mieć wiarę w sukces, który kiedyś przyjdzie.

- To twoje obrazy tam, na ścianie? - zapytał Chris spoglądając na dwa ogromne płótna niemal w całości białe, zakłócone jedynie kilkoma nitkami błękitu i szarawą mgiełką pośrodku.

- Nie. Mojego współlokatora - odparł Tom, wracając na kanapę.

Dzięki Bogu, pomyślał Chris. Nie byłby w stanie powiedzieć nic ponad „O!”, gdyby okazały się dziełami Toma.

- Chyba nie chcesz tak naprawdę obejrzeć czegoś, co namalowałem? - spytał Tom. - Nie znoszę pokazywania własnych prac przyjaciołom.

- Rozumiem - powiedział Chris z ulgą. Tom spojrzał mu w oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że się dziś na ciebie natknąłem. W Bostonie za żadne skarby nie starczyłoby mi odwagi, żeby cię zagadnąć. A zawojowałeś nas obu, i mnie, i mojego przyjaciela.

Chris przełknął ślinę. Tom pamiętał go z Harvardu, sprzed dwóch lat. Niewiarygodne. Próbował wyobrazić sobie Toma w sklepie, ale za nic nie mógł go sobie przypomnieć.

Tom wyciągnął rękę i położył ją na kolanie Chrisa, który poczuł, że spłonął rumieńcem.

Nie mógł spojrzeć na Toma. Wpatrywał się w swoją szklaneczkę, upił niewielki łyk, a potem zatrzymał spojrzenie na obrazie.

- Czy twój przyjaciel coś sprzedał?

- E, niewiele, właściwie nic. - Usłyszał, że kostka lodu stuknęła o zęby Toma. Potem doleciał do niego dźwięk odstawianej na stolik szklaneczki. - Chodź - powiedział Tom.

Chris obrócił się w jego stronę, a Tom przysunął się bliżej i szybko pocałował go w usta.

- Nie bój się, jestem czysty - powiedział. - Ostatnio interesuje mnie wyłącznie bezpieczny seks. Nie przeszłyby mi przez głowę żadne głupie pomysły.

Chris odchrząknął.

- Tak, no... nie wiem.

Tom przesunął dłoń po jego udzie, a Chris patrzył na to, jakby udo nie należało do niego, lecz było częścią filmowego obrazu. Nie czuł nic, ale czy byłoby tak samo, gdyby nie znajdował się w takiej sytuacji, lecz tylko ją sobie wyobrażał? Gdyby na przykład oglądał zdjęcie w czasopiśmie: męska dłoń na męskim udzie? Albo gdyby była to migawka z filmu.

Dłoń Toma dojechała na samą górę dżinsów Chrisa, zatrzymując się nad członkiem. Nic.

Tom wstał.

- Włączę muzykę. Masz na coś szczególną ochotę? Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej, pomyślał Chris.

Jak to możliwe, że w Paryżu był rozpalony do białości, a tutaj nie czuł niczego. Tom był przystojny i z pewnością o całe niebo sympatyczniejszy od Gerarda. Czyżby brakowało poczucia zagrożenia? Czy seks z Gerardem stanowił jedynie przejaw długo tłumionego buntu?

- Oto i muzyka - powiedział Tom, wracając na kanapę. Włączył stację nadającą jazz i cały pokój wibrował. Z powrotem usiadł i uśmiechnął się. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, Chris. Naprawdę...

- Posłuchaj - powiedział Chris.

- Nie. Poczekaj - powiedział Tom cichym, lecz wład-

czym głosem. Przesiadł się tak, żeby być twarzą w twarz z Chrisem i zaczął odpinać mu koszulę. Chris wiedział, że powinien jakoś zareagować, ale kiedy powiedział „Posłuchaj”, oczy Toma załśniły taką urazą, jakby było wiadomo, co nastąpi. Chris nie mógł się zdobyć na dokończenie zdania. Tymczasem Tom pochylił się i uchwycił wargami sutkę Chrisa, zaczął ją skubać zębami, jednocześnie drażniąc drugą palcami. Wolną ręką natomiast rozpiął Chrisowi spodnie, najpierw pas, potem guzik, w końcu rozporek.

- Posłuchaj - powiedział Chris. Tom podniósł głowę.

- Nic nie mów - rzucił gardłowo. Przesunął wargi po piersi Chrisa w kierunku brzucha.

- Nie - zaprotestował Chris, kiedy Tom odnalazł jego członek. - Przestań, Tom.

Tom westchnął i cofnął się.

- Co jest? - spytał z taką miną, jakby już znał odpowiedź.

Chris zaciągnął zamek błyskawiczny.

- Zrozum, naprawdę mi przykro. Możesz mi wierzyć, że to nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu nie mogę... Nie wiem już nawet, kim właściwie jestem. Nic nie czuję.

Tom wstał.

- Zrobię sobie jeszcze jednego drinka. Ty też masz ochotę? - Unikał spojrzenia Chrisa.

- Nie, dziękuję. Powinienem już iść.

- W porządku. Idź.

- Przepraszam - powiedział Chris wstając. Tom machnął ręką i podszedł do drzwi.

- To nie pierwszy raz - stwierdził z westchnieniem. -1 na pewno nie ostatni.

Nigdzie - powiedział Chris, wchodząc do swojego pokoju.

- Gdzieś musiałeś być, kochanie. Obrócił się i zimno spojrzał na matkę. Westchnęła.

- Przepraszam. Masz rację. Nie powinnam była pytać. - Zmusiła się do uśmiechu. - Tak łatwo odzywają się w człowieku stare rodzicielskie przyzwyczajenia, kiedy jesteś w domu. Dobranoc, kochanie, śpij dobrze. - Pocałowała go w policzek i spojrzała mu w oczy. - Wybaczysz mi to niemądre zachowanie? - Oczywiście. Tylko daj z tym spokój.

Zadzwoił telefon i Chris spojrzał jej w oczy. Wiedział, że matka będzie się przyglądała. I rzeczywiście.

- Chcesz odebrać? - spytała.

- Ja... no, dobrze.

Podchodząc do aparatu, spojrzał na zegar. Była prawie północ.

- Halo? Cisza.

- Halo?

Odłożył słuchawkę i odwrócił głowę.

- Nikt się nie odezwał - powiedział, próbując zachować obojętność. Ale matka przyglądała mu się, jakby wiedziała. Ale co wiedziała? Nie wątpił, że dzwoni Gerard, i że ona o tym wie, chociaż to był nonsens. - Cóż - powiedziała w końcu. - Pewnie nigdy się nie dowiemy, kto dzwonił. - Zaczerpnęła głęboki oddech i znów spojrzała mu w oczy. - Wiesz, że zawsze możesz do nas przyjść, Chris.

- Mamo! - Wiem, co mówię.

- Ja też wiem, co mówię. Dlaczego zawsze wymyślasz jakieś straszne historie? Nie mam pojęcia, co sobie w tej chwili wyobrażasz, ale na pewno coś złego.

Westchnęła.

- Nieważne - powiedziała smutno. - Dobranoc, kochanie. - Pocałowała go jeszcze raz i cicho zamknęła drzwi, jakby i one były tak kruche, jak wszystko w jej świecie.

Chris miał ochotę krzyknąć. Kiedy w szkole średniej chodził do psychoanalityka, doktor Phillipson zawsze robił wielkie halo z powodu egocentryzmu. „To część dojrzewania, mówił, ale z tego się wyrasta. Świat nie

obraca się wokół ciebie, a to, co dzieje się w szkole, na randkach czy nawet w twojej wyobraźni, nie zmieni go ani na jotę." Chris zrozumiał to wreszcie w college'u, a jeszcze lepiej uświadomił to sobie ostatniego lata pracując w agencji reklamowej. Wtedy namacalnie stwierdził, jak mało znaczy w kategoriach świata.

Teraz jednak znów wróciło do niego to okropne poczucie znaczenia, ogłupiające poczucie, że zrobił coś, co zostanie odkryte i przeanalizowane w najdrobniejszych szczegółach. Miał wrażenie przerażającej bierności, wszystko jedno, co mówił czy robił, bomba i tak musiała wybuchnąć.

20

Art McCullough spoglądał zza biurka na Onyx. Bezczelna kurewka.

- Jeszcze raz zadzwonisz do mnie do domu i wylatujesz z roboty.

Przekrzywiła głowę.

- Dlaczego miałabym nie dzwonić? Odłożył scenariusz.

- Dlaczego miałbym ci to tłumaczyć? Zmrużyła oczy.

- Wiesz, Art, jak łatwo się dowiedziałam czegoś ciekawego? Twoja była jest naprawdę zwariowana.

To jedna z tych świrniętych biedaczek, które mężczyźni zawsze mają gdzieś pod ręką, ale na krótko.

Jest bardzo rozmowna. Wystarczyło, że wspomniałam „mojego przyjaciela Arta McCullougha” i

streściła mi całe swoje życie. - Onyx przerzuciła nogę w obcisłych spodniach nad poręczą krzesła. -

Ona jest ci taka wdzięczna, Art. Myślę, że naprawdę cię kocha. Tak czy owak, powiedziała mi

absolutnie wszystko o tym, jak pomogłeś jej założyć ten sklep. - Uniosła brew. - Urocze. Szkoda, że

my nie mogliśmy się dogadać. Jesteś o wiele bardziej hojny niż

większość moich facetów. - Opuściła nogę na ziemię i pochyliła się ku niemu. - Chcesz wiedzieć, co mi zrobił taki typ z agencji reklamowej, z którym byłam ostatnio?

- Nieszczerólnie mnie to interesuje. Wzruszyła ramionami.

- I tak ci powiem. Chcę, żebyś wiedział, z kim masz do czynienia. Tamten też wyobrażał sobie, że jest Bóg wie czym. Że to dla mnie zaszczyt. - Uśmiechnęła się. - Rzucił mnie, ani się obejrzałam. Ale akurat wróciła z Palm Beach jego żona. I wiesz, co się stało?

Art się nie odezwał.

- Wlazłam im do łóżka w czasie, kiedy facet był w pracy, a ona urzędowała codzienne zakupy u Bloomingdale'a. Pani wróciła do domu i znalazła mnie w takim stanie, jakby jej mąż dopiero co wyszedł. Byłam bardzo zadowolona i bardzo zaskoczona. - Splotła dłonie na karku i odchyliła się na oparcie krzesła. - Ani się obejrzał i zrobiło się kuku. Nawet nie wiedział, że miałam dorobiony klucz. Głupi był, a ja nie uważam cię za głupca, Art. Zresztą nie mam wielkich wymagań. Wiem jednak, że została jeszcze rola Cecylii.

Omiał się nie roześmiać. Właśnie o tej roli myślał. Dziwne, ale Onyx świetnie do niej pasowała, była dziewczyną z nerwem, niczego się nie bała, miała prezencję. Ale, cholera, wchodzić z nią w układy?...

- No i co ty na to? - spytała. - Coś za coś, jeśli można tak powiedzieć.

- Nawet nie wiesz, czy masz czym handlować.

- Gdybym nie miała, to nie byłoby mnie tutaj. Dlatego nie rób sobie żartów. Nie będę tracić przez ciebie całego dnia.

- Jaką mam gwarancję? - spytał. Boże, aż nie mógł uwierzyć, że się z nią targuje.

Skrzyżowała nogi.

- Cóż, w tym cały dowcip, bo ja zastanawiałam się nad tym samym w stosunku do ciebie. Przecież mógłbyś mi powiedzieć, że jestem w obsadzie, zrobić film, a potem załatwić się ze mną nożyczkami w montażowni. Ale

czegoś takiego nie zrobisz, bo wtedy zacznę gadać. A teraz nie zacznę, bo chcę zagrać. Dlatego przyszedłam, Art. Nie żeby ci robić kłopoty, tylko po rolę. Gdybyś poprzednio zachował się sensownie, nie wysilałabym się nawet, żeby odwiedzać Jocelyn.

Jocelyn. Boże. Onyx wymówiła jej imię w taki sposób, jakby były najlepszymi przyjaciółkami. Już to widział. Jocelyn była odrobinę zwariowana, z pewnością bardzo przyjacielsko nastawiona do ludzi, a do takich osób jak Onyx odnosiła się z pewnego rodzaju podziwem.

Cholera.

- W porządku - powiedział, spoglądając w roziskrzony błękit oczu Onyx. - Masz rolę. Ale jeśli złamiesz umowę, z miejsca wylatujesz.

Wstała.

- Dostałam, co chciałam, Art Słowo daję.

Po jej wyjściu zaczął się jednak zastanawiać, czy postąpił słusznie. Rolę Cecylii Onyx na szczęście mogła zagrać, i to niewykluczone, że dobrze. Czemu jednak próbował się oszukiwać? Nie obsadził jej przecież dlatego, że jest dobra.

A czym to się teraz skończy? Chyba oszalał, że jej zaufał.

Poczuł nagłe palenie w żołądku.



## Księga trzecia

Onyx była wściekła.

Dookoła zwracano uwagę na wszystkich oprócz niej. Byli tu dziennikarze, asystenci reżysera, asystenci kierownika produkcji, pracownicy techniczni, miliony osób kręcących się wszędzie, gdzie okiem sięgnąć. Tylko z nią nikt nie rozmawiał.

Dostała też najgorszy pokój, a w każdym razie jeden z najgorszych. Jaki obscurny! Czyżby ktoś naprawdę myślał, że peryferie Nowego Jorku wyglądają jak Tennessee? Art McCullough starał się nie przekraczać budżetu filmu i wszyscy o tym mówili, ale bez przesady! Siedzieli w jakimś zakazanym motelu w górach Catskill, a dookoła w promieniu kilku kilometrów nie było nic ciekawego.

Jak dotąd oprócz Arta McCullougha zauważyła na planie trzech interesujących mężczyzn. Jednym był Craig Weller, menedżer czy też chłopak Caitlin (tfu) Cornell, drugim Christopher Grayson, autentycznie seksowny blondyn z niebieskimi oczami, przystojny jak rzadko. Dziwne jednak, że tak się zniżył. Asystenci reżysera znajdowali się w hierarchii na samym dole.

No, i był jeszcze Neil Campbell, gwiazdor. Buc przez duże „B”. Facet urodzony na wykonawcę głównych ról, w którym widziało się aktora od pierwszego spojrzenia. Onyx czytała gdzieś plotki o tym, jak to producent mu-

siał o niego zabiegać. Był aktorem studia teatralnego w Nowym Jorku, znanym dobrze awangardowym kręgom ojf-Broadwayu.

Był przystojny i seksowny, wysoki, może nieco za chudy, miał ciemne proste włosy zaczesane do tyłu i dziwne, dumne i ponure spojrzenie.

Ależ z niego był snob! Tego ranka chciała okazać mu przyjazne uczucie. Wszyscy właśnie się wprowadzali, nie wiedziała, kto jest kim, a on akurat szedł na tyły motelu, w kierunku pokoju Onyx, pomachała mu więc ręką.

- Cześć, mam na imię Onyx - zagadnęła. - Jesteś tu z ekipą?

- A jak myślisz? Że jako hydraulik?

- Przepraszam! Mogłeś być po prostu hotelowym gościem.

- Tutaj? - Obdarzył ją morderczym spojrzeniem i odszedł.

Może i miał tysiące powodów zupełnie z nią nie związanych, że zachował się w taki sposób. Może uraziło go, że nie został rozpoznany. Ale bez względu na powód, facet był stanowczo wredny. Miała też mocne podejrzenia, właściwie pewność, że to pedzio.

- Przepraszam - rozległ się wysoki głos gdzieś za nią.

Onyx się odwróciła.

No, no, no. Caitlin Cornell we własnej osobie. Jej wysokość gwiazda. Cholera, jaka śliczna z tą fryzurą i ciemnobrązowymi oczami.

- Cześć, jestem Caitlin. Pomyślałam, że powinnyśmy się poznać. Ty jesteś Onyx, prawda?

- Owszem - odparła. Tfu, co za słodycz. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, jak beznadziejnie łatwo ją przejrzeć?

- Ładne masz imię. Prawdziwe?

- Oczywiście.

Jezu, Caitlin Cornell naprawdę się zaczerwieniła.

- Chciałam spytać, czy go sama nie wymyśliłaś?

- Trzeba tak było od razu. Wymyśliłam. Kilka lat temu.
  - Od dawna grasz?
  - Nie bardzo. - Spojrzała za plecy Caitlin. Naturalnie, zbliżał się Craig Weller. Nie spuszczał Caitlin z oczu przez cały dzień. - Idzie twój przyjaciel.
- Caitlin rzuciła okiem w tamtym kierunku i znów odwróciła się do Onyx.
- To Craig. Mój menedżer.
  - Wiem.
  - Craig, to jest Onyx.
- Craig wyciągnął dłoń i Onyx ją uściśnęła, patrząc mu w oczy.
- Jezu, już był napalony. Z kimś takim mogła spędzić naprawdę gorące chwile.
- Cześć, Onyx - wymamrotał.
- Głos miał dźwięczny i piekielnie seksowny.
- Powinniśmy omówić sceny, które gracie wspólnie - powiedział. Wciąż trzymał jej rękę.
- Potarła jego dłoń kciukiem i dopiero wtedy ją puściła.
- Zawsze chętnie. To wspaniały pomysł.
  - No, dobrze - powiedział cicho. - Wobec tego dogadamy się.
- Caitlin zerknęła za plecami Craiga w kierunku największej przyczepy.
- Ojej, patrzcie. Idzie Jane Wycroft z Neilem Camp-bellem. Boże, ona jest niesamowita - powiedziała, wytrzeszczając oczy.
- Onyx skorzystała z zachęty i spojrzała. Neil Campbell miał kwaśną minę jak zawsze, sprawiał wrażenie, że bliskość Jane Wycroft ani trochę go nie cieszy. Czy ktoś mógł mieć o to pretensje? Onyx czytała, że z Jane Wycroft pracowało się cholernie ciężko. Podobno miała pięćdziesiąt siedem lat, ale nawet z dużej odległości wyglądała raczej na osiemdziesiątkę. A ten głos! Efekt co najmniej stu milionów papierosów.
- Uhuhu, ale śmiech - powiedział Craig, potrząsając głową. - Myślałem, że zarzynają osła.

- Craig! - przywołała go do porządku Caitlin. - Nie wygłupiaj się. Ona mogła cię usłyszeć.

- Żartujesz? Ta baba wygląda na głuchą.

Onyx uśmiechnęła się. Caitlin najwyraźniej miała ochotę zabić swojego tak zwanego menedżera.

- Posłuchajcie - odezwał się znowu Craig. - Mam radę dla was obu. Trzymajcie się od niej z dala. To wiedźma.

- Boże. Ledwo żyję ze strachu, kiedy myślę o scenach z tą kobietą - powiedziała Caitlin. - Art ma je ze mną omówić dziś wieczorem. - Spojrzała na Onyx. - Ty z nią nie grasz, prawda?

- Nie, tylko z tobą. - Dziwka, pomyślała. Dlaczego nie powiedziała po prostu, że mam najmniejszą rolę w całym filmie?

- Mój Boże, ona na nas patrzy - powiedziała Caitlin. -O, jest też Art!

- Caitlin? - zawołał. - Pozwolisz na chwilę?

- Idź tam - nakazał Craig. - Dojdę za minutę. Onyx przyglądała się odchodzącej Caitlin.

- Nie mów mi, że zamierzasz naprawdę to zrobić - powiedziała do Craiga.

- No, no, jestem jej menedżerem.

- Czy w ogóle pozwalasz jej wybrać się gdzieś sa-mopas?

Uśmiechnął się.

- Nie powinienem, ale zdarza się. Czasami.

Spojrzała mu w oczy i znów ogarnęło ją to samo uczucie. Jezu, ale zapłon. - Rozumiem, że ona puszcza cię zawsze, kiedy wybierasz się dokądś bez niej.

- Robię, co mi się podoba.

- Świetnie. Wobec tego może omówimy moją scenę dziś wieczorem? W czasie gdy twoja „klientka” będzie z reżyserem.

Przez moment wydawał się zaskoczony.

- Przyjdę - odparł jednak zaraz i mijając ją, szepnął jeszcze: - Bądź gotowa. - Odszedł.

Jezu. Już była gotowa.

Craig?

Stał, a właściwie pochylał się przed lustrem, zaczesując włosy do tyłu.

- Słucham, kochanie?

- Co zamierzasz robić dziś wieczorem? Wyprostował się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Rozejrzeć się po okolicy. Iść do miasta. Przygryzła wargę.

- Gdybym wcześniej skończyła, to może udałoby nam się iść do miasta razem.

- O! Myślisz, że wcześniej skończysz?

- Prawdę mówiąc, nie przypuszczam. Art powiedział, że o dziesiątej, jedenastej... Nie wiem. Może o wpół do jedenastej. Przykro mi, Craig.

- Nie przejmuj się. Skoro masz z nim porozmawiać, to masz z nim porozmawiać. Tak tu się świat kręci. Nikt nigdy nie twierdził, że robienie filmu jest robotą od gwizdka do gwizdka.

Westchnęła. Odkąd nie zgodziła się na małżeństwo, wciąż wydawało jej się, że Craig usiłuje robić dobrą minę do złej gry.

- Szkoda, to nasz pierwszy wieczór tutaj, i w ogóle...

- Daj spokój.

- Trzymaj za mnie kciuki.

Podszedł i otoczył ją ramionami. Caitlin bardzo pragnęła przepędzić smutek z jego oczu. Taka jest podobno cena sławy: wielu ludzi przez to cierpi. Nie chciała, żeby Craig był jednym z nich.

- Nie potrzebujesz nawet moich kciuków, kochanie. Będziesz wspaniała.

Chciała powiedzieć mu, że to on jest wspaniały, że jest jej gibraltarską skałą, że go kocha, ale ostatnio kiedy mówiła mu takie rzeczy, niezmiennie doprowadzała go tym do szału. Chciała zapewnić go, że nie zdarzy im się to, co innym hollywoodzkim parom, a zre-

sztą może nawet nie uda jej się osiągnąć sławy. W telewizji mówili, że wiele gotowych filmów nigdy nie trafia do rozpowszechniania. Wprawdzie to był serial, ale mimo wszystko...

- A teraz zmykaj stąd, bo się spóźnisz - powiedział Craig.

- Jasne. - Pocałowała go w usta. - Zobaczymy się później, to może jeszcze coś porobimy, zgoda?

- Dobra. Na razie, Caitlin.

Starła się nie myśleć o tym, że nazwał ją Caitlin, a nie Cait. Oznaczało to, że był rzeczywiście wściekły. Cóż, jakoś mu to później wynagrodzi.

Dziesięć minut później Craig zaszedł na tyły motelu i dziwiąc się, że Onyx wpakowano na zaplecze, zapukał do drzwi pokoju 209. Cisza.

Poczuł, że gotuje się ze złości. A cóż to? Żarty?!

Chwilę później drzwi się jednak otworzyły, chociaż nikogo za nimi nie było. Craig wszedł.

Drzwi się zamknęły, więc szybko się obrócił. O cholera! W życiu czegoś takiego nie widział. Onyx wyglądała jak na zdjęciu w czasopiśmie: czarny szlafroczek, prawie że przezroczysty, wysokie obcasy i obfity makijaż.

- Och - powiedziała ochryłym, bardzo seksownym głosem. - Myślałam, że już nigdy się tu nie dowleciesz.

- Musiałem się upewnić, że Caitlin naprawdę poszła. Podniosła palec do warg.

- Pst - szepnęła. - Chodź. - Wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka.

Ależ ona niewiarygodnie wygląda! Od pierwszego porannego spojrzenia na Onyx, na jej proste czarne włosy i cycki wypychające bawełnianą koszulkę, wiedział, że to kawał dziewczynki. Ale teraz...

- Wiesz, mogłabyś pozować do „Penthouse'a” - powiedział, kiedy położyła się obok niego na łóżku i uniosła jedno kolano. Pod szlafroczeniem miała na sobie czar-

ne, bardzo kuse majteczki. Jasna cholera! - Do „Penthouse'a" albo nawet do „Playboya".

Poruszyła nozdrzami i powoli, głęboko zaczerpnęła tchu.

- Tak uważasz? - Ton głosu był jeszcze niższy niż przedtem.

Sięgnęła do czarnych majteczek i zaczęła się nimi bawić.

- Tak długo tutaj lażeś, że omal nie zrobiłam sobie tego sama. Czy takie rzeczy cię biorą?

Zabrakło mu tchu. W życiu czegoś takiego nie widział, tylko na zdjęciu.

- O tak - powiedział. Czyżby jednak miała to być próba? Czy to miało znaczyć, że Onyx nie pozwoli się wydymać?

- No, na co czekasz, Craig?

Jasna cholera. Zaczął ściągać z siebie ubranie, a ona tymczasem zaczęła to sobie robić, pojękując i wykrzywiając twarz. Wyglądała jak na filmie, a Craig zrobił się twardy jak skała. Cholera, niepokoiło go, że może się spuścić, gdy tylko zacznie ją pieprzyć.

Powoli, głupku. Drugi raz w życiu nie będziesz miał takiej okazji.

Jakoś się opanował i Onyx szczytowała chyba z pięć razy, a on czuł się jak król. Bez cudowania, bez dziwnych pomysłów załatwił najwspanialsze rżnięcie w życiu w najgorętszą cipę, jaką zdarzyło mu się poznać. Cholera, Onyx zajdzie daleko. Mogłaby mieć wszystko na świecie. Nie wątpił w to ani przez chwilę.

Kiedy było po wszystkim, Onyx spojrzała Craigowi w oczy. Jako kochanek był fantastyczny, nie z powodu wielkiego talentu, ale kutasa miał jak koń.

- Dobrze ci?

- Nie żartuj. Gdybyś wiedziała... - Westchnął i wyciągnął ręce nad głowę.

Onyx przebiegła mu palcem po wargach.

- Gdybym co wiedziała? - Palec zsunął się po brodzie



na klatkę piersiową i zaczął obrysowywać sutkę. - Hm? Gdybym co wiedziała?

- Ech - westchnął. - Caitlin nie za bardzo interesują te sprawy...

Nie wiedziała. Ale informacja bez wątpienia była interesująca. I mogła okazać się użyteczna.

- Jest po prostu wielkim dzieckiem. - Znowu westchnął. - W każdym razie była, i miała mnóstwo problemów. Ale gwiazdorstwo...

- To może być poważny problem - powiedziała Onyx. - Choćby związek był udany.

- Nasz jest bardzo trwały. Uniosła brew.

- Na pewno? Zdaje się, że jesteś teraz ze mną.

- Tak, ale to... no, wiesz. Caitlin jest moją kobietą. Zrobiła wysiłek, żeby się nie roześmiać. Cóż to za brednie o „jego kobiecie”. Za kogo on się uważa? Za kowboja z Dzikiego Zachodu?

- Co sądzisz o scenach miłosnych, jakie Caitlin ma z Neilem Campbellem?

- Ten facet to ciota - powiedział Craig. - A poza tym mówię ci, że z tym nie ma problemu.

Hm, znów ciekawa informacja. Przesunęła dłoń z klatki piersiowej Craiga na jego członek Wiotki jak mokra ściera. Nic z tego, jeszcze za wcześnie. Przeniosła rękę na udo. Uda Craiga były bardzo seksowne, jędrne i mocne.

- Jak długo jesteście razem? - spytała.

- Trzy lata.

- Nie zamierzacie się pobrać?

Oparł się na łokciu i zepchnął jej dłoń z uda.

- Daj spokój, dobra? I z pytaniami, i z resztą. Wstał z łóżka, znalazł paczkę papierosów i wyciągnął ze spodni zapalniczkę.

- Chcesz zapalić?

- Nie, dziękuję. - Małżeństwo z pewnością stanowiło punkt zapalny. Coś go tu bolało, jątrzyło. Mogła sobie wyobrazić. Była raz mała, słodka Caitlin, z którą można wszystko zrobić. A życie zniemacka wszystko

zmieniło. Art McCullough zrobił z niej gwiazdę i w jednej chwili Craig Weller stracił całą władzę. Oczywiście więc, czuł urazę.

Wrócił do łóżka z papierosem w dłoni i wziął z nocnego stolika zegarek.

- Słuchaj, muszę wracać.

- Czemu? Która godzina?

- Prawie wpół do dziesiątej. Ona może wrócić wcześniej.

- A na którą zapowiedziała powrót?

- Między dziesiątą i jedenastą. Ale nie chcę ryzykować. - Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, przydusił niedopałek, po czym wyszedł do łazienki. - Wezmę szybki prysznic - zawołał i zatrzasnął drzwi.

Phi! Nagle stał się facetem z zupełnie innej planety.

Onyx poczuła, że ma ochotę się rozplakać. Planowała uwiedzenie Craiga dla zabawy, traktowała to jako policzek wymierzony osobie nie zasługującej na bycie gwiazdą. Gdyby Caitlin Cornell rzeczywiście nią została... Boże, nie miałyby zielonego pojęcia, co zrobić z władzą, którą posiadała. Ale Craig Weller jeszcze do niej wracał. Caitlin dostała główną rolę w *Księżniczce przeznaczenia*, właśnie w tej chwili rozmawiała z reżyserem, też człowiekiem nie do zniesienia, i wkrótce Craig miał być z nią z powrotem.

Onyx rozejrzała się po pokoju. Zwyczajne biuro. Telewizor odbierający czarno-biały program, na ścianie dwa identyczne obrazki z Paryża. Caitlin Cornell pewnie kiedyś pojedzie do Paryża. Craig pojedzie z nią. Art McCullough zajmie się nową robotą. Neil Campbell dalej będzie królem snobów off-Broadwayu albo wróci do „teatru”.

Rzuciła okiem na podłogę. Obok jej szlafrocza leżały spodnie i slipy Craiga.

Za parę minut Craig wyjdzie, Caitlin zarzuci mu ramiona na szyję i będzie cała szczęśliwa.

Onyx wygramoliła się z łóżka i podniosła slipy Craiga.

Zwinęła je w kulę i wsunęła głęboko do górnej szuflady.

No. Będzie spokojnie leżała i przyglądała się, jak Craig ich szuka. I może przytulny świątek Caitlin Cornell rano przestanie być taki przytulny.

23

Barbara wsunęła głowę pod umywalkę i zadrżała. Dobry Boże, co za brud! Co Martha robiła przez te wszystkie tygodnie?

Westchnęła i zanurzyła gąbkę w kubie wypełnionym bardziej środkiem czyszczącym niż wodą, po czym zaczęła usuwać zanieczyszczenie.

No, już. Na błysk. I jak szybko.

Zaskakujące, ile sama zrobiła w domu przez ostatni tydzień. Zlikwidowała wszystkie brązowe plamki na ścianie w kuchni, wszystkie kołtuny kurzu w kątach, wszystkie drobiazgi, które umykały uwadze Marthy i irytowały tygodniami, miesiącami. Niekiedy nawet latami, jak te ślady sosu na kuchennej ścianie. A ponieważ Jake odmówił zgody na malowanie, nie miała innego wyboru. Dobrze się zresztą stało, bo myśl o zaschniętym sosie pod powłoką nowej farby była bardzo niemiła.

W jej sypialni zadzwonił telefon, więc Barbara wysunęła głowę spod umywalki i wytarła dłonie w papierowy ręcznik z nowego pojemnika, który właśnie założyła. To również zrobiła sama, dzięki czemu za każdym razem, gdy jej wzrok padał w to miejsce, ogarniało ją zadowolenie z siebie.

Papierowe ręczniki zamiast lnianych ściereczek w łazience były zresztą bardzo sensownym rozwiązaniem.

Przebrzmiały już cztery dzwonki, ale Jake naturalnie nie podniósł słuchawki, niech go diabli, prawdopodobnie siedział w swojej norze, zniewolony rykiem muzyki Beethovena.

Pobiegła do aparatu i po szóstym dzwonku odebrała. - Słucham?

- Czy to rezydencja Graysonów?

Dziwne pytanie, skoro ktoś miał prywatny numer.

- Kto mówi?

- Jestem przyjacielem Christophera Graysona - zabrzmiało z francuskim akcentem. - Czy mogę go prosić do telefonu?

- Nie ma go - odparła, biorąc ołówek ze stolika przy łóżku. - Zanotuję wiadomość do przekazania. Milczenie. - Halo?

- Kiedy Christopher ma wrócić?

- Nie wiem - odparła ostrożnie. Chris był na planie filmowym, ale co to obchodziło tego bezimiennego typa? - Czy dziś go jeszcze zastanę?

- Nie, dziś nie - powiedziała. - Czy chce pan zostawić wiadomość?

- Chciałbym się z nim skontaktować osobiście.

- Boję się, że to niemożliwe. Wyjechał z Nowego Jorku. Znow zapadło milczenie.

- Na jak długo? - spytał w końcu rozmówca.

- Nawet się pan nie przedstawił. Jeśli... Przerwał połączenie.

Barbara westchnęła i odłożyła słuchawkę. W chwilę później pukała do drzwi mężowskiej nory.

- Tak?

Wetknęła głowę do środka. Jake siedział na skórzanym fotelu w pobliżu kominka, palił fajkę, a na kolanie miał notatnik. Nie przerwał pisania, mimo że weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała. Odłożył pióro i spojrzał na nią.

- Słucham.

- Właśnie odebrałam telefon.

- Ico?

- Nie mów do mnie jak do jednej z sekretarek. Mógłbyś odłożyć te papiery. To ważna sprawa.

Wyciągnął ręce, mimo że notatnik i pióro pozostały na kolanie.

- Teraz dobrze?

Westchnęła i zdecydowała się mimo wszystko zacząć.

- Odebrałam przed chwilą bardzo dziwny telefon do Chrisa. Od Francuza. Sądząc po głosie, młodego.

- No i co? Znowu westchnęła.

- Jeśli cię to nie interesuje...

- Interesuje mnie, Barbaro. Ale tylko wtedy, jeśli nie zamierzasz tego ciągnąć przez pół godziny.

- Powiedziała ci wszystko, co wiem. Z wyjątkiem tego, że Francuz nie podał swojego nazwiska. Co wydaje się dziwne, chyba musisz przyznać?

Jake obdarzył ją najchłodniejszym ze swych spojrzeń.

- Barbaro, marnujesz swój potencjał wyobraźni. Słowo ci daję.

- Nie porozmawiałeś w końcu z Chrisem przed wyjazdem na plan, prawda?

- Nie było okazji.

- Nie miałeś okazji przez te wszystkie dni, kiedy tu mieszkał?

- Jak mówię, że nie miałem, to znaczy, że nie. Westchnęła.

Rzucił jej jeszcze bardziej miazdzące spojrzenie niż przed chwilą.

- Co właściwie cię niepokoi? Zignorowała jego ton, syn był ważniejszy.

- Myślę, że powinniśmy zadzwonić do Chrisa na plan i zawiadomić go o tym telefonie.

- Tak uważasz?

- Właśnie tak, Jake.

- To dlaczego do niego nie dzwonisz? I nie wzdychaj. Jeśli uważasz to za ważne, zadzwoń.

Obróciła się na pięcie i wyszła.

Do diabła z Jake'em, jego fajką, gabinetem i izolowaniem się od wszystkiego, co w ich życiu układa się nie tak, jak powinno.

Wpadła do sypialni, jak burza na ułamek sekundy przed wylądowaniem, wypadła stamtąd i wpadła z po-

wrotem do łazienki. Wypucowała do połysku pozostałą część umywalki, wydrapała osad spod kranów, a potem...

Nagle wybuchnęła płaczem. Łzy ściekały jej po policzkach, a ona szlochała, oparta o wyłożoną kafelkami ścianę.

Czuła się taka samotna. Jake spojrział na nią przed chwilą, jakby jej nienawidził. I to do niej powiedział takim tonem „Nie wzdychaj”. Dlaczego zawarł w tych słowach tyle wrogości? Co ona mu takiego zrobiła?

Rodzina się rozpadała, to jasne. Ellie w ogóle nie chciała z nią rozmawiać, Chris był najprawdopodobniej homoseksualistą, Jake jej nienawidził i wcale nie przejmował się dziećmi.

Wbiła wzrok w sufit. Ciągnęła się tam szara smuga, którą dzień wcześniej ominęła szmata Barbary. Co za różnica? - napomniał ją wewnętrzny głos. Przez lata zachowywałaś obojętność i teraz życie ci się wali.

Może iść do telefonu i zadzwonić do Chrisa? Ale jeśli znowu okaże jej nienawiść? Albo jeśli zrobi to Ellie? Dlaczego cała rodzina jej nienawidzi? Co ona takiego im zrobiła?

24

Gerard Vermont dopił pernod i wstał od stolika. Nazwano to miejsce Cafe StGermain. Czy dla żartu? *Une blague!* Był w Nowym Jorku już od trzech dni i jak dotąd nie znalazł jeszcze żadnej kawiarni, która choćby w przybliżeniu przypominała paryską kafejkę.

Ale Amerykanie nie rozumieli nic, co oczywiście zawsze wiedział. To znaczy, nic nie rozumieli z wyjątkiem pieniędzy. Na tym polegała ich przewaga, jedyna wyraźna przewaga nad Francuzami.

Dzisiejsi nowojorczyki wyglądali zupełnie inaczej niż ci, których pamiętał z ostatniego pobytu przed dwoma laty. Teraz bardziej przypominali florentczyków: kobiety ubrane ko-

sztownie, na granicy ekstrawagancji, mężczyźni stonowani, ale elegancy. Przywiózł ze sobą najlepsze ubrania, Armani, Hermes, Cardin, a mimo to wtapiał się w tłum. Tak.

Ale może i lepiej. Może lepiej było się nie wyróżniać? Nowy Jork wydawał się miastem, w którym wyróżniający się ludzie są wyrzutkami. Ci, którym się powiodło, stapiają się w masę.

A jemu się powiedzie, i to w grze o dużo wyższą stawkę niż kiedykolwiek przychodziło mu do głowy. Mimo że poznał prawdziwe nazwisko Christophe'a, mimo że słyszał o wielkiej sławie Jake'a Graysona w Stanach, nie miał pojęcia o jej rzeczywistych rozmiarach. I nie zdawał sobie sprawy, jak przekłada się to na bogactwo i władzę.

We Francji sztuka była znacznie czystsza. Muzea, filmy, koncerty. *La télé* stanowiła rozrywkę, błądostkę kulturalną, a telewizory prostą zabawę.

Tutaj natomiast... tutaj niejaki Jake Grayson był niemal królem. I André rozjaśnił Gerardowi w głowie:

- Od tych ludzi możesz dostać wszystko, czego chcesz - powiedział. - Znalazłeś żyłę złota.

Ale André był taki bezwzględny. Na Korsyce zabił kiedyś człowieka. Czy mądrze było go słuchać?

Ale André zaznał też powodzenia w życiu. André miał wszystko, czego chciał.

A Christophe był taki łatwowierny, niczego nieświadom. Reszta, zdaniem André, także nie powinna sprawiać kłopotów.

25

Rozległ się przerażający jazgot i Caitlin poderwała się na łóżku. Pokój wirował, bała się, że pęknie jej głowa. Początkowo nawet nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, ale potem spojrzała na Craiga, jak zwykle

śpiącego kamiennym snem, i wszystko sobie przypomniała.

Czekał ją wielki dzień. Art tak wiele jej wyjaśnił poprzedniego wieczoru. Nigdy właściwie nie wiedziała, co ludzie mają na myśli, mówiąc o „wchodzeniu w rolę”. Zawsze brzmiało to dla niej tak sztucznie.

Art powiedział jednak, że nie ma w tym nic sztucznego, że po prostu trzeba się postawić w sytuacji postaci i wtedy wie się o niej wszystko, nawet co jadła na śniadanie. No i można sensownie dobudować wszystko to, czego nie ma w scenariuszu.

Ostatniego wieczoru Craig nie wydawał się zbytnio rozentuzjasmowany, niewykluczone, że przygłębiała go nieco myśl o jałowym pobycie na planie.

Próbowała go wyciągnąć na drinka do baru w mieście, ale powiedział, że jest zmęczony, i już. Caitlin jednak nie mogła zasnąć, bez przerwy myślała, jak wspaniale będzie następnego dnia, kiedy przyjdzie jej „być” Audrey. I oto zaczął się następny dzień. Czas czegoś zupełnie nowego.

Wstała i ubrała się. Art powiedział, że może włożyć na siebie cokolwiek, bo potrzebny strój i tak dostanie z magazynu kostiumów. Craig tymczasem nadal spał, od czasu do czasu z cicha pojękując. Podeszła do łóżka i dotknęła jego policzka.

- Kochanie?

- Mmm. - Przetoczył się na drugi bok jak kłoda.

- Kochanie, wychodzę na plan. - Na dworze było jeszcze całkiem ciemno, dopiero piętnaście po piątej, nic dziwnego, że Craig czuł się bardzo senny.

Mimo to otworzył i przetarł oczy.

- Hę?

- Wychodzę na plan, do charakteryzacji. Miałam być o wpół do szóstej, więc już pora.

Usiadł i zmrużył oczy.

- Kiedy zaczynają kręcić?

- Nie mam pojęcia. Art kazał mi być o piątej trzydzieści. Tyle wiem.



Craig z powrotem opadł na poduszki.

- Cholera.

- Co się stało?

- Jest jakaś pieprzona godzina, to się stało.

- Dobra, śpij spokojnie dalej. Zobaczymy się później. Westchnął.

- Eech, nie ma co, wstaję. Muszę mieć pewność, że nie skopsają ci makijażu. - Wylazł z łóżka i przeciągnął się. - Jezu, piętnaście po piątej. Założę się, że Jane Wycroft i Neil Campbell nie muszą wstawać tak wcześnie. - Owszem, wstają, Craig. Cała ekipa wstaje.

- Pożyjemy, zobaczymy - powiedział, kierując się do łazienki. Z tyłu miał pokaźne zadrapanie.

- Co ci się stało w plecy? - zawołała. Przystanął, ale się nie obrócił.

- Co takiego?

- Co ci się stało w plecy? Masz rozorane.

Tym razem się odwrócił, podszedł do lustra i zaczął wyciągać szyję, żeby zobaczyć.

- Jezu, całkiem niezły ślad. To przez tych siłaczy.

- Przez jakich siłaczy?

- W tak zwanej sali gimnastycznej są ławeczki do wyciskania sztangi na leżąco. Zaczepiłem o podpórkę, omal nie rozerwało mnie na kawałki. - Pokręcił głową i zawrócił w kierunku łazienki. - Powinienem zażądać odszkodowania.

Zamknął drzwi i Caitlin westchnęła. O jakim odszkodowaniu mówi? Do hotelu zajętego przez ekipę filmową nie wprowadza się po to, by żądać odszkodowania. Boże. Craig czasem bywał śmieszny.

Wychodząc z pokoju, usłyszała szum prysznica. Może Craig wróci do łóżka i nie pokaże się na planie? Naprawdę nie znosi wczesnego wstawania, więc może...

Podeszła do miejsca, w którym stała większość przyczep ekipy. Jane Wycroft i Neil Campbell mieli dla siebie oddzielne przyczepy, w których mogli się charakteryzować i przygotowywać do pracy.

Były w nich telewizory i wszystko, co potrzebne do zabijania czasu

w oczekiwaniu na zakończenie scen z udziałem pozostałych aktorów. Innych przyczep używali wszyscy, służyły do charakteryzacji, doboru kostiumów, w jednej znajdowała się żywność, w kilku sprzęt. Przeznaczenie paru dalszych nie było jeszcze dla Caitlin jasne. Między pojazdami zobaczyła stoły z przekąskami. Była tam kawa, rogaliki, pączki i sok. Dolatywał do niej wspaniały zapach, słodki i mocny, podobny do tego, który pamiętała z dzieciństwa.

Art McCullough rozmawiał przy bufecie z asystentem, popijając coś z kubka.

Caitlin skinęła mu dłonią, ale nie zareagował.

- Nie przejmuj się - rozległ się głos z tyłu. Obróciła się. Stał tam Chris Grayson. - Większość reżyserów głuchnie i ślepnie, kiedy rozmawia o scenie. - Wyciągnął do niej dłoń. - Jeszcze się nie znamy. Jestem Chris Grayson.

- Wiem. A ja Caitlin Cornell.

- Ja też wiem. Pozwól, że poczęstuję cię kawą.

Przyglądała się, jak nalewa jej brązowego płynu i kładzie na talerzyk rogalik z serem topionym. Był nieprawdopodobnie przystojny. Mimo to wydawał się sympatyczny, nie było w nim żadnego zadęcia. Podał jej kubek i talerzyk, znów się uśmiechając.

- *Madame* - powiedział z lekkim ukłonem.

- *Merci* - odparła.

- Widzę, że ekscytuje cię dzisiejszy dzień.

- Prawdę mówiąc, nie tylko ekscytuje, ale i przeraża. Nie wiem nawet, czy pamiętam rolę. Prawie nie próbowałam. - Na pewno będziesz świetna - powiedział Chris Grayson. - Mój ojciec uczył mnie i siostrę, jak wyszukiwać nowe gwiazdy. Bawiliśmy się tak, kiedy byłem dzieckiem. Przyglądaliśmy się ludziom na ulicy, w kinach, wszędzie. Możesz mi wierzyć, że będziesz znakomita.

Patrzyła na niego zdumiona. Nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje, ale wierzyła mu bardziej niż komukolwiek, nawet Artowi. Może dlatego, że był synem Jake'a Graysona. A może dlatego, że nic od niej nie chciał.

Inaczej niż Craig, który wciąż domagał się tego albo tamtego, popędzał, popędzał i popędzał.

- Coś jest nie tak? - spytał Chris.

- Nie. Przepraszam. Ale bardzo jestem ci wdzięczna za te słowa. Naprawdę pomagają.

Podszedł do niej nieco bliżej, nie wyczuła ani trochę tego dziwnego samczego fluidu, który wydzielali mężczyźni w typie Steve'a Warnera.

- Posłuchaj, Caitlin. To jest twój pierwszy film. Jeśli chcesz, będę rozglądał się wokół ciebie opiekuńczym okiem. Co prawda nie mam o wiele więcej doświadczenia niż ty, ale pomyślałem, że ktoś w rodzaju anioła stróża mógłby ci pomóc.

- Boże, po co mi anioł stróż?! - Całe szczęście, że Craiga nie było w pobliżu. Wściekłyby się, gdyby to usłyszał!

- Wyglądasz na osobę, której może się przydać. Wiem, że Craig Weller jest twoim menedżerem, ale myślę o czymś innym, mniej oficjalnym.

- Hm, no dobrze - powiedziała. Miała jednak szczerą nadzieję, że Craig się nie dowie.

Pół godziny później, kiedy właśnie skończono pokrywać ją toną kosmetyków, zauważyła Craiga zbliżającego się między przyczepami. Chciała wstać i mu pomachać, ale zobaczyła, że podbiega do niego Onyx Jones i łapie go za ramię.

Craig przystanął i zaczął rozmawiać z Onyx. Potem Onyx wyciągnęła coś z torebki i podała mu.

Caitlin przełknęła ślinę i gapiła się osłupiała. Nawet z miejsca, w którym siedziała, dostrzegła, co to jest: slipy Craiga. Biało-niebieskie slipy, które reklamował Jim Palmer.

Łzy popłynęły jej strumieniem po policzkach.

- Caitlin?

Podniosła głowę. Chris Grayson stał tuż obok.

Patrzyła na niego przez ułamek sekundy, a potem wróciła spojrzeniem do Craiga. Zapewne wepchnął slipy do kieszeni marynarki. Próbował oddalić się od Onyx, która ciągnęła go w swoją stronę.

- O Boże - wyrwało się Caitlin.

Znów spojrzała na Chrisa Graysona. Także patrzył w kierunku tamtych dwojga, ale Craig już się zbliżał, sam. Caitlin rozmazała sobie makijaż.

- Pomóż mi. Zabierz mnie stąd.

Chris chwycił ją za rękę i pobiegli do jednej z przyczep, w której nigdy przedtem nie była. Wewnątrz panowała ciemność. Chris zamknął drzwi.

Kiedy zapalił światło, Caitlin opadła na krzesło i całkiem straciła panowanie nad sobą.

Chris przykląkł obok niej i pogłodził ją po głowie.

- Nie myśl o tym - powiedział cicho. - Wszystko jedno, co ci się wydaje, na pewno nic takiego się nie stało. Wytarła nos i podniosła głowę. Boże, oczy ją piekły.

- Stało się i nic mi się nie wydaje. Nie widziałeś tego. Onyx Jones... - Słowa uwięzły jej w gardle, zaczęła szlochać. - Caitlin, nie płacz. - Wstał, położył jej ręce na ramionach i znów pogłodził po głowie. - Proszę cię. - Odszedł na chwilę, a Caitlin usiłowała się uspokoić. Wrócił z paczką chusteczek. Pociągnęła nosem i rozejrzała się dookoła.

- To jest przyczepa Arta. Ale on nie będzie miał nic przeciwko temu. Powiedz, co się stało.

Wydmuchała nos. - Boże. Powinnam zorientować się wcześniej! Wiesz, co zauważyłam na jego plecach dziś rano? Długą czerwoną krechę. Długą chyba na trzydzieści centymetrów. Powiedział, że zadrapał się w sali gimnastycznej. I ja mu uwierzyłam. - Spojrzała mu w oczy. - Obiecasz mi, że nikomu nie zdradzisz, jeśli ci powiem, co zobaczyłam przed chwilą?

- Oczywiście, że nie. Wzięła głęboki oddech.

- Widziałam właśnie tę dziwkę Onyx Jones, która już wczoraj rżnęła przy mnie wielką panią, jak podaje Craigowi jego slipy!

Otoczył ją ramieniem.

- Nie myśl o tym - powiedział. - Może nie... - Urwał. Jak mogło oznaczać to co innego, niż się wydawało? A to sukinsyn.

- Boże - szlochała. - Wczoraj wieczorem tak żałowałam Craiga, że tkwi tutaj i nie ma nic do roboty, tak go żałowałam, a on tymczasem był z nią.

- Czyli po prostu oszalał - stwierdził Chris. - Każdy, kto woli ją niż ciebie, musi być szalony.

Spojrzała na niego zapuchniętymi, zażawionymi oczami.

- Craig nie jest szalony.

- Wobec tego głupi. I bezmyślny. Zamknęła oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobił mi coś takiego. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - głośno spytał Chris.

- Craig Weller. Czy jest tam Caitlin? Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie wpuszczaj go - szepnęła.

Klamka zaczęła się poruszać, więc Chris skoczył, żeby przekręcić klucz, ale tymczasem drzwi się uchylły i na najwyższym stopniu ukazał się Craig.

- Co się tutaj dzieje?

Chris zrobił krok do przodu i zablokował wejście.

- Rozmawiamy. Prywatnie.

- Hej, jestem jej menedżerem. Nikt z nią nie rozmawia, jeśli mnie przy tym nie ma.

- A ja właśnie to robię - odparł Chris. Nagle poczuł się jak pies szczerzący kły. Gotów był zepchnąć Craiga Weller'a za schodów. - Dlatego możesz spokojnie zejść na dół, bo inaczej sprasuję ci drzwiami twarz. Craig Weller zmrużył oczy.

- Co ty, żarty sobie stroisz? I dlaczego ona płacze?

- Do widzenia - powiedział Chris, zrobił krok do tyłu i zatrzasnął drzwi. Tym razem przekręcił klucz.

- Hej! Do diabła! - Potem rozległ się kopniak w drzwi, jeszcze potem okrzyk „Pies was jebał!”, w końcu zapadła cisza. Caitlin wydmuchnęła nos i spojrzała na Chrisa.

- Nie trzeba było tego robić - powiedziała cicho.

- Czemu nie?

- Bo teraz będzie myślał, że między nami coś jest On umie być podejrzliwy.
- I co z tego, Caitlin? - spytał. - Przypomnij sobie, dlaczego płaczesz. Jakie to ma znaczenie, jeśli Craig pomyśli, że między nami coś jest? Zobacz, co on ci zrobił.
- Zamknęła oczy.
- Nie rozumiesz.
- Rozumiem dobrze. Widziałem coś takiego setki razy. Boisz się na niego rozgniewać. Ale możesz mi wierzyć, że masz prawo.
- Westchnęła i otworzyła oczy.
- Wiem. To znaczy, chyba wiem. Ale mnie nie chodzi o to, że poszedł z nią do łóżka. Tylko że był z nią... za moimi plecami. Ktoś zapukał do drzwi.
- Chris?
- Wołał jeden z asystentów reżysera, Bryan Bellamy. Chris wstał i otworzył drzwi. Bryan natychmiast spojrzął w głąb przyczepy.
- Co jest grane? Potrzebujemy Caitlin na planie.
- Wiem. - Chris spojrzął na zegarek. Było piętnaście po szóstej. - Powiedz Artowi... - Westchnął. Cholera jasna. - Powiedz Artowi, że trzeba jej na nowo zrobić twarz i zajmie to czas do szóstej trzydzieści. - W czym problem, do licha? Art chce kręcić za pięć minut.
- Będzie musiał poczekać - odparł Chris, niepewnym głosem, który zaskoczył jego samego.
- Chris, ona nie jest Liz Taylor.
- Za pięć minut stąd wyjdzie. A teraz zostaw nas. Chris zamknął drzwi. Caitlin wstała i przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.
- Boże, co ja teraz zrobię? Wywalą mnie. Popatrz, jak wyglądam.
- No, nie najlepiej.
- Zupełnie jakbym tydzień bez przerwy płakała! Uśmiechnął się do niej i Caitlin na moment wybuchnęła śmiechem.

- O! - powiedział i zrobił głupią minę, rozciągając kąciki ust palcami. Chichotała teraz jak dziecko. Chris czuł, że lada chwila rozbawienie może niespodzianie znowu zamienić się w płacz, ale wiedział też, że nie może spędzić reszty poranka na robieniu min.

- To może teraz ty coś obiecasz? - zaproponował. Łzy zdążyły znowu wypełnić jej oczy.

- Dobrze.

- Posłuchaj, brzmi to drętwo, ale dzisiaj jest twój pierwszy dzień na planie pierwszego filmu, który robisz, i do tego pierwsza scena. Gdybyś tylko wiedziała, jaka jesteś doskonała, nie musiałbym ci dawać żadnych rad, sama wiedziałabyś, że pokażesz klasę. Ale przynajmniej spróbuj, tylko spróbuj sobie uświadomić, że Onyx Jones nie ma większego marzenia nad to, żeby popsuć ci dzisiejszy ranek. Dlatego musisz się pokazać na planie tak, żeby wszyscy wywalili gały.

Zaczęła jej drzeć broda.

- Zamierzałam zrobić coś, żeby to Craig wywalił gały na wierzch.

Westchnął.

- Caitlin, zapomnij... Albo dobra, niech będzie Craig. Tylko pamiętaj, Onyx chce wszystko spieprzyć. Dlatego pokaż klasę, przynajmniej z zemsty.

Caitlin otarła oczy.

- Wiedziałam, że powinnam jej nienawidzieć. Po prostu to wiedziałam.

- A teraz wiedz, że Onyx chce, żebyś się wysypała. Więc zbierz się do kupy, niech pożałuje. Niech będzie zazdrosna. Niech cię nienawidzi. A o Craigu pomyślisz później.

Spojrzała mu w oczy i zmarszczyła brwi. Widział, że przez cały czas bardzo stara się nie rozplakać.

- Boże, szkoda, że Craig nie jest taki miły jak ty.

Pół godziny później Chris przyglądał się, jak chara-kteryzatorka Roz Stelling kończy usuwanie szkod na twarzy Caitlin.

- Grayson!

Obrócił się. Nadchodził Art z klappsem w jednej ręce i parującym, kubkiem kawy w drugiej.

- Co się, do diabła, stało dziś rano? Bryan właśnie mi powiedział, że to ty byłeś z Caitlin w przyczepie.

Co z nią?

- Wygląda na to, że Onyx Jones ma ochotę na Craiga Wellera. A w każdym razie miała ostatniego wieczoru, kiedy Caitlin nie było.

- Cholera. - Art rozejrzał się dookoła i mruknął coś, czego Chris nie usłyszał.

- Słucham? - spytał Chris. Art pokręcił głową.

- Nic takiego. Wiedziałem, że z tą dziewczyną będą kłopoty. A właśnie, gdzie ona jest?

- Nie wiem. Nie widziałem jej, odkąd byłem z Caitlin.

- Mniejsza o nią. Czy twoim zdaniem Caitlin zapanuje nad sobą?

- Nie umiem powiedzieć. Próbowałem namowić ją, żeby sprężyła się na złość tamtej, ale nie wiem, co z tego będzie.

- To największe odkrycie w mojej karierze, Chris, me muszę ci tego mówić. Każdy, kto ją rani, rani także mnie, to proste.

- Co zamierzasz?

Art spojrzał na zegarek.

- Zachować spokój, nakręcić scenę i jeśli Caitlin będzie dobra, to nic więcej. Ale jeśli nie, to kilka osób wyniesie się stąd dosyć szybko.

26

Barbara już miała zamiar odłożyć słuchawkę, kiedy Ellie w końcu się odezwała.

- Mark? - spytała.

- Nie, to ja - powiedziała Barbara. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Ale czekam na telefon.



- Od Marka.
- Tak, od Marka.
- Wszystko w porządku?
- Całkiem w porządku. Mniej więcej. Zresztą nie wiem. Ale posłuchaj, muszę teraz kończyć, rozumiesz? Barbara zawahała się.
- Pozwól, że zapytam tylko o jedno. Usłyszała westchnienie Ellie.
- Dobra. O co chodzi?
- Muszę spytać cię o Chrisa.
- Konkretnie o co?
- Czy wiesz, że jest nieszczęśliwy... no, albo jakiś odmieniony?
- Jak to „odmieniony“?

Barbara rzuciła okiem na fotografię Chrisa i Ellie. Chris miał wtedy tylko pięć lat, ale już zwracał uwagę urodą. - Ellie, czy sądzisz, że on jest homoseksualistą? Milczenie. A potem:

- Mamo, nie wydaje mi się, żeby to była nasza sprawa. Naprawdę.
  - Wobec tego sądzisz, że jest.
  - Nie. Nie wiem. Co właściwie skłania cię.... Posłuchaj, nie chcę o tym w tej chwili rozmawiać. Czekam na ważny telefon. Barbara westchnęła.
  - W porządku. Jeśli myślisz, że to takie nieważne...
  - To nie twoja sprawa! - wykrzyknęła Ellie. - A ja muszę kończyć. Mam bardzo ważną sprawę... Posłuchaj, wpadnę po południu, dobrze? I tak będę w sąsiedztwie.
  - Dobrze. Czekam w domu.
- Pięknie wyglądasz - powiedziała Barbara. Rzeczywiście, Ellie kwitła jak nigdy dotąd.
- Dzięki. Dlaczego nie pojechaliście z tatą na weekend do Sag Harbor?
  - Och, on nie miał ostatnio ochoty na takie wycieczki. Nie wiem dlaczego, ale... przypuszczam, że to z powodu zamieszania, jakie ma w pracy z podpisywaniem scena-

riuszy do produkcji. Uwielbia rolę producenta. - Ellie przyglądała się dwóm obrazom Bonnarda kupionym na aukcji u Sotheby'ego w ubiegłym roku. Było w niej coś nowego, nieznanego. - Naprawdę cudownie wyglądasz.

- Dzięki. - Ellie nie patrzyła na nią. - Idę po mineralną. Przynieść ci coś?

- Nie, dziękuję. Ale powiedz Marcie, żeby dała ci trochę sałatki owocowej. Dopiero co zrobiła. Sałata jest znakomita i zawsze dobrze robi na cerę.

Ellie opuściła pokój, a Barbara wzięła „Timesa”. Znalazła artykuł o stylowym urządzeniu biura, który czytała przed przyjściem córki, i...

Z kuchni doleciał ją łomot, cisnęła więc gazetę i pobiegła korytarzem.

Usłyszała szmer głosów, Martha i Ellie rozmawiały. Potem skrzypnęło krzesło, a kiedy Barbara stanęła na progu kuchni, rozległ się głos Ellie:

- Dowiedziałam się dziś rano - mówiła do Marthy.

- Jestem w ciąży. To dlatego robi mi się ciemno przed oczami, kiedy się zbyt gwałtownie ruszę.

Barbara poczuła się, jakby dostała kopniaka. Obróciła się i niemal biegiem zawróciła do pokoju.

Przepraszam, że nie powiedziałam tobie pierwszej

- odezwała się Ellie, stojąc przy biurku. - Po prostu... Po prostu jeszcze się z tym nie oswoiłam. Ale nie musiałaś uciekać z kuchni, przecież wiesz.

Barbara zignorowała ostatnie słowa. Sposób, w jaki się dowiedziała, napawał ją wstrętem, który miał jej pozostać chyba na zawsze.

- Czy o to toczyliście boje z Markiem?

Ellie usiadła na bujanym krześle po drugiej stronie pokoju.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. I nie chcę, żeby ktoś się nade mną litował. Po co ta litość w twoim głosie? Osobiście nie uważam tego za błąd. Po prostu jest to skomplikowane, i tyle.

Barbara przełknęła ślinę.

- Nie nazwałam tego błędem. Zwyczajnie wczuwam się w twoją sytuację, Ellie.
  - To nie rób tego, proszę.
  - Ale może bym ci pomogła. Zawsze pomaga, jeśli się można wygadać. - Urwała. Nie rozmawiały poważnie od wielu lat. Zawsze była jednak przekonana, że takie rozmowy stanowią budulec, że właśnie w obliczu ważnych wydarzeń rodzina się cementuje. - Właściwie mam za sobą to samo - powiedziała.
  - Co masz na myśli? Barbara wzięła głęboki oddech.
  - Zawsze... robiliśmy uniki z datą ślubu. W rzeczywistości pobraliśmy się z ojcem o rok wcześniej, bo zaszłam w ciążę jeszcze przed ślubem. Ellie gapiła się na nią ze zdumieniem.
  - Żartujesz.
- Barbara wbiła wzrok w ziemię. Nie umiała powiedzieć, czy w tonie Ellie zabrzmiała wrogość czy tylko zaskoczenie. Dla niej liczyło się teraz tylko to, by córce wszystko powiedzieć, podzielić się z nią prawdą. Niech wie, że nie jest w swym cierpieniu sama.
- Prawdę mówiąc - powiedziała wolno. No, dalej. - Prawdę mówiąc, wcale nie wpadłam. Jake dotąd o tym nie wie, ale zrobiłam to świadomie, umyślnie zaszłam w ciążę. Byłam niemal pewna, że Jake postąpi jak należy. To się nazywa..
  - Czyli ty... Boże. I to byłam ja. - Wyglądało na to, że jest wściekła.
  - Ellie, Jake nadal się nie domyśla. Nie zamierzasz chyba mu powtórzyć...
  - Oczywiście, że nie. Niby dlaczego? - Nagle zrobiła wielkie oczy. - I dlaczego właściwie twierdzisz, że masz za sobą to samo? Czy sądzisz, że chcę Marka złapać na dziecko?
  - Tego nie powiedziałam. Nie wiem...
  - Ależ powiedziałaś. Wydaje ci się, że muszę zrobić Marka, żeby doszło do ślubu. Widzisz, w naszym przypadku to akurat ja się wahałam, nie Mark. A tobie przychodzi do głowy tylko to, że ja potrzebuję jakichś sztuczek, co?
  - Nieprawda. To nie ma nic wspólnego z tobą. Tylko

że mężczyźni... mężczyźni inaczej się nie żenią. Nie żeniliby się, gdyby nie nacisk społeczeństwa albo określonej kobiety. Wydaje mi się, że nawet nie prowadziliby osiadłego trybu życia, gdyby nie było przymusu.

- Ale tata i tak nigdy nie osiadł, prawda? Więc nawet jeśli masz rację, to dokąd cię to rozumowanie prowadzi? Co, a właściwie kogo, ci daje? Przede wszystkim mężczyznę, który starał się nie wpaść. Barbara miała uczucie, jakby dostała od Ellie po twarzy. Zamierzała pociągnąć tę rozmowę, ale nagle odebrało jej zdolność myślenia. Nie mogła uwierzyć, że w Ellie jest taka furia.

- Przepraszam - powiedziała wstając. Ellie nawet na nią nie patrzyła. - Rób, co uważasz za najlepsze. Mnie... mnie jest po prostu przykro. - Wyszła z pokoju, jej własnego pokoju, i nie miała dokąd iść.

27

Kopiować!

- Uwaga, wszyscy! Przerwa na lunch kończy się o drugiej.

Caitlin spojrzała badawczo na Arta McCullougha. Promieniał.

- Cait? Obróciła się.

Zbliżał się do niej Craig. Widocznie postanowił udawać, że nic przedtem nie zaszło.

Caitlin zaczęła się oddalać. Była pewna, że zaraz chwycą ją torsje albo zemdleje. Nie chciała nawet na niego patrzeć.

- Hej. - Ręka Craiga dosięgła jej ramienia, a zaraz potem on sam stanął o krok przed nią. - Poczekaj. Nie słyszałaś, że cię wołam?

Spojrzała mu w oczy. Pewnie, że słyszała! Znow próbowała się oddalić, ale Craig znow znalazł się przy niej.

- Dookoła jest mnóstwo ludzi - odezwała się, odwracając spojrzenie. - Nie chcę mówić w takim tłoku tego, co mam do powiedzenia.

- To wróćmy do pokoju. Złapał ją za łokieć. Wyrwała się.

- Nie dotykaj mnie.

Stanął i zaczął jej się przyglądać.

- Aha, czyli o to ci chodzi.

- Słucham?

- Czy chodzi ci o to, żebyśmy byli po prostu przyjaciółmi? Robisz aferę, Caitlin, chociaż moim zdaniem wcale nie ma z czego.

Rozejrzała się wokół. Wyglądało na to, że nikt się nimi nie interesuje, ale Boże, jak mogła publicznie coś takiego powiedzieć?

- Nie masz najmniejszego prawa mówić do mnie w ten sposób - powiedziała cicho. Czowała się teraz, jakby za chwilę naprawdę miała zwymiotować. Traciła Craiga. W oczach miał chłód. Ciekawe, gdzie była Onyx. Co ona z nim zrobiła? Kogo Craig kochał?

- Czy dlatego, że grasz główną rolę w jakimś tandetnym serialu? - spytał.

Zabrzmiało to, jakby czuł do niej wstręt, tak zresztą wyglądał.

- Przecież mnie nie chcesz - powiedziała. - Dlaczego się wysilasz i udajesz? Nie rozumiesz? Dobrałeś się do niej. Pierwszego wieczoru tutaj. Mogłeś się dobrać do kogo innego, gdziekolwiek indziej, ale nie. Musiałeś to zrobić właśnie z nią, żeby mnie zranić, i udało ci się. Po co więc teraz dyskutować? - Wzruszyła ramionami. - To wszystko. Poddaję się. Wygrałeś.

Miała wrażenie, że zaraz pociemnieje jej przed oczami, więc wolno ruszyła przed siebie, byle tylko znaleźć się dalej od niego. W odległości kilkudziesięciu metrów znajdował się pagórek, na którym nie było ani ludzi, ani przyczep, a trawa świeża i miękka. Była pewna, że jeśli tylko tam usiądzie, poczuje się lepiej.

- Caitlin, masz w głowie kompletne pomieszanie z poplątaniem - powiedział Craig, podążając za nią.  
- Nie. - Nie patrzyła na niego, może w tym tkwił sekret. Mówiła mu teraz takie rzeczy, o jakie nigdy by się nie podejrzewała, i wiedziała, że częściowo zawdzięcza to ucieczce przed jego spojrzeniem i dotykiem.

- Caitlin, nie chcę cię stracić.

- Za późno - odparła mimo woli.

- Nie żartuj. Przez jeden raz?

Doszła do trawiastego pagórka i usiadła.

- To nie jest taki jeden raz jak wtedy, kiedy mówi się „tylko raz, kochanie”. To był nasz pierwszy wspólny wieczór tutaj, a ty spędziłaś go z inną aktorką grającą w tym samym filmie, moim zdaniem wyjątkowo żmijowatą i wredną. Przecież ona to zaplanowała, Craig. To było na zimno zaplanowane.

- O czym ty mówisz?

- Doba ma dwadzieścia cztery godziny. A tutaj jest mnóstwo różnych miejsc, z pokojem Onyx Jones włącznie, w których można ci zwrócić slipy. Ale Onyx zrobiła to dziś rano na moich oczach, na sekundę przed moją pierwszą sceną.

Nie odezwał się. Zaciskał zęby w sposób podpatrzony u Clinta Eastwooda. Przez sekundę Caitlin pragnęła, żeby wróciły dawne czasy, na przykład ten dzień, kiedy jechali do domu po obejrzeniu jakiegoś dramatu z Eastwoodem. Chwilę wcześniej facet w Mercedesie zawadził ich Mustanga, toteż Craig był taki wściekły, jakby siedziała obok wulkanu bezpośrednio przed erupcją. Ale gdy dotarli pod dom, rozplakał się, przytulił ją i powiedział: „Nie mogę nic zrobić temu facetowi, bo nie mogę być z dala od ciebie, Cait. Co by się stało, gdybym go zabił i musiał iść do więzienia?”

Zaszokował ją nieco, bo chodziło tylko o drobną stłuczkę, a ich Mustang był stary, ale przecież powiedział, że bardzo ją kocha i nie może bez niej żyć, i wtedy wiedziała, że mówi szczerze.

Teraz nie wiedziała nic.

- Caitlin, nie mogę odkręcić tego, co się stało - powiedział cicho.

- Mogłeś tego nie robić, Craig. Po prostu tego nie robić. Mówię całkiem poważnie. Czy ani przez chwilę nie pomyślałeś, jak będę się czuła?

- Nie sądziłem, że się dowiesz. Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym tak sądził.

Zerwała długie źdźbło trawy i zaczęła oskubywać je z nasion. Jako dziecko uwielbiała to zajęcie, tyle że ojciec zawsze na nią z tego powodu krzyczał, chociaż nigdy nie wyjaśnił, co w tym złego. Nagle poczuła, że okropnie brakuje jej Cudebackville, nie tego, co było tam przykre, jak matka i znudzenie, ale miłego zapachu i spokoju. Opuszczała to miejsce z Dawn w gigantycznym pośpiechu, zaraz po maturze. Teraz jednak...

- Naprawdę, kochanie.

- Przestań mówić do mnie „kochanie” - odparła, spoglądając w bok. - Poza tym, sam nie wierzysz ani jednemu własnemu słowu.

Przez chwilę milczał. Potem trochę zbliżył się do niej, więc nie mogła na niego nie patrzeć, i wtedy powiedział:

- Co według ciebie mam zrobić? Wzruszyła ramionami.

- Nic.

- Nie wygłupiaj się. Mówię poważnie. Co mogę zrobić? Ostatniego wieczoru nie odkręcę. Co chcesz, żebym zrobił?

Było to dziwne. Z jednej strony miała ochotę płakać, wargi zaczynały jej drżeć i tak dalej, ale jednocześnie czuła w głębi chłód i twardość stali. Craig prosił ją o to, czego pragnęła, a ona nie była w stanie nic powiedzieć. Dosłownie nic!

- Powiedz coś, Cait.

- Uważam, że oboje powinniśmy spojrzeć na to z dystansu i pomyśleć.

Craig zbladł jak ściana. Prawdopodobnie oczekiwał, że usłyszy: „Powiedz Onyx Jones, żeby poszła w diabły”, albo coś w tym stylu. Caitlin nawet to rozważała. Ale

wyrwało jej się coś zupełnie innego i była z tego zadowolona. Oboje rzeczywiście musieli pomyśleć. Ona była do tego gotowa. Nagle poczuła się, jakby przez ostatnie trzy lata nie знаła nikogo poza Craigiem, i nie chciała, żeby dalej tak było.

- Jak to „pomyśleć”? - spytał. Jego głos brzmiał ochryple, jakby po niedawnym płaczu.

Nie wyobrażała sobie, że Craig może płakać potem.

- Powinieneś załatwić sobie osobny pokój. Nie będziemy się widywać. No, i tak dalej.

Spojrzał w miejsce, gdzie wszyscy się krzątali, raźnie zmiatając lunch ze stołów. Caitlin wydawało się, że zaraz zobaczy łzę toczącą mu się po policzku.

- Nie mogę - powiedział ledwie słyszalnie. - Caitlin, ja nie mogę bez ciebie żyć.

Teraz ona była coraz bliższa płaczu. Craig ocalił ją... ocalił przed Bóg wie jakim życiem, a do tego ją kochał, naprawdę.

Ale co z jej raną?

Zerwała jeszcze jedno źdźbło trawy i wstała.

- Porozmawiamy później - powiedziała, spoglądając na niego z góry. - Ale chcę, żebyś wyprowadził się z mojego pokoju. To, co powiedziałam o myśleniu i spoglądaniu z dystansu, traktuję bardzo poważnie.

Potem zbiegła z pagórta, czując się trochę jak dziecko, choć jako dziecko nigdy nie powiedziała „nie”. Przebiegła obok miejsca, gdzie wszyscy jedli, i wróciła do swojego pokoju.

Ale siedzenie w pokoju było potworne. Otaczały ją rzeczy Craiga: dzinsy, krem po goleniu (czy używał go wczoraj wieczorem?), ich fotografia w ramce, którą Craig przywiózł i postawił na toalecie. Na tym właśnie polegał problem. On umiał być taki romantyczny. Tyle przeżyli we dwoje, kiedy byli naprawdę razem. Czowała się wtedy, jakby na całym świecie nie liczył się nikt poza nimi. Wydawało jej się, że Craig dzieli to uczucie. Póki nie wpadł na pomysł, żeby zrobić z niej gwiazdę. Póki nie zaczął pracować w ICM.



Kiedyś Craig miał naprawdę ciężką gripę i przez okrągłe dwa tygodnie Caitlin się nim opiekowała. Gotowała mu, czytała, przytulała się do niego... wtedy pierwszy raz powiedział, że ją kocha i potrzebuje jej. Przez następne trzy lata mieli mnóstwo udanych dni. Jeździli w takie miejsca, gdzie Caitlin nigdy przedtem nie była, chodzili do kina, trzymali się za ręce. Ostatnio jednak coś się zepsuło. Z przykrością przyznawała przed sobą, że nie jest jej z Craigiem dobrze. Może był to stereotyp, ale nie cieszyli się już razem, nie było im do śmiechu we dwoje. Zupełnie jakby Craiga przestało interesować, czy Caitlin jest szczęśliwa. Nie zdarzało mu się już, żeby mówił: „Widzisz, udało nam się to osiągnąć, teraz będziemy szczęśliwi”. Bez przerwy się czymś złościł, był poirytowany, chociaż mieli teraz więcej niż kiedykolwiek przedtem. Przypomniała sobie artykuł czytany w zeszłotygodniowym numerze „Star”: „Kiedy nie należy ratować małżeństwa?”. Powstał na podstawie jakiejś książki, Caitlin nie mogła przypomnieć sobie tytułu, pamiętała jednak, że lektura wpędziła ją w przygnębienie. Artykuł mówił o kobiecie, która wdała się w wielką kłótnię z mężem po nocy, jaką spędził z sekretarką. Autorka tłumaczyła, że żona wcale nie była wściekła na męża o ten epizod, że dostarczył jej on jedynie pretekstu. Potem kobieta zorientowała się, ile razy ostatnio próbowała wszczynać kłótnie, przypomniała sobie, jaka się czuła nieszczęśliwa, i doszła do wniosku, że w pewnym sensie cieszy się nawet z tej romansowej historii, bo mogła się wykrzyzczyć na męża i odejść. Autorka twierdziła też, że wiele małżeństw jest w stanie przetrwać romans jednego z partnerów, nawet niejeden, i że czasem taka sytuacja nawet cementuje małżeństwo. Czasem, oczywiście, małżeństwo nie jest w stanie sprostać takiej sytuacji. Ale bywa też, i o tym właściwie był artykuł, że żona albo mąż nerwowo reagują na romans nie z powodu samego romansu. Traktują go jedynie jako pretekst. „W takich przypadkach małżeństwo było mar-

twe już przed rozpoczęciem romansu", przypomniała sobie Caitlin. Te słowa głęboko wryły jej się w pamięć.

Zastanawiała się, czy do niej i Craiga też się ta diagnoza odnosi. Czy nie skorzystała z okazji i nie potraktowała Onyx Jones jako pretekstu?

Następna myśl była jeszcze bardziej przerażająca: bo jeśli Craig naprawdę nie może bez niej żyć?...

Zawsze myślała, że to ona jest słaba w tym związku. Ale coraz częściej zauważała, że on wcale nie jest taki mocny. Jego pewność siebie była jak muszla: twarda skorupa, a w środku nic prócz lęku. Kiedy była z Craigiem, miał na sobie tę skorupę i dawał jej poczucie siły.

Ale jeśli nie taki był naprawdę? Jeśli bez niej nie da sobie rady?

Miała oczywiście pieniądze za film. Mogła mu wszystkie oddać. Ale kiedy Craig czuł pełny portfel, wydawał pieniądze jak szalony. Co będzie, kiedy pieniądze się skończą?

Wzięła do ręki fotografię ich obojga i przyjrzała się jego twarzy. Taka szczęśliwa. Naprawdę byli wtedy zakochani.

Zamknęła oczy. Ożywić to, powiedziała sobie. Zapomnieć o Onyx Jones. Craig nie chciał mnie zranić. Zacząć jeszcze raz.

Ale nie mogła. Chciała żyć bez niego, chociaż wydawało się to straszne.

28

Craig?

- Zostaw mnie w spokoju - powiedział.

Widział, jak Onyx wymyka się z cizby posilających się ludzi, choć jeszcze kilka minut temu gawędziła z kamerzystą. Podeszła do niego na pagórek. Craig siedział tam z wściekłą miną. Co ona sobie, do diabła, wyobraża?

- Co jest grane? - spytała. - Słyszałam, że Caitlin bardzo się czymś przejęła.

Obrócił się i wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- O, naprawdę „słyszałaś”? Odpierdol się, Onyx.

- Słucham? Co ja mam do tego?

- Ty? Co ty masz? Kto rano podał mi slipy akurat w momencie, kiedy patrzyła Caitlin? I to masz do tego, kapujesz?

- Chcesz powiedzieć, że zrobiłam to specjalnie w ten sposób, żeby ona widziała? Oszalałeś? Caitlin właśnie była pod opieką charakteryzatorki. Podczas charakteryzowania niczego się nie widzi.

- Mniejsza o to. Wyświadczy mi przysługę i spierdalaj stąd jak naj szybciej, zgoda?

Gapiała się na niego wielkimi oczami.

- Żarty sobie stroisz? I to ma być ten sam facet, który wczoraj wieczorem był taki napalony? A tak właściwie, co ty sobie wyobrażasz? Że jestem zabawką? Nie na jedną noc, Craig. Chcesz, żebym powtórzyła Caitlin wszystko to, co mi mówiłeś?

- Hej, spływaj lekko i szybko. Naprawdę nie mam w tej chwili czasu na takie komplikacje w życiu.

- Jasne. Naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało. Ale nie zachowuj się, jakbyś nie miał z tym nic wspólnego. Wczoraj wieczorem wykazywałeś dużo entuzjazmu. Do niczego cię nie zmuszałam.

Pokręcił głową.

- Nie wiem, co robić. Ona jest naprawdę wściekła.

- Rozumiem ją. Sama byłabym wściekła, gdybym stwierdziła, że dorabiasz sobie na boku. Ale z tego, co od ciebie słyszałam... - Zawiesiła głos.

- Co ode mnie słyszałaś? Wzruszyła ramionami.

- Mówiłeś, że seks nie jest dla niej zbyt ważny. Dlatego wściekanie się z jej strony... Nie chcę jej krytykować, ale żonaci mężczyźni, z którymi bywałam, w siedemdziesięciu pięciu procentach po prostu w ogóle w domu nie istnieją.

- No cóż, są sprawy, o których nie wiesz...

- Nie wątpię. Ale chcę powiedzieć, że nie powinienes

winić ani siebie, ani mnie. Część odpowiedzialności spada na nią. Gdybyś był z nią szczęśliwy, nie przyszedłbyś do mnie, chyba wiesz, o co mi chodzi?

Westchnął. W pewnym sensie miała rację. Cholera, kiedy próbował robić to z Caitlin, zachowywała się mniej więcej jak na dentystycznym fotelu. Raz nawet zauważył, że zaciska zęby.

Mimo to kochał ją. I zranił.

- Craig.

Obrócił się i spojrzał na Onyx.

- Nie chcę, żeby ta rozmowa zrujnowała to, co przeżyliśmy - powiedziała. - Nie mam zamiaru udawać zakonnicy. Lubię seks i nie wstydę się tego, że uprawiałam go z wieloma mężczyznami. Ale ty mi się naprawdę podobasz. Może powinieneś pomyśleć trochę o sobie, zamiast bez przerwy myśleć o Caitlin i jej życzeniach. Masz też swoje potrzeby. Tak powinien wyglądać każdy związek.

- Caitlin nie jest samolubna - powiedział.

- Nie powiedziałam, że jest. Ale jak długo możesz wytrzymać tylko z nią? Skoro ona nie chce tego z tobą robić, to nie powinna dostawać kręcka, kiedy zastanie cię z kim innym. To nie jest lojalne.

- Cóż, ja wiem tylko, że nie chcę z nią zrywać. Onyx milczała.

- I nie próbuj wycinać nowych numerów. Patrzyła na niego wrogo.

- Ile razy mam ci mówić, że wcale nie chciałam, żeby ona to zobaczyła? Myślałam, że wyświadczam ci przysługę.

- Tak? W jaki sposób?

- Nie wiesz, jak wiele żon i dziewczyn sprawdza swoim mężczyznom w szafie, czy mają kompletną bieliznę, skarpety i tak dalej? Skąd miałam wiedzieć, czy to nie jest jakaś szczególnie ważna i darzona sentymentem para? To nie były zwykłe białe gatki, Craig. Raczej część stroju na sobotni wieczór. A dużo kobiet sprawdza.

- Hm, Caitlin tego nie robi.

- Posłuchaj, jeśli zamierzasz bez końca mnie obwiniać, zapomnij o wszystkim. Nie jestem zainteresowana pętaniem się przy kimś, kto czuje do mnie nienawiść.

- Nie czuję do ciebie nienawiści - rzucił pośpiesznie. Spojrzał w oczy Onyx. Czy mógł jej wierzyć? Trochę z tego, co powiedziała, miało sens. Może Caitlin rzeczywiście była odrobinę samolubna... no, ale mimo wszystko zranił ją.

Westchnął i spojrzał w kierunku planu. Art McCullough rozmawiał z charakteryzatorką Roz Stelling. Był tam również Chris Grayson żartujący z jakimś statystą. Sukinsyński studencik z Harvardu. Omal nie wyleciał Craigowi z głowy. Żeby nie wpuścić go do przyczepy! Co on, do diabła, sobie wyobraża? Ale Chris Grayson to Chris Grayson. Prawdopodobnie mógłby poprzewracać połowę kamer na planie i prześwietlić cały materiał, a i tak nikt by go nie wywalił. Musiało mu się wydawać, że jest najwspanialszy na świecie i kłopoty się go nie imają. Jake Grayson wyciągnąłby go ze wszystkiego.

- I co zamierzasz zrobić? - spytała Onyx.

- Hm? Nie wiem. Chyba poczekać, aż Caitlin trochę ostygnie.

- A potem?

- A potem nie wiem, i już. Ale nie chcę, żeby wyszła i zobaczyła nas tutaj razem. - Wstał i strzepnął dzinsy. - Porozmawiam z tobą, Onyx, ale potem, kiedy Caitlin nie będzie w pobliżu.

- Dobra. Rozumiem.

Patrząc, jak Craig schodzi z pagórka, wiedziała, że ma przed sobą jeszcze wiele pracy. Nie wyglądało na to, żeby Craig chciał pozwolić Caitlin Cornell na odejście, chyba wydawało mu się, że naprawdę ją kocha. Ale facet, który tak fantastycznie spisał się w łóżku ubiegłego wieczoru, nie był tym samym, który kochał Caitlin Cornell.

Był za to facetem, który mógł się zakochać w Onyx Jones. Co do tego miała prawie absolutną pewność.

I chociaż nie przyznałaby tego otwarcie, nawet przed Craigiem, czuła, że potrzebuje ochrony podobnej do tej, jaką roztaczał nad Caitlin, potrzebuje uwagi kogoś, kto by o nią zadbał.

A jeśli Caitlin Cornell z tego powodu będzie cierpiała, to co? Miała przecież wszystko poza tym. Po co jej jeszcze Craig Weller?

Onyx przypomniała sobie też Arta McCullougha, który rozmawiał z nią z miną wyrażającą skrajne znudzenie. Zupełnie jakby go nie obchodziło, że wszyscy na planie zauważą wstręt, jaki do niej czuje. Niewykluczone, że Craig umiałby i tutaj coś zaradzić. Pomógł Caitlin, więc może pomógłby i jej. A nawet jeśli nie, to i tak ubawiłaby się, mając go nocą w łóżku, a we dnie przyglądając się, jak słodziutka Caitlin Cornell wypłakuje oczy.

29

Caitlin spojrzała w oczy Arta McCullougha, usiłując się skoncentrować na jego słowach. Było jej jednak bardzo trudno. Dopadła ją zabójcza migrena. Miała wrażenie, że nie tylko jej głowa, lecz i kark znalazły się w potwornym uścisku, poza tym nie wiedziała, gdzie jest Craig. Czy w pokoju? Z reżyserskiej przyczepy ledwie widziała świat, była tam bowiem cała maszyna służąca do roboczego przeglądu nakręconego materiału.

Starła się słuchać.

- Rozumiesz, co ci powiedziałem o Jane Wycroft? Ona nie chce z tobą rozmawiać po raz drugi, dopóki nie zrobicie sceny.

Caitlin skinęła głową.

- Nie widzę problemu. Słyszałam, że tak samo postępuje Debra Winger. Podobno kiedy kręcono *Czułe słówka*, wszyscy na planie musieli nazywać ją Emmą.

Art miał marsową minę, więc przyszło jej do głowy, że

powiedziała coś niewłaściwego, tym bardziej że Damien, drugi asystent reżysera, nerwowo stuknął ołówkiem o klaps.

- Damien, zostaw nas na chwilę samych.

- Już się robi.

Kiedy drzwi za nim się zamknęły, Art pochylił się ku Caitlin i ujął jej dłonie.

Przez moment myślała, że wpadł na jakiś okropny pomysł, że wciągnie ją sobie na kolana albo rzuci się na nią i zacznie dźgać na oślep.

On jednak tylko trzymał ją za ręce i patrzył jej w oczy. Serce Caitlin zamarło.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Dlaczego pan pyta? Czy... Uścisnął jej dłonie.

- Mam na myśli Craiga. Słyszałem, że były kłopoty. Wbiła wzrok w podłogę. Taką samą żółtobrazową wykładzinę miały z matką w przyczepie w Cuddebackville.

- Nie musisz o tym mówić - ciągnął. - Ale daj mi znać, gdybyś chciała, żebyśmy coś w tej sprawie zrobili.

Podniosła głowę. - Jesteś moją gwiazdą, Caitlin. Wyobraź sobie mnie jako gangstera. Koszę bez litości każdego, kto wchodzi ci w drogę. - Urwał i znowu ścisnął jej dłonie, po czym je puścił. - Nie żartuję. Fantastycznie zabrzmiało to o koszeniu. „Onyx Jones została skoszona dzisiaj na planie filmu *Księżniczka przeznaczenia*.” Tylko co z Craigiem?

- Nie wiem... Nie widzę nic, co mógłby pan zrobić.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, żebyś czuła się swobodnie podczas kręcenia *Księżniczki*.

Słyszałem, co się stało, a nie mogę znieść tego, że jesteś nieszczęśliwa.

- Czy byłam dzisiaj taka kiepska?

- Byłaś wspaniała. Ale to tylko jeden dzień. Przed nami długa droga. Dlatego powiedz mi, czego ci potrzeba.

Przypominał ojca nie stawiającego żadnych wymagań. Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę wydawało się, że mówi: „Dam ci wszystko, czego potrzebujesz”. I nie

chciał, żeby czegokolwiek dotykała, coś całowała, w ogóle niczego nie chciał, chyba że byli na planie. Chris Grayson zachowywał się w ten sam sposób. Gdzie ci wszyscy ludzie byli przez całe jej życie? Spojrzała na przegub jego dłoni, ale bez powodzenia.

- Ma pan zegarek? Podciągnął rękaw.

- Tak, jest wpół do szóstej. A co?

- Zastanawiam się, co porabia Craig. Kazałam mu się wyprowadzić z mojego pokoju.

- Czy chcesz, żeby znikł z planu?

Spoglądała gdzieś za niego, w okno. Widziała jednak tylko drzewa.

- Nie wiem. Niech pan go nie wyprasza. Muszę sama załatwić z nim sprawę.

- Co z Onyx?

- Pies z nią tańcował. Nic do niej nie mam. Nie chcę wyjść na bezradną sierotkę.

- A czy będziesz w stanie zrobić z nią scenę?

- Na pewno. Nie wiem tylko, czy ona też. Jeśli chodzi o mnie, zamierzam być dla niej zagadką.

Absolutną zagadką, Art. - Głęboko odetchnęła. Nigdy przedtem nie nazwała go po imieniu i nigdy nie mówiła w ten sposób o wrogu. Ale całkiem dobrze się z tym czuła. Takie kwestie słyszała często z ust bohaterów seriali. Teraz sama wpadła w ten ton. Art sprawiał cudowne wrażenie czuwającego nad nią anioła, podobnie jak Chris. Ale schodząc na ziemskie poziomy, Caitlin uświadamiała sobie, że byłoby o wiele lepiej, gdyby sama stała się panią swojej sytuacji. Bez niczyjej pomocy.

Wracając do motelu omal nie przystanęła przy drzwiach Chrisa Graysona, żeby wyciągnąć od niego jeszcze kilka rad i powiedzieć mu cześć. Rano był taki wspaniały. Szczególnie kiedy stawiał czoło Craigowi w drzwiach do przyczepy.

Nie chciała jednak okazać się natrętna. Wprawdzie Chris zapowiedział, że będzie nad nią czuwał, ale nie oznaczało to, że należy wszędzie za nim łązić.



Skreśliła za róg i ruszyła wzdłuż rzędu drzwi do pokoiów, z których ostatni należał do niej i Craiga. Jedenaście, dwanaście, trzynaście... Boże. Nawet nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Pokój 17. Zza zasłony przebijało światło, słysząc było głosy.

Potem rozległa się reklamowa piosenka McDonalda. To znaczy, że Craig ogląda telewizję.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Craig leżał na łóżku, ubrany, z rękami i całą masą poduszek pod głową. Telewizor ryczał, ale Craig wyglądał, jakby był na pikniku. Ledwie rzucił okiem w stronę drzwi, które się otworzyły, i znowu wgapiał się w ekran.

Serce Caitlin tłukło się jak oszalałe.

- Co ty robisz?

- Łapię wiadomości. Autentyczna lokalna produkcja. Nie patrzył na nią. I nie ruszył niczego w pokoju. Nie spakował się, nie zrobił dosłownie nic. Caitlin zatkało.

- Craig.

- Hej, popatrz - powiedział wskazując ekran. - Jakiś tutejszy dzieciak dostał w głowę piłką podczas gry w baseball, i to ma być wiadomość. Zapomniałem już, że coś takiego można pokazywać.

Podeszła do odbiornika i wyłączyła dźwięk. Ale nie umiała spojrzeć Craigowi w twarz. Zadowolona się widokiem jego odbicia w lustrze.

- Mówiłam ci, że masz się wyprowadzić z tego pokoju.

- Hej, nie wygłupiaj się. Ta piosenka była rano. Obróciła się i spojrzała wprost na niego.

- Nadal obowiązuje to samo. Dlaczego niby miałabym zmienić zdanie, Craig?

Poklepał łóżko.

- Nie wygłupiaj się. Usiądź tutaj.

- Jeśli nie zamierzasz wynieść się z tego pokoju, ja to zrobię. - Nie mogła uwierzyć, że coś takiego naprawdę powiedziała.

Obróciła się i otworzyła gómą szufladę komody. Bie-

lizną jej i Craiga była dokładnie przemieszana. Caitlin zamknęła szufladę i podeszła do szafy.

- Caitlin, nie żartuj. Zostanę do jutra? Ściągnęła z półki walizkę.

- Nie wciskaj mi takiego kitu, Craig... - Nagle przypomniała sobie wcześniejsze rozmyślenia i artykuł o tym, jak to czasem tylko się czeka, żeby chłopak zszedł z prostej drogi. - Zraniłeś mnie i musiałeś to zrobić celowo - powiedziała cicho. - Nie mogę tego zrozumieć. Może masz dosyć naszego związku.

Nie wiem. Ale nie mogę zapomnieć i nie chcę być z kimś, kto mnie rani.

Usiadł na łóżku.

- Hej, przecież to ja cię ściągnąłem do filmu. Jesteś tu tylko dzięki mnie. Ty to nazywasz ranieniem?

Pokręciła głową.

- Nie mogę o tym myśleć. Zresztą wcale cię nie prosiłam.

- Oho, teraz rzniesz wielką gwiazdę. Wiele razy słyszałem takie historie, ale nie sądziłem, że z tobą też tak będzie. Przyjeżdżasz na plan i od razu skreślasz wszystkich dawnych znajomych, co? Żegnaj, Craig, witaj, Chris. A może: żegnaj, Craig, witaj, Art.

- Ani jedno, ani drugie.

- Dobra, dobra. - Wstał i przeszedł obok niej. - Nie męcz się z pakowaniem. Wyprowadzam się. Tylko nie myśl, że będę na zawołanie, kiedy zechcesz, żebym wrócił. - Ściągnął z szafy walizkę i przeszedł obok niej w drugą stronę. - A gdybyś chciała się ze mną skontaktować, dzwoń do pokoju Onyx Jones.

- Czyli kłamałeś. Gdyby to był tylko epizod, nie przenosiłbyś się właśnie do Onyx.

Cisnął walizkę na łóżko, podszedł do szafy i zaczął ściągać koszule z wieszaków. Właściwie bardziej je zsuwał, niż ściągał, jakby nie był ani trochę wyprowadzony z równowagi. Potem zaniósł koszule na łóżko i zaczął je metodycznie składać, niczym sprzedawca w domu towarowym.

- Craig?

Przerwał składanie koszul i spojrzał na nią.

- Przecież mnie wykopałaś, nie? Przenoszę się do Onyx. A teraz zrób mi tę łaskę i zostaw mnie samego, dobrze.

Przełknęła ślinę. Naprawdę odchodził.

Przyglądała się, jak wyciąga z górnej szuflady skarpetki i slipy. Tak wiele rzeczy dostał od niej, tak wiele kupowali razem. Zanim jeszcze ukradli im Mustanga, najbardziej lubiła, kiedy w sobotę Craig zabierał ją na handlowy deptak w New Jersey. Nawet po kradzieży jeździli tam jeszcze autobusem, kiedy zapowiadało się, że będzie coś atrakcyjnego do kupienia.

- Craig, dlaczego musimy się kłócić? Prosiłam tylko, żebyś się wyprowadził. Nie chcę, żebyśmy stali się wrogami.

Przeniósł stertę bielizny i skarpet na łóżko i zaczął to wszystko, sztuka po sztuce upychać wzdłuż krawędzi walizki, zupełnie jakby napełniał bożonarodzeniową pończochę kruchymi zabawkami.

- Craig?

- Chciałaś, żebym się wyprowadził - powiedział, nie spoglądając na nią. - Jak, twoim zdaniem, się czuję? Powiedziałem ci, że nie mogę bez ciebie żyć, a ty mi każesz się wyprowadzić.

- To nie znaczy, że masz się od razu wprowadzać do Onyx Jones.

Spojrzał jej w oczy.

- Jej się podobam, rozumiesz? I podoba jej się mnóstwo rzeczy, które tobie się nie podobają. Nie ma tysięcy wszechświatowych, głębokich problemów, których żaden człowiek nie jest w stanie rozwiązać. I wiem, że Onyx mnie chce. - Wzruszył ramionami. - Dlatego może lepiej trzymajmy się z dala od siebie.

Miała ochotę go uderzyć. Jak śmiał powiedzieć coś takiego o jej problemach? Dotąd ani razu o tym nie wspominał. Coś go jednak odmieniło. Caitlin była pewna, że wszystko zaczęło się od marzeń o gwiazdorstwie i show businessie. A teraz...

Co będzie, jeśli Craig zdradzi Onyx wszystkie ich tajemnice?

- Craig, nie wariuj, dobrze?

- Najpierw dajesz mi kopa, a potem mówisz, żebym nie wariował. Wszystko, co robiłem, było dla nas. Wszystko. Łączyłem z tobą całe życie, każdą jego minutę. Z tobą i z nami. Może nie pamiętasz, co znaczy CZZC? Craig zawsze z Caitlin. Mieliśmy zawsze być razem. A ty przekreślasz...

- Przecież to ty byłeś z Onyx.

- Gówno z tego.

Było to zamierzone okrucieństwo, jakby ją brutalnie popchnął. Caitlin wykrzywiła twarz, przebiegła obok Craiga do łazienki i zanosła się płaczem. Co tu się działo? Craig zachowywał się, jakby to ona była nie w porządku, a przecież to on przespał się z Onyx. I to on chciał z Onyx zamieszkać.

Odkręciła kran, żeby Craig nie słyszał jej płaczu, i siadając na krawędzi wanny, schowała twarz w dłoniach.

Nic z tego nie pojmowała. Dlaczego tak nagle Craig zapragnął być z Onyx? Jeśli chodziło o drobiazg, to czemu musiał się do niej wprowadzać?

Uraziłaś jego dumę, powiedział jej wewnętrzny głos. Pamiętała takie sytuacje z kina.

Craig zawsze z Caitlin. Boże. To już skończone. Łzy, które przyszły, wyraźnie jej to uświadomiły.

Wiedziała teraz, że ich związek dogasał od tygodni, od miesięcy, może nawet zanim jeszcze Craig postanowił zrobić z niej gwiazdę. Nie wiedziała tylko, czy wytrzyma bez niego, nawet gdyby spełniło się jej pragnienie i okazało się, że Craig może wytrzymać bez niej.

A jednak czuła w sobie siłę. Masz rację, podszeptował jej wewnętrzny głos. Za długo Craig dyktował ci, w co się ubierać, co mówić, jak postępować i co myśleć. Nikt nie powinien ci dyktować takich rzeczy.

Usłyszała trzask drzwi i wyjrzała z łazienki, żeby sprawdzić. Craiga nie było. Przycisnąwszy twarz do ściany, uderzyła w szloch, przerażona jednoczesnością pra-

gnienia, by wrócił, i radości z tego, że go nie ma. Nie wiedziała, czego właściwie chce, myślała tylko o tym, że nigdy przedtem nie była sama.

30

Art ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Cholera. Robota dopiero się zaczęła, a już miał na planie burdel.

Od lat obijały mu się o uszy takie historie. Nie było filmu bez romansów, złamanych serc i awantur. Nie chciał jednak czegoś takiego u siebie, a już na pewno nie z Caitlin. Reszta obsady mogła sobie robić wszystko, ale Caitlin była taką aktorką, która nasycy rolę i siebie uczuciem, jakie w danej chwili przeżywa postać. Reagowała instynktownie, gdyby ktoś ją spytał, prawdopodobnie nawet nie umiałaby wyjaśnić, jak do tego dochodzi. Art miał już doświadczenia z aktorami tego typu i wiedział, że z reguły nie potrafią pociągnąć roli, jeśli ich prywatne życie zaczyna się sypać.

- Art?

Podskoczył z wrażenia. Cassie? Otworzył drzwi przyczepy.

- Czy żonom wolno przebywać na planie? - spytała uśmiechnięta.

Przygarnął ją do siebie, a ona na zmianę śmiała się i całowała go.

- Zaskoczony?

- Bardzo. - Boże, jak ona ładnie pachnie. I tak ślicznie wygląda z tymi lśniącymi oczami.

Zaczął zamykać drzwi, ale przytrzymała go za ramię.

- Mam na zewnątrz torby - powiedziała. Rzeczywiście, stała tam walizka i dwie wielkie torby firmowe Dean i DeLuca.

Uśmiechnął się i wniósł bagaże do środka.

- Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

- Ubranie na dzień lub dwa i trochę jedzenia na dziś

wieczór - powiedziała. - Dla utalentowanego, pełnego poświęcenia, błyskotliwego reżysera i jego ciężarnej, wygłodniałej żony. Roześmiał się.

- Masz już skurcze?

- Nieustannie. Na pewno psychosomatyczne, bo wszyscy mówią mi, że na to o wiele za wcześnie. Ale i tak zobacz, co przywiozłam.

- Nie mogę się doczekać.

- Musisz zrobić jeszcze coś tutaj, czy możemy przejść do pokoju? - spytała, rozglądając się po przyczepie wypełnionej sprzętem do montażu i piętrzącymi się wszędzie kolejnymi wersjami scenopisu.

- Już mogę wracać - powiedział. - Chodź, trzeba cię zakwaterować.

Prowadząc Cassie do pokoju, uświadomił sobie jednak, że będzie miał wiele szczęścia, jeśli tej nocy uda mu się choć chwilę pospać. Zjedzą kolację, porozmawiają, może będą się kochać i trudno powiedzieć, o której godzinie się to skończy.

Zaraz na twoich oczach zamienię się w mały balon - powiedziała Cassie, otwierając opakowanie koziego sera. Przywiozła z sobą oliwki, pięć rodzajów sera, szwajcarski wiejski chleb, pasztet, dżem malinowy i ciasto kawowe. Wszystko to rozłożyli dookoła siebie na łóżku.

Art uśmiechnął się.

- Wiesz chyba, Cass, że dziś wieczorem muszę jeszcze wygospodarować pięć sekund na pracę.

- Nie ma mowy o sekundach. - Rozsmarowała kawał pasztetu na chlebie i ugryzła pokaźny kęs. -

Wyrzucam cię stąd, żebyś mógł spokojnie popracować i nie był jutro żywym trupem. Pozwól tylko, że zanim pójdziesz, o jedno cię zapytam.

- Na razie nigdzie nie idę - odparł.

- Owszem, idziesz. Nie wygłupiaj się. Bierz z jedzenia to, na co masz ochotę, i zmykaj. Chcę, żebyś się cieszył z mojego przyjazdu.

- Cieszę się, Cassie. Czuję miły dreszczyk. Ale pytaj, o co masz pytać.

Spochmurniała.

- Kiedy tu przyjechałam, musiałam znaleźć twoją przyczepę. - O Boże, na pewno wpadła na Onyx. - Zapytałam o ciebie scenarzystkę, a ona się rozpromieniła, bo mnie poznała. Wiedziała, że pracowałam z tobą podczas kampanii Tempest i pamiętała prawie każde moje ujęcie.

- To Sandra - powiedział z gigantyczną ulgą. - Już mnie o ciebie pytała. Ale na czym polega problem?

- No... chcę wiedzieć, czy będziesz mnie kochał, kiedy zrobię się gruba, ogromna i zwariowana.

Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

- Chodź tu, ty dzikusku.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Powiedz mi tylko, że wszystko się świetnie ułoży. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę się czegoś boję.

- Wszystko będzie wspaniale - powiedział.

Muszę coś z tym zrobić, pomyślał jednocześnie. Należało wyprawić Cassandrę z powrotem do Nowego Jorku, pozbyć się kłopotu z Onyx, znaleźć coś na nią, żeby nie wisiała nad nim jak miecz Damoklesa. Wiedział, że jej atuty nie są zbyt mocne. Każdy obserwator z zewnątrz poradziłby mu: „Po prostu powiedz żonie prawdę, wyjaśnij, nie ma przecież małżeństwa bez zaufania”.

Ale Casandra nie była taka. Nigdy nie pogodziłaby się z tym, co zrobił. Chociaż byli małżeństwem już od czterech lat, czasem zdarzały mu się chwile niewiary, że ta dziewczyna jest jego. Dlatego musiał powstrzymać Onyx przed podjęciem następnych kroków. Ale jak?

31

Craig nie mógł uwierzyć. Naprawdę targał walizkę na tyły motelu jak jakiś przestępca albo mąż, którego rozwścieczona żona wyrzuciła z domu na zbity pysk.

Tyle że Caitlin nie była jego żoną.

Cholera, ale spieprzył sprawę.

Przez cały czas kołatało mu w głowie zdanie „Zmiję na własnej piersi wyhodowałem”. Co prawda Caitlin nie była zmiją, ale zmieniała się, i to była jego wina. To on spowodował tę lawinę.

Tyle razy udawała, że nie zauważa u niego nic podejrzanego, albo naprawdę nie zauważała. Ale w owych czasach nie miało to znaczenia. Bywało, że wracał do domu o pierwszej, drugiej w nocy, śmierdząc perfumami, i nie usłyszał na ten temat ani słowa. Kiedy następnego dnia wracał z miasta z prezentem i miał dla niej flakonik perfum, chustkę czy inny drobiazg, patrzyła na niego, jakby wiedziała. Był jednak pewien, że nic jej to nie obchodzi. Nie miała ochoty na seks, więc jak mogło ją ruszać, że Craig robi to z kim innym?

Tamto jednak definitywnie się skończyło. Może zresztą Caitlin naprawdę nic wtedy nie wiedziała.

Stał teraz przed drzwiami pokoju Onyx, czując do siebie wstręt.

Zapukał i chciał przepowiedzieć sobie wymyślony tekst, ale drzwi otworzyły się natychmiast.

Zerknęła na jego walizkę, a potem spojrzała mu w oczy.

- O, wejdź.

Przyglądała się, jak Craig odkłada walizkę na łóżko i siada. Solidnie go tąpnęło, co do tego nie było wątpliwości.

A ona musiała być cholernie ostrożna. Ochy, achy i rozplýwanie się nad męską decyzją tylko wzbudziłyby jego nienawiść albo kazały mu uważać ją za idiotkę. Powinna okazać współczucie.

Kontrolowane. Niezwykle stonowane.

Było jasne, że Craig nie wie teraz, czego chce. Ale gdyby wyciągnęła go na zwierzenia, skłoniła do opowiedzenia, co im z Caitlin nie wychodziło, to kto wie?...

Przecież ją zostawił, prawda? I przyszedł tutaj. Ciekawe, jak wypadnie rano na planie wielka Caitlin Cornell. Głupia dziwka. Będzie jak zapłakany dzidzius.



A scenarzystka Sandra powiedziała, że przyjechała żona Arta McCullougha. I to mogła być następna złota żyła.

32

Słyszałam, że kręci się tutaj twoja żona - powiedziała Onyx.

Art spojrział w dal nad jej ramieniem. Cassie poszła na spacer do lasu, ale mogła wrócić w każdej chwili.

- Owszem, przyjechała na krótko.

Onyx trzymała ręce w kieszeniach dżinsów i kołysała się na boki z podniecenia.

- Nie wiedziałam, że to ona była modelką w kampanii Tempest, Art. Fantastyczna sprawa.

Cholera. Powiedział Cassie, że będzie w okolicy przyczepy ze sprzętem do montażu, ale teraz miał ochotę się oddalić dokądkolwiek, byle tylko Onyx na nią nie wpadła.

Ruszył w kierunku stołów z jedzeniem, gdzie ekipa pochłaniała kanapki, popijając wodą sodową i kawą.

- Art, poczekaj - powiedziała Onyx, dotykając jego ramienia. - Nie chcesz chyba rozmawiać ze mną przy ludziach?

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Ależ mamy. Przystanął.

- Nie jestem zadowolona, Art. Dziś rano Baird ściął mi rolę prawie do zera. Łamiesz część naszej umowy.

- To nie moja rzecz. Baird robi zmiany codziennie, ta była jedną z wielu.

- Ale mieliśmy w tej sprawie umowę. A teraz jest tutaj twoja żona...

- Posłuchaj, zmiany w scenopisie...

- Są w twojej gestii - wtrąciła. - Scenarzysta robi je na twoje życzenie i świetnie o tym wiesz.

- Ciszej.
- Świetnie o tym wiesz - powtórzyła ciszej. Właśnie przed chwilą przyciągnęli uwagę scenarzystki. - Ty nie mogłeś powiedzieć „nie” Jake'owi Graysonowi, kiedy Norman chciał, żebym dostała rolę, a Baird z tego samego powodu nie może mówić „nie” tobie. On jest tylko pisarzem, Art. A ty możesz zrobić z jego scenopisem, co chcesz. - Spojrzała mu za plecy. - O, czy to jest twoja ślubna?
- Obrócił się. Cholera jasna.
- Porozmawiamy później, Onyx.
- Ale Art...
- Do widzenia - warknął. - Mówię wyraźnie.
- O dziwo, odeszła. W samą porę. Kilka sekund później Cassandra podeszła i powitała go pocałunkiem.
- Kim była ta dziewczyna, na którą krzyczałeś? - spytała.
- Och, znasz aktorki - odparł bez sensu i żona posłała mu dziwne spojrzenie. Art nie mógł się jednak skupić. Onyx mimo woli podsunęła mu myśl.
- Godzinę później zarządził kwadrans przerwy i zamknął się w przyczepie. Po dwóch minutach miał połączenie z CTC i rozmawiał z Normanem Lyonsem.
- Przypuszczam, że wiesz o obecności Onyx na planie - zaczął.
- Owszem, coś słyszałem - ponuro stwierdził Norman.
- Jest całkiem, całkiem - powiedział Art zastanawiając się, czy właściwie podchodzi do tematu.
- Jest dziwką. No, w porządku.
- Posłuchaj, chciałem cię prosić o przysługę. Myślę, że mi się to od ciebie należy. - Bez żadnej argumentacji, oczywiście. - W kontrakcie figuruje nazwisko Onyx Jones. Osobiście wątpię jednak, czy jest ono prawdziwe. Może przypadkiem wiesz...
- Jasne, że wiem - odparł Norman.

Art jeszcze raz podniósł słuchawkę.

- Stu?... Tak, tu Art... Dobrze, dobrze... Jak tam kaktusy w Nowym Meksyku?... No, no... Posłuchaj. Mam do ciebie prośbę...

33

Jake wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi, jak tylko umiał najciszej. Światła w salonie, holu i jadalni były zgaszone, a odwieszając płaszcz na wieszak, nie usłyszał żadnych dźwięków: ani szumu telewizora, ani przytłumionego głosu osoby rozmawiającej przez telefon.

Przeszedł przez hol do pokoju Barbary, światło sączyło się spod drzwi. Tu Jake usłyszał coś dziwnego: jakby tupnięcie, przerwa, znowu tupnięcie, znowu przerwa...

Zapukał do drzwi.

- Barbaro?

- Proszę, możesz wejść! - zawołała oficjalnym, dziwnie chłodnym tonem.

Otworzył drzwi. Wszędzie były książki. Leżały rozrzucone na łóżku, piętrzyły się na podłodze, krzesłach i nocnym stoliku.

Wszedł do środka. Barbara stała w kącie i sięgała właśnie po resztę tomów z najwyższej półki.

- Co ty robisz?

- Przemeblowanie - powiedziała, nie patrząc na niego. - Zmęczył mnie ten pokój. Zmęczyło mnie gapienie się przez trzydzieści lat na te same książki. W przyszłym tygodniu zamierzam wywalić wszystkie te półki.

- A co zrobisz z książkami?

Położyła ostatnią kupkę na parapecie i strzepnęła kurz z dłoni. Patrzyła jednak bardziej na puste półki niż na Jake'a.

- Mam zamiar je rozdać.

- Wszystkie?

- Czemu nie? Nigdy nawet do nich nie zaglądam, a tym bardziej ty.

- Barbaro, co tu się dzieje?

Podniosła ścierkę od kurzu, w której Jake rozpoznał swoją starą koszulę, i zaczęła czyścić jedną z książek.

- A jak ci się wydaje? Porządkuję dom.

- Ostatnio tylko pucujesz i pucujesz, od rana do nocy. Chciałbym wiedzieć, czemu to robisz.

- To mi pomaga - powiedziała cicho. - Potraktuj to jako rodzaj terapii.

Westchnął.

- W porządku. Wobec tego dobranoc. Barbara odłożyła książkę i podniosła następną.

- Ellie jest w ciąży, słyszałeś? Ona... no, nawet nie wiem, czyby mi powiedziała. Przypadkiem usłyszałam, jak mówi Marcie. - Jej usta drżały. - Wydawało mi się, że jest na mnie bardzo zła.

- Zła? Z jakiego powodu?

Barbara wzięła do ręki jeszcze jedną książkę.

- Bo... no... - Widział, że żona usilnie stara się nie rozplakać. - Powiedziałam jej o nas. Nie wiem dlaczego. Chyba wydawało mi się, że to ją może podtrzymać na duchu.

- Co masz na myśli, mówiąc „o nas”?

- No, że zaszłam w ciążę przed ślubem. - Wściekle tarła grzbiet jednej z książek.

- I o to była na ciebie zła? Barbara pokręciła głową.

- Nie. Raczej... - Zadrżała, jakby chciała otrząsnąć się z tego wspomnienia. - Była na mnie zła o wszystko. - Odłożyła książkę i spojrzała mu w oczy. - A ja jestem jeszcze bardziej zła na siebie, na ciebie i na... na ostatnie dwadzieścia osiem lat. Ellie zdawało się, że mnie się zdaje, że ona łapie Marka na dziecko. Powiedziała, że nie chciałaby mężczyzny, którego trzeba brać na takie sztuczki. Miała do mnie pretensje... - Mówiła teraz prawie niesłyszalnie. Jake miał ochotę usiąść, ale nie chciał, żeby Barbara przerwała. - Miała rację, Jake. Przez te wszystkie lata

byłam jak szczenię, wciąż czekałam na twoją aprobatę. Przypominałam dziecko z defektem mózgu, które widzi połowę świata albo i mniej. Natykałam się na ślady twoich romansów i nawet nie wiem, czy zdawałam sobie sprawę z ich znaczenia, czy mnie to obchodziło. Ale teraz patrzę na ciebie i myślę o tych wszystkich latach, kiedy nocami mijasz drzwi do tego pokoju, a ja staram się domyślić po krokach, czy idziesz z poczuciem winy. O wszystkich latach mojego zgadywania i twoich oszustw. Nie wiem, do kogo z nas czuję za to wszystko większy wstręt. Siebie nienawidzę za to, że pozwoliłam temu trwać tak długo. Nie wiem, jak to się stało, że nagle zebrało się tyle tych lat.

- Barbaro, przestań...

- Przestać co? Muszę wreszcie coś zrobić. Nie mogę dalej udawać.

- Nikt oprócz ciebie nigdy dla mnie nic nie znaczył - powiedział, robiąc krok w jej kierunku. - Musisz w to uwierzyć. - Powiedziawszy to natychmiast dokonał w myślach nieznaczącej poprawki na „nie znaczył nic ważnego”. Ale Barbara potrzebowała stwierdzeń wprost, barw podstawowych. - Słowo. Podszedł do niej z tyłu i otoczył ją ramionami. Jej włosy ślicznie pachniały. Zaczął się zastanawiać, dlaczego ostatnio wcale z nią nie bywał ani nawet nie próbował bywać.

- Wiem, że cię odstawiłam - powiedziała cicho. - I naprawdę nie mam do ciebie pretensji za inne kobiety.

Obrócił ją i spojrzał jej w oczy.

- Wierz mi, że one nic nie znaczyły. Oczy zaszły jej łzami.

- Nie wiem, dlaczego musiałam cię odstawić - powiedziała.

Przytuliła się do jego piersi, czego od dawna nie robiła, a on z bólem czuł, jak łzy przesączają mu się przez koszulę.

- Nie wiem nawet, kogo winić - powiedziała cicho. Oderwała się od niego i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego winić któreś z nas? Czemu nie mielibyśmy spróbować od początku?

Zmrużyła oczy. Jake patrzył, jak gromadzą się w nich łzy i zaczynają spływać po policzkach.

- Muszę od ciebie odejść - powiedziała cicho. Poczul się, jakby go zdzielono pięścią.

- Co takiego?

- Jake, ja nie mogę... nie mogę tak dalej. - Grzbietem dłoni otarła łzy z oczu i Jake zauważył, że nie włożyła obrączki.

- Gdzie jest nasza obrączka? Przestała pociągać nosem.

- W dużej szkatułce z biżuterią - odparła. - W prawej górnej szufladzie.

- Kiedy to się stało? Dlaczego ją zdjęłaś?

- Muszę odejść.

Spojrzał jej w oczy i przyszło mu do głowy pytanie, czy nie wzięła jakiegoś narkotyku. Wydawała się senna... zdecydowana, ale na zwolnionych obrotach.

- Barbaro, nie możesz odejść. My ci możemy pomóc. Co ty na to?

Spojrzała gdzieś za niego.

- Ellie i Chris nas nie potrzebują - powiedziała monotonnym głosem. - Co za sens? - Wysunęła się z jego objęcia. - Chcę być teraz sama.

- Barbaro.

- Naprawdę - powiedziała, nie patrząc na niego. - Mam dużo do przemyślenia.

Nie czekała, aż wyjdzie, sama opuściła pokój. A on rozglądał się dookoła, patrzył na niezliczone sterty książek i ogołocone półki, i zastanawiał się, czy Barbara rzeczywiście mówiła poważnie.

34

Gerard zdusił niedopalek i westchnął. Mieszkanie André było pełne wygod i luksusów. Zestaw telewizyjny Sony Trinitron, sprzęt stereo wartości stu tysięcy fran-

ków, brazylijskie skórzane kanapy i fotele, wszystko w najlepszym gatunku. Gerard wiedział jednak, że nie miałyby odwagi zdobywać dóbr w ten sposób. Kokaina oznaczała kontakty z typami noszącymi broń. Pistolety, noże, nawet pistolety maszynowe. André twierdził, że sprzedaje tylko mężczyznom i kobietom na Wall Street. „Wszyscy z najlepszych rodzin, Gerard - powiedział. - To nie jest *le milieu*. W Nowym Jorku wszyscy ludzie poniżej czterdziestki zażywają kokainę."

Ale od kogo André ją kupował? To pytanie dręczyło Gerarda. Właśnie wypożyczyli *Człouñeka z blizną* z Alem Pacino i oglądali film na wideo André. Tamtych ludzi zabito piłami mechanicznymi. Skąd André wiedział, że jemu nie przydarzy się to samo?

A jednak...

Do tych słów wracał bez końca. Prawdopodobnie André był w niebezpieczeństwie, może miał się na nie wystawić w przyszłości. Ale za to trybem życia imponował.

I umiał się o siebie zatroszczyć. Na Korsyce zabił człowieka, prawdopodobnie gdyby musiał, zrobiłby to znowu. Czasem, kiedy był na haju, mówił o tym tak, jakby mu tego brakowało, jakby chciał zrobić to jeszcze raz.

Gerard podniósł głowę, bo André wszedł do pokoju z pernodem, wodą i dwiema szklaneczkami.

- Zjemy o wpół do dziewiątej, może o dziewiątej - powiedział siadając. - Mam nadzieję, że tymczasem załatwię rozmowę telefoniczną.

- Interesy?

André uśmiechnął się złowieszczo.

- Zapewne również trochę przyjemności. Bardzo piękna modelka. Możesz ją obejrzeć w telewizji. Znamy się od trzech miesięcy i w tym czasie występowała w kilku reklamach. - André nalał sobie drinka i rozparł się na fotelu. - Ja się nie chwale jak niektórzy mężczyźni, Gerard. Jeśli idziesz do pewnych barów, na przykład do P. J. Clarke'a, do Odeonu, do Jima McMullena i widzisz

tam typa spod ciemnej gwiazdy z piękną młodą kobietą, to istnieje tylko jedno wyjaśnienie tego faktu. Oznacza to, że facet dostarcza jej kokę w każdej ilości. - Wzruszył ramionami. - Nie oszukuję się, wiem, że to dlatego Fiona się mną interesuje. Kiedy tu przyjechałem, przeprowadziłem trochę badań na własną rękę. Wywęszyłem, gdzie się najczęściej dzieje. W odróżnieniu od ciebie wiem wszystko o Jake'u Graysonie, jego programie i rodzinie. Wiem wszystko, co jest ważne. A ty... - Pogardliwie machnął ręką. - Ty dzwonisz do Graysonów i odkładasz słuchawkę. A potem rozmawiasz z jego matką i co?

- Chciałem rozmawiać z nim - powiedział Gerard.

- Musisz się przedstawić. Odkryć, gdzie jest Christophe. Jechać tam, jeśli okaże się to konieczne. Tak czy owak poznanie żony Jake'a Graysona na pewno nie będzie przykre. Widziałem jej zdjęcia. - Wstał i przeszedł przez salon do sterty pism. - O, jest - powiedział.

Wrócił ze starym numerem „Life'u”.

- Udało ci się, że tak szybko znalazłem. To chyba sprzed roku. Ale popatrz na okładkę.

Spoglądał z niej człowiek bardzo podobny do Christopher, tyle że dwadzieścia, może trzydzieści lat starszy. „Jake Grayson - głosił podpis - mąż opatrnościowy sieci CTC.”

W środku, na lewej części rozkładówki, znajdowała się fotografia dwojga rodziców, Jake'a i Barbary, z głupio uśmiechniętym Christophe'em i młodą, całkiem urodziwą dziewczyną, która okazała się córką, Ellie.

- To jedyny wywiad z Graysonem, jaki kiedykolwiek widziałem - powiedział André. - Ale Jake'a można obejrzeć w telewizji prawie co wieczór. Graysonowie to coś jakby królewska rodzina. Byłbyś dupkiem, gdybyś zmarnował taką szansę.

- Przecież przyjechałem do Nowego Jorku - powiedział Gerard. - Zrobiłem początek.

- Ale musisz teraz nawiązać kontakt z członkiem rodziny. Wszystko jedno, czy z Christophe'em, czy z matką, czy z ojcem. Inaczej zmarnujesz szansę.



Gerard znowu spojrział na zdjęcie. W oczach wszystkich Graysonów poza córką było widoczne pewne samozadowolenie. Cóż, są bogaci jak królowie, nie ma dwóch zdań. Mają wszystko, czego chcą. Hm, rada André chyba nie była taka zła. Może rzeczywiście warto spróbować? Nie, nie w ten sposób należało myśleć. Czemu poprzestawać na próbach? Przecież naprawdę mogło się udać. Ślepy traf... i żądza podsunęły mu Chrisa w Paryżu. Los dał mu w ten sposób pierwszą szansę.

## Księga czwarta

Drogi Jake,

*Od razu mogę powiedzieć, że wyjdzie mi list dojrzewającej nastolatki. Ale dla mnie jest to jedyny, a może po prostu najlepszy sposób podzielenia się z Tobą moimi myślami i planami*

*Nie wpadaj w popłoch z powodu pustki w moim pokoju ani z powodu mojego odejścia. Może zdziwi Cię ustawienie przyczyn w takiej kolejności, ale sama wiem, że gdybym weszła do Twojego pokoju i nie zobaczyła w nim książek albo ubrań, albo obrazów, tobym zemdląła. Tak czy owak, proszę, nie snuj za wiele domysłów. Książki podarowałam Armii Zbawienia, a w odpowiednim czasie architekt wewnątrz urządzi cały pokój na nowo.*

*To zresztą nie ma chyba najmniejszego znaczenia. Nie odchodzę na zawsze, w każdym razie nie sądzę, żeby tak było. Muszę jednak pobyć w samotności, z dala od Ciebie, Ellie i Chrisa, i rozważyć wszystkie możliwości, z oficjalną i definitywną separacją włącznie. Tymczasem jadę do Sag Harbor. Rano tam dzwoniłam i pan Jespersen powiedział, że wszystko łśni jak zwykle. Gdybym zdecydowała się przenieść gdzie indziej, dam ci znać.*

*Ucieszy cię pewnie informacja, że wzięłam sześć Twoich brulionów. Spodziewam się zrobić z nich właściwy użytek. Jeśli bowiem mam kiedykolwiek zacząć tę powieść, właśnie teraz jest na to czas.*

*Janet Kotselas Clarke*

*Zdajesz sobie sprawę równie dobrze jak ja, na czym polega problem. Nie jest to moja wina ani Twoja, tylko nasza. I nie wiem, czy kiedyś będzie ją można naprawić.*

*Z miłością -*

*Barbara*

Barbara z westchnieniem odłożyła kartkę na biurko Jake'a. Zachowywała się istotnie jak nastolatka. Oczywiście, i przedtem zdarzało jej się rozłączać z Jakiem, ale zawsze dlatego, że musiała być gdzie indziej. Nie miało wtedy znaczenia, gdzie się znajdowała. Zawsze czuła się, jakby czekała na jego powrót, na jakieś wydarzenie, na jakąś odmianę.

Teraz jednak postępowała z determinacją, decydowała sama, miała w sobie pewność, która zarówno dodawała jej animuszu, jak i budziła w niej lęk. Nie zadzwoniła do Ellie, nie próbowała skontaktować się z Chrisem, nawet nie zatelefonowała do Joanny, która prawdopodobnie głośno pochwaliłaby jej postanowienie, ale nie potrzebowała ani pochwał, ani cudzych opinii.

Zadzwoniła do garażu i już.

Wzięła bagaże, po czym wyszła z mieszkania. W chwili gdy zamykała drzwi, poczuła nagle, jakby ucisk boleśnie rozsadzający czaszkę nagle ustąpił.

Idąc korytarzem miała odczucie, że żeglujecie, jakby niesione przez nią walizki nic nie ważyły, a u jej stóp wyrosły skrzydła.

- Pani Grayson?! - zawołał jeden z portierów. - Proszę pozwolić, że wezmę.

- Dziękuję, nie trzeba.

Mimo to portier energicznie się schylił i wyjął jej bagaże z rąk. Ruszyła za nim i wtedy usłyszała, że znów ktoś ją woła:

- Pani Grayson?! Obróciła się.

Smukły młodzieniec, zadziwiająco podobny do Chrisa, wyszedł zza dyżurki.

- Ach, to pani - powiedział z francuskim akcentem. -Poznaję ze zdjęć, które pokazywał mi Chris. Poczula, że skóra na twarzy jej drętwieje. Głos brzmiał identycznie jak ten, który pytał o Chrisa przez telefon.

- To pan do nas dzwonił, prawda? Przekrzywił głowę w geście zdziwienia.

- Nie, ja dopiero wczoraj przyjechałem. Nazywam się Philippe Poirier. Ale... - Zmarszczył czoło. - Czy do Christophe'a dzwonił ktoś z Francji?

- Owszem, wczorajszej nocy.

Nie odezwał się, ale nadal miał poważną minę.

- Co się stało? - spytała.

- W takim razie powinienem z Christophe'em porozmawiać. Czy jest w Nowym Jorku?

- Nie, wyjechał.

Wyglądał na bardzo zdenerwowanego i zatroskanego.

- Co się stało? - wyrwało jej się mimo woli. - Czy Chris znalazł się w kłopotach?

- Nie wiem - powiedział tamten, wzruszając ramionami. - Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to telefonował do niego niejaki Gerard, znany naciągacz. Oczywiście mogę się mylić.

- Czy ten Gerard dobrze zna mojego syna?

- Hm... trudno powiedzieć, czy Gerard Velmont kogokolwiek zna. Na pewno nikt nie zna jego. On pojawia się w czymś życiu i znika tak gwałtownie, jak rozpędzony samochód. - Rzucił okiem gdzieś za nią, a potem skrzyżował z nią spojrzenia. - Ale zdaje się, że panią zatrzymuję. Pani wychodziła.

- A... tak.

Czyżby traciła zmysły? Zapomniałaby o tym, gdyby jej nie przypomniał.

- Tak, wybieram się na wyspę. Znów przekrzywił głowę.

- Na wyspę? Jaka?

- Longlsland.

- Ach, tak - powiedział. - Christophe opowiadał mi,

że pani często tam jeździ. - Urwał na dłuższą chwilę. - Czy mogłaby pani dać mi numer telefonu, pod którym można zastać Christophe'a? Zgubiłem nawet domowy, stąd moja nie zapowiedziana wizyta.

- Nawet nie mam tego numeru. Chris jest w plenerze, z ekipą filmową.

Oczy Philippe'a rozbłysły.

- Och, to świetnie, że tak szybko po powrocie wziął się do pracy. Chociaż żałuję, że go nie zastałem. W Paryżu mówił mi, że może będzie mi mógł załatwić nocleg w Nowym Jorku. Nie u państwa - dodał szybko. - Miał nadzieję, że zamieszka gdzieś osobno. Przyjechałem dopiero wczoraj, a tutejsze hotele okazały się o wiele droższe, niż przypuszczałem.

- Gdzie pan nocuje?.

- U przyjaciela. Ale nie mogę zostać tam dłużej. Pomyślałem, że może Christophe da mi adres jakiegoś taniego hotelu. Dlatego... - Wpatrywał się w nią uporczywie i Barbarę ogarnęło dziwne uczucie. Tak głęboko przenikał ją wzrokiem.

- Może to szalony pomysł - usłyszała swój własny głos. - Mnie już się wydaje szalony, choć jeszcze z nim nie wystąpiłam.

Uśmiechał się. Tak jakby wiedział.

- Mamy na wyspie bardzo obszerny dom. Dwoje ludzi może tam mieszkać przez wiele dni i wcale się nie spotykać.

Domysł stał się niemal pewnością.

- Mój mąż przyjedzie tam za kilka dni, może nawet szybciej. - Z tym małym, nieszkodliwym kłamstwem było bezpieczniej. - Ale skoro potrzebuje pan noclegu...

Odwróciła głowę, czując oszołomienie. Sprawdziła, czy nie przygląda się portier, potem znów spotkała jego spojrzenie.

Wyraził zgodę. Sekundę później razem opuszczali korytarz, a Barbara nie pamiętała już jego słów.

Po następnych kilku sekundach dała mu kluczyki, bo nie mogła prowadzić w tym dziwnym nastroju.

Mogła wypytać Philippe'a o Chrisa, o pobyt w Paryżu i zagadkowe telefony.  
Tak, takich rzeczy mogła się teraz dowiedzieć.  
Samochód włączył się do ruchu i Barbara spojrzała na Philippe'a.  
Uśmiechał się, jakby znał każdą jej myśl.

36

Caitlin spojrzała uważnie na Arta McCullougha, który krzyknął:

- Stop!

Z westchnieniem zamknęła oczy.

- Caitlin, musisz przestać patrzeć na mnie! - zawołał, zbliżając się do niej. - Świetnie ci idzie, dopóki nie zaczniesz myśleć o tym, co robisz, i kontrolować swoich ruchów.

Spojrzała mu przez ramię. Onyx przyglądała się jej, stojąc przy jednej z przyczep, a wiatr rozwiewał jej czarne włosy.

To właśnie rozpraszało Caitlin. Nie chciała się do tego przyznać przed sobą i nie chciała mówić Artowi, ale wiedziała, że to prawda. Jak mogła udawać, że zakochała się w Neilu Campbellu albo w... Nawet nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa grana przez niego postać... aha, Cal Bradley... więc w Calu Bradleyu, skoro Onyx bez przerwy się gapiła. A z jej oczu wyzierał triumf. Za każdym razem, kiedy Caitlin na nią spoglądała, Onyx mrużyła oczy i sypała iskrami, niczym Morgan Brittany jako siostra Pam w *Dallas*.

- Caitlin, ty nawet mnie nie słuchasz. O Boże. Ale wpadka.

- Przepraszam. Obiecuję, że teraz będzie dobrze, naprawdę.

Neil Campbell szeroko rozrzucił ręce.

- Znowu te kiczowate zawodzenia! - wykrzyknął do Arta. - Nie wyobrażam sobie, jak twoim zdaniem ona ma przebrnąć przez drugą połowę scenariusza. Jest absolutnie beznadziejna!

- Zamknij się, Campbell! - krzyknął Art. - Przekraczasz granice dobrego wychowania!

Caitlin obróciła się i zaczęła biec. Słyszając za sobą kroki, jeszcze przyśpieszyła.

Usłyszała jednak, że ktoś ją woła. To był Chris Grayson.

Przystanęła w chwili, kiedy się z nią zrównał.

- Caitlin, posłuchaj.

Obróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Powiedział, że jestem beznadziejna. - Nawet nie potrafiła opisać, jak bardzo ją to zapiekło. Pracowała przecież z Campbellem od samego rana, próbując go całować, a jednocześnie czując do niego nienawiść.

- Caitlin, opinia Neila nic nie znaczy.

- Ale ja muszę z nim grać do końca filmu. To w nim mam się zakochać. A Onyx ciągle głupio się uśmiecha. Dzisiaj przez cały czas stoi i wykrzywia gębę.

Chris skinął głową.

- Wiem, też to zauważyłem. - Ścisnął ją za ramię. - Jestem twoim aniołem stróżem, pamiętasz? Nie spuszcza z ciebie oka ani na sekundę. - Wyciągnął dłoń i odgarnął jej włosy z twarzy. - Ale to nie wystarcza, Caitlin. Nie zawsze będę z tobą. A ty nie możesz dopuścić do tego, żeby tacy ludzie jak Neil Campbell, Onyx albo Craig włązili ci w drogę. Wciąż mam wrażenie, że chcesz być tą słabą, zawsze<sup>1</sup> postępować wobec nich ulegle i układnie.

Pokręciła głową.

- Nie. Mylisz się.

- W czym?

Nie mogła znaleźć odpowiedzi. Czowała, że w pewnym sensie Chris ma rację. Ale w głębi serca odzywało się jej drugie ja.



To ono zabiło Eugene'a, a właściwie doprowadziło go do śmierci. To ono powiedziało „nie”, było mocne i zdecydowane na wszystko.

- Caitlin, to jest ważne - powiedział Chris. - Było w tej branży mnóstwo osób, szczególnie kobiet, które osiągnęły sławę, nie wiedząc nawet dlaczego. Nikt tego nigdy nie wie tak naprawdę, rozmawiałem na ten temat z ojcem. Ale jeżeli nie uwierzysz w siebie i we własny osąd, taka niepewność i słabość mogą mieć fatalne skutki. Dosłownie fatalne.

Przygryzła wargę. Dziwny był sposób, w jaki Chris mówił o show businessie, o „branży”, i w tym samym zdaniu o niej. Zupełnie jakby miała iść w ślady Marilyn Monroe.

Nie zamierzała się zabijać, o to nie miał się co martwić. No, ale on nie znał jej siły. I ta siła mogła być fatalna.

- Cóż - odezwała się. - Wydaje mi się, że za bardzo się przejmujesz.

- A ty za mało - odparł Chris. - Nie dość myślisz

o sobie i o tym, co robisz. Pozwalasz... pozwalasz na to, żeby zdarzenia się przez ciebie przelewały, jakbyś nie mogła mieć na nie żadnego wpływu. A kiedy przyjmujesz stanowczą postawę, natychmiast ją negujesz. Kazałaś się Craigowi wyprowadzić, ale teraz zachowujesz się jak ktoś skrzywdzony.

- Zostałam skrzywdzona - powiedziała. Głos zabrzmiał jak u małej dziewczynki i Caitlin skupiła się na tym, żeby obniżyć ton. - Podczas mojego spotkania z Artem Craig poszedł do Onyx. Dlatego go wyrzuciłam. Cieszę się, że to zrobiłam.

- Nie musisz myśleć o tym w taki sposób. Nie rozumiesz tego?

Spojrzała mu w oczy. Tryskało z niego podniecenie

i entuzjazm. Jakby naprawdę się o nią troszczył. Był dziwny, podobnie jak Art. Obaj bardzo różnili się od mężczyzn, których dotąd poznała. Chris mówił do niej, jakby naprawdę się o nią troszczył. I nie wydawało się,

żeby chciał za to cokolwiek, nie domagał się ani części jej życia, ani seksu, ani niczego.

- Caitlin, to ważne. Przecież możesz być silna.

- Zobaczymy. A teraz lepiej wracajmy. Art jest pewnie wściekły.

- Nie wygłupiaj się. Powiedziałem mu, że z tobą porozmawiam. A on jest po twojej stronie.

- Ale i tak nie chcę robić takich numerów, o jakich wszędzie piszą, że aktorka każe całej ekipie czekać, bo musi się wyszłochać.

- Nie każesz czekać całej ekipie. A z Neilem Camp-bellem pracuje się ciężko, nie zapominaj o tym. Westchnęła. Zapomniała o Neilu Campbellu i o tym, co niedawno powiedział. Absolutnie beznadziejna. Kiczowate zawodzenia.

- Chris? Naprawdę sądzisz, że jestem dobra? Myślę o aktorstwie.

- Przecież wiesz, że tak. - Zmarszczył czoło. - Ale właśnie o tym mówię. Moje zdanie nie jest warte więcej niż Neila Campbella. Liczy się opinia Arta, bo on jest reżyserem, i mojego ojca, bo on jest producentem. W ostatecznym rozrachunku będzie się jeszcze liczyć opinia widzów. Ale musisz się nauczyć sama oceniać własną pracę, bo inaczej znajdziesz się kiedyś w poważnych tarapatach. Co o tym myślisz?

- Chyba się z tobą zgadzam. Pokręcił głową.

- To nie wystarczy, myśl dalej.

- Nie mogę. Mam pustkę w głowie.

- To zlikwiduj tę pustkę. Myśl. Westchnęła.

- Niech będzie. Czuję się wspaniale, kiedy uda mi się coś zrobić. Wiesz, że Art nie lubi prób, ale kiedy pracowaliśmy nad pierwszą sceną, czułam się wspaniale, wchodząc w skórę Audrey. Wydawało mi się, że naprawdę nią jestem, i niesamowicie mnie to cieszyło. Może nie czułabym się tak dobrze, gdybym była zła...

Uśmiechał się, jakby odruchowo.

- No, to jesteśmy w domu. Jak będziesz się czuła, kiedy wrócimy i staniesz przed Neilem Campbellem?

Wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie wspaniale. Może odrobinę lepiej.

- Nie sądzisz, Caitlin, że on też jest wystraszony? Bez przerwy międlu, jak to chce wrócić do teatru i takie tam różne. To przecież tylko zasłona. Prawdopodobnie boi się tak samo jak ty. Może nawet bardziej, bo aktorstwo stanowi całe jego życie, dlatego więcej ryzykuje. - Nagle urwał. Czegoś wypatrywał w jej oczach, dłonią dotknął policzka. - Tak ładnie wyglądasz w tej chwili - powiedział cicho. - Nie wiem, jak Craig mógł ci to zrobić.

Czuła, jak usta wykrzywają jej się w grymasie.

- Przestań.

- Och, Caitlin, przepraszam - powiedział i wziął ją w ramiona.

Położyła głowę na jego piersi i zamknęła oczy. Pragnęła zostać tak z Chrisem Graysonem na zawsze. Tylko tak, tamtego wcale nie pragnęła. A co najwspanialsze, zdawało się, że on również nie. Nic więcej, tylko być przytulaną i kochaną. Bo on jakby ją kochał. A przynajmniej chciał, żeby była szczęśliwa, nie bała się i znalazła siłę.

Craig nigdy jej nie mówił, że musi nauczyć się, jak być silną. Nie chciał nawet, żeby miała jakichkolwiek przyjaciół.

- Odpręż się - powiedział cicho. - Mięśnie pleców masz twarde jak skała.

- Naprawdę?

- Mhm. Tutaj. Obróć się.

Usłuchała. Chris zaczął rozcierać jej ramiona. Bolało, ale jednocześnie uczucie było cudowne.

- Jak wspaniale - powiedziała.

- Nic dziwnego - powiedział ugniatając mocniej. - Cała jesteś spięta.

- Zawsze mi się to robi. A potem dostaję gigantycznego bólu głowy. Ale Craig nigdy... - Urwała.

- Craig nigdy...

Zaczął szerokimi ruchami masować jej okolice łopatek. Miała wrażenie, że jej mięśnie topnieją pod dotykiem. Czegoś takiego pragnęła od miesięcy, od lat.

- Craig zawsze odmawiał, kiedy prosiłam, żeby roztarł mi plecy.

- Żartujesz?

- No, zrobiłby to, gdybyśmy... no, wiesz. Gdyby to był masaż erotyczny czy coś takiego. Ale kiedy miałam migrenę i chciałam, żeby natarł mi skronie albo ramiona, to za nic.

- Czy teraz boli cię głowa? - spytał cicho.

- Chyba zaczyna.

Przesunął palce po jej ramionach w górę, po szyi, dotarł do skroni. Boże, jak wspaniale. Na ból głowy Craig dawał jej tylko pigułki, nigdy zresztą nie mówił jakie.

- Czy nie czujesz do mnie odrazy, że mówię ci takie rzeczy?

- Skąd! Niby z jakiego powodu?

- Nie wiem. Tak przyjemnie jest w końcu komuś to wszystko powiedzieć. Wiesz, czasem mówiłam Dawn, mojej przyjaciółce, ale już od bardzo dawna jej nie widziałam. A powiedzieć coś takiego chłopakowi to dla mnie nowość. Może i coś znacznie gorszego niż powiedzieć dziewczynie.

- Czemu?

- No wiesz, mężczyźni... Ale opowiadanie tobie wcale nie wydaje mi się straszne, przecież jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

Chris przesunął dłonie na jej ramiona i jakby przez chwilę je tam zatrzymał. Caitlin dziwiła się, że nie ma nic przeciwko jego dotykowi. Nie czuła ani trochę tego samczego fluidu i nie miała wrażenia, że wpadła w potrzask.

- Caitlin - powiedział cicho.

- Hm? - Obróciła głowę i spojrzała na niego.

- Co byś powiedziała, gdyby...

Wysunęła się spod jego dłoni i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Gdyby co? Zawahał się.

- Nieważne. Powinniśmy wracać - powiedział cicho. W oczach miał taki smutek.

- Nic ci nie jest, Chris?

- Na pewno nie. Ale jeśli czujesz się lepiej, to naprawdę powinniśmy iść.

Skinęła głową.

- Lepiej. Dzięki tobie. - Pocałowała go w policzek. -Bardzo dziękuję.

Patrząc na Chrisa stwierdziła, że tak smutnych oczu jeszcze u niego nie widziała.

37

Jake cisnął klucze na marmurową płytę w holu i zobaczył list

Pomyślał, że to Martha coś napisała, gospodyni często zostawiała wiadomości kończąc pracę, jeśli Barbary akurat nie było w domu.

Wziął jednak kartkę w dłoń i przeczytał, potem przeczytał jeszcze raz.

*Rozważyć wszystkie możliwości z oficjalną i definitywną separacją włącznie*, tak stało czarno na białym.

Jake podszedł z listem do baru i nie wypuszczając go z dłoni, przygotował sobie drinka. Potem wziął szklaneczkę, usiadł na kanapie i przeczytał znowu. *Rozważyć wszystkie możliwości z oficjalną i definitywną separacją włącznie*.

Boże. Cóż on takiego zrobił? Przypomniawszy sobie, że Barbara zapowiadała odejście. Ale wtedy jej słowa po prostu po nim spłynęły. Kiedy rozmawiali w pokoju Barbary, nie był w stanie wyobrazić sobie, że naprawdę odejdzie.

Jeszcze raz przeczytał: *Z miłością, Barbara.*

Schował głowę w dłoniach. Co, do diabła, miał o tym sądzić?

Wszedł do jej pokoju. Rzeczywiście był pusty, zgodnie z treścią listu.

Podniósł słuchawkę, odłożył, podniósł jeszcze raz. Czuł się bezradny, uświadomił sobie, że płacze, uległ panice.

Ale to przecież wariactwo. Barbara tylko pozuje. Na pewno wróci. Potrzebuje tylko czasu, żeby się zastanowić.

38

Philippe stał na progu.

- Czy te kubki nad kuchenką nadają się do użytku?

- Kubki?

- Do picia. Na czekoladę. Pomyślałem, że może pani mieć ochotę na coś ciepłego.

- O, dziękuję. To bardzo miłe z pana strony. Ale proszę pozwolić, że to ja...

Wyciągnął dłoń.

- Proszę nie protestować. Umówmy się, że w kuchni wszystko robię ja. Tak przynajmniej mogę zrewanżować się za uprzejmość. Zaraz wrócę.

Odwróciła się.

Boże najświętszy, co ona wyrabia?

Odpowiedź, która przyszła jej do głowy, brzmiała jednak „nic”.

Co ją właściwie niepokoiło? Była ponad dwa razy starsza od Philippe'a. A chłopak wydawał się sympatyczny i zadowolony, że ma gdzie nocować.

- *Lait au chocolat* - dobiegł głos od drzwi. - Z odrobiną likieru kakaowego... jak to się mówi w reklamach?... palców lizać?

- Palce lizać - powiedziała Barbara, chociaż nie zamierzała go za często poprawiać. Takie potknięcia wywoływały uśmiech na jej twarzy.

- O, palce lizać - powiedział, stawiając tacę. Podał jej kubek, jeden z tych wielkich niebieskich, w których robiła zwykle picie dla dzieci, kiedy były przeziębione. - Bardzo proszę się poczęstować, madame Grayson. Mam nadzieję, że będzie palce lizać.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Ale mów mi ty. Mam na imię Barbara.

- Barbara - powtórzył cicho, siadając obok niej. - Barbara. To piękne imię. Ale dla ciebie wybrałbym inne. Wyglądasz bardziej jak... - Zawahał się i uśmiechnął.

- Jak kto?

- Jak... muszę zobaczyć. - Spojrzał jej w oczy, ale odwróciła głowę.

- Popatrz na mnie - powiedział cicho. Wbrew sobie usłuchała.

Miał w oczach jakąś magnetyczną moc. Kiedy w nie już spojrzała, trudno jej było uciec od tego spojrzenia...

- Jesteś zbyt piękna, żebyś zostawała sama - powiedział cicho. - Twój mąż jest szalony, że pozwolił ci tu przyjechać. - Grzbietem dłoni pogłaskał ją po policzku. - Ale już nie jesteś sama, prawda?

- Philippe...

- Nic nie mów - szepnął. - Patrz na mnie. - Oddychał ciężko, nagle objawiła się jego fizyczność, coś pierwotnego.

Chciałaś tego, myślała, kiedy Philippe brał ją w ramiona. Wiedziałaś, że tak się stanie, myślała, kiedy ją całował.

To się nie dzieje naprawdę. Nie robisz tego. Nie masz z tego przyjemności.

Był już na niej i Barbara próbowała go zepchnąć, ale bez większego powodzenia... ręce Philippe'a znalazły się pod jej bluzką.

- Philippe.

- Chcesz tego - szeptał jej do ucha. - Bardzo tego pragniesz, Barbaro.

Jego ruchy straciły ostrość, złagodniały. Barbara była tak skonsternowana, że w ogóle nie mogła myśleć, ale wszystko toczyło się błyskawicznie, więc nawet nie miała na to czasu. Philippe ją rozbierał, a ona okazywała bierność niemowlęcia. On tymczasem ją pieścił, oglądał, całował po całym ciele i Barbara czuła, że narasta w niej milczący krzyk, bo szczerze tego chciała, bo od dawna nikt tak nie patrzył na nią ani nie dotykał jej w ten sposób.

Będąc z Jakiem czuła się zawsze jak na końcu taśmy montażowej. Miała wrażenie, że mąż ją całuje, ponieważ wcześniej tego wieczoru całował kogo innego, że kocha się z nią, bo uważa to za swój obowiązek.

Tu natomiast był ktoś, kto jej pragnął, dogadzał jej nie myśląc o sobie.

Nie, powiedział wewnętrzny głos. Wcale tego nie chciałaś.

Za późno. Philippe zdejmował z siebie ubranie i Barbara wiedziała, że nie zgłosi już ani słowa sprzeciwu.

Kiedy było po wszystkim, próbowała dociec, czy nie postradała zmysłów. Co ona zrobiła? Jak mogła iść do łóżka z obcym?

Drepczyła ją jednak głęboka potrzeba. Tak bardzo chciała, żeby jej pożądaną. Czemu nigdy przedtem nie zdała sobie sprawy z tego jak bardzo?

Do tego było cudownie, miała orgazm. Kiedy ostatnio zdarzyło jej się to z Jakiem? Przed miesiącami? Może latami?

Łza spłynęła jej po policzku. Barbara czuła do siebie nienawiść. Zawsze chciała, żeby to właśnie łączyło ją w łóżku z Jakiem: ekstaza, pasja, uniesienie zacierające wszelkie granice.

Tymczasem dał jej to obcy, któremu prawdopodobnie nawet się nie podobała.



Ellie podniosła słuchawkę i wybrała numer ojca.

- Sekretariat pana Graysona.

- Dzień dobry, Denise, mówi Ellie Grayson. Czy jest ojciec?

- Przed chwilą go widziałam, ale mógł gdzieś wyjść na korytarz. Zaraz sprawdzę.

Chwilę później odezwał się Jake.

- Ellie?

- Cześć, tato. Jak się czujesz?

Oczekiwała, że odpowie coś banalnego, cokolwiek, zamiast tego jednak zapadła cisza.

- Czy dzwoniła do ciebie mama? - zapytał po chwili.

- Mama? Nie. A dlaczego pytasz? Telefonuję, żeby spytać, czy zjesz ze mną lunch. Muszę porozmawiać z tobą o mojej pracy, a poza tym mama na pewno powtórzyła ci o dziecku i w ogóle...

Cisza.

- Tato?

- Ellie, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Serce jej zamarło.

- Co takiego? Co chcesz mi powiedzieć?

Słyszała, jak ojciec zapala papierosa i zaciąga się dymem.

- Matka jest w Sag Harbor. Postanowiła... no... - Znowu zaciągnął się dymem. - Zostawiła list do mnie.

Zastanawia się nad definitywną separacją.

- Masz na myśli rozwód?

- Nie wiem. Tak napisała. Ostatnio trudno dojść, co matka ma na myśli.

Ellie nie wierzyła własnym uszom. Rozwód? Po tylu latach?

- Co zamierzasz? Chcę spytać, czy nie powinieneś tam jechać.

- Co? Jechać po nią jak po dziecko?

- Jechać tam i powiedzieć, że chcesz, żeby wróciła do

domu. Albo nie wiem. - Przeszył ją dreszcz. - Nie narzucam się z radami, tato. Ale wiem, że nicnierobienie... och, mniejsza o to.

- Nie, nie. Co chciałaś powiedzieć?

- Jest bardzo wiele rzeczy, które mógłbyś zrobić, żeby załagodzić sytuację. Drobnych, banalnych rzeczy. Mama prawdopodobnie natychmiast by wróciła, gdybyś tylko... - Urwała. Nagle uświadomiła sobie, że mówi nieprawdę. Kiedy sprawy układają się dobrze, kiedy w związku jest cudownie i niczego więcej się nie potrzebuje, drobne gesty przychodzą same z siebie, naturalnie, i wywierają magiczny skutek. Ale w przypadku jej rodziców, po tym wszystkim, co narobił ojciec, zapewne nie wystarczyłyby błahostki.

Odwróciła się od okna i znieruchomiła. W drzwiach zobaczyła szefową.

Czyżby drzwi nie były zamknięte? Jak długo Ashley Crawford stała na progu?

- Chwileczkę, nie rozłączaj się - powiedziała do ojca. Ashley uniosła dłoń.

- Nie ma sprawy, poczekam.

- Muszę kończyć. Przyjdę do ciebie, jak się uwinę z robotą.

- Ellie - odezwał się Jake.

- Słucham, tato?

- Musimy porozmawiać jak najszybciej. Spotkajmy się na lunchu.

- Świetnie - odparła. - Odpowiada ci „Barletta”, powiedzmy w południe?

- Owszem.

- Itato...

- Słucham.

Nagle uświadomiła sobie bardzo wyraźnie, że jest pod obserwacją Ashley.

- Nieważne. Na razie. I nie martw się tym, o czym mówiliśmy. Wszystko się ułoży.

Ellie przyszła na spotkanie kilka minut przed czasem i usiadła przy stoliku zamówionym przez ojca.

Po

paru sekundach później ledwie go poznała. Był krańcowo wyczerpany, na powitanie uścisnęła starego człowieka, który nie miał w sobie nic z wysokiego, wspaniałego Jake'a Graysona, jakiego wszyscy znali. Stał przed nią smutny, wychudzony mężczyzna.

- Doskonale wyglądasz - powiedział siadając. - Właśnie tak jak powinnaś.

- Dzięki. - Poczowała, że się rumieni.

- Dogadałaś się z Markiem? Skinęła głową.

- Jest autentycznie szczęśliwy. Obawiałam się o to, ale niesłusznie. - Urwała. - No, to opowiedz mi, co się stało.

Przytknął usta do grzbietu dłoni i Ellie nie umiała powiedzieć, czy nie chciał w ten sposób powstrzymać płaczu. Cała jego twarz jakby nagle zwiędła.

- Tato? Zamknął oczy.

Kiedy znów je otworzył, były pełne łez.

- Nie powinienem był tu przychodzić - powiedział. - Nie mogę ci o tym opowiadać. To, że jesteś w ciąży, postarzyło mnie o sto lat. Ale dla twojej matki... - Pokręcił głową.

- Co dla mojej matki?

- Sądzę, że w tym skupiły się wszystkie jej nieszczęścia. Była wściekła na mnie, że znalazłem Chrisowi pracę poza miastem, chociaż dopiero co wrócił. I była wściekła, że... - Zawiesił głos.

Kelner przyniósł dwa kieliszki wódki i dwie szklanki wody, po czym znów się oddalił.

- Nie mogę tego pić - powiedziała przesuwając kieliszek na jego stronę stolika.

- Ojej, masz rację. Zapomniałem. Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

- Nie słuchałam, co zamawiasz. Zresztą to bez znaczenia. Woda mi wystarczy.

Badawczo przyjrzał się jej oczom.

- Słyszę u ciebie ton matki.

- Dziękuję bardzo. Masz rację, ona tak mówi: „Nie zwracaj na mnie uwagi”. - Westchnęła. - Ale nie chcę być dla niej niesprawiedliwa. - Spojrzała ojcu w oczy w nagłym przypiływie odwagi. - Dużo przeżyła, wiesz

o tym. Może to nie moja sprawa, ale ty sam za wiele odpowiadasz. Nie mogła odejść tylko dlatego, że nagle poczuła się stara albo urażona, czy to przez mnie, czy przez Chrisa, czy przez kogokolwiek.

- Nigdy nie chciałem jej urazić - powiedział cicho.

- Cóż, skoro uciekła z domu... może po prostu był na to czas.

- Nie wiem, co mam, do diabła, z tym robić - powiedział odsuwając od siebie kieliszek. Wyglądał sennie, jak w transie. - Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to żeby do niej jechać, ale co ja jej powiem?

- Nie wiem, tato. Ale wiem, że gdybym znalazła się w jej sytuacji, gdybym zostawiła Marka, to nawet zamierzając na poważnie zerwać, jednak chciałabym, żeby mnie szukał. W głębi serca chyba wszyscy mają takie ukryte pragnienie. Kobieta odchodzi, mężczyzna rusza za nią, a potem wracają razem. To się zdarza, szczególnie wtedy, gdy kobieta nabiera poczucia, że wszystko nagle zaczęło się dziać zbyt szybko. Ale Barbara pragnie twojej uwagi, nie mojej i nie Chrisa.

Westchnął.

- Chyba masz rację. Po nagraniu programu mogę tam jechać.

- Albo przynajmniej zadzwonić. Pokręcił głową.

- Próbowałem wczoraj wieczorem i nie mogłem. Stać twarzą w twarz to jedyny sposób.

Ashley Crawford zamknęła drzwi swego gabinetu

i podeszła do biurka. Co za gratka, Graysonowie w przededniu rozpadu małżeństwa! Następnego dnia z samego rana trzeba tam wysłać fotoreportera. Będzie bomba w starym stylu. „Król telewizji w małżeńskich opałach”.

Nie, nie dość mocne. „Grayson w smutku...” Nie. Trzeba jeszcze sporo pomyśleć, zanim znajdzie się coś naprawdę dobrego. A przy odrobinie szczęścia może będzie artykuł o czymś więcej niż tylko kwasy w małżeństwie.

40

Barbara przyglądała się, jak Philippe kuca przed kominkiem i dokłada jeszcze jedno polano do ognia. W migotliwym świetle wyglądał jak młody grecki bóg, marzenie każdej kobiety o ideale kochanka. A przecież nigdy nie pozwalała sobie nawet na marzenia o kimś takim.

Wyglądał jak Chris.

Śmieszna sprawa. Ale nie warto o niej myśleć. Wszyscy młodzi ludzie... wszyscy młodzi ludzie w wieku Chrisa zawsze przypominali jej syna.

Podszedł z powrotem do kanapy i podniósł szlafrok Jake'a. Kiedy go wkładał, Barbarze przypomniał się pierwszy, już tak odległy raz, gdy kochała się z Jakiem. Potem Jake naciągnął na siebie niechlujny, nieprawdopodobnie wystrzępiony szlafrok, który tak bardzo jej się spodobał.

Strzepnęła dłonią nabrzmiewającą łzę. Philippe spojrział na nią i zmarszczył czoło.

- Co to za dźwięk? - spytał.

- Jaki dźwięk?

- Słyszę samochód.

Barbara wstała. Boże. Na podjeździe było widać coraz bliższe światła reflektorów.

- O mój Boże.

- Kto to może być? - spytał Philippe, siadając po turecku.

- Wstawaj - powiedziała szybko. - Idź do pokoju na górę i ubierz się.

Nie poruszył się.

- Dlaczego?

Serce łomotało jej jak oszalałe.

- Philippe! Idź na górę się ubrać.

- Może ten samochód po prostu przejeżdża?

- Tym podjazdem donikąd się nie przejeżdża. Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że wobec tego mogę się ubrać - powiedział wstając. - Poczekam na górze, dopóki nie usłyszę, że wymawiasz moje imię. - Czule pocałował ją w usta. - Nie martw się, Barbaro. Możesz mi ufać bez zastrzeżeń.

Jake spojrzał w kierunku domu i zatarł dłonie. Te cholerne rękawiczki nie nadawały się do niczego poza prowadzeniem samochodu.

Wyglądało jednak na to, że we wnętrzu jest ciepło. Paliło się w kominku, i gdyby udało mu się trafić we właściwy ton... hm, musiał spróbować.

Podszedł do drzwi wąską ścieżką wyłożoną kamiennymi płytkami i zapukał. Nie był to odpowiedni czas na korzystanie z własnego klucza. Barbara powiedziała, że chce być sama, a on za nią pojechał. Nie chciał się zachowywać jak jaskiniowiec przybywający domagać się zwrotu kobiety. Musiał zachować spokój i ostrożność. Barbara otworzyła drzwi.

Nie wiedział, czego właściwie oczekiwał. Może podświadomie miał nadzieję, że żona rzuci mu się na szyję i będzie po wszystkim. W każdym razie na pewno wyobrażał ją sobie z uśmiechem na twarzy.

Tymczasem Barbara zdawała się wstrząśnięta i przerażona.

- Jake! - wykrzyknęła zakrywając usta dłonią.

- Mogę wejść?

- Co?... Dobrze, oczywiście. - Cofnęła się robiąc dla niego przejście, po czym zamknęła drzwi, bo do środka leciało zimno.

Jake zdjął rękawiczki i roztarł dłonie.

- Ale masz tu wspaniałą ogień - powiedział.

Uśmiechnęła się, ale widział, że nieszczerze.

- Czy chcesz, żebym sobie poszedł? Przełknęła ślinę.

- Eee... nie, nie. Sam przyjechałeś?

- Tak. - Zaczął zdejmować płaszcz, ale stwierdził, że jest pod niesłychanie wnikliwą obserwacją. Z oczu Barbary wycierał łęk.

- Kochanie, nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Jeśli chcesz lub potrzebujesz czasu na samotność, uszanuję twoje życzenie. To oczywiste. Ale nie chciałem, żebyś... twój list nie postawił sprawy jasno.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Naprawdę. - Westchnęła. - Żałuję tylko, że przyjechałeś sam.

- Dlaczego?

- Bo nie możesz tu zostać. Wychodzę.

- O, doprawdy? - Bardzo się starał, żeby zabrzmiało to obojętnie, i udało mu się, ale zabolowało go to bardziej, niż gdyby okazał zatroskanie.

- Tak, i to zaraz.

- Zostawisz taki buzujący ogień? - Czuł do siebie wstręt za to pytanie, ale wyrwało mu się mimo woli. Usłyszał jakiś dźwięk na podeście schodów, czyżby kroki? Podniósł głowę i spojrzał.

Obserwował go stamtąd młody człowiek. W jego szlafroku.

Jake otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nieznajomy odwrócił się i zniknął. Jake spojrzał na Barbarę.

- Cóż - powiedział, kiedy odzyskał głos. - Widzę, że planowałaś wyjście w towarzystwie. Czy to ktoś miejscowy, czy przywiozłaś go tu ze sobą?

Nie czekał na odpowiedź. Obrócił się, wziął rękawiczki i wyszedł.

Kiedy znalazł się w samochodzie, nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy zatrzasnął za sobą drzwi i czy Barbara cokolwiek powiedziała.

Spojrzał ku domowi i stwierdził, że drzwi są zamknięte, może to ona zamknęła, bo on chyba jednak nie. I na

pewno się nie odezwała, bo gdyby powiedziała choćby tylko „Jake”, przystanąłby.

Zapalił silnik i jeszcze raz się obrócił. Może drzwi się jednak otworzą, może Barbara wybiegnie za nim, uśmiechnie się i powie, że z niego głupiec, że ten młody człowiek to tylko... no właśnie, kto?... ktoś, kto miał naprawić ogrzewanie i właśnie korzystał z łazienki.

Jasne. W jego szlafroku.

Boże. Oparł głowę o lodowatą kierownicę i ujął ją obiema rękami.

Jak ten typek wyglądał? Kto to był, do cholery? Jak długo Barbara go zna?

Przez cały ten czas...

List. Co było w liście? Że musi być sama. Że ma zamiar pisać. Czyli oboje byli nie w porządku, nie tylko on.

Cholera, i co z tego?

Pokręcił głową. Jake Grayson. Wielki ogier światowej sławy. A teraz to. Od jak dawna?

Podniósł głowę i rzucił ostatecznie spojrzenie na dom. Światła jarzyły się zarówno na dole, jak na piętrze.

Czy Barbara jest teraz z nim na górze? Może razem się śmieją?

Ten chłopak miał wygląd aktora. I był podobny do Chrisa.

Zaczął cofać samochód. O milimetry minął drzewo, zatrzymał i hałaśliwie wrzucił pierwszy bieg.

Jedź. Nie myśl. Byle przed siebie. Jeśli będziesz -o tym wszystkim myślał, oszalejesz.

Nie mógł jednak zapomnieć wyrazu oczu Barbary w chwili, gdy dostrzegł na piętrze przy schodach chłopaka, a może mężczyznę, wszystko jedno. Była zdenerwowana, ale czy nie również zadowolona?

Nagle stwierdził, że prowadzi jak wariat i wyprzedza wszystko, co się rusza, bez względu na prędkość.

Musiał zwolnić. Musiał zatrzymać wóz i pomyśleć.



Podjechał do stacji benzynowej przy Autostradzie Wschodzącego Słońca, znalazł telefon i wybrał numer. Carla powinna wiedzieć, co należy zrobić w jego sytuacji.

Początkowo jej głos brzmiał niewyraźnie, zdawał się zmęczony, ale kiedy Jake szybko wytłumaczył, co się stało, natychmiast powiedziała: „Koniecznie przyjeźdź”. Dwa razy nie trzeba mu było powtarzać.

Dwie godziny później, gdy tylko otworzyła mu drzwi, zorientował się, że nie jest sama. Grała wielką postać, Carlę Rossiter, nazwaną w „Newsweeku” królową agencji modelek. Carla zdecydowanie nie cierpiała tej strony własnego ja: agresywnego makijażu, jedwabnej szaty i mocnego aromatu perfum „Joy”.

- Wyraźnie przyszedłem nie w porę - powiedział Jake, pocałował ją w policzek.

- Nie wygłupiaj się - odparła swym cudownym gardłowym głosem. - Akurat wróciliśmy z przyjęcia, kiedy zadzwoniłeś. Poproszę Halley, żeby poszła do drugiego pokoju. - Spojrzała mu w oczy. - Z tobą wszystko w porządku?

- Nie jestem taki pewien.

- Chodź. - Wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu.

Na kanapie skromnie siedziała zaskakująco urodziwa młoda blondynka czytająca magazyn mody.

- Halley, to jest mój przyjaciel, Jake. Jake, Halley. Dziewczyna wstała. Chuda jak patyk, z pewnością była jedną z modelek Carli. Uścisnęła mu dłoń.

- Hej.

- Halley, Jake i ja musimy trochę porozmawiać na osobności. Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby przenieść się na trochę do mojego pokoju?

- Jasne - powiedziała wątlym dziewczęcym głosikiem. - Miło mi było pana poznać - powiedziała do Jake'a i bezszelestnie wyszła z pokoju.

- Jest za chuda, nawet do twojej branży - odezwał się Jake, podchodząc do barku.

- Wiem. Martwię się nią. Przysięgała, że nic takiego nie robi, ale dwa razy złapałam ją na wsadzaniu sobie ręki do gardła, żeby zwymiotować. To jeden z powodów, dla których Halley jest tutaj. Nie chcę, żeby mieszkała sama albo z tą dziewczyną co przedtem, też zresztą moją modelką. Kiedy są razem, coś się z nimi dzieje: klasyczny jadłowstręt. Jedna je mniej od drugiej, w końcu z żadnej nic by nie zostało.

- Ile ona ma lat? - spytał. Wręczył Carli kieliszek z wódką, a swój zabrał na kanapę.

- Dwadzieścia, Jake, ale nie przyszedłeś tutaj rozmawiać o Halley. - Usiadła przy nim na kanapie i zrzuciła buty ze stóp.

Westchnął.

- Ja mam pięćdziesiąt pięć. Ty i Barbara macie po czterdzieści siedem. Co się, do diabła, z nami wszystkimi dzieje? Halley ma dwadzieścia lat, ten szczeniak w moim domu, Boże, miał osiemnaście, najwyżej dwadzieścia, nie wiem. Ostatnia dziewczyna, przepraszam, kobieta, z którą byłem, miała najwyżej dwadzieścia jeden. Może wszyscy robimy z siebie głupców. Albo dostajemy pomieszania zmysłów. Nie wiem.

- Nie mierz mnie swoimi kategoriami - powiedziała Carla. Odstawiła drinka na stolik i spojrzała na Jake'a. - Na twoim miejscu nie spieszyłabym się również z takim szufladkowaniem Barbary.

- Dlaczego?

- Kocham Halley - powiedziała cicho. - Nie robię z siebie głupiej, Jake. Kocham ją, i ona też mnie kocha. Obie wiele dla siebie znaczymy. Nie ma w tym nic neurotycznego ani nic złego.

- Nie mówię, że jest.

Carla podkurczyła pod siebie stopy i upiła trochę wódki z kieliszka.

- Nie mówiłam o niej, bo nie chciałam zapeszyć - powiedziała cicho. - Poza tym chyba sądziłam, że nie zrozumiesz.

- Co ty, żartujesz? Znam twoje upodobania od lat.

- Nie mówię o upodobaniach, Jake. Boże. W twoich ustach brzmi to tak tanio. Myślę o tobie, odkąd zadzwoniłeś. W ogóle często ostatnio o tobie myślałam. Czy nie sądzisz, że zasłużyłeś sobie na to, co dostajesz?

- Jak to?

- Posłuchaj, przykro mi, że zostałeś urażony, i przykro mi, że musiałeś się o tym dowiedzieć w taki sposób. Nie chcę widzieć u ciebie urazy. Ale powiedzmy sobie uczciwie: czego się spodziewałeś?

- Wiesz, że od lat nie układało nam się z Barbarą. Ani ja nie byłem zadowolony, ani ona.

- Wiem. Ale dlaczego? Zdaję sobie sprawę, że ona ma problemy, kilka z nich znam. Ale... - pokręciła głową. -...to wszystko już było, ostatnio słyszałam wiele podobnych historii. Zanim Halley zamieszkała z tą drugą modelką, odeszła od męża. Cóż to był za palant!

- Ho ho, dzięki, Carlo. To naprawdę wielka pomoc. W życiu nie czułem się tak jak teraz.

- Nie dziękuj, Jake, tylko pomyśl. Na przykład pomyśl, jak się czuje Barbara. Diabli wiedzą, ile czasu trwa ta znajomość. Moim zdaniem to raczej sam początek. Kto wie? Może spotkała tego chłopaka tam na miejscu? Rzecz w tym, że twoje kobiety nigdy nic dla ciebie nie znaczyły i z pewnością ten szczeniak tak sa-rać nic dla niej nie znaczy. Daje jej okazję do zemsty, może jest czuły, otacza ją uwagą, czymś, co dla niej...

- Ale ona...

- Pozwól mi skończyć. Nieważne, czyja to wina, Jake. Znam cię. Potrafisz być bardzo zimny. I jesteś zimny także wobec innych ludzi, nie tylko Barbary. Najważniejsze jednak, że... - Westchnęła. - Mam dla ciebie wiele miłości, ale tym razem za bardzo mierzysz podwójną miarą, żebym mogła zdobyć się na współczucie. Rozmawiamy o twoim małżeństwie. A przypomnij sobie wszystkie swoje skoki w bok.

- Czyli mam spokojnie siedzieć i nic nie mówić dlatego, że... - Pokręcił głową. - Nie mogę. Nawet nie wiem, co to za typek. Przecież ona może być w niebezpieczeń-

stwie. Nie mogę uwierzyć, że go stamtąd natychmiast nie wykopałem.

- Nie sądzisz, że dałaby ci znak, gdyby coś było nie w porządku? Nikt jej nie trzymał na muszce.

Zresztą dlaczego właściwie go nie wykopałeś?

- Nie wiem. Wszystko stało się tak szybko. Nawet nie pamiętam, czy coś Barbarze powiedziałem... a, tak, zrobiłem jakąś idiotyczną uwagę, że nie jest sama. A potem pamiętam, że siedziałem w samochodzie. - Przyłożył do ust kieliszek. Kostka lodu stuknęła go w ząb i uraziła nerw. - Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Carla spoglądała na niego jak na obcego.

- Co robić, Carlo?

- Przez wiele lat nie słyszałam, żebyś mnie prosił o radę. - Oparła się na poręczu sofy i jeszcze bardziej podkurczyła pod siebie nogi. - Naprawdę chcesz znać moje zdanie?

- Owszem. Do kogo niby przyszedłem?

- W porządku. Uważam, że krótka rozłaka wyjdzie na dobre wam obojgu. Barbara miała rację, że wyjechała. Jeśli rzucało nią ze złości albo wpadła w depresję, to miała rację. Popelnisz błąd, jeśli będziesz próbował sprowadzić ją teraz do domu. Jest w was obojgu za wiele złości.

- Mam pozwolić, żeby dalej zadawała się z rym... z tym żigolakiem?

- „Pozwolić”? I skąd wiesz, że to jest żigolak?

- Nie łap mnie za słówka, Carlo. Wiesz, o co mi chodzi.

- A czy ty wiesz? Bo może w tym właśnie jest część problemu, Jake. Może tylko tobie się wydaje, że racją jego istnienia w tamtym domu jest bycie żigolakiem. Bo z tego wszystkiego, co ja wiem od ciebie o Barbarze, to jest ona ostatnią osobą, która szukałaby towarzystwa żigolaka. Prawdopodobnie znalazła jakiegoś miłutkiego dzieciaka.

- Wygląda jak Chris. Zapomniałem ci o tym powiedzieć. - Boże, wyleciało mu z głowy to, co najgorsze.

Carla westchnęła, wstała i wzięła oba kieliszki.

- Coraz lepiej rozumiem Barbarę - powiedziała i podeszła do barku.

- Co?! To ci ułatwia rozumienie? Znieruchomiła na chwilę ze szczypcami do lodu w dłoni, a potem obróciła się do Jake'a.

- Chcę opowiedzieć ci troszkę o Halley - powiedziała cicho. - Uważasz, że ona jest młoda, i masz rację. Myślisz, że zawsze jestem ze znacznie młodszymi kobietami, i też masz rację. Nie sądzę jednak, żeby to był ten sam powód, dla którego ty wybierasz młodsze dziewczyny... albo żeby Barbara... hm, nie potrafię ci wyjaśnić rozumowania Barbary, wydaje mi się jednak, że może mieć ono wiele wspólnego z moim. Ale najpierw naleję nam po drinku. - Z powrotem obróciła się do barku.

- Nagle zacząłem się u ciebie cieszyć fatalną opinią - rzucił głośno.

- Nie ty. Po prostu jestem coraz gorszego zdania o mężczyznach. - Wróciła z napelnionymi kieliszkami na kanapę.

- No, więc słucham.

- Och, może to wszystko przez opowieści Halley o jej byłym mężu. Nie ma w nich nic szczególnie dramatycznego, ani awantur, ani podbitych oczu. Ale Halley miała bardzo podobne doświadczenia do tych, które i ja pamiętam ze związków z większością mężczyzn: brak kontaktu, odgradzanie się, oddalenie. Ona chciała tylko, żeby ktoś ją trzymał w objęciach. - Carla wzruszyła ramionami. - Tak się złożyło, że wypadło na mnie.

- Czy kiedy byliśmy ze sobą, też się od ciebie odgradziłem?

- Nie, ale ja byłem twoją kochanką. A o czym rozmawiasz z Barbarą? Czy mówisz jej, że ją kochasz? Kiedy Halley powiedziała Richardowi, że odchodzi, osłupiał. Nie wiedział, o czym ona mówi. Całkowicie go zaskoczyła. Z tobą jest chyba podobnie.

Odwrócił wzrok, szukając czegoś w holu, za plecami Carli. Na wszystkich ścianach wisały rzędami zdjęcia jej modelek, niektóre z ich młodych lat, niektóre aktualne. Dziwne, że Carla mogła być dla większości matką kwoką, a jednocześnie z wieloma utrzymywać kontakty seksualne.

Prawdopodobnie mało ludzi na świecie spędziło tyle czasu co ona na wysłuchiwanie smutnych opowieści o dawnych i aktualnych chłopakach, o odwzajemnionych i nie odwzajemnionych miłościach. Logicznie rzecz biorąc, teraz też mogła mieć słuszość. Nie istniał powód, dla którego Barbara nie miałaby sobie pozwolić na przygodę. Logicznie nie istniał powód, by ich małżeństwo trwało tak długo. Logicznie Jake nie mógł nic powiedzieć ani na temat tego, co się stało, ani na temat motywacji Barbary.

Ale czy Carla nie rozumiała jego paniki? Czy nie pojmowała, że cała jej wyrozumowana logika tylko pogarsza mu samopoczucie? Oczywiście, Barbara miała prawo do innego mężczyzny. Jake'owi nigdy jednak nie przyszło do głowy, że z niego skorzysta. I jakie to mu wystawiało świadectwo ze znajomości żony? Był sam, nie umiał we właściwym czasie niczego przewidzieć. Kiedy powiedział Ellie o odejściu matki, a ona poradziła mu do niej jechać, ani razu nie przyszło mu do głowy, że przeszkodzi w romansie, natknie się na schadzke. On też miewał różne schadzki przez te wszystkie lata, i Carla słusznie uważała, że wcale się nie liczyły, ale to nie oznaczało, że nie zdarzały mu się wielkie namiętności.

Podniósł kieliszek i poruszył nim, wprawiając w ruch wirowy kostkę lodu.

- Nie umiem sobie tego wyobrazić. Słowo daję, że nie umiem sobie wyobrazić Barbary z tym młodym człowiekiem.

Carla uniosła brew.

- Zdaje mi się, że to następna część twojego kłopotu. Widzisz w Barbarze kogoś, z kim przeżyłeś trzydzie-

ści lat. A on widzi w niej podniecającą kobietę w dojrzałym wieku. Wiesz przecież, że Barbara nadal jest piękna.

- Dzięki. Właśnie coś takiego potrzebowałem usłyszeć.

- Nie powinno to być dla ciebie niczym nowym.

- Niech to diabli, nie jest, Carlo, ale dopóki nie spędzisz prawie trzydziestu lat z jedną osobą...

- Ty nie spędziłeś, Jake. Miałeś dziesiątki kobiet. Czego ty chcesz od Barbary? I czego twoim zdaniem ona powinna chcieć od ciebie? Czy jeszcze się kochacie? Czy jeszcze się lubicie? Czy naprawdę chcesz, żeby wróciła?

Westchnął.

- Jasna cholera, nie wiem. Przecież poświęcam jej uwagę, co do tego nie ma wątpliwości.

- Dobrze. Wobec tego daj jej odetchnąć i bądź przez cały czas dla niej. Tyle mogę ci poradzić. I pomyśl, jak byś się czuł, gdybyś ją stracił.

W głowie miał zamęt. Zdawało mu się, że są dwie Barbary. Jednej właściwie nie znał, co do drugiej - skonałby, gdyby go opuściła. Barbara, z którą ostatnio dzielił mieszkanie, była tą pierwszą. Była kimś budzącym w nim poczucie winy i przygnębienie. Martwił się o nią, ale czy ją kochał?

Ale tę Barbarę, którą poślubił, tę, która wychowywała ich dzieci, kochał ponad wszystko. I skonałby, gdyby ta go opuściła.

41

Barbara usiadła, opierając się na poduszkach, i przetręła oczy. Miała wrażenie, że jest późno, zupełnie jakby spała pół dnia. Pokój zalewało światło poranka.

Spojrzała na zegarek: kwadrans po dziewiątej. Rzeczywiście było późno.

I wtedy w lustrze naprzeciwko łóżka zobaczyła swoje

odbicie, kobietę w średnim wieku, z obwisłymi piersiami, a obok jasnowłosego ni to chłopaka, ni mężczyznę.

Pokój się zakołysał.

Co ona takiego zrobiła?

Wieczorem po wyjściu Jake'a, Philippe był dziwny. Niemal dumny. Nadal zresztą niezupełnie była w stanie przyjąć jego wyjaśnienie na temat powodu, dla którego wyszedł z sypialni. „Chciałem zobaczyć, czy nie jesteś w niebezpieczeństwie”, powiedział. Kiedy jednak padły te słowa, a szczególnie „w niebezpieczeństwie”, Barbara poczuła lekki dreszcz, jakby to właśnie w tej chwili coś jej groziło.

Nie wiedziała, czy przypadkiem nie dostaje jednak pomieszania zmysłów. Co robiła tutaj z tym obcym? A gdyby okazał się mordercą? Jak mogła go w taki sposób zaprosić?

Ale przecież był przyjacielem Chrisa. Opowiadał o nim takie rzeczy, jakie może wiedzieć tylko przyjaciel. Mimo to...

Ostrożnie wydostała się z łóżka, włożyła szlafrok i ściągnęła z krzesła marynarkę Philippe'a. Musiał przecież mieć portfel albo jakiś dokument. W uszach brzmiał jej głos Joanny mówiącej, że zwariowała," że nie trzeba oglądać paszportów mężczyznom, z którymi się spało, ale nagle ogarnęło ją dziwne, niewzruszone podejrzenie.

Jedynym sposobem dowiedzenia się czegoś jest sprawdzenie. Tej kartki u Chrisa nie znalazłaby, gdyby... Jest paszport. Wyciągnęła go.

- Co robisz?

- O, dzień dobry.

- Co robisz? - powtórzył.

- Nic - odparła. - Trochę porządków.

- Z moim paszportem w dłoni?

Szybkim ruchem zrzucił z siebie pościel i dwoma krokami pokonał dzielącą ich przestrzeń. Jedną ręką



ką chwycił ją za przegub, a drugą wyszarpnął dokument.

- Daj mi to - powiedział. Ale nie zwolnił uchwytu na jej przegubie. - Co dokładnie chciałaś wiedzieć?

- Puść. Zmrużył oczy.

- Chcesz mi dyktować, co mam robić? Sama ze mną w tym wielkim domu? Po odejściu męża, który już nie wróci?

Serce biło jej tak szybko, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Tylko mnie puść - wyszeptala.

- Zdaje się, że jesteś zaskoczona i wystraszona - powiedział z niejaką przyjemnością. - Może myślałaś, że spędzasz czas z kimś, komu się podobasz? - Roześmiał się. - Ale będzie śmiechu, kiedy opowiem moim przyjaciółom. Tak robiłaś sobie dobrze.

Jęknął, ozdabiając to ohydną mimiką. Próbowala się wyrwać, ale uścisk był mocny.

- I chciałaś się dowiedzieć czegoś o synu. Jaka ciekawska matka. Twój syn opowiedział mi mnóstwo o tym, jak go stłamsiłaś, do tego stopnia, że musiał szukać ucieczki. Ty nawet nie wiesz, jak wyglądała ta jego ucieczka. Ty, która przesiadywałaś nad nim w nocy, nie kiedy miał dwa lata, ale kiedy chodził do szkoły średniej. Kładłaś go do łóżka jak dzieciaka. I pragnęłaś, żeby był mężczyzną. Czy wiesz, co zrobiłaś z twojego pięknego synka? Z tego pięknego synka, którego chciałaś mieć dla siebie?

- Przestań.

- Przyjechał do Paryża, a tam przyszedł do mnie. - Puścił ją i położył dłoń na czlonku. - Widzisz to? To, czym sobie tak dogodziłaś? - Zaczął go trącać. - Twój syn też miał z nim przyjemność, Barbaro. Wiele, wiele razy.

Wybiegła do łazienki, zatrzasnęła drzwi, zbliżyła się do umywalki i puściła wodę z obu kranów. Ręce jej omdlewały, ramiona miała jak z waty. Ugięły się pod nią

kolana i opadła na podłogę. Początkowo trzymała głowę w dłoniach, potem położyła ją na kafelkach, nasłuchując płynącej wody. Zamknęła oczy i czekała.

Nie wiedziała, ile czasu spędziła w łazience, ale kiedy wyszła, oświetlenie w pokoju już się zmieniło, a Philippe'a nie było.

Jeszcze czuła zapach jego wody kolońskiej, teraz wydawał jej się słodkawo-mdły. Ale ubranie znikło, dookoła panowała cisza.

Wtem na środku łóżka, na prześcieradle, zobaczyła dużą kluchę spermy. Pożegnalny prezent.

Wróciła do łazienki i zwymiotowała.

42

Ashley Crawford.

- Cześć, tu Ron.

- Co tam masz?

- Dziesięć zdjęć chłopaka wychodzącego z domu. Co najmniej trzy są doskonałe. Ale nie udało mi się go dopaść. Chcesz, żebym poczekał na babę Graysona i sprawdził, czy odjeżdża?

- Po trzykroć tak, chyba że odmrożone palce odpadły ci od stóp.

- Nie jest tak źle. Ogrzewania jeszcze szlag nie trafił.

- Dobra. Wobec tego siedź tam i dzwoń, kiedy będziesz miał ją do kompletu. Wtedy wykombinujemy, co dalej.

- Jasne. Na razie.

Rozłączył się i wyszedł z restauracji. Sag Harbor o tej porze roku było piękne jak sto skurwysynów: puste ulice, puste restauracje, puste nabrzeże. Raj dla takich ludzi jak Barbara Grayson, którzy mogli sobie przygadać kogoś i wyjechać albo przygadać kogoś i zostać, robić, co tylko im się podoba i z kim im się podoba.

Ashley twierdziła jednak, że będzie z tego bombowy artykuł. Barbara Grayson, potulna i piękna żona Jake'a Graysona, zapomina się z chłopakiem, który mógłby być jej synem.

A że Ashley płaciła dwukrotnie więcej niż przedtem „Enquire”, Ron związał się z magazynem „Spotlight”. Teraz firma będzie miała szlagier, on forszę, i wszyscy będą zadowoleni.

No, może prawie wszyscy.

## Księga piąta

43

No, i co? - Onyx odwróciła się od lustra i spojrzała na Craiga.

- Jak to co?

Boże, leży tam jak kłoda. Okazuje się, że to jednak drętws.

- O włosy pytam, głąbie. Właśnie je przycięłam.

- Chyba nożyczkami do paznokci. Nie widzę żadnej różnicy.

Znowu odwróciła się do lustra.

- Ech, co ty w ogóle wiesz. Usiadł na łóżku. Najwyższy czas.

- Cóż to, do diabła, miało znaczyć?

Wyciągnęła najciemniejszą ze swoich kredek do warg i zaznaczyła nią pięć punktów, zawsze określanych w „Glamour” jako strategiczne.

- To znaczy... - zaczęła powoli. Obrysowała kontur dolnej wargi, ale w chwili, gdy rzuciła okiem na Craiga, kredka zjechała jej w dół. - Cholera.

- O czym ty, do diabła, mówisz, Onyx? - Przetoczył się po łóżku, sięgając po paczkę papierosów, i zapalił, po czym rzucił zapalniczkę na podłogę.

Onyx autentycznie to rozwścieczyło, bo gdzie tylko się ruszyła, deptała po zapalniczkach. Craig gubił wszystkie kupowane zapalniczki, w praktyce przynajmniej jedną dziennie, a potem zasypywał zapalniczkami całą podłogę.

Ponownie zaczęła pracować nad dolną wargą.

- Mam wrażenie, że jesteś dla mnie kulą u nogi - powiedziała.
  - Chyba żartujesz!? Naprawdę tak myślisz? Przyjrzała się jego odbiciu w lustrze.
  - Spójrz prawdzie w oczy, Craig. Dostałam tę rolę tylko dzięki sobie, a ty nie zrobiłeś nic. Baird Kane wyciął mi połowę tekstu, a ja załatwiłam u Arta przywrócenie tych kwestii. Nie ty.
  - Oho, ciekaw jestem, jak to zrobiłaś. Jeśli Art powiększył ci rolę, to dlatego, że on tak chciał.
  - Akurat. Przykro mi, ale to dowodzi, jak mało wiesz.
  - Co ty gadasz? Przecież sama tego nie wiesz, Onyx. Zabrała się do szczotkowania włosów.
  - Naprawdę? A zauważyłaś, że żona Arta jeszcze tu się kręci?
  - Owszem. No i co z tego?
  - Zauważyłaś, jaki blady i zmarnowany chodzi Art?
  - Bo ja wiem... chyba tak. Ale co z tego? Odłożyła szczotkę i stanęła twarzą do Craiga.
  - To zgadnij, kto ma informację, którą Art chciałby ukryć przed żoną.
  - Robisz ze mnie balona.
- Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Craig wyglądał, jakby miał znieść śmierdzące jajko.
- Więc jaka to informacja? Pokręciła głową.
  - Przepraszam, ale poufna. Jeśli sypnę, to ze mną koniec.
  - Daj spokój, powiedz.
  - Nic z tego. Zdusił niedopałek.
  - Onyx, cholera jasna, nic z tego nie będzie, Art McCullough jest za cwany.
  - Nie dla mnie. - Spojrzała na zegarek - Tak czy owak, muszę iść - powiedziała. - Trzymaj za mnie kciuki.
  - Niby dlaczego? Jeśli nie potrzebujesz nikogo prócz siebie, to pierdol się, Onyx.

Cisza na planie!

Onyx nie wierzyła własnym oczom. Wszystko było tak jak w wielu filmach, które widziała. Tyle że po raz pierwszy w życiu sama znalazła się w środku.

I dokładnie zapomniała cały tekst

Oczywiście, winien był Craig. Bałwan. Od samej myśli o nim zbierało jej się na mdłości. Był dobry w łóżku, i to niewątpliwie stanowiło plus, ale nie wystarczało. Miała nadzieję, że popchnie do przodu jej karierę, a on co zrobił? Guzik!

Mniejsza o to, nie był jej już potrzebny. Nie potrzebowała nikogo.

Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć tekst roli...

Caitlin Cornell stała niecałe dwa metry od niej w salonie domu, który niby należał do Caitlin i jej matki. Wyglądała obłądnie, dokładnie tak, jak stało w scenopisie: „młoda, olśniewająco piękna kobieta, której uroda stanowi właściwie cud, zważywszy na warunki jej życia”. Cholera. Szkoda, że pamięta to, a nie swoje kwestie.

Od historii z Craigiem Caitlin nie odezwała się do niej ani razu. Przez pierwsze dni sprawiała wrażenie wykończonej nerwowo, ale wyraźnie jej przeszło.

- Kamera! - krzyknął Art i Onyx poczuła do niego odrazę. Rzucają człowieka na plan, nic wcześniej nie mówią i bądź tu genialny. W głowie miała pustkę.

- Jesteś tu w okolicy nowa, prawda? - powiedziała Caitlin, nalewając kawę do dwóch filiżanek.

- Eee, tak - mimowolnie wyrwało się Onyx. - Nie, to znaczy...

- Stop! Cholera.

- Sandra! - ryknął Art. - Podrzucić jej rybkę.

Onyx nie chciała patrzeć na Sandrę. Mała blond snobka.

- Masz powiedzieć: „Zdaje się, że każdy, kto nie mieszka tu od pięćdziesięciu lat, jest kimś nowym”.

Onyx skinęła głową.

- Wiem. Wiedziałam.

- Dobra, zaczynamy! - zawołał Art. Ktoś błyskawicznie wskoczył na plan i wlał kawę z filiżanek z powrotem do dzbanka. Wszystko działo się tak szybko. - Kamera!

Cholera. Znowu to słowo.

- Jesteś tu w okolicy nowa, prawda?

No, wypluj to z siebie! Tylko te słowa przychodziły jej do głowy. Myśl!

- Eee... no tak, zdaje się, że każdy... no tak, każdy, kto eee...

- Stop!

Spojrzała na Arta.

- Przepraszam! - zawołała. - Już mam, teraz będzie dobrze. - Wiedziała jednak, że nic nie ma. Coś się z nią działo, kiedy Caitlin była tak blisko. Do tego taka doskonała. Wszystko okazywało się teraz kłamstwem. To przecież ona, Onyx, miała być górą, to ona odbiła Craiga, to ona zadała Caitlin cierpienie i zmusiła ją do płaczu. Ale jakie znaczenie miał teraz Craig? Wcale nie był taką znowu okazją. A Caitlin wyglądała tak, jakby jej to nic a nic nie obchodziło.

- Dobra, robimy jeszcze raz - powiedział Art szorstkim tonem, którego używał, kiedy był naprawdę poirytowany.

- Kamera!

- Jesteś tu w okolicy kimś nowym, prawda?

- Zdaje się, że każdy, kto nie mieszka tu od pięćdziesięciu lat, jest kimś nowym - powiedziała. Dzięki Bogu.

- Proszę. - Caitlin podała jej filiżankę. - Słyszałam o pracy u Walmarta, w centrum. Potrzebuje kasjerki. Może uda ci się tam zatrudnić. Masz samochód?

- Tylko... - Pustka w głowie. Tylko co? Pokręciła głową i rzuciła spojrzenie na Arta.

- Przepraszam! - zawołała. Patrzył zimnym wzrokiem.

Kiedy rozejrzała się wokoło, zorientowała się, że



wszyscy odwracają od niej oczy; była kimś, na kogo nie chciano nawet patrzeć. Traciła twarz szybciej niż szybko. Musiała jakoś odwrócić bieg wydarzeń. Spojrzała Caitlin w oczy, pierwszy raz.

- Robisz dokładnie to, co powiedział Craig. Caitlin zrobiła taką minę, jakby nagle wszystko w niej stopniało.

- Co? Co takiego powiedział Craig?

- Powiedział, że mniej więcej tak będziesz się zachowywać. - Kątem oka stwierdziła, że ludzie słuchają. I przyglądają się. - Mówię o twoich kłopotach. Seksualnych. Jego zdaniem nie będziesz w stanie ze mną pracować, bo wiesz, że ja tych kłopotów nie mam. Bo zajęłam twoje miejsce, a ty nie umiałś go przy sobie zatrzymać.

- Przestań - powiedziała Caitlin wstając.

Nagle znalazł się przy nich Art. Chwycił Onyx za ramię.

- Ej - rzuciła.

- Pięć minut przerwy! - krzyczał asystent reżysera, ale nikt się nie poruszył.

Onyx miała wrażenie, że zabierają ją do więzienia. Art praktycznie ściągnął ją z planu, a potem wykrecił rękę tak mocno, że aż poczuła ból.

- Wynocha - powiedział. - Od tej chwili już nie pracujesz. Zjeżdżaj z planu, a swojego wspaniałego przyjaciela możesz zabrać ze sobą.

- Czy przypadkiem nie zapominasz o żonie? Jest pewnie nie dalej niż sto metrów stąd.

- Odjechała - powiedział. - A zresztą nie miałabyś ochoty z nią rozmawiać, nawet gdyby nadal tu była.

- Czyżby?

- Owszem. Bo warunki umowy się zmieniły. Teraz nie masz już wyboru. Chyba że chcesz wrócić do Fort Lauderdale i porozmawiać z sędzią.

Cholera.

- O czym ty mówisz?

- O wściekłym facecie, który zapłacił kaucję. O cze-

kach bez pokrycia i niefortunnej dla ciebie kradzieży w domu towarowym, Priscillo. Kurwa mać.

- Nic na mnie nie masz.

- Wystarczy telefon - odparł. - Dlatego nasza nowa umowa wygląda tak: nigdzie nie dzwonię, a ty stąd spadasz w jednej chwili. Jeżeli zbliżysz się do mojej żony, przypomnę sobie o telefonie.

- Już mieliśmy umowę. Zmrużył oczy.

- To prawda, mieliśmy. Ale spieprzenie mojego filmu do niej nie należało. Ładowanie w kłopoty Caitlin Cornell też nie. Dlatego teraz twoje możliwości wyboru się skurczyły. Jeżeli będziesz grzeczna, to nie wrócisz na Florydę. Jeżeli narozrabiasz, to z przyjemnością zadzwonię, gdzie trzeba.

- Poczekaj...

- Przepraszam, ale muszę zająć się filmem. Odszedł w kierunku planu i już się nie odwrócił.

Art wbił wzrok w dłonie. Drżały. Boże. Co on takiego narobił? Zamierzał zachować tę potrójną gwarancję jako groźbę na przyszłość. Onyx mogła zagrać w *Księżniczce przeznaczenia* i kropka. Koniec szantażu.

Stracił jednak panowanie nad sobą. Niech to szlag, ta dziewczyna paskudziła wszystko, czego się dotknęła. Od początku stała Caitlin ością w gardle. Art przeczuwał, że Onyx będzie bruździć przez resztę filmu i całkowicie wytrąci Caitlin z rytmu.

Ale co dalej?

Cassie była wreszcie w drodze powrotnej do miasta, mając przed sobą perspektywę czytania klasyki i uprawiania gimnastyki dla przyszłych matek. Spędziła na planie wspaniałe chwile, całkiem nieświadoma napiętych nerwów swojego męża.

Mógł zadzwonić i ją ostrzec, ale gdyby Onyx się nie pokazała...

Pytanie było proste. Czy Onyx wystraszy się dostate-

cznie jego groźby, żeby po cichu wrócić do życia, jakie wiodła przedtem w Nowym Jorku, obojętne jakiego? Czy też spieprzył całą sprawę od góry do dołu?<sup>44</sup>

Wyglądasz, jakbyś przemarzła - powiedziała Barbara, stawiając przed Joanną filiżankę kawy.

- Niech to diabli, Barbaro, pewnie, że przemarzłam. Czy nie masz w tym domu żadnego ogrzewania?

- Do dzisiaj nie było takiego chłodu. Kominiek wystarczał.

- Czy wobec tego nie możesz włączyć ogrzewania? Tu w środku jest zimno jak w lodówce.

- W porządku. - Wstała. Wiedziała, że termostat nie włączy ogrzewania automatycznie, nie o tej porze roku. Musiała sama to zrobić w piwnicy. - Zejdiesz ze mną?

Joanna podniosła się z miejsca.

- Może zejść bez ciebie?

- Nie trzeba. I tak już przeszukałam cały dom. On na pewno się wyniósł.

- Więc?

- Po prostu się boję.

Na dole nie było nic poza kurzem i starymi pakami, ale obecność Joanny dodała jej otuchy. Kiedy wróciły do salonu, Barbara podeszła za przyjaciółką do kanapy.

Otoczyła dłońmi filiżankę kawy, szukając w niej ciepła, i znów opadła na poduszki.

- Ile razy... ile razy myślę o tym, co się stało, i przypominam sobie epizod, który wydaje mi się najgorszy, a w każdym razie najbardziej szokujący czy przerażający, to zaraz przychodzi mi do głowy coś jeszcze gorszego. Zupełnie nie wiem... od czego zacząć. Jak się pozbyć choć części tych wspomnień. Nie mogę powiedzieć, żebym została zgwałcona, ale tak się czuję... Nie wiem, czego chciałam, nie opierałam mu się, w każdym razie

nie poważnie... a potem zastanawiałam się, czy nie oszalałam. Jak mogłam go tu przywieźć? No i jeszcze Chris... Kiedy zaczynam o nim myśleć, to prawie odchodzę od zmysłów.

- Przestań, Barbaro. To nie twoja wina.

- Właśnie, że moja. Zupełnie nie wiem, co sobie wyobrażałam. I to każe mi się zastanawiać, czy nie zwariowałam. Czy wiedziałam z góry, co się zdarzy? Powiedziałam sobie, że zapraszam tutaj tego sympatycznego młodego Francuza, bo potrzebuje noclegu, a za tym krył się jeszcze inny powód, dość niechlubny, przez który powinnam mieć wyrzuty sumienia, bo tak naprawdę chciałam wypytać o Chrisa. Ale może jednak wiedziałam, co się zdarzy, i...

- Nawet gdybyś wiedziała, Barbaro, to co z tego? Co w tym strasznego? W twoim przypadku okropne wydaje mi się tylko to, że kiedy raz wreszcie zdobyłaś się na ten krok i postanowiłaś przeżyć romans, przygodę miłosną, czy po prostu poszukać trochę czułości, to skutki okazały się tak bolesne. Zupełnie jak w starych umoralniają-cych historiach, które czytywałyśmy w szkole. Grzech, cierpienie i pokuta. A przecież wtedy wcale nie musiało tak być, i teraz też nie musi. Zresztą, to nie grzech.

- Nie wiem. To wszystko jest takie egoistyczne. Co z Chrisem?

- Chris ma dwadzieścia dwa lata - powiedziała Joanna. - Sam o sobie decyduje. Bo co możesz zrobić, jak ci się wydaje? Przeszłaś straszne doświadczenie i koniec.

- Ale Chris...

- Musisz zostawić go jego losowi, złotko. Nic mu nie dolega. A jeśli nawet jest homoseksualistą, to co z tego?

- Jeśli jest homoseksualistą, to moja wina. Philippe powiedział... powiedział, że Chris uciekł ode mnie, że czuł się stłamszony. - Spojrzała Joannie w oczy. - A ty ignorujesz fakt, że poderwałam kogoś, kto jest wyjątkowo podobny do mojego syna.

- Nie ignoruję. Zdziwiał mnie tylko, że potrafisz tak bardzo popuścić wodze fantazji. Nie bądź przesadnie

strachliwa, Barbaro. Gdybyś pogodziła się ze swoimi myślami i fantazjami, nie raniłyby cię. Zamiast wyznaczać sobie coraz to nowe kary, powinnaś się raczej zastanowić, czemu doszło do tego wszystkiego. Uciekłaś od Jake'a. Prawdopodobnie wykonałaś w ten sposób pierwszy właściwy krok. Ale co dalej? Barbara pokręciła głową.

- Czy powinnam Jake'owi opowiedzieć wszystko, co zaszło? Czy mam do niego zadzwonić, czy on zadzwoni do mnie? Nie wiem, od czego zacząć.

- Nie ma tu reguł, Barbaro. Na tym właśnie, moim zdaniem, niezmiennie zasadza się twój błąd. Zupełnie jakby powiedziano ci w dzieciństwie, że jeżeli będziesz grzeczną dziewczynką i odpędzisz od siebie brzydkie myśli, to wszystko samo się ułoży, a ty dostaniesz nagrodę... Ale w rzeczywistości wcale tak nie jest. Próbujesz dojść do siebie po epizodzie, który uważasz za „niegrzeczny” czy zły. Tymczasem zamiast tego powinnaś podjąć pewne decyzje. Czy chcesz Jake'a czy nie? A jeśli tak, to po co znowu wysilać się na bycie „grzeczną”? Wyraźnie nie trzyma go to przy tobie, a ciebie jedynie doprowadziło do stanu wrzenia.

- Nie jestem w stanie wrzenia.

- Bzdura. - Joanna sięgnęła po następnego papierosa i szybko go zapaliła. - Niech cię diabli, Barbaro. Jeśli będziesz temu zaprzeczać, do niczego nie dojdiesz. Co jest przerażającego w przyznaniu się do własnej wściekłości? Co Jake wyprawiał przez te wszystkie lata?

Zamknęła oczy.

- Nie wiem - odpowiedziała z westchnieniem. - Robi mi się od tego strasznie smutno. Bo w byciu z Philip-pe'em było coś takiego... teraz trudno o tym myśleć, ale jeszcze pamiętam to uczucie. Wydawało mi się, że on tak bardzo mnie chce i... i po prostu zaczęłam płakać, bo uświadomiłam sobie, jak długo byłam zupełnie odtrącona.

- Wobec tego musisz spojrzeć prawdzie w oczy - łagodnie powiedziała Joanna. - Sądzę, że przeżyliście

z Jakim wiele wspaniałych chwil. Ale musicie też spojrzeć na złe strony związku, jeśli chcecie ocalić to, co dobre. - Upiła łyk kawy i spojrzała przyjaciółce w oczy. - Nie pamiętasz, jak leżałam rozłożona na łopatkach, rozbita i zboląta? Prawie nie mogłam się ruszać. W końcu przyznałam przed sobą, że jestem potwornie wściekła na Harry'ego. A ból był koszmarny, paraliżujący, póki nie wyrzuciłam go z siebie przy Harrym. Przedtem cała moja wściekłość obracała się przeciwko mnie, rozumiesz? Miała takie rozmiary, że bałam się dać jej upust. Więc zamiast tego raniłam siebie. I uważam, że ty również za długo już ranisz siebie, obciążając się winami.

- Muszę zaczerpnąć trochę powietrza - powiedziała Barbara. - Po prostu... Po prostu nie mogę już o tym rozmawiać, Joanno.

- Popilnuję ognia. Chyba że chcesz, żebym przeszła się z tobą...

- Nie, dziękuję - powiedziała słabo, naciągnęła płaszcz i wyszła na mroźne powietrze.

Płakała. Czego właściwie chciała? Czy znaleźć odrobinę czułości, trochę uwagi?... Nie, wiele czułości. Wiele uwagi.

Otarła łzy i spojrzała w stronę, gdzie zaczynał się podjazd. Stał tam samochód. Duży, biały, zaparkowany w poprzek. Wewnątrz siedział człowiek.

Przez chwilę myślała, miała nadzieję, że to Jake. Że wrócił innym samochodem. Wrócił.

Ale to był tylko jakiś obcy człowiek. Może nawet łowca sensacji, chociaż jak na kogoś takiego pora wydawała się dziwna.

Odetchnęła chłodem i ruszyła na przechadzkę. Po raz pierwszy od zniknięcia Philippe'a wyszła z domu i poczuła się znakomicie. Może rzeczywiście była nadzieja... może jej i Jake'owi uda się któregoś dnia wszystko ułożyć.

Coś kazało jej się odwrócić.

Mężczyzna, ten z samochodu, był teraz na drodze, przyklękał. Robił zdjęcia.

Gwałtownie zawróciła i puściła się biegiem.

Otworzywszy drzwi, Craig zobaczył pootwierane szafy i uchylone szuflady.

A więc to prawda. Onyx wyjechała. Nawet nie powiedziała do widzenia. Dziwka.

Opadł na łóżko i przejrzał się w lustrze toaletki. Co za wpadka. Podobno miał godzinę na opuszczenie planu. Art McCullough nawet nie powiedział mu tego osobiście. Wysłał z wiadomością Bryana, tę pieprzoną ciotę.

- Art mówi, że musisz stąd wyjechać - oświadczył, oblizując kąciki ust. - Chce, żeby cię tu nie było za godzinę. - Pieprzony głosik kataryny.

Wiedział, że decyzję wydał Art. Ale winę ponosiła Onyx. Myślała, że uda jej się go zaszachować.

Onyx ponosiła winę za wszystko. Wyraźnie przeciągnęła strunę z Artem. Albo zrobiła coś głupiego.

Może nawet wobec Caitlin, miały przecież dzisiaj wspólną scenę. Nawet nie chciał na to patrzeć po tym wszystkim, co Onyx powiedziała w pokoju. Jest dla niej kulą u nogi. Też coś.

Ale Caitlin. Nigdy nie myślał, że tak bardzo może odczuwać jej brak. Nie mógł wyjechać, nie zobaczywszy się z nią.

Godzina minęła szybko, ale Craig o to nie dbał. Wszyscy mieli teraz przerwę. Harmonogram pracy się zmienił, bo trzeba było poszukać zastępstwa za Onyx, więc postanowiono kręcić inne sceny.

Na wzgórzu, tam gdzie się pierwszy raz pokłócili, zobaczył Caitlin siedzącą z ramionami oplecionymi wokół kolan i twarzą zwróconą w kierunku gór.

Podchodząc z boczem uzmysłowił sobie, co go tak bardzo smuci. Caitlin była dziewczyną z prowincji, pełną szczerych uczuć. Kiedy ją znalazł, i potem też, miała w sobie tyle niewinności. I gdyby jej nie zachęcił, gdyby

nie naciskał za mocno, może tak by zostało, może Caitlin nadal byłaby z nim.

- Cait? - Stał mniej więcej dwa metry za nią. Nie odwróciła się.

- Myślałam, że wyjechałeś - powiedziała cicho. Usiadł obok niej.

- Powinienem. Bryan kazał mi się wynieść w ciągu godziny. Ale musiałem cię zobaczyć.

Nadal na niego nie patrzyła.

- Co powiedziałaś Onyx?

- Co takiego? Co masz na myśli?

- Dlaczego jej nie spytasz, co mi powiedziała w połowie sceny? Musiałeś coś jej podsunąć.

Boże, co znowu...

- Powiedziała, że zna moje kłopoty i dlatego to ona jest z tobą, a nie ja. - Teraz Caitlin się obróciła. W oczach miała olbrzymi smutek. - Craig, jak mogłeś zdradzić przed nią coś takiego?

Cholera.

- Nie zrobiłem tego, kochanie. Musiała wyczuć. Nigdy nie powiedziałbym nic podobnego. Zresztą ona i tak wyjechała. Beze mnie.

- Naprawdę? Co... - Pokręciła głową. - Nieważne. Nie chcę wiedzieć.

- Nawet się nie pożegnała.

Caitlin zerwała źdźbło trawy i zaczęła je dzielić na długie wąskie paski.

- Suka jest, i tyle. - Jej głos brzmiał bezbarwnie. - Pod tym względem, Craig, nie umiem wykrzesać dla ciebie współczucia. Kto się z suką zadaje, tego pchły obskakują.

- Wiem.

- Co wobec tego zamierzasz teraz robić? - spytała, ciągnąc za następne źdźbło.

- Wrócić do miasta. Znaleźć jakąś pracę. Może złożyć papiery w innych agencjach.

- Nie chcesz już próbować na własną rękę?

- E tam, przecież straciłem jedyne klienta.



Przygryzła wargę.

- No tak... - powiedziała cicho. - Chyba nie powiedziałam ci jeszcze, że możesz zatrzymać pieniądze, które są na naszym wspólnym rachunku. To powinno ci pomóc.

- Pomoże - odparł potakując. Obróciła się.

- Zamierzasz je tak po prostu podjąć?

- Przecież sama powiedziałaś, żebym wziął.

- Nigdy mnie nie słuchałeś. Myślałam, że trochę powalczysz. Co się stało z twoją dumą, Craig?

- Jeśli chcesz pieniądze, to możesz je zatrzymać, Caitlin.

- Nie chcę. Nie potrzebuję ich. A ty potrzebujesz, więc weź.

- Zgoda. Zrobię to.

- Tylko zmień hasło - powiedziała. Głos jej się załamał. - Żeby moje imię nie miało nic wspólnego z tym pieprzonym rachunkiem.

Nigdy przedtem nie słyszał, żeby przeklinała. Ani razu przez te wszystkie lata, gdy byli ze sobą.

- Zmienisz? - spytała. Jej głos nabrał ostrości, był w nim gniew.

- Nie mogę tego zrobić bez ciebie. Westchnęła.

- W porządku, po powrocie to załatwię. A czy zamierzasz do niej wrócić po przyjeździe do Nowego Jorku?

- Cholera, nie. - Urwał. - Chcę wrócić do ciebie, Cait. Nie odezwała się.

- No - przynagłał - co o tym sądzisz? Nawet na niego nie spojrziała.

- Nie mogę - powiedziała cicho. - Zwyczajnie nie mogę.

Sprawiła wrażenie, że mówi poważnie, Craig nie wierzył własnym uszom. Po trzech latach...

- Caitlin.

Odwróciła się od niego i wyrwała z ziemi kępkę trawy.

- Nie mogę, Craig. Idź już, proszę.

Wstał. Odejść czy zostać? Zupełnie nie wiedział, co zrobić.

Cholera. Co za nonsens. Czuł, że znowu jej potrzebuje, że ją kocha. Ale po co tyle łez? Nie był przecież dla niej taki zły.

- Dobrze - powiedział. - Jeśli tak sobie życzysz, to dobrze.

W pół drogi na dół jeszcze raz się odwrócił. Caitlin miała głowę ukrytą w dłoniach, a jej ramiona drgały. Musiała naprawdę płakać.

Co to właściwie miało znaczyć? Jeśli tak cierpiała, to dlaczego kazała mu odejść?

Jeszcze będzie go chciała z powrotem. Cholera, musi zechcieć, prędzej czy później.

46

Chris odrzucił pościel i wstał z łóżka. Nie mógł zasnąć i nie mógł już wytrzymać w pokoju.

Zadzwoiła Ellie i powiedziała, że Barbara odeszła od Jake'a. Możliwy rozwód. Na pewno coś się sypie. Z sąsiedniego pokoju dolatywały go natomiast jęki Bryana i Neila Campbella. Miał tego dość. Poprzedniej nocy skończyło się na tym, że przy dźwiękach ich seksu zwałił konia i poczuł straszne upokorzenie, jakby nadużył swojego zaufania i już nigdy nie miał szansy go odzyskać. W ciągu dnia miał wrażenie, że zakochuje się w Caitlin. A potem nocą zwałił konia słuchając, jak dwóch mężczyzn uprawia seks. Cóż to znaczyło?<sup>8</sup> Już zupełnie nie wiedział, kim jest.

Odgłosy seksu Neila i Bryana umocniły go w przekonaniu, że nigdy nie zdoła uwolnić się od Paryża. No, bo jeśli te telefony do Nowego Jorku były od Gerarda? Może po nich miały przyjść następne? Może Gerard dzwonił znowu?

W pracy przy *Księżniczce przeznaczenia* oprócz spotkania z Caitlin wspaniałe było to, że czuł się absolutnie bezpieczny, chroniony przed rzeczywistością i przeszłością. Wkrótce jednak mieli się przenieść na zdjęcia do Nowego Jorku. A wtedy...

Niewykluczone jednak, że po prostu ulegał obsesji. Bo jeśli nazwać minione wydarzenia po imieniu, to czy istotnie okazują się takie potworne? Przeprowadził mały eksperyment seksualny, i co z tego? Gerard zrobił parę zdjęć; i ktoś, prawdopodobnie Gerard, ukradł mu portfel. I Gerard zostawił go w tamtym mieszkaniu. I Gerard...

Nie można było rozdzielić tych wydarzeń. Gerard naprawdę był niebezpieczny i nie miało to nic wspólnego z seksualnymi eksperymentami.

Naciągnął marynarkę i wyszedł z pokoju. Zaskoczyła go jasność tej nocy. Podniósł głowę i zobaczył pełnię. Ruszył na przechadzkę. Pomyślał, że wzgórze, na którym rozmawiał z Caitlin, będzie teraz pięknie wyglądać, bo wszystko tonęło w złowrogiej poświacie.

Tam znajdzie bezpieczeństwo.

Szedł cicho, wykorzystując indiańskie umiejętności nabyte kiedyś na obozie, gdzie trzask gałązki wszyscy kwitowali niechętnymi spojrzeniami.

Przeszedł przez plac koło parkingu i skierował się ku wzgórzom, które mogło teraz uchodzić za górę, wyglądało niemal groźnie.

Nagle wyczuł, że ktoś go obserwuje.

Obrócił się. Bez wątplenia każdy mógł się znaleźć w pobliżu o tej, nie późnej przecież porze. Nie dostrzegł jednak nikogo, tylko motel i przyczepy, wszystko absolutnie spokojne. Nie było żadnych trzasków samochodowych drzwi, żadnej muzyki, nic.

Dalej więc ćwiczył indiański chód, posuwając się w kierunku wzgórza. Czuł się głupio, ale jednocześnie znajdował w tym rodzaj pewności, nadawał swym lękom inny wymiar, stwarzając pozory pozorów. Uważaj na kowbojów. Jeśli uda ci się cicho uciec, wszystko będzie

w porządku. Taki dreszczyk lęku na obozie był bardzo atrakcyjny, tym bardziej że wychowawcy czasem rzeczywiście chowali się w zaroślach. Chris krzyczał ze strachu, kiedy słyszał ich kroki, wtedy jednak strach był czymś wspaniałym, mieszały się z nim radość i podniecenie.

Teraz jednak trafiły go prawdziwe niebezpieczeństwa. Bycie na widoku. Prawdopodobny rozwód rodziców. Życie.

Stanąwszy na nieco spłaszczonym szczycie, spojrzął na księżyc.

- Fantastyczny, prawda?

Obrócił się. Z dołu nadchodziła Caitlin.

- Nawet cię nie usłyszałem - powiedział. W świetle księżyca wyglądała prześlicznie. Kiedy przyjrzał się jej dokładniej, zauważył, że ma na sobie ciemnozielony szlafrok. - Nie jest ci zimno?

Pokręciła głową i podeszła bliżej.

- Moja ulubiona pogoda - powiedziała, ale skuliła ramiona drżąc.

Chris ściągnął marynarkę.

- Proszę. Włóż to.

Sądził, że będzie ją musiał namawiać, ale usłuchała go z wdziękiem i w milczeniu. Potem podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Ale teraz tobie będzie zimno. Przecząco pokręcił głową.

- Mnie tak dobrze.

Spojrzenie ciemnych oczu szukało tego drugiego.

- Nic ci nie jest? Pewnie nie powinnam tego mówić, ale zobaczyłam cię przez okno i po prostu musiałam zapytać. Nigdy przedtem nie widziałam, żebyś o tej godzinie był na dworze.

- Czyżbyś co wieczór wychodziła na spacer?

- Nie. Ale przed zaśnięciem lubię wyglądać przez okno, szczególnie w czasie pełni. - Zawahała się. - Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły.

- Dlaczego miałbym być zły?

- No, wiesz. Powiedziałaś wprawdzie, że zaopiekujesz się mną i będziesz moim aniołem stróżem, ale to mnie nie uprawnia do zadawania ci tych pytań. Prawdopodobnie masz mnóstwo przyjaciół, z którymi możesz porozmawiać, kiedy chcesz.

- Nie jestem na ciebie zły - powtórzył głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Zaczął zdejmować jego marynarkę.

- Co ty robisz?

- Przecież wyraźnie szukasz tu samotności. Złapał ją za rękę.

- Stój. Nie idź. Chyba że tego chcesz. - Patrzyła mu w oczy, malował się w nich niemal przestach. -

Tylko... nie dawaj się tak. Musisz się nauczyć, jak sobie z tym radzić.

Skinęła głową.

- Wiem. Masz rację. Naprawdę się staram. Westchnął. Jakże właściwie miał prawo, żeby jej radzić, być jej aniołem stróżem?

- Przepraszam - powiedział, puszczać jej rękę. - Nie powinienem ci dyktować, co masz robić.

- Pomagasz mi - powiedziała. - A ja myślałam... - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Nigdy przedtem nie przyjaźniłam się z chłopakiem, więc... - Znowu wzruszyła ramionami. - Może to nawet niemożliwe.

Blask jej oczu bił prosto w niego i w księżycowej poświacie Cait wyglądała tak pięknie, że Chris nagle poczuł nieodparte pragnienie, żeby ją pocałować. Stała obok, czekała, zupełnie jakby specjalnie na niego.

Chris objął ją i pocałował. Doznanie było cudowne, oszołomiło go. Otworzył oczy, chciał ją zobaczyć. I zobaczył. Powieki miała mocno zaciśnięte, tak mocno jakby ścisnął ją potworny ból.

Chris cofnął się i Caitlin otworzyła oczy.

- Przepraszam - wyjąkała. - Muszę iść. - I biegiem zaczęła się oddalać po stoku.

Chciał ją gonić, ale nie był w stanie. Najoczywiejściej zrobił coś, co wzbudziło jej odrazę.

Może wyczuła... Boże.

Odczekał chwilę, żeby nabrać pewności, że się na nią nie natknie, a potem ruszył z powrotem do swojego pokoju, powoli, chociaż teraz chłód przenikał go do szpiku kości.

Marynarka wisiała na klamce drzwi do jego pokoju.

47

Szykują się kłopoty.

- Onyx? - spytał Norman. Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.

- Wymawiasz głośno moje imię? Czyżby nie było w pobliżu twojej damy w krawacie?

- Nie.

- Oho! Teraz ona dla odmiany szuka pociechy poza domem?

- Nie sądzę.

Czemu jest taki spokojny? Onyx spojrzała w drugi koniec pokoju, gdzie Steely siedziała przed telewizorem, zapatrzona w *Fuchę*, jakby od tego zależało jej życie. Cóż, wyobrażała sobie, że sama zostanie nową Cybill Shepherd. Co odpowiednio świadczyło o jej bystrości.

- Posłuchaj - powiedziała Onyx, odwracając się plecami do telewizora. - Zrobiłeś poważny błąd, zdradzając Artowi McCulloughowi moje prawdziwe dane. I nie wykręcaj się, Norman, bo jesteś jedyną osobą, która mogła to zrobić.

- Wcale nie przeczę.

Cholera. Skąd u niego ten pieprzony spokój?

- Musiałeś mu też powiedzieć, gdzie przedtem mieszkałam. - Reklama Eastern Airlines sprawiła, że Onyx zasłoniła wolne ucho ręką. - Przekonasz się, Norman, że miałeś kiepski pomysł.

- Niby dlaczego?
  - Dokumentnie wszystko mi spieprzyłeś.
  - Mniej więcej o to chodziło - przyznał.
  - Nie rozumiesz, że popełniłeś błąd? Jak myślisz, dlaczego dzwonię do ciebie do domu?
- Usłyszała westchnienie.
- No właśnie, dlaczego? - spytał, jakby był najbardziej znużonym człowiekiem na świecie.
  - Zamierzam porozmawiać z Lesley. Pomyślałam, że powinnam cię ostrzec, żebyś mógł mnie od tego odwieść. Nie mam się gdzie podziać. W czasie mojej nieobecności Steely i Alice przyjęły nową współlokatorkę.
  - To nie mój kłopot.
  - Ale Lesley...
  - Lesley i ja rozwodzimy się - powiedział. Kurwa mać.
  - Naprawdę?
  - Owszem. I alimentów też nie będzie. Do widzenia, Onyx. Mam nadzieję, że dostaniesz w życiu to, na co zasługujesz.
- Odwiesił słuchawkę.
- Cholera. I co teraz? Do McCulloughów dzwoniła już trzy razy, ale tej dziwki nigdy nie było w domu. Zastanawiała się, czy warto spróbować po raz czwarty, czy lepiej zniknąć z miasta. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co robić.

48

Jake wysiadł i powiedział kierowcy dobranoc. Dzięki Bogu, Harvey był tego wieczoru chory i w garażu wyznaczono zastępstwo. Ktokolwiek siedział za kierownicą, na szczęście nie odezwał się podczas jazdy ani słowem. Bardzo to Jake'owi odpowiadało, bo przez cały dzień ludzie zawracali mu głowę, zadając niepotrzebne pytania i stawiając żądania nie do spełnienia. W firmie

działo się dobrze. *Księżniczka przeznaczenia* była, o dziwo, absolutnie bezproblemowym filmem, a i praca nad pozostałymi scenariuszami, którymi się zajmowali, szła o wiele sprawniej niż w przewidywaniach Jake'a. Nie mógł jednak odpędzić od siebie wyobrażenia Barbary... Barbary i tego smarkacza z pretensjami.

Jak mógł się tak pomylić w jej ocenie? I co, do diabła, miał teraz robić? W głębi duszy przez cały czas sądził, że Barbara zadzwoni, że wróci do Nowego Jorku, niemal dosłownie deptając mu po piętach, a potem oboje wymażą ten incydent z pamięci.

Wiedział, że Carla miała rację. Rzeczywiście hołdował żałośnie staroświeckiej podwójnej moralności. Kobiety nic dla niego nie znaczyły, czemu więc Barbara nie miałaby myśleć tak samo o mężczyznach? Ale Carla nie знаła Barbary dobrze. Barbara nie była taka. I...

- Pan Grayson?

Początkowo nie mógł skojarzyć tej twarzy. Atrakcyjna młoda kobieta, którą widział niedawno na zdjęciu...

Nagle go olśniło. Ashley Crawford. Jej zdjęcie znajdowało się na stronie redakcyjnej ostatniego wydania „Spotlightu”.

- Co pani tu robi? - spytał, usiłując zawrzeć w tych słowach jak najwięcej niechęci.

- Chcę z panem porozmawiać.

Rzucił okiem na zegarek, było dwadzieścia po dziesiątej. Portier w pozie winowajcy odwracał spojrzenie. - Czy słyszała pani kiedyś o istnieniu telefonu? To jest...

- Nie mogłam się dodzwonić - przerwała. - A wiedziałam, że chętnie się pan ze mną spotka.

- Skąd pani przyszedł taki pomysł do głowy? - Boże, ależ ona ma tupet.

- Niech pan mi zaufa, jestem tego pewna. - Minęła Jake'a i ruszyła w kierunku windy, potem odwróciła się do niego. - Proszę mi wierzyć.

Otwarto drzwi windy, Ashley Crawford pierwsza weszła do środka, za nią Jake, który powiedział „dobry



wieczór" windziarzowi. Nie miał zamiaru prowadzić sprzeczki w publicznym miejscu. Mogli wejść do mieszkania, gdzie było bardziej zacisznie.

Tam postanowił zrównać ją z ziemią.

Kiedy otworzył drzwi, wkroczyła do mieszkania, jakby była w nim przedtem setki razy. Odstawiła teczkę, zdjęła płaszcz i położyła go na krześle.

- Proszę wejść i usiąść - powiedział. - Za minutę będę. - Nie chciał przy niej zdejmować płaszcza, to stworzyłoby zbyt familiarną, swobodną atmosferę.

Ale chwilę później, kiedy zobaczył ją siedzącą w salonie na kanapie, obok zdjęć rozłożonych na stoliku do kawy, uświadomił sobie, że w ogóle nie powinien był jej wpuszczać. Z bliska dostrzegł, kogo przedstawiają zdjęcia: Barbarę koło ich nadmorskiego domu, skuloną z zimna podczas samotnej przechadzki, oraz młodego człowieka wychodzącego z domu.

Spojrzał w oczy Ashley Crawford. Zobaczył wyraz triumfu i wyzwanie.

- Co to jest?

- Proszę dokładnie obejrzeć - powiedziała obojętnie.

- Widzę dobrze. Chcę wiedzieć, co pani zamierza z tym wszystkim zrobić.

- To zależy. Może pan usiądzie - powiedziała. - Proszę się odprężyć. Nie jest tak źle, jak się zdaje.

Podszedł do barku i nalał sobie kieliszek wódki.

- Dla mnie szkocka z lodem! - zawołała.

- Nie dostanie pani nic, dopóki się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- To bardzo proste - zaczęła. Potem otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej paczkę papierosów. Kiedy zapalała, Jake zauważył, że drży jej ręka. Ashley Crawford wypuściła długą smugę dymu, wygodnie się rozparła i skrzyżowała nogi. - To bardzo proste - powtórzyła. - Zamykamy sobotni numer. Ma pan znaleźć się na okładce, razem z żoną. To będzie największy przebój w dziejach „Spotlightu”: „Jake Grayson w separacji z żoną.

Żona znajduje sobie..." Wzruszyła ramionami. - Wszystko jedno. Pomyślałam, że mógłby pan mieć ochotę na udzielenie wywiadu.

- Czy pani nie zwariowała?

- Nie sędzę. Kiedy puścimy te zdjęcia, „Enquirer”, „Star” i reszta zaczną wałkować ten temat na wszystkie strony. My na pewno będziemy pierwsi. Ale oni pójną za nami.

- No i co?

Zanim odpowiedziała, wyciągnęła nogi i głęboko zaciągnęła się dymem z papierosa.

- Na pewno pan wie, że możemy podejść do tej sprawy na różne sposoby. Jeśli zechcemy, okażemy dużo delikatności. Damy długi, wyłącznie nam udzielony, wywiad na temat pułapek i problemów gwiazdorstwa oraz presji, która w końcu okazała się zbyt wielka nawet dla tak scementowanego małżeństwa jak pańskie. Puścimy zdjęcie nadmorskiego domu, i do tego jeszcze na przykład rozdarte zdjęcie pana i żony. Albo... - Znowu zaciągnęła się dymem -... rzucimy na pierwszą stronę trzy duże głowy: pańską, żony i tajemniczego młodzieńca, i dołączymy wielki tytuł głoszący, iż Barbara ucieka do nadmorskiego gniazdka miłości z młodym kochankiem. Nawiasem mówiąc, czy wie pan, że zwrot „miłosne gniazdko” przetłumaczony dosłownie na francuski brzmi *rud d'amour*. Ciekawe, prawda?

- Wynoś się - powiedział wstając. Nie drgnęła.

- Ostrzegam cię.

Teraz na niego spojrzęła.

- Przed czym? - spytała z groźbą w głosie. - Cóż takiego zrobi wielki Jake Grayson? Nie proszę o nic nie do pomyślenia. Chodzi mi tylko o wywiad.

- Nie bądź śmieszna. Ludzie, którzy chcą przeprowadzić przyzwoity wywiad, nie zaczynają od gróźb.

- Skąd pan wie, jaki będzie ten wywiad, zanim go pan udzielił?

- Fałszywą dziwkę poznaję na pierwszy rzut oka.

Gdybym choć przez chwilę sądził, że ten wywiad może okazać się przydatny, przyzwoity albo ciekawy, to udzieliłbym ci go bez gadania. Ale zamiast tego powiem ci dwie rzeczy, które zamierzam jutro przekazać Ellie i twoim szefom. Po pierwsze, wprawdzie Ellie sama o sobie decyduje, więc nie muszę się nią przejmować, ale poradzę jej, żeby poszukała sobie nowego zajęcia. Ponieważ, i to po drugie, wybieram się do twoich zwierzchników, żeby upewnić się, czy wiedzą, w jaki sposób załatwiasz interesy.

Obdarzyła go kocim uśmiechem.

- Zaskakuje mnie pańska naiwność, Jake. Czy naprawdę pan sądzi, że oni nie wiedzą?

- Możemy po prostu sprawdzić.

- Och, proszę posłuchać. Ellie lubi swoje zajęcie, a my trzymamy ręce z dala od naszych pracowników. Ale moglibyśmy zacząć publikować również efektowne artykuły o pańskich dzieciach. Ludzie tylko na to czekają. A nie wątpię, że udałoby się nam wynaleźć bardzo smakowite kąski.

Usiadł.

- Chwileczkę. Nie odgrażasz mi się chyba z takim zacięciem tylko po to, żeby dostać wywiad.

- Najlepiej niech pan sprawdzi. - Przekrzywiła głowę. - Może wydaję się trochę natrętna, ale naprawdę nie byłabym taka, gdybym sądziła, że mam inne wyjście.

i proszę mi wierzyć, że chodzi tylko o wywiad.

Wysączył łyk wódki. Do diabła, co właściwie miał zrobić? Najchętniej postąpiłby tak, jak powiedział.

Wyprosił ją, a następnego dnia zadzwonił do jej szefów. Ale wtedy razem z nią zniszczyłyby prywatność Barbary... i Chrisa także, gdyby udało im się czegoś doszukać. A zważywszy na Paryż i wszystkie te pytania...

Cholera.

- To naprawdę ironia losu - powiedziała Ashley, znów krzyżując nogi. - Nigdy nie podejrzewałam pana o taką hipokryzję.

- O czym ty mówisz?

- Od lat ochoczo karmi pan ludzi takim daniem, ale sam nie życzy sobie wystąpić jako kąsek choćby tylko raz. Zawsze podziwiałam pańską niezłomność wobec tylu sław: nie narzekaj na ciężary gwiazdorstwa, zostałeś aktorem, a gdyby nie publiczność, nie byłbyś dzisiaj tym, kim jesteś. Głosi pan, że wszystko kupuje się z dobrodziejstwem inwentarza. Nawet więcej, absolutnie nikomu nie pozwala pan narzekać w programie na utrudnienia w życiu prywatnym. Ale osobiście nigdy pan nie udziela wywiadów.

- Jestem w różnych domach na ekranie przez cztery wieczory w tygodniu. To wystarczy. A jeżeli mam coś ciekawego do powiedzenia, to udzielam wywiadów, Ashley. Na przykład kiedy nasza fundacja przyznaje doroczne nagrody. Albo kiedy zbieram pieniądze na cele dobroczynne.

- Uhu, fascynująca lektura - powiedziała, gasząc papierosa. - Pańska opinia o pracy jakiegoś młodego dramaturga. Albo wynurzenia w sprawie bezdomnych. Bardzo kontrowersyjne. Jest pan przeciwko głodowi i cierpieniom. Kiedy zdobędzie się pan na trochę uczciwości, Jake?

- Nie próbuj mnie podpuszczać, Ashley. Jesteś na to za młoda, a ja za stary.

- Wcale nie podpuszczam. Proszę posłuchać: chcę dostać od pana szansę. Zobacz pan, że nie proszę o wiele. Chodzi o artykuł. Pan zachowuje przecież kontrolę nad swoimi wypowiedziami. Wywiad będzie nagrywany. Nie mogłabym wcisnąć tam nic, czego nie ma na taśmie, czego pan nie powiedział. Dopił wódkę. Cholera. Ashley pominęła, z pewnością świadomie, zasadniczą kwestię. Jake zawsze uważał, że sława nie jest wystarczającym powodem do wywlekania szczegółów życia osobistego, nawet bardzo znanych postaci. Bez względu na stanowisko i pozycję człowiek ma prawo do obszarów prywatności. Nie znosił natomiast gwiazdorów, szczególnie telewizyjnych, którzy od dawna mieli ustaloną pozycję i dość dwuznaczną relację z pub-

licznością. Tydzień w tydzień przychodził do programu ktoś, kto narzekał na to, że nie może iść do supermarketu albo spokojnie przejść ulicą. Skarżono się też na ostatnie artykuły prasowe i plotki z kolumn towarzyskich, chociaż Jake doskonale wiedział, że w rzeczywistości to nikt inny tylko agenci biadających gwiazd dostarczyli materiały dziennikarzom „Star” albo „Enquirer”. Ta dwulicowość doprowadzała go do szału.

On nigdy nie był dwulicowy. Mówił o tym, co uważał za warte szerszego przedstawienia, zawsze i w każdej sytuacji dawał autografy, jeśli go poproszono, ale prywatne życie miał tylko dla siebie.

Gdyby jednak odpowiedział Ashley „nie”, życie całej rodziny zostałoby wystawione na widok publiczny. Wiadomość o separacji tak czy owak musiała się przedostać do prasy. Czy nie lepiej było więc wesprzeć artykuł na ten temat własnymi słowami i przynajmniej do pewnego stopnia ocalić prywatność rodziny?

- Zgoda - powiedział wstając, żeby nalać sobie następnego drinka. - Możemy spróbować. Ale przyrzekam ci, że będzie to najbardziej lakoniczny wywiad, jakiego ci udzielono.

- Chcę tylko parę słów pod zdjęcia - powiedziała spokojnie. - I szkocką z lodem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

49

Niedobrze mi - powiedziała Barbara, opuszczając szybę. - Takiego rozstroju nerwowego nie miałam od lat. - Mdlilo ją od widoku drogi i obrazów uciekających do tyłu. I od ohydnie płynnego bujania samochodu.

- Nie mów mi, że będziesz rzygać - powiedziała Joanna.

- Nie będę, tylko potrzebuję trochę świeżego powietrza.

- Przede wszystkim zasunąć tę szybę. Byłoby dobrze przeczekać jesień bez zapalenia płuc, Barbaro. Weź valium. Zawsze noszę w zewnętrznej kieszonce torebki. A jeśli chcesz xanax, to zajrzyj do środka, tam też jest kieszonka, zapięta na zamek.

- Masz inne propozycje?

- Owszem, czemu nie. Mała witamina C ci nie zaszkodzi. Wiesz, na stres i różne takie. Leżą tu gdzieś w takim dużym plastikowym pudełku.

- Nie, dziękuję. Gryzą mnie w język.

Barbara spojrzała na pobocze. Właśnie zniknął jej sprzed oczu barek z małżami, przy którym zawsze przystawali z Jakiem. Uświadomiła sobie, jak miło spędzali weekendy. Jake był szczęśliwy i ona była szczęśliwa, i robili wszystkie te rzeczy, które sprawiają, że warto być razem: chodzili na spacerki wzdłuż brzegu, przygotowywali obiady, zapraszali przyjaciół. Ale musiała przyznać, że to ona stawiała bariery dla seksu, utrudniała nawet rozmowę na ten temat. Może jednak teraz była na to gotowa?

- Czy chcesz sobie jeszcze raz przypomnieć, co masz powiedzieć? - spytała Joanna.

- Chyba nie potrzebuję - odparła Barbara. - Myślę, że mój powrót załatwi połowę sprawy. Wystarczy, że Jake zobaczy mnie w domu, stwierdzi, że już nie jestem z... - Zadrzała. - Boże, jak mam zachować spokój, jeśli wypowiem imię tego człowieka?

- Barbaro...

- Dobra. Chodzi o to, żeby Jake zorientował się, że wróciłam. I wtedy... - zawahała się.

- Wtedy powiesz mu, że możecie porozmawiać, że miałaś dużo czasu na przemyślenie spraw i jesteś gotowa zostać, jeżeli będziesz pewna autentyczności waszej komunikacji.

- Nie mogę mówić o autentyczności komunikacji. To brzmi, jakbym wracała prosto z poradni małżeńskiej.

- No to powiedz...

- Myślę, że wiem, co powiedzieć - ucięła. Słuchając

bowiem Joanny i jej sugestii, uświadomiła sobie, że naprawdę to wie. Kochała Jake'a. Nie chciała go stracić. I nie chciała, żeby on stracił ją. Wiedziała też, że jeśli znajdzie właściwe słowa we właściwej chwili, jeśli uda się zapomnieć urazy i zacząć od nowa, to będą mieli wiele, bardzo wiele do uratowania. I Jake będzie o tym wiedział również.

Duża część winy spadała na nią. Może zresztą „wina” nie była odpowiednim słowem, może doszukiwanie się jej stanowiło pierwszy w długiej serii błędów, jakie oboje popełnili. Wiedziała jednak, że i ona się myliła przez te lata. To nie było tak, że Jake sobie za dużo pozwalał. Ale gdyby tak bardzo jak ona chciał jeszcze raz spróbować od początku, to może udałoby im się wszystko ułożyć. Pragnęła, żeby ta jazda do miasta już się skończyła.

Jeśli sobie życzysz, żebym z tobą weszła, to nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Joanna, zatrzymując samochód koło drugiego, już stojącego przy krawężniku.

- Nie. Dziękuję, ale nie. Chcę się spotkać z Jakiem sam na sam. I dziękuję, że przyjechałaś i tak dokładnie wszystko ze mną obgadałaś. Doprawdy...

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Joanna. - Setki razy robiłaś to samo dla mnie. - Odwróciła się i uklękawszy na siedzeniu, sięgnęła po bagaż Barbary. - Proszę. Pozwól tylko, że...

- Au! Cholera jasna! - Miała wrażenie, że wybito jej oko. Joanna wyjątkowo nieszczęśliwie zamachnęła się walizką.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Joanna. - Czekaj, zobaczę, co ci się stało.

Barbara zasłaniała oko dłonią. Piekło ją i bolało jak cholera.

- Pozwól spojrzeć.

Barbara poczuła wilgoć i raptownie oderwała dłoń od oka. Krew. O Boże.

- Nie wpadaj w panikę - powiedziała pewnym głosem Joanna. - Ta krew nie jest z oka. Masz skaleczenie u nasady nosa. Popatrz. - Obróciła samochodowe lusterko i Barbara spojrzała w tym kierunku zdrowym okiem.

- Poczekaj. Włączę światło - powiedziała Joanna.

- Nie rób tego - szybko zaprotestowała Barbara. - Pomóż mi tylko wydostać bagaż na chodnik, a na górę wniosę już sama, dobrze?

- Pójdę z tobą. Nie chcę, żebyś zemdląła w windzie.

- Nie zemdleję.

- A ja cię nie zostawię samej - powiedziała Joanna, gasząc reflektory i wyłączając zapłon.

Barbara westchnęła i wysiadła, po czym odczekała chwilę, aż Joanna poradzi sobie z nieszczęsną walizką. Podbiegł jednak portier i wziął bagaż, toteż po chwili obie znalazły się w windzie, a Barbara gorzko żałowała, że przez to zamieszanie z okiem straciła szansę na spotkanie z Jakiem bez asysty. Oczywiście, jeśli Jake w ogóle był w domu.

- Pomóc ci? - spytała Joanna, widząc, że przyjaciółka mozoli się, szukając kluczy.

- Nie, już je mam - odparła Barbara, usiłując nie okazać irytacji.

Włożyła klucz do górnego zamka, ale się nie obrócił. Znaczyło to, że Jake jest w domu.

Otworzyła więc drzwi i natychmiast usłyszała kobiecy głos.

Z niechęcią spojrzała na Joannę.

Joanna uniosła brew i wykonała ruch ku wejściu.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Barbara. - Wejdę pierwsza.

Zabawny był ten cały dramat. Kobiecy głos mógł należeć do kogoś zaprzyjaźnionego, może nawet do Carli.

Kiedy podeszła do drzwi salonu, stwierdziła jednak, że to nie Carla tylko młoda blondynka z nogami po szyję siedząca na kanapie obok Jake'a. Oboje zastygli jak na fotografii, wpatrzeni prosto w nią.

- O - powiedziała.



- O, witaj! Witajcie obie... Co ci się stało w oko?
  - Nic groźnego - odparła oschle. - Przyjechałam tylko zabrać jeszcze parę rzeczy.
  - Barbaro, poczekaj.
- Obróciła się i wychodząc z pokoju, omal nie wpadła na Joannę.
- Cześć, jestem Joanna Krause - usłyszała, będąc już w drodze do sypialni. Za nią rozległy się kroki, bez wątpienia Jake'a. Złapał ją za ramię, akurat kiedy doszła do drzwi.
  - Nie dotykaj mnie - warknęła wyrywając się. Wszedł za nią do pokoju i zamknął drzwi.
  - Czy oko masz w porządku? Pozwól, że zobaczę.
  - Nic mi nie jest. Joanna niechcący zawadziła mnie walizką, kiedy wysiadałam z samochodu.
  - Powinnaś przemyć. Coś z tym zrobić.
  - Wszystko jest w porządku. Westchnął.
  - Wiesz chyba, kto tam siedzi, co? Ashley Crawford.
  - Ashley?... Skinął głową.
  - Wyjaśnię ci później.
  - Wyjaśnij teraz. Co ona tu robi?
  - Powiedziałem: później. Ważne jest... - Westchnął. - Chcę, żebyś przemyła oko i wróciła do salonu razem ze mną, zgoda?
  - Nie, dopóki mi nie powiesz, co ona tu robi. Czy to ma coś wspólnego z Ellie?
  - Nie bezpośrednio.
  - Jake, nie będę z tobą grać w dwadzieścia pytań. Oczy zalśniły mu w gniewnym błysku.
  - Do diabła, Barbaro. Nie byłoby jej tutaj, gdyby nie ty i ten... ten szczeniak. Próbuję wyprostować to, co ty namotałaś.
  - O czym ty mówisz?
  - O twoim miłym gościu. W „Spotlightcie” mają jego zdjęcia. I zamierzają zrobić z nich ozdobę artykułu o naszej separacji.

Zrobiło jej się duszno.

- Namąciło się strasznie - powiedział. - Próbuję trochę rozjaśnić obraz. W każdym razie próbowałem.

- Spojrzał na drzwi. - Lepiej, żebym wrócił jak najszybciej do salonu i zaczął łagodzić sytuację.

- Poczekaj chwilę. - Porozmawiamy później. - Wyszedł trzaskając drzwiami.

Barbara usiadła na łóżku i przygryzła kciuk. Boże. „Spotlight"! Ale co właściwie wyobrażał sobie Jake? Przecież nawet nie znał sytuacji. Co on mówi tej kobiecie?

Drżącymi dłońmi przemyślała oko. Było z nim dużo lepiej, niż jej się wydawało. Właśnie wychodziła z łazienki, kiedy drzwi się otworzyły i wrócił Jake.

- No, poszła.

- Poszła?

- Tak, poszła. Joanna powiedziała, że w dwie sekundy po moim wyjściu z pokoju chwyciła teczkę, płaszcz i wybyła.

- Ale dlaczego?

- To jest robota dla szybkich - powiedział kwaśno. - Mają przebój. Prawdopodobnie w sobotę znajdziesz tę historyjkę w stoiskach z prasą.

- Co jej powiedziałaś?

- Dlaczego nie zaczniemy raczej od tego, czego jej nie powiedziałem? - rzucił Jake. - Nie powiedziałem na przykład, kim był twój młody przyjaciel. Bo nie wiem.

Odwróciła się. - Barbaro.

- Nie rób tak, Jake. To nie jest w porządku.

- Cóż to ma znaczyć?

Stała twarzą w twarz z mężem.

- A to, że nie masz prawa. Raz, dokładnie raz w ciągu trzydziestu lat, zrobiłam błąd. Jeśli w ogóle zrobiłam. Porównaj to ze swoją listą.

Przeszła obok niego.

- Przyślę jutro kogoś po więcej moich rzeczy - dodała przez ramię. - Zostaję u Joanny. - I zatrzasnęła za sobą drzwi.

50

Caitlin dopiła kawę, zrobiła kilka kroków i odstawiła filiżankę poza zasięgiem kamery. Boże, jaka była szczęśliwa. Skończyła trudną scenę z Jane Wycroft, kłótnię pod starym więzaniem. Nie dość, że skończyła, to wszystko jej się udało. Wciąż jeszcze bała się spojrzeć partnerce w oczy. Przecież Jane Wycroft była żywą legendą... ale Art nic nie wspominał na ten temat, a ona teraz stwierdziła, że jej zachowanie chyba nieźle pasowało do roli Audrey Adams.

Poza tym w powietrzu unosił się wspaniały zapach. Wszystkim było trochę zimno, jesień zagościła na dobre, ale Caitlin czuła się jak dzikie zwierzę trzymane dotąd w klatce i nagle wypuszczone na wolność.

Wydawało jej się, że będzie się bała grać wśród tych wszystkich gapiów, z których wielu było zupełnie obcych, okazało się to jednak nie takie straszne, tym bardziej że prawie wszyscy darzyli Jane Wycroft nabożnym podziwem. Poza tym widzowie przypomnieli jej Cudebackville. Te twarze, te czerwono-czarne i zielono--czarne kraciaste stroje drwali, a do nich prawdziwe robocze buty i kalosze, po których było widać przeddeptane kilometry lasów, i...

Nie wierzyła własnym oczom. Spojrzała jeszcze raz i odwróciła wzrok. Boże. Czyżby?... Siwoblond włosy, te same niebieskie oczy, nowa sukienka. Między gapiami znajdowała się jej matka. Patrzyła prosto na nią.

Kochanie, jak ślicznie wyglądasz. Caitlin nic nie odpowiedziała. Dziennikarz z lokalnej gazety robił zdjęcia, starała się więc wyglądać jak naj-

gorzej, mając nadzieję, że wyniki jego pracy nie będą się nadawać do publikacji. Ona i matka. Nie do wiary.

- Podejdź trochę bliżej, kochanie, żeby zdjęcie lepiej wypadło.

Caitlin ani drgnęła.

Stały przed jedną z przyczep, bo gdy tylko Art ogłosił przerwę, matce natychmiast zachciało się „rozmowy”. A lepsze od tego było wszystko, nawet wspólne pozowanie.

Dziennikarz przestał pstrykać i aparat z powrotem zawisł mu na brzuchu.

- Cholera, szkoda, że nie ma tu żadnego z naszych stałych fotoreporterów.

- Moja córka i tak będzie ślicznie wyglądać, wszystko jedno, kto robił zdjęcia! - wykrzyknęła Nancy.

Caitlin spojrzała na nią złym wzrokiem. Kogo ona chce oszukać tym udawanym szczęściem? „Moja córka”, zupełnie jakby nie rozstawały się ani na dzień.

- Dobrze, zajmijmy się teraz tekstem do tych zdjęć - powiedział dziennikarz.

Uśmiech Nancy znikł, a serce Caitlin zaczęło łomotać.

- Co się stało, mamusiu? Czemu nie zaczynasz? - Po raz pierwszy Nancy nie dostała szału z powodu nazwania „mamusią”, ale oczywiście dziennikarz stał tuż przy nich.

- Ja... - Miała wielkie i wystraszone oczy krowy, tyle że niebieskie. - Moja córka i ja chciałybyśmy mieć teraz trochę czasu dla siebie - powiedziała z nie udawanym drżeniem w głosie. - Wrócimy do pana, zgoda? Pan rozumie, tyle czasu... - I wzięła Caitlin za ramię.

Caitlin się wyszarpnęła.

- Co... - zaczęła matka.

- Nie dotykaj mnie.

- Dokąd idziemy? - spytała Nancy, gramoląc się po żwirze, żeby dotrzymać kroku córce.

Caitlin przystanąła.

- A dokąd chciałybyś iść? - Prawie krzyczała. Oczy matki przypominały teraz szparki.

- Caitlin, co się z tobą dzieje?

Caitlin spojrzała za jej plecy. Dziennikarz, wciąż czytał w okolicach przyczepy służącej za garderobę, była jednak prawie pewna, że ich słowa jeszcze tam słyhać.

- Jeśli chcesz, to powiem ci tu i teraz - rzuciła Caitlin. - Albo możesz poczekać na to, póki nie znajdziemy się w dyskretniejszym miejscu. - Głos jej lekko drżał, ale była w nim także siła, twardość stali.

Nancy wyglądała na zmieszaną.

- Nie wiem, dokąd iść, Caitlin. - Wyglądała staro, od nosa do ust ciągnęły jej się zmarszczki. - Może po prostu pospacerujemy? - powiedziała cicho.

Caitlin pamiętała ten cichy głos. Kiedyś mówiła nim na przykład: „Wychodzę tylko do sklepu, dziecko, będę za dwadzieścia minut”. Wracała po trzech godzinach, gdy Eugene od dawna już był w domu. Ten cichy głos zawsze kłamał.

- Chcę tylko wiedzieć, po co przyjechałaś - powiedziała Caitlin. - Jeśli po pieniądze, to nie mam, bo wszystkie oddałam. - Oddałaś? Komu?

- Nieważne. - Właściwie skłamała, bo planowała dać Craigowi jedynie to, co już miał. Wszystko jedno. - Więc po to przyjechałaś...

Nancy przystanąła przed nią.

- Caitlin, jak mogłaś pomyśleć, że przyjechałam tylko po pieniądze?

- Bez zbędnych pytań, dobrze?

- Gdzie ty się nauczyłaś w ten sposób odzywać?

- To jest akurat kwestia Audrey, postaci, którą gram w filmie. Zostało mi jeszcze w zapasie sporo takich wyuczonych kwestii.

- Hardo mówisz. Masz paskudnie zacięty głos.

- Wiesz przecież dobrze, że mocny człowiek nie musi być zły - odparła Caitlin.

- A ty wiesz, że nie musisz być wobec matki taka zacięta.

Znowu ten cichy głos. Co Nancy tutaj robi?

Caitlin ruszyła dalej. Droga była ładna, szeroka, wiodła przez las. Caitlin chadzała nią na spacerzy podczas przerw na planie i popołudniami.

- Chciałabym wiedzieć, po co przyjechałaś - powiedziała, nie patrząc na matkę. - Musiałaś przecież mieć jakiś powód po tylu latach.

- Dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz mnie widywać. Dwie karty rocznie. Nawet nie przysyłaś urodzinowej karty do Freda.

Caitlin uśmiechnęła się.

- Dlaczego miałabym wysyłać kartę do Freda? Na szczęście dla mnie, nigdy w życiu go nie widziałam. O co ci chodzi? - Czy to następna kwestia z twojego filmu? Mam wrażenie, że grasz postać, w której jest sporo zajadłości.

- Audrey jest początkowo niedoświadczoną dziewczyną, ale w końcu staje się kobietą. Bogatą i wpływową. I wiesz, co w tym jest ciekawe? Zaczyna tak jak ja, w biedzie i z matką, dla której dzień w dzień jest powietrzem.

- O czym ty mówisz? Kto ci szył te wszystkie ubrania? Kto przyrządzał posiłki? - Machnęła lewą ręką, oparzoną w tamtych dniach. - Kto ma na zawsze bliznę od gotowania? Dawniej dzień w dzień mnie pytano: „Skąd masz taką okropną bliznę, Nancy?”

- To nie była moja wina. - To ty przewróciłaś garnek.

- Miałam wtedy pięć lat! - wykrzyknęła Caitlin.

- Wylałaś zupę dlatego, że nie chciałam cię puścić z ojcem na polowanie. Wściekłaś się i oparzyłaś mnie.

- Oszalałaś.

Caitlin ruszyła szybszym krokiem. Wydawało jej się, że nie może złapać tchu, zupełnie jakby zanikały jej płuca; tak samo czuła się w te ranki, kiedy nie była w stanie iść do szkoły.

Matka stanęła i chwyciła ją za ramiona.

- Przyjechałam tu jako przyjaciółka, Caitlin. Matka i córka powinny żyć w przyjaźni. A ty zaczynasz mówić o przeszłości.

- To ty zaczęłaś, wyciągając rękę. Dlaczego mówisz o tym, jakby wydarzyło się wczoraj? - Czuła na ramionach chłodne, kościste palce matki, ale coś powstrzymywało ją przed strąceniem ich. Coś powstrzymywało ją też przed powiedzeniem wszystkiego, co chciała. Czuła się znów jak mała dziewczynka spoglądająca w wielkie niebieskie oczy matki z poczuciem winy, wielkiej winy. Caitlin odwróciła spojrzenie. Czemu matka się od niej nie odzepi? Ścisnęła ją teraz niczym chłodne imadło.

- Caitlin. I ten głos.

Caitlin zamknęła oczy.

- Kochanie, czyżbyś nie wiedziała, że w to, co mówisz, nikt nie wierzy? Twój tatuś nigdy ci nie wierzył, ani wtedy, gdy wykręcałaś się od szkoły, ani kiedy mnie oparzyłaś. Eugene też nie. Często leżał przy mnie w łóżku, patrzył w sufit i mówił: „Co zrobimy z Caitlin i jej ciągłymi kłamstwami?” A ja odpowiadałam: „To nie są kłamstwa. To tylko fantazjowanie”. A on wtedy: „Ale robi się z tego poważna sprawa”. - Pokręciła głową. - Widzę, że nie zmieniłaś się ani trochę. Próbujesz mnie straszyć dziennikarzem. Niby dlaczego miałby ci uwierzyć?

- W co?

Matka puściła ją i ruszyła dalej.

- Mów sobie, co chcesz! - zawołała przez ramię. Caitlin ani drgnęła. Nie miała zamiaru iść za matką. Niech sobie idzie sama, ona się stąd nie ruszy, po prostu będzie stała. Nancy przystanąła i obróciła się.

- Chodź, Caitie, przejdź się ze mną.

Caitlin pokręciła głową. Czuła się na wpół małą dziewczynką, a na wpół staruszką.

- Caitlin, jechałam prawie sto kilometrów, żeby cię zobaczyć.

- Po ilu latach?

Matka rzuciła jej lodowate spojrzenie.

- Więc chcesz, żeby tak zostało, prawda? Rozumiem, że nie masz już czasu dla nikogo poza sobą.

- To nieprawda.

- Najprawdziwsza prawda - powiedziała Nancy. - Przyjechałam tu, żeby się z tobą pogodzić, ale ty jesteś teraz na to za wielka. Po tych wszystkich latach...

- To nieprawda. Matka kręciła głową.

- Myślisz, że nie znam ciebie i twoich paskudnych zwyczajów. Odrzucasz ludzi jak bezwartościowe śmiecie. Matka dla ciebie nie istnieje.

- Zostaw mnie samą. - Caitlin zdecydowała się zawrócić. Kolana uginały się pod nią tak samo jak za każdym razem, gdy miała zostać sam na sam z Eugene'em.

Usłyszała za sobą kroki matki i chwiejnie zerwała się do biegu.

- Caitlin! - Od strony planu dochodził ją męski głos. - Caitlin!

Boże, to Chris! Spojrzała za siebie. Nancy maszerowała tak szybko jak chyba nigdy w życiu.

Chris minął zakręt i Caitlin wpadła mu prosto w ramiona.

- Skąd wiedziałeś? - wyszeptła.

Matka już była obok nich. Ale Chris nadal otaczał Caitlin ramieniem. Nawet wtedy, gdy obróciła twarz do matki.

- Usłyszałem, że masz niespodziewanego gościa - powiedział, patrząc na Nancy. - Chciałem się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Nancy zmrużyła oczy.

- Jestem jej matką. A ona świetnie się czuje.

- Chris, nie idź. - Caitlin mocniej objęła go w pasie.

- Nie pójdę, chyba że będziesz tego chciała - odpowiedział cicho.



Boże, kochała go. Czy to możliwe?

Spojrzała na matkę. Nancy miała zbielałą twarz, wargi jak dwie cienkie linie i zaciśnięte pięści.

- Chris, odprowadź mnie na plan, proszę.

- Oczywiście.

Przyciągał ją do siebie tak mocno jak jeszcze nikt. Na szczęście, bo nogi odmawiały Caitlin posłuszeństwa.

Nasłuchiwała przez chwilę, ale nie usłyszała za sobą żadnych kroków.

- Chcesz wrócić do pokoju? Art wie, że masz kłopot. Pokręciła głową.

- Jeżeli Art jest gotów do pracy, to ja też.

Pięć minut później zobaczyła kątem oka matkę wracającą do samochodu. Dziennikarz gonił ją biegiem i Caitlin pomyślała, że Nancy naopowiada mu masę kłamstw.

Ale matka wsiadła do samochodu i zapaliła silnik, a dziennikarz znieruchomiał z rękami na biodrach.

- Stop! - usłyszała okrzyk Arta.

Spojrzała na niego. Boże, nawet nie mogła sobie przypomnieć, co ma robić.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Nozdrza Arta rozszerzyły się. Oho, teraz i on jest wściekły.

Spojrzała jeszcze raz za samochodem, zobaczyła obłok kurzu, który wzbił się za bagażnikiem.

Przygryzła wargę, łzy cisnęły jej się do oczu. A jeśli już nigdy jej nie zobaczysz? - pomyślała. To twoja matka, a ty ją zwyczajnie odprawiłaś.

Ale mimo zdenerwowania była też trochę zadowolona. Matka próbowała ją zastraszyć i to się jej nie udało.

Otarła oczy i spojrzała na Arta.

- Już dobrze - powiedziała. - Zacznijmy od początku, zgoda?

Chris był w euforii. Szedł z Caitlin główną ulicą miasteczka i szukał miejsca, gdzie można coś zjeść. Być może wygląd tej miejscowości, nierzeczywisty, bliski doskonałości widokówki, sprawił, że i jego szczęście wydawało mu się nierzeczywiste. Nadchodziła burza i wszyscy poruszali się w przyśpieszonym tempie. Psy gnały po ulicy z opuszczonymi łbami i podkulonymi ogonami, sklepikarze zgarniali towary z chodnika, a niebo ciemniało z każdą chwilą.

Caitlin zachowywała się jak tubylec, pozdrawiała ludzi, którzy przechodząc uśmiechali się do niej. Przy niej również Chris czuł się swojsko, szli pod rękę długą ulicą, która bardzo przypominała Caitlin tę zapamiętaną z lat dzieciństwa.

Paryż wydawał mu się teraz absolutnie nierealny i odległy, zupełnie jakby nic się tam nigdy nie stało.

- Szkoda, że jutro musimy wyjechać - powiedziała Caitlin. Przechodząc obok fryzjera westchnęła. -W pewnym sensie chciałabym, żebyśmy zostali tutaj na zawsze, mimo że zdarzyło się tu również wiele złego... że była sprawa z Craigiem i z moją matką. I że tak drętwo się przy tobie zachowałam.

- Przestań - powiedział.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że wtedy moja ucieczka nie miała nic wspólnego z tobą.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Oczywiście, ale chcę, żebyś wiedział o pewnych sprawach - powiedziała cicho.

Siedzieli przy stoliku koło okna w miejscowej kawiarni, zapuszczonej, ciasnej i bezludnej norze przy końcu głównej ulicy. Odkąd tam weszli, drzwi nie otworzyły się już ani razu, chociaż deszcz zalewał chodniki.

- Nie rozumiem, jak możesz być taka spokojna - powiedział Chris, ujmując dłoń Caitlin. Tak wiele mu przed chwilą wyznała, opowiedziała wszystko o dzieciństwie i mężczyznach, którzy w nim byli. Mówiła to jednak takim tonem, jakby recytowała listę zakupów w piekarni.

Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Przecież mam to dawno za sobą. Spojrzał jej w oczy. Wyraźnie nie mówiła prawdy, próbowała nie objawiać poruszenia i bólu, ale jej się nie udawało.

- Jak sądzisz, dlaczego twoja matka tu dzisiaj przyjechała?

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Czy ja kiedykolwiek wiem, dlaczego ona coś robi? Pewnie ma setki szalonych powodów. - Urwała. - Nie chcę jej znać. - Łzy napływały jej do oczu. - Wiem, że nie powinno się w ten sposób. Podobno dla dziewczyny matka jest najlepszym przyjacielem, którego prosi się o radę, i tak dalej. Mnóstwo o tym czytałam. - Wbiła wzrok w stół. - Ale widzisz, ja naprawdę myślę... myślę, że zostałam oszukana. Ze wszystkim, co było w moim życiu ładne. To trudno zrozumieć, ale kochałam i ojca,

1 na swój sposób Eugene'a. Kiedyś przeczytałam w jakimś artykule, że dziewczyna czy kobieta nigdy nie dojrzeła naprawdę przed śmiercią swojej matki. Nie wiem, czy to samo odnosi się do mężczyzn i ojców, ale kiedy przeczytałam ten artykuł, nie mogłam od niego oderwać oczu. Kto miał odwagę coś takiego napisać? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinął głową.

- I kto to był?

- Nie wiem. To był poważny artykuł w jakimś kobiecym magazynie. Patrzyłam na niego bez końca. - Zmarszczyła brwi. - Takich rzeczy się nie mówi. Nawet jeśli są prawdą.

- A ty myślisz, że są prawdą?

- Nie lubię o tym myśleć. Tę część życia mam już za

sobą. Teraz chcę, żeby wszystko było normalne, chcę zacząć od nowa.

- Może właśnie o to chodziło autorowi - powiedział. - Jeśli jesteś mocna, umiesz sobie poradzić nawet wtedy, gdy nikt nie umiera.

Wzruszyła ramionami.

- Możliwe. Pomyślałam sobie jednak, to znaczy tylko tak się zastanawiałam... że może... Bo widzisz, twoja siostra pisze, więc może pomogłoby komuś, gdybym opowiedziała, co mi się przydarzyło z Eugene'em i w ogóle, no, że takie rzeczy mogą się zdarzyć, a ty jesteś całkiem w porządku. Teraz pisze się o takich rzeczach, ale i tak jeśli coś ci się przydarzy, to nigdy nie możesz się dość nacytać, więc gdybym może... nie wiem.

- Myślę, że to świetny pomysł - powiedział. - Ale dopiero kiedy na pewno będziesz do tego gotowa.

- Nie wiem - powiedziała, spoglądając w kawę. - Może jednak pomysł jest beznadziejny. Tobie się udało, że masz zupełnie normalne wychowanie.

Uśmiechnął się.

- Żartujesz. Naprawdę myślisz, że ktoś może mieć coś takiego? To chyba wielki mit, że istnieje normalność.

Nie odezwała się, a Chris wyjrzał przez okno. Deszcz prawie ustał, ale na zewnątrz było ciemno.

- Nie masz nic przeciwko powrotowi piechotą? - spytał. - Mogę też iść sam i przyjechać po ciebie samochodem. Albo możemy zadzwonić po samochód.

Pokręciła głową.

- Nie wygłupiaj się. Ale czy ty nie miałbyś nic przeciwko małym zakupom? Muszę wpaść do drogerii.

- Proszę bardzo. Tylko poczekaj, aż zapłacę. Wręczył kelnerce pieniądze i Caitlin wzięła go za rękę, jakby było to coś najnaturalniejszego na świecie. Wyszli na dwór, jeszcze mżyło.

- Boże! Odetchnij głęboko! - powiedziała, wykonując kilka tanecznych kroków na chodniku. - Od lat nie wahałam deszczu.

- Nie jeździłaś z Craigiem za miasto, żeby trochę pooddychać i popatrzeć dookoła?

Pokręciła głową.

- On nie miał ochoty na takie rzeczy. Ile razy wyjeżdżaliśmy z miasta, psuł się nam samochód.

Spojrzała mu w oczy. - Ale nie mówmy o Craigu, zgoda? Mam niezbyt miłe wspomnienia.

- Nie musimy - zgodził się.

Czuł się jednak jak szalbierz. Caitlin opowiedziała mu przed chwilą najgłębsze sekrety swojego życia. Wyraźnie miała do niego zaufanie, traktowała go jak kogoś, z kim może rozmawiać absolutnie o wszystkim.

A on co? Śmiechem zbył kilka poważnych pytań, zręcznie unikając wszelkich szczegółów ze swojej przeszłości. Powiedział jej, że pozwala się nieść wydarzeniom, że jest zbyt bierna i zachowuje się, jakby nie miała wpływu na nic ani na nikogo. Czy jednak w odniesieniu do niego nie było w tym jeszcze więcej prawdy? Wspomnił swą nadzieję, że kłopoty znikną same z siebie. Caitlin nie wiedziała o nim nic oprócz tego, co uznał za stosowne jej powiedzieć, nie znała z jego przeszłości żadnych faktów poza tym, że jest synem Jake'a Gray-sona.

Może nie powiedział jej o Paryżu i nie miał zamiaru nigdy powiedzieć dlatego, że ta sprawa nie miała już znaczenia, była zamknięta. Czy nie mogła to być prawda?

- Chodźmy najpierw do drogerii, dobrze? - powiedziała Caitlin, kiedy dotarli do centrum handlowego.

Było to zresztą szumne określenie, dotyczyło bowiem rzędu walących się sklepów, których właściciele ledwie wiązali koniec z końcem. W drogerii Caitlin natychmiast zniknęła, oddalając się wzdłuż jednego z ciągów lad.

Chris podszedł do stojaka. Miał sobie kupić książkę, która właśnie wyszła w kieszonkowym wydaniu... I wtedy zobaczył coś zupełnie innego.

Najpierw pomyślał, że to on jest bohaterem zdjęcia. Byli na nim Jake, Barbara i ich syn Chris. Spojrzał jednak po raz drugi i jednocześnie przeczytał: *Tajemniczy gość w ekskluzywnym nadmorskim gniazdku miłosnym*.

- Chris?

Odwrócił się. Caitlin trzymała dwie buteleczki z mleczkiem kosmetycznym.

- Które twoim zdaniem ładniej pachnie? To ziołowe czy...

Podążył wzrokiem za jej oczami. Caitlin wpatrywała się w magazyn. Potem skrzyżowała z nim spojrzenia.

- Och, nie - powiedziała cicho.

52

Onyx stała w ciemności i spoglądała w górę, lustrując budynek, w którym mieszkał Art McCullough. Wiedziała wcześniej, że znajduje się w dobrej części miasta, ale nie przypuszczała, że ma aż tak elegancką fasadę z piaskowca. W takim samym mieszkał facet z agencji reklamowej, z którym kiedyś sypiała. Art i Cassandra McCullough, członkowie socjety, posiadacze dóbr.

Ale wkrótce Cassandra McCullough będzie płakać.

Głupiec z tego Arta. Jak mógł myśleć, że uda mu się bezkarnie wyłgać takim głupim posunięciem?

Wywalił ją na oczach wszystkich. Tak ją upokorzył.

I jeszcze ten cały bełkot o Florydzie. Cholera. Nie bała się ani trochę. Co mogli jej zrobić? Wysłać po nią oddział policji? Nie była morderczynią. Zamierzała wyjechać z miasta dlatego, że miała nastrój na spędzenie chwili w Los Angeles, nie dlatego, że się wystraszyła.

Zresztą co jej zostało do stracenia? Art McCullough nie dotrzymał słowa poprzednio, te wszystkie głupoty o spieprzeniu jego filmu były tylko durnym pretekstem. Dlaczego więc miałyby mu teraz wierzyć?

Otworzyła furtkę i weszła po schodach do frontowych drzwi. Ktoś posadził krzaki pod latarnią i teraz kępa lśniła w ciemności jak na zdjęciu w kobiecym magazynie. Prawdopodobnie była to robota wielkiej Cassandra McCullough we własnej osobie. Zupełnie jakby dom stał na przedmieściu. Czyżby Cassandra nie zdawała sobie sprawy, że mieszka w środku miasta?

Onyx miała właśnie zadzwonić, kiedy drzwi się otworzyły.

Kobieta, która ukazała się na progu, nie była jednak Cassandra McCullough. Miała ciemne włosy i też wyglądała jak modelka, ale w innym typie. Była ubrana w futro, skórzane rękawiczki i futrzaną czapkę. Cassandra McCullough szła za nią.

- Słucham panią - odezwała się ta druga kobieta. - W czym mogę pomóc?

Co, do kurwy nędzy, miała na myśli? Przecież to nie ona była tu panią domu.

- Chciałabym porozmawiać z nią - powiedziała Onyx, spoglądając za plecy kobiety. - Witam, pani McCullough.

Cassandra McCullough stała bez ruchu z kluczami w dłoni.

- Słucham - powiedziała.

- Myślę, że zainteresuje panią wycieczka do Soho, do sklepu o nazwie „Nocne marzenia”. To pani mąż pomógł go założyć niejakiej Jocelyn Lane, która przedtem pracowała u niego w McCulloughs Productions. - Cholera, nie wychodziło tak jak powinno. - Założyli ten interes wspólnie zaraz po waszym ślubie z Artem, więc pomyślałam, że powinna pani o tym wiedzieć.

Ciemnowłosa kobieta zrobiła krok naprzód i zasłoniła jej widok Cassandra McCullough.

- Kim pani jest? - spytała.

- Przyjaciółką.

Kobieta złapała ją kościstą dłonią za łokieć, tak że Onyx poczuła chwyt przez ubranie.

- W porządku, a teraz zjeżdżaj stąd - powiedziała, usiłując Onyx obrócić. Była silna jak wół, pewnie należała do tych kobiet, które w tajemnicy przed wszystkimi podnoszą ciężary.
  - Poczekaj chwilę - powiedziała Cassandra. - Czy ty nie grałaś w filmie Arta?
  - Owszem. W ten sposób go poznałam. Cassandra zmarszczyła brwi.
  - Dlaczego więc opowiadasz mi takie rzeczy? Art daje ci... Poczekaj, to ciebie polecał Jake Grayson, prawda?
  - Nie po to przyszedłam, żeby rozmawiać na ten temat. Jeśli nie chce pani nic wiedzieć o Arcie i Jocelyn Lane, to nie. - Wyrwała łokieć z uścisku tamtej kobiety.
  - A w ogóle, to proszę mnie puścić.
- Cassandra wyszła przed próg i zamknęła drzwi.
- Niech idzie - powiedziała. - I tak jesteśmy spóźnione. - Przekreśliła klucze w dwóch zamkach, minęła ciemnowłosą kobietę, a potem Onyx, która patrzyła niedowierzająco. Jak to, Cassandra teraz wychodzi?
  - Właściwie to nie o Jocelyn powinna pani wiedzieć!
  - wykrzyknęła Onyx. - Do czasu pani przyjazdu na plan Art był ze mną. Dlatego dostałam tę rolę. Nawet w Nowym Jorku, w jego biurze...
- Ale Cassandra McCullough i jej przyjaciółka odeszły ulicą, nawet się nie odwracając.

53

Autobus szarpnął, przystając przed wjazdem do Tunelu Lincolna, a Chris jeszcze raz wziął do ręki „Spotlight”. *Jake Grayson w separacji z żoną*. I do tego zdjęcie na okładce, to, którego czuł się bohaterem, dopóki nie przeczytał podpisu: *Tajemniczy gość w ekskluzywnym nadmorskim gniazdku miłosnym*.



Boże. Nadal nie mógł w to uwierzyć. Matka z Gerardem. Było to tak niewyobrażalne, tak trudne do przyjęcia, że za każdym razem spoglądał na zdjęcie, jakby robił to pierwszy raz.

Do tego wywiad Jake'a: *W numerze: Jake Grayson o separacji z Barbarą Czy następnym krokiem będzie rozwód?*

Chris z trudem przełknął ślinę i znów zaczął czytać.

*W każdym małżeństwie napotyka się olbrzymie trudności - mówi Jake Grayson, rozsiadając się swobodnie na kanapie w eleganckim salonie domu przy Piątej Alei, który dawniej był siedzibą całej rodziny Graysonów. Dookoła fotografie samych sław. Jake Grayson z Jasonem Robardsem, z Cólleen Dewhurst, z Robertem DeNiro. Na żadnym ze zdjęć nie ma jednak żony, co stanowi wyraźną aluzję do stanu małżeństwa. - Możesz więc sobie wyobrazić, jakich kłopotów dostarcza związek, w którym jeden z partnerów jest człowiekiem powszechnie znanym -ciągnie Jake Grayson, sącząc wódkę z nieodłącznego kieliszka.*

*Zemsta żony?*

*- Barbara przeżywała bardzo trudny okres. Naprawdę bardzo trudny. Może potrzebowała... - Z oczu Jake'a Graysona płyną łzy. W tym momencie wygląda jak człowiek kompletnie załamany; tak długo zdawało mu się, że zdoła stawić czoło kłopotom, ale w końcu i on im uległ, doszło do rozpadu najdłuższego związku w jego życiu, z żoną spędził bowiem dwadzieścia osiem lat. Grayson nie chce się wypowiedzieć na temat młodego człowieka, który opuścił nadmorską rezydencję, mówi jednak: - Mam nadzieję, że Barbara czuje się dobrze i że nie przeżywa nerwowego załamania - Troskę Graysona łatwo zrozumieć, młody człounek, który spędził noc w jego i żony nadmorskim domu, ma co najmniej dwadzieścia lat mniej od Barbary. Oboje ukryli się przed oczami eleganckiej społeczności Sag Harbor, przedkładając nad to prywatność luksusowej rezydencji Graysonów z widokiem na nabrzeże.*

- *Barbara zawsze znajdowała wspólny język z młodymi ludźmi - mówi Grayson, najwyraźniej usiłując zrozumieć wybór, jakiego dokonała Barbara* Potem jeszcze dodaje: - *Chcę wierzyć, że nie zadaje sobie cierpienia.*

Ten Jake Grayson - odezwała się nagle kobieta siedząca obok Chrisa - zawsze mnie zastanawiał.

- Proszę? - spytał Chris, sądząc, że się przesłyszał.

- Zawsze wydawał mi się kobieciarzem. Żona odplaciła mu pięknym za nadobne, założę się. -

Spojrzała na Chrisa. - O, a pan wygląda jak ten chłopak.

- Wiem - powiedział Chris. - Wiem.

Żeby tylko na tym się skończyło, powiedział sobie w duchu. Gerard zniknie i wszystko znowu będzie dobrze.

Czuł jednak ten sam przyprawiający o mdłości lęk co w Paryżu. Zdawał sobie bowiem sprawę, że to byłoby o wiele za łatwe.

54

Jake skłonił głowę i potarł skronie, ale wiedział, że nic mu to nie pomoże. Ile drinków wlał w siebie? Zresztą, czy to ważne?

Nagle wszyscy zaczęli mu się wydawać młodzi i pełni sił. Na miłość boską, przecież Ashley Crawford jest w wieku Ellie i zrobiła z niego idiotę. Bezkarnie go orznęła. Widzowie wieczornego programu Davida Lettermana mają przeciętnie dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata. A w kinach? Jaka część widowni w kinach składa się z ludzi między trzynastym i osiemnastym rokiem życia?

Ale byli też ludzie w jego wieku, tacy, którzy siedzą w domu z bólem głowy i próbują znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

Brakowało mu Barbary.

Już jej nie rozumiał. Barbara, jaką znał, uciekła z tym wstrętnym szczeniakiem do Sag Harbor. Mimo to brakowało mu jej.

Chciał, żeby wróciła. Albo żeby mogli zacząć od początku, jeszcze raz. Wszystko jedno, co kryją w sobie te słowa zawsze brzmiące tak drętwo i niewiarygodnie, gdy ktoś wypowiada je publicznie.

Zadzwoił telefon i Jake jeszcze raz potarł lewą skroń.

Może to Barbara? (Prawdę mówiąc, w to akurat wątpił. Zbyt wiele zajadłego triumfu było w głosie Joanny, kiedy tam telefonował. Zastanawiał się nawet, czy jego wiadomość w ogóle dotarła do Barbary.)

- Halo - powiedział ponuro.

- Jake Grayson? - rozległ się głos z obcym akcentem. Było w nim wahanie.

- Słucham - odparł, czując skurcz w żołądku.

- Mam informację. Znam pewne szczegóły, które bardzo pana zainteresują...

- Przykro mi, ale nie - powiedział i odwiesił słuchawkę.

Do diabła, ten numer przestał być prywatny. Jake nagle poczuł się okropnie. Miał kwas w ustach, paliło go w żołądku.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Słucham?

- Proszę się nie rozłączać. Jestem człowiekiem z fotografii. Chcę...

Jake trzasnął słuchawką o widełki.

Boże. Serce mu waliło, a w głowie tętniło mu tak, jakby słyszał jego uderzenia.

Telefon zadzwonił jeszcze raz, Jake zamknął oczy. Podnieść słuchawkę i natychmiast odłożyć, pomyślał. Albo po prostu nie odpowiadać.

Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił bez końca, Jake całkiem mimo woli liczył dzwonki: piętnaście, szesnaście, siedemnaście. Wiedział, że im dłużej czeka, tym gorzej będzie, kiedy w końcu odbierze; los wkroczy

i okaże się, że dzwoni ten szczeniak, z którym była Barbara. A wtedy...

Nie mógł jednak nie odpowiedzieć. Bo jeśli rzeczywiście dzwonił ten szczeniak? Jake chciał wiedzieć.

Podniósł słuchawkę po dwudziestym czwartym dzwonku.

- Słucham?

- Pańska żona ma okrągłą bliznę na prawym udzie - powiedział głos i Jake zamknął oczy. Blizna była po haczyku od wędki Chrisa.

Serce Jake'a znów zaczęło walić.

- Słucham? - powiedział.

- Przyznaje pan, że to prawda. - Akcent był paryski.

- Owszem. - Myśl o nim jak o odpowiedniku jednej z twoich kobiet, powiedział sobie w duchu. Ten człowiek nie ma znaczenia, ani dla Barbary, ani dla ciebie.

- Przede wszystkim nie chcę, żeby pan się znowu rozłączył, bo amerykańskie sygnały telefoniczne są bardzo nieprzyjemne.

- Proszę wyjaśnić, po co pan dzwoni.

- Na pewno pan się nie domyśli - powiedział głos z wyraźną satysfakcją. - To, jak sędzę, przerasta pańską wyobraźnię. Wobec tego przechodzę do rzeczy, bo obaj mamy chyba niezbyt dużo czasu. Aha, jeszcze chwileczkę... Rozległ się stłumiony odgłos gorączkowej rozmowy, z tym szczeniakiem wyraźnie ktoś był. Przez jedną okropną chwilę Jake pomyślał o Barbarze. Ale Barbara była u Joanny. Jeśli cokolwiek wiedział o ludziach, to Joanna zatrzymałaby Barbarę u siebie nawet wbrew jej woli. Chciałaby prowadzić poważną rozmowę i analizować wszystko, co się stało, miało się stać, mogło się stać... - Już - powiedział głos. - Nazywam się Gerard. Widział mnie pan na schodach. Jestem przyjacielem pańskiej żony, tak jak mówiłem. Pańskiego syna również.

Rozmówca z Paryża?

- Nie zaskoczy pana chyba, jeśli powiem, że widzia-

łem zdjęcia w magazynie „Spotlight”. Artykuł był nieco mniej ciekawy. Ale i tak przeżyłem szok, bo nie wiedziałem o istnieniu tego magazynu. Te czasopisma posuwają się bardzo daleko. Zostawiają mało miejsca dla wyobraźni.

Jake potarł skroń i przypomniał sobie twarz tego mężczyzny, właściwie chłopaka, którego głosu teraz słuchał. Wzbudziło to w nim niesmak, wizja podziałała odpychająco.

- Pański syn i ja byliśmy kochankami, panie Grayson. - Serce Jake'a zamarło. - Prawdopodobnie jest to klasyczny przypadek, kiedy matka wybiera kochanka wyglądającego dokładnie tak jak jej syn. To dość typowe, prawda? Tak czy owak, ta informacja bardzo zainteresuje czytelników „Spotlightu”, nie sądzi pan? *Wspólny kochanek matki i syna*. Uszczęśliwiłbym redakcję taką historią. - Jake usiłował przewyciężyć mdłości. - *Alors*, chcę z panem zawrzeć umowę, która dałaby mi więcej korzyści niż wizyta w redakcji „Spotlightu”.

Jake przetarł oczy. Szantaż. Przez lata wiele razy rozmawiał na ten temat z Carłą, zawsze bowiem obojgu groziła taka możliwość, a podobne doświadczenia mieli liczni znajomi. Zwykle walutę stanowiła praca, a nie pieniądze. Sam zresztą wyświadczył niezliczone uprzejmości swoim kobietom. Tym razem jednak było inaczej. Nie mógł pohamować wyobraźni: Barbara krzycząca z rozkoszy pod tym człowiekiem, Chris...

Tego obrazu nie chciał do siebie dopuścić. Wprawdzie kiedy Barbara wbiła sobie do głowy, że Chris jest homoseksualistą, wyobraźnia mu szalała, ale teraz siłą woli ją opanował. Szeroko otworzył oczy i zapatrzył się w obraz Bonnarda wiszący na ścianie. Kupili z Barbarą dwa, u Sotheby'ego, zakochali się w nich w jednej chwili, a potem...

- Panie Grayson - ponaglił go głos.

Nagle Jake pomyślał o innej możliwości: ten człowiek kłamie.

- Skąd mogę wiedzieć, że pan mówi prawdę? - spytał. Wziął głęboki oddech, z trudnością, ale mu się udało. A potem dodał: - Niech pan jeszcze coś powie, żeby mnie przekonać.

- Nie muszę przekonywać - szybko powiedział głos. - Mogę pokazać zdjęcia.

- Zdjęcia mogą być trikowe.

- Te są prawdziwe - zapewnił. - Może pan zapytać o nie syna.

Jake zamknął oczy. A więc to prawda.

- Jest pan bardzo bogatym człowiekiem, panie Gray-son. Nie sądzę, żebyśmy nie mogli dojść do porozumienia.

- O jakie porozumienie panu chodzi? - usłyszał Jake swoje pytanie.

- Oczywiście, musimy się spotkać - powiedział głos.

Jake przetarł oczy i znowu je otworzył.

- W porządku - powiedział znużonym tonem. - Gdzie pan chce się spotkać?

- Proszę chwilę poczekać. - Znow zakrył słuchawkę

i z kimś rozmawiał. Jake'owi wydawało się, że śni. - Halo. Chyba nie muszę pana ostrzegać przed wygłupianiem się z policją. Istotą naszej umowy jest chęć uniknięcia rozgłosu, prawda?

- Nie zadzwonię na policję - powiedział Jake. Rzeczywiście, nawet nie przyszło mu to do głowy. Chciał zyskać na czasie. Zadzwoniłby do Carli, zadzwoniłby do Chrisa, może porozmawiałby z Barbarą. I zapewne nie zapłaciłby. Ale dzwonić na policję?

- Dobrze - powiedział głos. - Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się spotkać u pana w mieszkaniu. Wiem, gdzie to jest, miejsce zapewnia dyskrecję.

Boże.

- Kiedy?

- Jutro po południu. O drugiej. Przyjdę z przyjacielem, a pan ma być sam. Ma się rozumieć, po południu,

bo przed południem daję panu czas na odwiedzenie banku. Dwieście tysięcy dolarów.

- Pan chyba żartuje. Nastąpiła pauza.

- Panie Grayson, gdybym był żartownisiem, spróbowałbym się dostać do pańskiego programu. Jestem poważny i pan też powinien być. Zobaczymy się jutro o drugiej. Nie będę już się z panem kontaktował i nie widzę powodu, dla którego pan miałby szukać kontaktu ze mną. Do widzenia.

Przerwał połączenie.

Jake opuścił słuchawkę na widełki. Musi zadzwonić do Chrisa. Musi... no właśnie, co?

Rodzina się rozpadała i sępy krążyły. A on mógł tylko mieć odczucie, że w pewien niezbyt określony sposób to wszystko jest jego winą.

55

Nie rozumiem - powiedział Jake, trzymając się za głowę. - Co ty sobie mogłeś wyobrażać? Za cholere nie rozumiem.

Powiedział to bardzo poirytowanym tonem, który przez całe życie budził w Chrisie uczucie lęku. Tym tonem Jake mógł zgnoić każdego. Zadawał potworne pytanie, na które nie było odpowiedzi.

- Stało się, i już.

Oczy Jake'a lśniły tak mocno, jakby płonęły.

- Chris, nie mówię o incydencie, który mnie gównu obchodzi. Mówię o tym, co było później. Kiedy Gerard robił zdjęcia. I ukradł ci portfel. Czy nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

Żeby komuś powiedzieć?

- Ja...

- Nie rozumiem cię, Chris. Jak sobie wyobrażałeś dalszy ciąg?

- Nie wiem. Chyba wyrzuciłem to z głowy. Byłem przestraszony. Od tamtej pory minęło niewiele czasu, przecież wiesz. Nie przypuszczałem, że on przyjedzie do Stanów. A potem byłem na planie. - Jego głos brzmiał przerażająco dziecinnie. Ale Chris czuł się jak najprawdziwsze dziecko. Jakby otaczał go nocny koszmar: rodzice łapią go na uprawianiu seksu. Nie, jeszcze tysiąc razy gorzej. Rzucił ojcu krótkie, przełknięte spojrzenie, żeby tylko na ułamek sekundy spotkać jego wzrok.

- Co z mamą?

- Jak to co?

- Gdzie ona jest?

- U Joanny.

- Czy ona wie?...

- Nie mam pojęcia, co ona wie, Chris. Nie mogę nawet się z nią skontaktować, bo tamta meduza nie pozwala jej ze mną porozmawiać. A może ona sama odmawia, nie wiem. - Wstał powoli.

Chris odważył się podnieść wzrok, a Jake podszedł do baru. Nagle wydał się Chrisowi bardzo stary.

- Co zamierzasz zrobić, tato? To znaczy, co my zamierzamy? - Nie mógł się zdecydować, która wersja brzmi lepiej.

Ojciec nalewał sobie jednak wódki i zachowywał się, jakby go nie usłyszał.

- Tato?

Jake obrócił się i wrócił z kieliszkiem na krzesło.

- Chyba nic.

- Co takiego?

- Myślałem o telefonie do prawnika, na policję, o daniu im pieniędzy. - Wolno upił łyk alkoholu i spojrzał Chrisowi w oczy. Chris czuł się jak chrząszcz przypięty szpilką do tablicy. - Żaden z tych pomysłów mi się nie podoba - powiedział szorstko. - Nie mam zamiaru dawać tym ludziom dwustu tysięcy, stu tysięcy ani nawet dolara.

- Ale tato...



- Nie sędę, żeby byli w stanie cokolwiek zrobić z posiadaną informacją. Już tym wywiadem „Spotlight” chyba upadł za nisko...

- To ty nisko upadłeś - powiedział Chris. Jake strzelił w niego spojrzeniem.

- Wszyscy ostatnio popełniliśmy błędy. Chodzi jednak o to... - Westchnął i przetarł oczy. - Chodzi o to, że młody człowiek, który dzwoni, zwyczajnie bada grunt, liczy na to, że ludzie mu jednak uwierzą, chociaż nie powinni.

Chris odwrócił wzrok od ojca. O czym on mówi? Dlaczego ludzie nie mieliby w to wierzyć?

A jeśli to są zdjęcia matki z Gerardem? Jeśli Gerard ją upił, a potem zrobił z nią to samo, co z nim w Paryżu?

Zmusił się, żeby znów spojrzeć na Jake'a.

- Tato, naprawdę uważam, że powinniśmy coś zrobić. Jake rozparł się na krześle i zapalił fajkę.

- Co proponujesz? Czy uważasz, że powinienem zapłacić? Gdybym się nie bał, że matka odejdzie, to kazałbym temu szczeniakowi nie zawracać mi głowy. Co mnie to obchodzi?

- Ale...

- Nie robię tego, Chris, ale myślałem o tym. - Na chwilę urwał. - Czy sądzisz, że powinienem cię zostawić z tą sprawą?

Powiedział to takim tonem, jakby zgłosił najbardziej absurdalną propozycję na świecie. Chrisa okropnie raziło, że ojciec po prostu siedzi i pali, tak jak robił to przez całe życie, że sprawia wrażenie, jakby zawsze tylko on i nikt inny cokolwiek wiedział.

- Co byś zrobił? - spytał nagle Jake. - Zakładając, że kazałem ci uporać się z tym problemem.

- Nie powiedziałem, że chcę spróbować. Ale po prostu nie możesz nie zrobić nic.

- Ty w Paryżu nie zrobiłeś nic. Powinieneś być do nas zatelefonować. Albo po powrocie powiedzieć, co się stało. Gdybyś... - Urwał.

Chris mógł jednak sobie dopowiedzieć: gdybyś tak postąpił, Barbara prawdopodobnie nie miałyby przygody z Gerardem. Było jednak za późno.

- Posłuchaj - zaczął Jake, pocierając nasadę nosa. - Co się stało, to się nie odstanie. Nic na to nie poradzimy. Myślałem jednak, że tymczasem do ciebie dotarło, żeby nie zachowywać się w taki sposób, jakby twoje czyny nie miały żadnych konsekwencji.

- Dotarło.

Jake wykrzywił wargi w uśmiechu, a potem cicho się roześmiał.

- A powiedział to dzieciak, który spodziewał się Paryża z *Ruchomego święta*. W porządku, posłuchaj. Oczywiście nie zostawię tej sprawy własnemu biegowi. Postaram się ją wyciszyć. Musisz jednak przyrzec mi coś w zamian.

Chris westchnął. Z wielką niechęcią myślał o tym, że ta sprawa stała się nagle problemem ojca i ojciec go rozwiąże. Nawet wzmianka o wyciszeniu miała posmak dobranocki.

- Zgoda - powiedział opornie. - Co?

- Musisz obiecać, że całkowicie się z tego wyłączysz. Rozumiesz? Gdyby dzwonił do ciebie ten człowiek, będziesz odwieszał słuchawkę. Zdaje się, że jutro zaczynają się zdjęcia do *Księżniczki przeznaczenia* w hotelu „Plaža”, prawda?

- Owszem. Rano przyjeżdża cała ekipa.

- Wobec tego zajmij się pracą, przyjdź spać do domu i nie mieszaj się do kłopotu.

Chris skinął głową. Choć z niechęcią, musiał przyznać, że poczuł ulgę na myśl o Jake'u biorącym sprawę w swoje ręce.

- I nie pytaj mnie, ani co planuję, ani potem, co zrobiłem.

- W porządku.

Jake wziął fajkę i wypuścił kłęb dymu, potem odłożył ją i zapatrzył się w sufit.

- Cholerny galimatias - powiedział. - I to częściowo

z mojej winy. - Spojrzał na Chrisa. - Ale chcę, żebyś potraktował to jako naukę, Chris. Chris skinął głową.

- W porządku.

- A to będzie nauką dla nas wszystkich.

- Jasne.

- Dobra, teraz idź. Muszę wziąć się do roboty. Chris wstał. Chciał zadać ojcu tyle pytań. Co zrobi? Gdzie Gerard chce się z nim spotkać? Gdzie zaproponował spotkanie ojciec? Co może zrobić, żeby problem przestał istnieć, jeśli nie zamierza płacić?

Gdyby zadał te pytania, miałby poczucie własnej słabości, nie zadając ich, miał je jednak w daleko większym stopniu. Ale rozwiązanie było wygodne, właściwie jedyne. Ojciec się tym zajmie, załatwi sprawę i załagodzi sytuację.

A mimo wszystko myślał o tym rozwiązaniu z odrazą. Podeszedł do drzwi czując się jak siedmio-, może ośmiolatek.

- Tato?

- Słucham, Chris.

- Gdybyś zmienił zdanie, gdybyś chciał, żebym pomógł, to daj mi znać.

Jake skinął głową.

- Oczywiście. Ale na razie zajmij się pracą nad *Księżniczką przeznaczenia*. Tam potrzebuję cię najbardziej.

Co za kłamstwo. Ale było to pierwsze kłamstwo, jakie powiedzieli sobie od dłuższego czasu, pierwsza milcząca zgoda na coś udawanego. W ten sposób łatwiej było zapomnieć o zdjęciach, matce i całym tym potwornym zamieszaniu.

56

Z Artem McCulloughem, proszę - powiedziała Cassandra do mikrofonu słuchawki. - Reżyseruje *Księżnicz-*

*kę przeznaczenia.* Mają kręcić w tym tygodniu zdjęcia w „Płazie”, więc ekipa już chyba przyjechała.

- Jeszcze nie - odparł głos po drugiej stronie drutu. - Czy chce pani zostawić wiadomość?

- Tak. Proszę powtórzyć, żeby zadzwonił do żony, kiedy tylko będzie miał okazję.

Rozłączyła się i wyjrzała przez okno na podwórze za ich domem. Ciasno rosły tam drzewa, nie potrzebujące wiele światła. Art bardzo chciał posadzić tam drzewka owocowe, ale oczywiście było to niemożliwe. W zasadzie potrzebowali domu na wsi.

Westchnęła. Naprawdę nie wiedziała, czy postępuje słusznie. Ostatniego wieczoru, będąc na premierze Megan, postanowiła, że zlekceważy to, co powiedziała ta pomyłona dziewczyna. Zdaniem Megan Art ją wywalił, więc próbowała się zemścić. Dziewczyna nie była w typie Arta, toteż w tę część o sypianiu z Artem Cassandra nie uwierzyła ani przez chwilę. A to z kolei nasuwało przypuszczenie, że i reszta nie jest prawdą.

Jedno ją niepokoiło. Imię Jocelyn Lane wydawało jej się znajome. Któregoś wieczoru Art wymówił je przez telefon, poza tym Cassandra przypomniała sobie, że przed kilkoma laty jakaś Jocelyn pracowała w McCullough Productions. Poprzedniego dnia sprawdziła, w Soho rzeczywiście był sklep o nazwie „Nocne marzenia”.

Przez cały wieczór wałkowała w myślach tę historię. Jeśli była prawdziwa, to na ile miała znaczenie. A jeśli nie...

O ile wiedziała, „Nocne marzenia” rzeczywiście były inwestycją Arta. Nie opowiadał jej o tym, bo coś nie wypaliło.

Kobieta z McCullough Productions usamodzielniała się z niewielką pomocą byłego szefa.

Cholera. Tyle było znaków zapytania. Ale Cassandra nie zamierzała się nimi przejmować. W każdym razie nie wcześniej, niż dowie się prawdy.

Czuję się, jakbym miała umrzeć - powiedziała Barbara, wyglądając przez okno.

- Och, przestań - odparła Joanna.

- Nie rozumiesz. - Odwróciła się od okna i znów podeszła do kanapy. - Rodzina mi się rozlatuje, a to wszystko moja wina.

- To nie twoja wina - powiedziała Joanna. - Twoja córka odchodzi ze „Spotlightu”, i to ma być twoja wina? Zresztą skąd możesz wiedzieć, czy i bez tego nie chciała odejść? Przecież uznała, że woli być wolnym strzelcem, a to była tylko ostatnia kropla, prawda?

- Nie w tym rzecz - zaprzeczyła Barbara. W pewnym sensie wszystko jednak było jej winą. I czuła, że najlepsze, co może w tej chwili zrobić, to izolować się od reszty rodziny, jakby była złośliwym wirusem.

Nie umiała już być ze swoimi dziećmi ani z mężem, nie miała pojęcia, co mówić, co myśleć.

A teraz do tego bała się wyjść z domu.

Spojrzała na Joannę, która badawczym wzrokiem śledziła Liz Smith czytającą wiadomości.

- No dobrze. - Wstała i przeciągnęła się. - Skoro muszę wyjść, niech mam to wreszcie za sobą. Jeśli ludzie będą się gapić, to po prostu...

- Ludzie nie będą się gapić. Jest masa różnych spraw na świecie i są ludzie, którzy nie czytują „Spotlightu”.

- Wiem. Masz rację.

Kłamała jednak. Czuła się zupełnie jak alkoholik, który wymyśla łgarstwa o swoim picciu, udaje, że bierze sobie do serca rady przyjaciół, i wie, jak nałóg mu szkodzi. W swoim przypadku nie umiała jednak nazwać uzależnienia po imieniu. Czy wścibstwo? A może potrzeba bycia z rodziną, z potomstwem? Czy było w tym coś złego, coś, czego musiałyby się pozbyć na zawsze?

Nie chciała nic więcej, tylko porozmawiać z Jakiem,

z Ellie, z Chrisem. Zadać im trochę pytań, dowiedzieć się, jak widzą sprawę, wyczuć, co o niej sądzą. Mimo wewnętrznego oporu nabierała jednak pewności co do jednego. Wszystko, co się stało, wzięło się w pewnym sensie z jej przesadzonej troski o rodzinę. Tak było, nawet jeśli Joanna nie rozumiała związku. I teraz trzeba było cofnąć się o krok, pozbierać się i pozwolić wszystkim, nawet Chrisowi, żeby poradzili sobie z brudami „Spotlightu” każdy na swój sposób. Dziś zrobi pierwszy krok. Rozpocznie całkiem nowy etap.

58

Jake dokończył kawę i odstawił filiżankę na biurko.

- A więc rozumiemy się?

- Tak, panie Grayson.

- Macie adres i klucze?

- Tak.

- W porządku. Zadzwoń do mnie, Howie, kiedy będzie po sprawie,

- Oczywiście, proszę pana.

Jake skinął głową i podniósł do ust filiżankę. Okazała się pusta.

- No, dobrze - powiedział wstając. Wyciągnął rękę na pożegnanie. - Powodzenia.

- Dziękujemy.

Zastanawiał się, czy nie upadł na głowę. Tato?

Chris zapukał jeszcze raz. Czuł się jak dziecko, które właśnie zbudziło się ze złego snu.

- Tato? Cisza.

Obrócił klamkę i otworzył drzwi.

- Tato?

Pokój był pusty. Może Jake był w łazience. Chris przeszedł przez sypialnię i zapukał do drzwi łazienki.

- Tato?

Bez odpowiedzi.

Zajrzał do salonu, pusto, potem do kuchni. W zlewie stała filiżanka po kawie, ale nie wyglądała świeżo, pochodziła raczej z wieczoru.

- Tato?

Jego głos brzmiał wysoko i bardzo młodo. Chris wszedł do gabinetu. Pusto.

Wrócił do sypialni i właśnie wybierał się do łazienki, kiedy zobaczył liścik na toalecie. Podniósł kartkę i przeczytał:

*Chris,*

*Musiałem wcześniej wyjść do biura. Później zadzwonię do Ciebie na plan. Przepraszam Cię, wczoraj wieczorem nie udało mi się wyraźniej powiedzieć, że to całe zamieszanie nie jest z Twojej winy, jeśli nie liczyć tego, że nie powiedziałeś nam o swym pechu. O tym, kim chcesz być, decydujesz sam. Wiesz, że kochamy Cię bez względu na to i na wszystko. Nie mogę pogodzić się z myślą, że niepotrzebnie cierpisz.*

*Na razie tyle. Chciałem po prostu, żebyś nie miał całkiem zmarnowanego dnia. Jeśli będziesz miał ochotę, zadzwoń do mnie z planu.*

*Nie zapomnij tylko, że Cię kochamy.*

*Tata*

Chris westchnął. Miły był ten list. A przecież dałby głowę, że Jake ze zgrzyoty nie zmrużył oka przez całą noc. Chciał tylko się dowiedzieć, co ojciec planuje, nic więcej. Niefrasobliwe pójście do „Płazy”, na plan *Księżniczki przeznaczenia*, wydawało mu się zbyt ekscentrycznym pomysłem.

Rozumiał jednak, o co chodziło ojcu. Tak samo było poprzedniego wieczoru, kiedy kazał mu się wyspać,

potem iść do pracy i zapomnieć o całej sprawie. Był to jedyny sposób na zachowanie równowagi umysłu. Z pewnością tak było łatwiej, niż gnębić się rzeczywistością. I rozmyślać o matce.

O tym, że w istocie matka...

Chris poczuł skurcz żołądka i złapał się za brzuch.

Dotarł jakoś do toalety, usiadł na sedesie i spłynął potem. Fatalnie. Wiedział, co teraz będzie. Dziwne, ale w rodzinie wszyscy poza Ellie bez przerwy mieli kłopoty z systemem trawiennym. Przyczynę swoich dolegliwości Chris znał, wykorzystywał je przez całe życie. Przed każdą klasówką w szkole albo inną sytuacją, w której zwracał na siebie uwagę, na przykład przed odpowiedzią przy tablicy albo przed szkolnym przedstawieniem, zaczynało się z niego lać, czy to jednym końcem czy drugim, i Barbara pozwalała mu zostać w domu.

Boże. Czuł się teraz, jakby miał się przewrócić na lewą stronę.

Caitlin czekała, aż Art skończy rozmowę przez telefon. Złapała się na kopaniu nogi krzesła, więc przestała. Mebel musiał kosztować z tysiąc dolarów (wszystko tutaj, w „Płazie” wyglądało na co najmniej tyle), a poza tym, tak zachowują się dzieciaki. Wszystko przez to, że czekała, i czekała na rozmowę, a Art tymczasem odebrał chyba z dziesięć telefonów z rzędu. Znajdowali się w jego świeżo założonym biurze w pokoju, a właściwie apartamencie na drugim piętrze.

Akurat w tej chwili Art przyjmował telefon od żony i sprawiał wrażenie mocno spanikowanego.

- O Boże... Właściwie nie - powiedział. - To nie... Caitlin wstała. Spojrzała na Artę, żeby sprawdzić, czy

nie daje jej sygnału do wyjścia, ale on był odwrócony tyłem, zgarbił się i przyciskał słuchawkę do ucha, chyba nawet nie zdając sobie sprawy z jej obecności.

- To nie tak... pozwól, że wyjaśnię ci po powrocie do domu. Nie mogę w tej chwili wyjść. To kosztowałoby... Zgoda, później. Kocham cię, Cassie. - Odłożył słucha-



wkę i przetarł oczy, a chwilę później telefon zadzwonił znowu.

- Art McCullough... Dobrze - powiedział. - W porządku, Chris. Kuruj się i nie przejmuj filmem, dopóki nie poczujesz się lepiej.

Odłożył słuchawkę i jeszcze raz przetarł oczy.

Caitlin współczuła Artowi, cokolwiek złego zaszło między nim a żoną, ale o Chrisa musiała zapytać. Odkąd poprzedniego wieczoru wyjechał do Nowego Jorku, żyła w panice. W pewnym sensie bardzo przypominało to sytuację z Eugene'em. Bo kiedy szli w deszczu przez ulice małego miasteczka, trzymając się za ręce i rozmawiając, to wiedziała, że najprawdziej kocha Chrisa, że ludzie mają na myśli taką właśnie miłość, kiedy robią filmy, piszą książki, piosenki, nawet wiersze.

Kiedy odjechał, myślała tylko: skończyło się. On umrze albo zniknie. Nie wróci.

- Czy nic mu nie jest? - spytała. - Co się stało?

- Nic się nie bój - odparł Art. - Tylko jakieś drobne kłopoty z żołądkiem. Zadzwoń do niego podczas przerwy, jeśli masz ochotę. Ja nie mam czasu... - Westchnął. - Dziś nie mam czasu na nic poza zdjęciami, rozumiemy się? Teraz pomówimy o twojej scenie z Campbellem.

- Tak, słucham.

- Wiesz, że będzie niełatwo. Ale każdy dzień zdjęć tutaj kosztuje nas dziesiątki tysięcy dolarów. Nie chcę wywierać na ciebie dodatkowej presji, ale chcę, żebyś zagrała to dobrze. Rozmawiałem z Neilem, obiecał nie czepiać się byle czego. Może mam powiedzieć mu coś, czego jeszcze nie mówiłem?

Caitlin przygryzła wargę. Chciała w ogóle tego nie robić. W planie na ten dzień była scena miłosna, prawdziwa, nie taka, w której najpierw bohaterka się całuje, a potem wchodzi przebitka płonącego ognia. Poza tym Caitlin miała wystąpić naga. Teoretycznie mogła w tej sprawie wystąpić do Arta z pretensjami, ponieważ kiedy podpisywała kontrakt, nie było w scenariuszu rozbieranej sceny.

Producent postanowił jednak, że mate-

riał posłuży do zmontowania dwóch wariantów filmu, jednego dla telewizji, a drugiego do ewentualnej sprzedaży na kasetach. To zaś oznaczało, że nagość jest konieczna.

Czuła się z tym tak niedobrze, że ledwie mogła zmusić się do myślenia.

Dlaczego ludzie chcą oglądać takie rzeczy? I jak to jest, że ona ma być naga, a Neil Campbell nie? Z tego ostatniego powodu była zresztą szczęśliwa, bo wcale nie miała ochoty gapić się na jego interes. Musiała jednak pogodzić się z dotykiem jego ciała, całkiem nie udawanym, i do tego w łóżku, musiała przesuwając piersi po jego (najprawdopodobniej) owłosionym torsie. No, a Neil miał ją po nich całować.

- Caitlin?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wiem, co powiedzieć, Art. Chciałabym nie musieć tego robić.

- Plan będzie zamknięty - powiedział cicho. - Wiesz o tym.

Owszem, coś słyszała. Ale „zamknięty plan” wciąż jeszcze oznaczał wszystkich operatorów, Artę i Neila.

Żałowała, że nie ma na miejscu Chrisa. Nie w roli widza, umarłaby, gdyby ją zobaczył. Ale chciała, żeby z nią porozmawiał. Z przykrością musiała też przyznać się przed sobą do pewnej myśli: cieszyła ją nieobecność Craiga. Bo Craig przecież chciał, żeby obnażała się przed innymi ludźmi. Art i ludzie pokroju Chrisa przynajmniej rozumieli, że nie ma w tym nic zabawnego.

- Rozumiesz, dlaczego chcemy nakręcić to dzisiaj, prawda? - cicho spytał Art.

Usiłowała nie wyglądać posepnie.

- Bo uważasz, że to dobry pomysł - powiedziała. Uśmiechnął się słabo.

- No owszem, to prawda. Ale również z twojego powodu. Ta scena oznacza taki przełom w życiu twojej postaci, że uznałem za istotne kręcenie scen w kolejności.

Skinęła głową.

- Jasne. - Wydawało jej się, że rozumie. Audrey Adams miała w końcu powiedzieć Calowi Bradleyowi „nie”, wygarnąć mu, co o nim myśli. To natomiast było ważne, ponieważ pierwszy raz Audrey przeciwstawiała się mężczyźnie. Nie ostatni, ale pierwszy. Był to znak jej dojrzewania. Mimo to nie potrafiła dociec, dlaczego musi to robić nago.

Później, kiedy znalazła się w swoim numerze, poczuła się jak więzień. Pokój był żywcem wyjęty ze snów. Człowiek widuje takie miejsca w telewizji i kinie, ale nawet nie przypuszcza, że mógłby zobaczyć podobne na własne oczy. Wnętrze urządzone na biało-złoto-różowo i rzeczywiście absolutnie wszystko było w tych kolorach: biało-różowy dywan, bielutka atłasowa kołdra, biało-złota toaletka, białe zasłony.

Z okna miała widok na Central Park, konie i powozy. Pary czekały na przejażdżkę (Craig zawsze jej to obiecywał). A po parku setki ludzi biegały i jeździły na rowerach.

Musiała przyznać, że to imponujące. Naprawdę piękne. Ale za dziesięć minut miała zejść po schodach i praktycznie zrobić to coś na oczach milionów ludzi, nago, z mężczyzną, który powiedział o niej, że jest kiczowata.

Przyszli po nią wcześniej. Poczula się jeszcze bardziej jak więzień, chociaż na niższe piętro nie towarzyszyła jej oddziałowa, lecz mężczyzna, asystent reżysera, Bryan. Nie mogła jednak wymyślić żadnego znośnego odezwania (Bryan wydawał jej się snobowaty), przez co lęk ścisnął ją jeszcze mocniej.

Potem zobaczyła plan zdjęciowy. Pokój był jeszcze bardziej wyszukany niż ten, w którym mieszkała. Kiedy jechali z pleneru, ktoś powiedział jej, że nakręcą tę scenę w apartamencie zajmowanym kiedyś przez Beatlesów. Dawno, bo w roku urodzenia Caitlin. Może i tak naprawdę było, w każdym razie pokój okazał się gigantyczny.

Najgorsze, że dookoła kręciło się ze dwadzieścia osób. Caitlin mogła znieść jedynie widok Roz, charakteryzatorki, która podeszła do niej i zaprowadziła ją do innego pomieszczenia.

- Muszę zrobić ci całe ciało - powiedziała. Jak zwykle pachniała dymem. Była burkliwa i wcale nieładna, mimo to świetna.

- Jak to „zrobić”?

- Przypudrować. Nie wszędzie, tylko tam, gdzie masz znamiona. Art kręci z filtrem, ale odbarwienia skóry i żyły wyjdą mimo wszystko.

Żyły. Boże. Co oni robią? Prześwietlają? Zaczęła się rozbierać. Przy hotelowym łóżku stało drugie, składane, z prześcieradłem, Caitlin uznała więc, że charakteryzacja nie dotyczy absolutnie wszystkich części ciała. Czy jednak w apartamencie też były prześcieradła?

- Nie denerwuj się, Caitlin - powiedziała Roz. - Art oczyszcza plan.

- Tak mówił, ale i tak jest tam jakieś dwadzieścia milionów ludzi.

Roz pokręciła głową.

- Wyrzuci ich, nie martw się.

Miała dziwne uczucie, rozbierając się przed kobietą. Jakby przed lekcją gimnastyki w szkole, tylko że tam nie zdejmowało się stanika ani majtek. Nie mogła też odpędzić od siebie myśli o tym, co Steve Warner powiedział kiedyś na widok jej owłosienia łonowego: że jest naturalną blondynką. Dlaczego ludzie w ogóle mówią takie rzeczy?

Caitlin wyskoczyła z majtek i podniosła spojrzenie, a Roz skinęła głową.

- W porządku, czerwienisz się do piersi, i tym się musimy zająć. Poza tym będziesz dobra, Caitlin.

- Nie będę - odparła, kiedy Roz zaczęła jej rozcierać puder na klatce piersiowej. Rozmowa działała kojąco. - Nie masz pojęcia, jaka jestem przerażona.

- Z powodu Neila?

- Nie wiem. Chyba gdybym wiedziała, że partner

mnie lubi... - Pomyślała o Chrisie Graysonie. Ale wtedy nie chciałyby, żeby to był tylko film. - A Neil jest taki małostkowy.

- Więc wyobraź sobie, że to Chris Grayson.

- Co takiego?

Roz uśmiechała się.

- Myślisz, że nikt nie zauważył, w jaki sposób na siebie patrzycie?

- Ja...

- Słuchaj, dzieciaku, on jest o wiele lepszy od tamtego, z którym zerwałaś. Powiem ci, że dobrze zrobiłaś, kończąc tamten związek.

- Nie lubię o tym myśleć. - Boże, czy nie mogą rozmawiać o czymś innym?

- Na miłość boską, tylko nie myśl o Neilu Campbellu, kiedy z nim będziesz, bo inaczej nigdy nie uda ci się przebrnąć przez tę scenę. Pofantazjuj trochę.

Był to jakiś pomysł. Często robiła tak z Craigiem, przedtem z Eugene'em też, chociaż nie w sposób opisywany w magazynach. Tam radzono, żeby myśleć o gwiazdorach, o kimś z kina, telewizji albo czytanej książki. Albo jeżeli podobał się szef, to można było sobie wyobrazać, że jest się z nim. Ona nie robiła czegoś takiego, po prostu jakby wyłączała świadomość. Wtedy to coś wydawało się nierzeczywiste, nie działało się naprawdę, jak wtedy ze Steve'em Warnerem. Może więc poradzi sobie tak samo również z Neilem Campbellem.

Czuła się jednak marnie, a kiedy wróciła do apartamentu, poczuła się jeszcze marniej. Roz miała rację, że Art „czyści” pokój. Teraz poza milionami kamer i przewodów znajdowało się w nim tylko pięć osób. Ale z tymi pięcioma było chyba gorzej niż z tłumem. Zostali Art i Bryan, dźwiękowiec, operator i do kompletu Neil Campbell, który słał za nią spojrzenia przepełnione obrzydzeniem. Art omówił scenę i w kilka minut później Caitlin, ubrana w szlafrok, weszła do łóżka, po czym zapalono światła. Miała leżeć i czytać, oglądając jednym okiem

telewizję. Neil wpadał pijany i domagał się seksu, ale w połowie sceny, która była do zamarkowania, Caitlin odpychała go i wyrażała stanowczy sprzeciw.

Zupełnie nie wiedziała, jak ma grać. Bo jeśli zacznie wydawać niewłaściwe dźwięki? Jeśli przybierze nie ten wyraz twarzy? I co robić z rękami? Nic z tego nie wiedziała i była przerażona.

- Cisza na planie! - Neil wycofał się za drzwi, Roz czuwała w pobliżu.

Caitlin wzięła do ręki magazyn „People”, mając nadzieję, że przynajmniej będzie mogła się na nim skoncentrować.

Nie mogła. Neil nagle znalazł się przy niej i Caitlin zaczęła wypowiadać swoje kwestie, słyszała to, a on tymczasem wrzeszczał i równocześnie ściągał ubranie, nagle zerwał z niej koc, zerwał szlafrok, znalazł się na niej jak...

- Stop!

Głos zabrzmiał wyjątkowo głośno. Caitlin pomyślała nawet, że Neil Campbell wrzasnął jej do ucha. Ale podniosła wzrok i okazało się, że to Art. Neil zdążył już wyskoczyć z łóżka, jakby leżał tam na gorącym kartoflu.

Art podszedł i usiadł na krawędzi, a Caitlin z powrotem naciągnęła szlafrok. Neil Campbell nad nią był czymś tak przerażającym, że zapomniała nawet o przerażeniu z powodu swojej nagości.

- Wiesz, Caitlin, chyba nie tak... - westchnął Art. - Za szybko zaczęłaś sprawiać wrażenie wystraszonej. Kiedy Cal wchodzi, Audrey myśli, że jeszcze raz jakoś go zniesie, ale nie ma w tym lęku. Robi to z poczucia obowiązku. Dopiero w środku sceny, ponieważ udaje, nagle zmienia decyzję. Dochodzi do przekonania, że ma dość.

- Po cholere się męczyć z byle kim? - odezwał się Neil Campbell. - Boże, Art, powiedziałem ci przecież, że ta pieprzona scena nie wyjdzie, dopóki ona w niej jest. Wracajmy do pierwszej wersji i kropka. Zresztą

jej cycki wyglądają jak wymiona. Po co gwałcić publiczność?

Art dostał szału. Skoczył na równe nogi i zaczął wrzeszczeć na Neila Campbella, nagle okazało się, że wszyscy w pokoju krzyczą.

Co jednak najstraszniejsze, Caitlin czuła, że Neil ma rację. Była w tej scenie potworna. Nie pamiętała nawet rady Roz, żeby wyobrazić sobie Chrisa. Jak mogłaby zresztą, skoro Chris nigdy nie zachowałby się w ten sposób?

Wydawało jej się, że zaraz zemdleje, a może w ogóle umrze. Wiedziała, że nigdy w życiu nie podoła tej scenie. Więc może wywalą ją z obsady i spokój.

Boże. Chciała tylko, żeby był tu z nią Chris.

59

Ty dupku - powiedział Merle, bębniąc w deskę rozdzielczą. - Po kiego chuja pojechałeś tą zasraną uliczką? Życia nie znasz?

Howie się nie odezwał. Merle miał rację. Ta zasrana uliczka, chyba Czterdziesta Siódma, była koszmarna. Załadunek trzech ciężarówek, dwadzieścia wozów przed nimi, pięć z tyłu. Powinien był to przewidzieć. Ale chciał wykorzystać zielone światło. Teraz tkwili tu już dziesięć albo i piętnaście minut. Może nawet więcej.

- Jesteś dupek do kwadratu, wiesz o rym?

- Może się zamkniesz?

- Może nie, bo jeśli spierdolimy tę robotę, to ten skurwiel Grayson nas wykończy.

Howie spoglądał przez szybę na zewnątrz. To Merle jest dupkiem. Grayson na pewno ich nie wykończy. Ale nigdy już nie dostaną roboty jako ochroniarze, to jasne. Jeśli zawała cokolwiek Graysonowi, nie ma o tym mowy. Cholera.

Wystawił głowę przez okno i wyciągnął szyję. Siódma Aleja też była zapieprzona, widział to już stąd.

- Na co się tak gapisz, dupku? Myślisz, że od wlepiania gał coś się odkorkuje? Osioł.

Howie z powrotem wsunął głowę do wnętrza.

- Co byś powiedział, gdybyśmy pieprzeli w diabły ten samochód?

- Jak dostaniemy się do Graysona? Umiesz latać? Czy może widzisz jakąś takse na Siódmej? Myślisz, że w promieniu mili jest choć jedna wolna?

Cholera.

- Może powinniśmy zaryzykować.

- Pierdol się. Nie będę machał rączką na rogu jak zaszrana staruszka. Samochodem mamy szansę.

Chyba coś się zaczyna ruszać.

- To zamknij jadaczkę.

Ależ się pocił. No, bo jeśli się spóźnią?

60

Chris spojrział na zegarek i z trudem przełknął ślinę. W gardle miał sucho. Była za dwadzieścia druga.

W mieszkaniu panowała niewiarygodna cisza, jakby coś się szykowało, i Chris uświadomił sobie nagle, że w dawnych latach, kiedy siedział w domu zamiast iść do szkoły, ani razu nie było takiej ciszy. Nigdy nie zostawał absolutnie sam, zawsze Barbara, no i Martha, kręciły się w pobliżu, przynosiły mu jedzenie, coś do picia, pytały go o samopoczucie.

Znowu czuł się jak dziecko. Został w domu akurat wtedy, gdy Caitlin ma taki okropny dzień.

Odrzucił pościel i wstał z łóżka. Mógł już iść do pracy. Wypił mnóstwo peptobismolu i zjadł kilka krakersów, więc nawrót mdłości mu nie groził. A powinien być na planie dla Caitlin, żeby miała przynajmniej jedną przyjazną twarz w pobliżu, dłoń, którą mogłaby trzy-



mać. Wyobrażał sobie, jak ją traktuje Neil Campbell. Sukinsyn.

Chris nie mógł uwierzyć, że w domu panuje taki spokój. Ojciec wyszedł wyjątkowo wcześniej. Ale to brak Barbary powodował tę różnicę. Czy jeszcze kiedyś wszystko wróci do normalności? Czy Jake miał rację, podejmując rozmowy z Gerardem?

Z ledwością umiał wyobrazić sobie Gerarda pertraktującego twarzą w twarz z Jakiem. Gerard nie był typem twardziela. Działał podstępem, skrycie, ale skąd przyszło mu do głowy, że wydebi cokolwiek od Jake'a?

Chris poczuł nowy przyływ mdłości. Istnieją pewne sposoby, dzięki którym słabi ludzie mogą nabrać siły, zdobyć przewagę nad przeciwnikiem. Do nich należy szantaż. Niespodziewanie Chris uświadomił sobie, że być może nie po raz pierwszy ojciec musi stawić czoło szantażowi. Ponieważ lubił kobiety, zaskakująca byłaby jedynie fałszywość takiego domniemania.

Samopoczucie nieco mu się poprawiło. Bo może sytuacja była dla Jake'a całkiem zwyczajna.

Wziął prysznic, i to go postawiło na nogi. Potem się ubrał. Co prawda wyglądał blado, ale kogo to obchodzi, póki nie rozchoruje się znowu? Kiedy dostarczą lek z apteki, zażyje i będzie mógł wyjść. Zadzwonił do domofonu.

- Słucham? - powiedział Chris do interkomu.

- Przesyłka, panie Grayson.

- Proszę wpuścić na górę! - zawołał.

To dobrze. Może uda mu się dostać na plan wystarczająco wcześniej, żeby przynajmniej jeszcze trochę pomóc Caitlin.

W sekundę później usłyszał trzask windy i ruszył do drzwi. Dzwonek odezwał się w chwili, gdy Chris już otwierał.

Na progu stał Gerard z drugim mężczyzną. Co?... Wepchnęli go do środka i zamknęli drzwi. Chris miał wrażenie, że zwariował. Co oni tu robią? Przecież ojciec powiedział, że wszystkim się zajmie.

Nie

chciał chyba dać mu takiej lekcji. Może postąpiłby tak inny ojciec, ale do Jake'a to nie było podobne.

- *C'est Chris Grayson?* - zapytał tamten mężczyzna Gerarda.

- *Oui, oui. Mais...* - Gerard spojrzał Chrisowi w oczy. - Gdzie jest twój ojciec?

Serce Chrisa waliło jak młot.

- Nie ma... - Boże, może powinien powiedzieć, że jest. Ale już za późno. - Nie ma go tutaj.

Gerard miał wygląd znużony, ale ten drugi się wściekł. Był wysoki, śniady, oczy mu błyszczały, niemal lśniły, pachniał dawno nie zmywanym potem.

Stali w holu, tuż przy nim po bokach, i podsuwali się coraz bardziej.

- Kiedy przyjdzie twój ojciec? - spytał nieznajomy.

- Nie... nie wiem - powiedział Chris. - A co... co wam mówił?

Nieznajomy nie odpowiedział. Zamiast tego rzucił do Gerarda coś o *blague*, figlu. Tak się wydawało Chrisowi.

Boże. Co tu się właściwie działo?

- Christophe - powiedział Gerard, podchodząc jeszcze bliżej. - Jeśli żartujesz, to koniec z tym. Twój ojciec chciał się z nami tutaj spotkać.

- Ale go nie ma - powiedział Chris. - Nawet... - Urwał. Nawet jego miało tu nie być. Jake wysłał go przecież do pracy.

- Nawet co? - zainteresował się Gerard.

- No, nie wiem, co jest grane - odparł Chris. Gerard obrócił się do tamtego.

- *André, tu veux que je scrute l'appartement?*

- *Oui* - powiedział mężczyzna, który najwyraźniej nazywał się André.

Gerard znikł, a bliżej podszedł André.

Chris cofnął się o krok i uderzył plecami w ścianę.

- Bawi cię to - powiedział André. - Widzę to w twoich oczach. Ale zaraz przestanie cię to bawić.

- Ja nie...

- Zamknij się. Jeśli twojego ojca tutaj nie ma, a ty obmyśliłeś jakiś żarcik, to pożałujesz.

- Nic nie obmyśliłem.

- Powiedziałem, żebyś się zamknął.

Zapach potu był teraz intensywniejszy i Chris stwierdził, że mężczyzna, ten André, boi się, co wróżyło jak najgorzej. Ludzie w strachu...

- *Il n'y a personne* tó-bas - dobiegł głos Gerarda z drugiego końca mieszkania.

- Tak jak mówiłem, nikogo tutaj nie ma - rzucił Chris.

André zamachnął się i wymierzył mu policzek.

- Powiedziałem, że masz się zamknąć! - wrzasnął.

Policzek wściekle piekł, uderzenie było bardzo mocne. Chrisowi przypomniał się obraz sprzed trzech lat, kiedy w tym samym budynku zamordowano człowieka, homoseksualistę, który poderwał niewłaściwego faceta. „Ściany były czerwone! - wykrzykiwał portier ze śpiewnym jamajskim akcentem. - Całe czerwone od krwi! Jak żyjesz, tak kończysz. Ściany były czerwone!"

André krzyczał po francusku do Gerarda, tymczasem Chris pomyślał o ucieczce. Gdyby skoczył w prawo, miał szansę dopaść drzwi. W lewo, przez kuchnię, mógł dobiec do drzwi kuchennych. W obu przypadkach jednak szansa była mała, a gdyby go złapali...

- Co ty, kurwa, za numer próbujesz tu wykręcić?

- spytał André, chwytając go za kołnierz koszuli. Chris zaczął drżeć, ten człowiek miał w sobie olbrzymią siłę. - Jaki masz plan? - Nie mam żadnego planu.

- A twój ojciec co? Żarty sobie stroi?

- Nie. Nie wiem...

Usłyszał metaliczny trzask i stwierdził, że André wyciągnął zza pazuchy nóż.

- Jak sądzisz, czy oszaleje z radości, kiedy znajdzie syna na podłodze?

Gerard dotknął ramienia André.

- *André. Qu'est-ce que...*

André odtrącił go i powiedział po francusku:

- Stul pysk. Zbieraj ze ścian te obrazy i nie gadaj. -Roześmiał się. - Koniec z dowcipem i geniuszem Jake'a Graysona.

I zatopił nóż w brzuchu Chrisa.

Wszystko stało się tak szybko, ból był taki straszny i głęboki, że padając i tracąc świadomość, Chris nie wiedział, czy krzyczy, czy tylko o tym śni...

61

Ty dupku! - wrzasnął Merle. - Obróć klucz w tym pierdolonym zamku.

- Nie obraca się. - Cholera. Pocił się. Spóźnili się jak sto skurwysynów. Faceci pewnie przyszli i poszli. I co teraz powie Jake Grayson?

Szarpnął i drzwi ustąpiły.

- Dobra - powiedział Merle. - Teraz zamkniemy drzwi i poczekamy. Spóźnili się czy nie, ale i tak poczekamy. Jeśli już byli, to...

Howie zobaczył krew na dywanie w tej samej chwili. Wbiegł do drugiego pokoju i znalazł ciało.

- Wezwij policję i ambulans. - Sprawdził puls na tętnicy szyjnej. Chryste! - Piorunem, Merle!

Usłyszał tupot kompana i jeszcze raz sprawdził tętno. Biło słabo, choć wyczuwalnie. Ale rana była taka wielka, że przyszło mu do głowy tylko, żeby coś do niej docisnąć i modlić się o ratunek.

62

Jake przepychał się przez hol w kierunku sali operacyjnej. Pielęgniarka powiedziała, że Chris leży już na stole. Rozpoczęto operację. Czy dojdzie do siebie, czy

w ogóle będzie żył, czy nie będzie trwałych śladów urazu, tego nikt nie potrafił przewidzieć. Jake'owi nie pozwolono wejść na salę. Czuł jednak, że musi z kimś porozmawiać, kogoś spotkać. Natychmiast po wejściu podpisał plik dokumentów, zgadzając się na wszystko, czego od niego chciano. Ale...

Usłyszał stukot wysokich obcasów w holu i obrócił się. Zbliżyły się do niego Barbara z Joanną. Barbara opierała się na przyjaciółce i szlochała.

Łkała tak okropnie, że kiedy podeszła, Jake nie mógł zrozumieć ani słowa z tego, co mówi. Objął ją jednak i przytulił, trzymał przy sobie, a Barbara płakała dalej.

- Co się stało? - zdołała w końcu wyjąkać, kiedy szloch trochę złagodniał. - Co mówią lekarze?

- Ten, z którym rozmawiałem, powiedział, że za wcześnie na jakiegokolwiek diagnozy. Mogą być znaczne uszkodzenia wewnętrzne i... i jeszcze gorzej. Ale może się też skończyć dobrze.

Oczy Barbary były pełne przerażenia.

- O Boże, Jake.

Znowu wziął ją w ramiona.

- Wiem - powiedział cicho. - Wiem.

Czuł się okropnie, bo przecież tyle razy wymawiał Barbarze nadopiekuńczość, złościł się na nią, że ciągle uważa syna za część siebie.

Pogłaskał ją po głowie i szepnął, że wszystko będzie dobrze, Chris wyzdrowieje i wszystko się ułoży.

Milcząco przysiągł, nie wobec Boga, lecz wobec wszystkich i wszystkiego, że zrobi to, co tylko w jego mocy, by doprowadzić do szczęśliwego końca.

Nie był w stanie nawet zabrać się do myślenia o tym, jak doszło do tragedii, co nie wypaliło i dlaczego Merle i Howie nie byli na miejscu albo dotarli tam za późno. Policja poinformowała go, że na podłodze znaleziono dwie puste ramy, wyglądało więc na to, że skradziono oba Bonnardy. Ale co zaszło? Co zawiodło w planach? I co ma zrobić ze sobą, jeżeli Chris nie wydobrzeje?

To jego wina. Uznał, że potrafi sprostać wyzwaniu

i nastraszyć szczeniaka, który zachowywał się całkiem jak amator. Stało się jednak inaczej. I gdyby Chris miał tego nie przeżyć...

63

Ellie trzymała matkę za rękę i gładziła ją po głowie. Lekarze nadal jeszcze nic nie wiedzieli, musiała więc zachowywać spokój, żeby i Barbara go zachowała.

Usilnie starała się nie wracać w rozmowie do przeszłości, nie wspominać obrazów, jakie cisnęły się jej przed oczy: oto Chris jako mały braciszek, pełen nadziei i ufności, przez trzy miesiące tyrał w szkolnych warsztatach, by zrobić biurko dla Jake'a. Taki był dumny, kiedy przyniósł je do domu.

„Tata może przy nim pisać.” I nikt naturalnie nie zwrócił mu uwagi, że biurko ma zaledwie sześćdziesiąt centymetrów wysokości, jest doskonałe dla niego, ale nie dla Jake'a. Potem przez długie miesiące Jake pracował zgięty wpół nad tym meblem, a Chrisowi oczy błyszczały z dumy. Albo inne wspomnienie, sprzed zaledwie miesiąca. Oto Chris wyjeżdżający do Paryża z poczuciem, że musi się uwolnić od wszystkiego. Jest zły i ponury, ale w głębi kryje się ta sama ufność i nadzieja.

Jake oddawał krew gdzieś w głębi korytarza. Ellie stwierdziła nagle, że co kilka sekund wstrzymuje oddech, gdy tylko ktoś ją mija. Czuła do siebie odrazę za to, że poddaje się okropnej, przerażającej myśli, ale wydawało jej się, że zaraz ktoś podejdzie, uściśnie jej dłoń, obetrze łzy i powie: „Niezbadane są wyroki boże. Pan bierze jedno życie, ale daje inne. Bądź szczęśliwa, Ellie, bo ofiarujesz rodzicom wnuka. Tak spełnia się wola boża”.

Gdyby ktoś podszedł i rzeczywiście tak powiedział, Jake bez wątpienia sprząby go na kwaśne jabłko. A jeśli nie on, to ona sama.

Znowu zaczęły jej cieknąć łzy, otarła je grzbietem wolnej dłoni. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że korytarzem zbliża się - czy to możliwe? - była dziewczyna Chrisa, Sarah.

Uściskały się, potem Sarah uściskała Barbarę i przez parę chwil wszystkie zgodnie płakały. Ellie nie była zadowolona z przyścia Sarah, dla Barbary oznaczało ono kryzys, ostateczność, koniec.

Po kilku minutach stwierdziła jednak, że jest w błędzie. Sarah zadawała pytania, których dotąd nikt, nawet Jake, nie miał odwagi postawić. Jakże właściwie są rokowania dla Chrisa? Co w tej chwili z nim robią? Sarah zawsze umiała sobie radzić. Była bardzo zdecydowana, miała zdecydowanie gęste rude włosy, proste jak druty, i zdecydowane, pewne, brązowe oczy. Nigdy nie godziła się na słowa „Nie wiem”, powtarzała pytanie, dopóki nie dostała żądanej odpowiedzi. Doprowadzała tym Ellie do szału, Chrisa zresztą także, ale przynajmniej raz ta stanowczość i spokój objawiły swoją dobrą stronę.

Dawały oparcie, chociaż Ellie wydawało się nieco dziwne, że Sarah zachowuje się w ten sposób, skoro już nie jest z Chrisem. Wyglądało zresztą na to, że swą obecnością Sarah podnosi na duchu Barbarę, która zaczęła mówić o przyszłości w taki sposób, jakby Chris i Sarah mieli być zawsze razem. Tamta zaś potakiwała i nawet dorzucała nieprawdopodobne szczegóły.

Caitlin wyskoczyła z taksówki i pobiegła w kierunku szpitala. Nie mogła uwierzyć, że nikt nie przekazał jej tej wiadomości. Przez całe popołudnie siedziała w hotelowym pokoju, natomiast Art ze scenarzystami próbowali przerobić scenę. A tymczasem Chris był o włos od śmierci.

Znalazła się w ruderze, takiego brudu w szpitalu jeszcze nie widziała. Poza tym wewnątrz panował nieopisany rejwach, spotęgowany przez silny pogłos. Drogę wskazywała podobno jakaś idiotyczna płatanina linii na

podłodze. Caitlin wiedziała jednak, że znajdzie Chrisa. Tak samo jak tej nocy, kiedy zobaczyła go w świetle księżyca.

W głębi holu dostrzegła Ellie Grayson wyglądającą tak samo jak na zdjęciu w „Us”, i kobietę będącą prawdopodobnie matką Chrisa. Ogarnęły ją wątpliwości. Co ja tu robię? Wyproszą mnie, przecież nie należę do rodziny. Nie dbała o to. Po prostu musiała się dowiedzieć, czy Chris wydobyje.

Kiedy Ellie Grayson ją zauważyła, odeszła parę kroków w bok od pani Grayson i nie znanej Caitlin bardzo ładnej dziewczyny, przedstawiła się i natychmiast powiedziała:

- Jeszcze nic nie wiadomo. Właśnie czekamy. Jest na stole operacyjnym, a mój ojciec oddaje krew, więc... tyle wiemy. Ładna dziewczyna spoglądała w ich kierunku.

- Ale wyjdzie z tego?

- Niewierny.

- O Boże.

- Za parę godzin będzie wiadomo - głośno powiedziała urodziwa nieznajoma. - Lekarze robią, co mogą. - Podeszła i wyciągnęła rękę. - Cześć, jestem Sarah Tarłów. Dziewczyna Chrisa. A ty?...

Caitlin przełknęła ślinę.

- Ja? Caitlin Comell. Jestem... jestem jego koleżanką.

Spojrzała w oczy Ellie Grayson i omal się nie rozplakała. Wiedziała, że myśli wyjątkowo egoistycznie, że w tej chwili Chris może nawet umierać, więc o co tu się martwić, ale nie wierzyła własnym uszom: dziewczyna Chrisa? A ona myślała...

Boże, ależ się wygłupiła. Ta dziewczyna była w jego typie. Światowa, rzucało się to w oczy. Cała ubrana w zamsz.

Sarah wpatrywała się w nią z wielką uwagą.

- Skądś cię chyba znam? - powiedziała.

- No...

- Caitlin gra główną rolę w filmie, przy którym pra



cuje Chris - wyjaśniła Ellie. - I występowała przedtem w reklamach. W ilu?

- Tylko w jednej

- Ojej! - powiedziała Sarah. - Musisz mieć mnóstwo pracy. Naprawdę ładnie z twojej strony, że wpadłaś spytać o zdrowie Chrisa.

- Jesteśmy kolegami. - Spojrzała na Ellie Grayson. Ale co Ellie wiedziała? Nikt nic nie wiedział o jej związku z Chrisem, ponieważ nie było co wiedzieć, taki związek nie istniał. Wydawało jej się, że znalazła nowy rodzaj mężczyzny, nowy rodzaj człowieka. I kochała go. Ale wygłupiała się myśląc o tym jak o związku. Chris obiecał, że będzie się nią opiekował na planie i dotrzymał słowa. To wszystko.

Była nikim, niczym.

- Muszę już chyba wracać - skłamała. Ale co za różnica? Pragnęła wbiec tam na salę, być u boku Chrisa, modlić się za niego i trzymać go za rękę. Ale nie mogła.

- Dziękujemy, że przyszłaś - powiedziała Ellie.

- Tak - dodała Sarah - naprawdę to doceniamy.

- Cóż, cała ekipa chciała wiedzieć, jak on się czuje. - Znowu kłamstwo. Interesowali się zdrowiem Chrisa, ale wcale jej tu nie przysłali. - Czy państwo... to znaczy, rozumiem, że mogę jeszcze zadzwonić do szpitala?

- Zatelefonuję do ciebie, kiedy tylko będziemy cokolwiek wiedzieć - powiedziała Ellie.

Caitlin spojrzała jej w oczy z niezwykłą uwagą, sprawdzając, czy Ellie nie chciała przekazać jakiejś sekretnej informacji, może czegoś o Sarah. Nic jednak na to nie wskazywało.

- Do widzenia - powiedziała i odeszła.

Boże. Tak bardzo żałowała, że nie powiedziała mu, co do niego czuje, jak różni się od innych ludzi, których dotąd spotykała. Wiedziała, że to egoizm, ale chciała być z nim, trzymać go za rękę, mówić do niego, być dla niego. Ale nie było tam dla niej miejsca.

Powrót do „Plaży” był dla Caitlin dalszym ciągiem udawania, zupełnie jakby w holu postawiono wielki transparent „Nie ma tu dla ciebie miejsca, trzeba ci wszystko odebrać”. Personel musiał się rozejść po piętrach, bo przy wejściu mrowili się wyłącznie goście i turyści, wszyscy poubierani w futra. Damy roztaczały zapachy perfum i nawet niektórzy mężczyźni mieli futrzane okrycia. Caitlin miała być gwiazdą, ale nikt jej nie poznawał, a to dlatego, że jej gwiazdorstwo było kłamstwem. Kiedy jechała windą na górę, windziarz patrzył na nią jak na złodziejkę, snobistycznie zadzierając nosa. A Caitlin myślała: „Hm, wolno mu. W pewnym sensie ma rację”.

Na dziesiątym piętrze wysiadła i ruszyła korytarzem. I tam zobaczyła mężczyznę: tak, to był Craig. Opierając się plecami o ścianę, stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Przez chwilę miała ochotę odwrócić się i uciec. Ale jaki by to miało sens? I skąd przyszło jej do głowy, żeby uciekać, jakby Craig był potworem?

- Cześć, Craig.

Wzdrygnął się. Twarz mu się rozjaśniła, wyciągnął do niej rękę.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział, obejmując ją. -Przyszedłem zobaczyć, jak ci leci. Podobno przyjechaliście wczoraj.

- Mhm. Dzisiaj.

- Wobec tego „Post” się myli. - Omiótł wzrokiem drzwi do pokoju, a potem spojrzał jej w oczy. Jakby się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że mnie wpuścisz.

- Pewnie. - Wyciągnęła klucz z torebki i nagle poczuła niesamowite zmęczenie, ledwie mogła się ruszyć. Tu było tak cicho. W szpitalu Bellevue panował straszliwy rwetes. Nie chciała myśleć o sali operacyjnej, o Chrisie

bezwładnie leżącym na stole, ale dręczyły ją przeczucia, jakby docierały do niej sygnały, zdecydowanie niedobre.

- Hej, co się stało? - spytał Craig, kiedy weszli do środka.

- Jestem bardzo zmęczona. Rozłożył ręce.

- O cholera, Caitlin. Co za miejsce do spania. To fantastyczne. - Skoczył na łóżko i zakolysał się na nim. -Niewiarygodne. Czy tutaj nie znają brudu? Jak im się udaje utrzymać bielutki pokój w bieli?

- Jest trochę różowego - powiedziała. - I złotego. -Boże, ale była zmęczona. A poza tym, co Craig tu robi?

- Jezu, popatrz na ten telewizor. Masz pilota? Skinęła głową.

- Na nocnym stoliku.

Wyciągnął się na łóżku. Cóż, Caitlin go nie zabrudziła, ale on to zrobi. Włączył odbiornik.

Wiadomości, serial, wiadomości, jakiś program edukacyjny...

- Nie przełączaj tak szybko, bo zepsujesz.

- Nie zepsuję. Hej, popatrz.

- ...znajduje się w szpitalu Bellevue, gdzie trwa zabieg operacyjny. Otrzymał pchnięcie nożem, prawdopodobnie w chwili, gdy próbował zapobiec rabunkowi w domu swego ojca, prezentera telewizyjnego Jake'a Graysona, i jego żony Barbary. W obecnej chwili dalsze szczegóły nie są znane. Spośród innych informacji...

Caitlin czuła na sobie spojrzenie Craiga.

- Nie powiedziałaś mi, że twój chłopak jest w szpitalu. Dlaczego nie siedzisz przy nim?

- Właśnie stamtąd wróciłam. Zresztą to nie jest mój chłopak.

- Nie? A co się stało?

- Nic. Nigdy nie był moim chłopakiem. - Zmrużyła oczy. - Zresztą po co mnie o to pytasz? Mógłbyś się zainteresować, jak się czuje. Albo dlaczego dostał nożem.

- Powiedzieli, że jest na sali operacyjnej. Wiesz coś więcej?

- Nie. - Poszła do łazienki i zamknęła drzwi. Boże. Co on tu robi? Już się zadomowił, wyczuwała to. Rozciągnął się na łóżku zupełnie tak, jakby był jego właścicielem.

Ale Caitlin już nie chciała mieć związków z Craigiem, nawet gdyby oferował „tylko przyjaźń”.

Wiedziała, że trudno jej będzie powiedzieć coś tak straszego. Nawet myślenie o tym było straszne. Spojrzała w lustro i stwierdziła, że się postarzała. Nie była to sprawa kosmetyków, starła z siebie cały podkład zaraz po tym, jak Art zrezygnował z jej udziału w scenie erotycznej. Może nie miała jeszcze „małych, cienkich linii” pod oczami, jakie znajdują bohaterki reklam, ale mimo to się postarzała. W miejscu, którego Craig zawsze dotykał palcem wołając: „Hej, nie martw się”, brwi zaczynała jej łączyć zmarszczka widoczna szczególnie od chwili, gdy postanowił z niej zrobić aktorkę. I wargi wyglądały na wyschnięte.

- Cait, pośpiesz się!

Znowu to samo. Craig woła, żeby wyszła, a ona używa łazienki jako schronienia. Nie chciała powtarzać wszystkiego od początku. Nawet jeśli nie może być z Chrisem, to lepsza samotność niż powrót do Craiga.

- Caitlin? Otworzyła drzwi.

- Co takiego?

- Chcesz zjeść kolację czy nie? Kilka ulic dalej jest knajpka, w której o tej porze dla reklamy podają zakąski za darmo. Ale za kwadrans raj się kończy.

- Stać mnie chyba na to, żebyśmy gdzieś poszli - powiedziała najbardziej sarkastycznym tonem Audrey Adams, na jaki umiała się zdobyć. - Co ty na to?

Rozłożył ręce.

- Czy ja prosiłem, żebyś płaciła? Mogę cię gdzieś zaprosić, Cait, jeśli tego chcesz.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Chris prawdopodobnie

straszliwie cierpi, Craig zastanawia się, gdzie pójść coś zjeść, a ona po prostu nie chce z nim być. Znowu rozwalił się na łóżku, z rękami pod głową. Nie mogła myśleć o niczym innym poza tym, że gdy wstanie, na ścianie zostanie wielka tłusta plama. Wprawdzie nie natłuścił fryzury, a w drogerii nie kupował szamponów do włosów przetłuszczających się, mimo to miała pewność, że tego dnia będzie plama. A potem personel „Plaży” powie: „Tak to jest, kiedy wynajmuje się pokój byle komu. Trzeba było słuchać Neila Campbella”.

- Craig.

- Mhm?

Przełknęła ślinę, ale gardło miała wyschnięte i słowa zabrzmiały bardzo głośno.

- Nie chcę iść na kolację. Spoglądał teraz na nią.

- O co chodzi?

- O nic. Po prostu nie rozumiem, dlaczego wydawało ci się, że możesz wrócić i urządzić wszystko po staremu.

- Kto mówił cokolwiek o urządzaniu wszystkiego po staremu? Po prostu wychodzimy na kolację, Caitlin.

Nie wiedziała, czy mówi prawdę, ale może tak było. Może zamieniała się w jedną z tych gwiazd, które zapominają o całym świecie. Zachowywała się, jakby zjadła wszystkie rozumy.

- Muszę najpierw porozumieć się z Artem - powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Mnie to nie przeszkadza. Podniosła słuchawkę i wybrała numer biura założonego w hotelu.

- *Księżniczka przeznaczenia* - odezwał się głos należący chyba do Bryana.

- Eee... czy jest tam Art? Mówi Caitlin.

- Chwileczkę.

- Słucham, Caitlin - odezwał się Art.

Caitlin zakryła drugie ucho. Craig włączył telewizor na cały regulator i ledwie słyszała rozmowę.

- Chciałam zapytać, czy... już coś postanowiliście. Art westchnął.

- Nic. Powiedziałem ci, Caitlin, że pracujemy. Kiedy będzie nowy tekst, jeżeli w ogóle będzie, to ci podeśle-my. Teraz Neil pracuje z Bairdem - powiedział Art. - To wszystko, co ci mogę powiedzieć. Przełknęła ślinę.

- Czy... czy jestem ci potrzebna? To znaczy, czy mam tam też przyjść? - Jej głos ledwie było słychać.

- Nie, zdecydowanie nie.

- Rozumiem. A czy nie masz nic przeciwko temu, żebym poszła na kolację? To znaczy, gdyby nie było mnie tutaj przez godzinę...

- Nie mam, Caitlin. - Sprawiał wrażenie autentycznie zirytowanego. - O ile wiem, nie jesteś scenarzystką, więc po co się martwisz, do diabła?

- No, owszem. Dobrze. Rozłączył się bez słowa pożegnania.

Craig wyłączył telewizor i zamasyżył spuścił nogi na podłogę.

- Czyli jesteś gotowa?

- Na to wygląda.

- Nie chcesz sobie zrobić makijażu?

- Nie chcę. Bez tego też wyglądam dobrze. Rzygać mi się chce na myśl o kosmetykach.

Podszedł do niej i dotknął palcem podbródka, lekko odchylając jej głowę.

- Hej, co z tobą? - spytał cicho.

Starła się pohamować mruganie, żeby napór łez osłabł. Nawet nie wiedziała, o co właściwie jej chodzi. Wszystko ciążyło jej po trochu: Chris w szpitalu, Craig tutaj nie wiadomo dlaczego, i Art cały zjeżony, deliberujący na dole z Neilem Campbellem, jej nieudolności; nie potrafiła zagrać sceny tak, jak Baird Cane ją napisał, co mogło się skończyć tym, że zostanie uznana za nieporozumienie.

- Cait. Powiedz, co z tobą jest? Spojrzała mu w oczy.

- Art powiedział, że pracują, a zadzwoni do mnie, kiedy skończą, i jeśli skończą. Dlaczego powiedział, jeśli"? To znaczy, że być może nie skończą.

- Wtedy dostaniesz inną rolę.

- Inną rolę? Craig, jak mogliby zrobić coś takiego? Tyle już ze mną nakręcili. Wzruszył ramionami.

- Już się tak zdarzało. Popatrz, co zrobili z Nathalie Wood i *Burzą mózgow*. Po jej śmierci zupełnie zmieniono scenariusz. Dopiero teraz poczuła się naprawdę bliska płaczu. Dlaczego Craig to powiedział? Myślała, że ją jakoś pocieszy. Doda jej pewności siebie.

- Słuchaj - powiedział, kładąc jej dłonie na talii. - Nie wiem, dlaczego ci to powiedziałem. Ciebie przecież nie wytną. Jesteś ich gwiazdą.

- Gwiazdy też wycinają. Czytałam ostatnio o Raquel Welch, która zagrała rolę napisaną dla Debry Winger. To się zdarza bez przerwy!

Craig zareagował przeczącym ruchem głowy.

- Nie wytną cię, kochanie. Wiem na pewno. - Przytulił ją i pogłaskał po głowie. Caitlin zaczęła płakać. Mimo usiłowań nie mogła już nad sobą zapanować. Wiedziała jednak, że robi coś strasznego. Nie chciała być znowu z Craigiem, a on teraz na pewno pomyślał coś innego. Uznał, że wrócił i wszystko będzie jak w bajce. Brakowało jej Chrisa i żałowała, że nie jest teraz z nim w szpitalu, zaraz jednak przypomniała sobie tę dziewczynę, Sarah Tarłów, i uświadomiła sobie, że ich znajomość z Chrisem była podszyta fałszem, on po prostu chciał być miły. Ten spacer po głównej ulicy miasteczka, w którym kręcili plenery, nie miał w sobie nic fałszywego, pomyślała.

A jednak miał. To oczywiste. Powszechnie wiadano, że na planie przygody miłosne zdarzają się wszystkim. Dla nich może nie była to przygoda miłosna, ale coś w tym rodzaju.

Craig cofnął się i spojrzał jej w oczy.

- Nie podoba mi się to, co się stało z tobą od czasu naszego zerwania, Cait. Jesteś nadwrażliwa, za bardzo się przejmujesz tym, co ludzie pomyślą. Potrzebujesz mojej opieki. - Odgarnął jej włosy z twarzy i Caitlin poczuła parzącą łzę na policzku.

Nie rozumiała, co się dzieje. Jak może pozwalać Craigowi, żeby się nią znowu zajmował, skoro wie, że nie minie dzień, a nie będzie mogła tego znieść. Taka była szczęśliwa z Chrisem, chociaż okazało się, że tylko sobie coś wyobraziła.

- Kochanie, przyszedł dla nas świetny czas, powinniśmy być razem - powiedział Craig. - Pomagałbym ci zawsze, ile razy byś mnie potrzebowała. Mógłbym porozmawiać z Artem, wbić trochę rozumu do głowy temu Neilowi Campellowi... Nie musiałabyś się przejmować scenopisem i tym, kto co zmienia.

- Nie wiem - powiedziała. Wytarła oczy. Kiedy Chris się nią zajmował, miała zupełnie inne wrażenie. Nie tak, jakby była niemowlęciem. Bardziej jakby Chris po prostu chciał ułatwić jej wyjście z trudnej sytuacji.

- Po prostu nie...

Zadzwoił telefon i serce jej skoczyło. Może Ellie Grayson ze szpitala?

- Halo?

- Dobrze, że cię złapałem. - Art.

- Jejku, już skończyliście poprawki? Milczenie.

- Art?

- Widzisz, Caitlin... - Pauza. O Boże. - Mamy tutaj kilka grubszych kłopotów. Postanowiłem nakręcić jutro kilka scen bez ciebie, cały materiał Neila u Blooming-dale'a. W ten sposób Baird będzie miał więcej czasu na przeróbki.



- Ojej.
- Nie martw się... i bardzo przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem poprzednio. Wszystko jest do zrobienia.
- Mhm. - Nie wyglądało na to. - Dziękuję, Art Odłożyła słuchawkę i poczuła, że Craig obejmuje ją od tyłu. Zobaczyła swój obraz w lustrze, była sztywna jak kij. Właśnie tak musiała wyglądać podczas sceny erotycznej z Neilem. Może właśnie teraz Art ogląda razem z nim reżyserskie kopie porannego materiału i obaj się śmieją. Albo decydują, żeby ją wywalić. Razem z jej wymionami.
- Co tam znowu? - spytał cicho Craig. Spojrzała na jego lustrzane odbicie.
- Przerabiają scenopis, więc jutro będą kręcić sceny beze mnie.
- Bez ciebie? Po jaką cholere?
- Żeby mogli trochę więcej przerobić.
- Co przerobić, Caitlin? Zamierzam porozmawiać z Artem. Nadużywają twojego zaufania, to wszystko.
- Ale dlaczego? Dlaczego Art miałby to robić?
- Nie ty się powinnaś tym martwić - powiedział, kładąc podbródek na czubku jej głowy i wprawiając w kołyszący ruch ją i ich lustrzane odbicia. - Obiecuję, że wszystkim się zajmę. Oboje popełniliśmy błędy. Ja nie powinienem robić tego, co zrobiłem z Onyx, ty nie powinnaś kręcić się przy Graysonie. Ale to już przeszłość. Zaczniemy od nowa. Pobierzemy się i będziemy sobie pomagać. Spojrzała w lustro, w jego oczy, przyjrzała się, jak ją trzyma i jak razem się kołyszą. Może i miał rację. Czuła się taka samotna. Brakowało jej kogoś do rozmowy, kogoś, kto dałby jej pewne oparcie. Może jednak Craig powinien znów zostać tym kimś? Z pewnością ją kochał, w to nie wątpiła. A ponieważ wszystko dookoła się sypało, więc niewykluczone, że ten pomysł miał jakiś sens.

Art mocno przytulił Cassie, z zamkniętymi oczami wciągając w nozdrza jej zapach. Dlaczego świat nie mógł pozostać właśnie taki prosty? Mężczyzna kocha kobietę. Przed chwilą jednak skończył wyjaśnienia na temat Onyx i nie był pewien, jak żona je przyjęła.

- Zrobiłem to, co wydawało mi się najlepsze - powiedział. - Chciałem cię ochronić.

Dłońmi wyczuwał opór, chłód. Cassandra oderwała się od niego i odgarnęła kosmyk włosów z oczu.

- Bardziej wierzyłeś obcemu człowiekowi niż mnie, Art. Nie rozumiem dlaczego. Jak mogłeś... pozwolić się szantażować?

- Chroniłem cię - powiedział. Nie mógł sobie przypomnieć, czy się nie powtarza. - Zdawało mi się, że nie mam wyboru, Cassandro.

Spojrzała na niego.

- Miałeś, i to dość oczywisty, nie sądzisz? Mogłeś mi wszystko powiedzieć. I oszczędzić nam obojgu, a sobie na pewno, mnóstwo...

- Nie byłem zainteresowany w oszczędzaniu siebie.

- Och, Art, czy nie pojmujesz, co zrobiłeś? - Pokręciła głową. - Myślałeś, że co z tobą zrobię?

Chwycił ją za ramiona.

- Bałem się, że mnie opuścisz. Powiedziałaś kiedyś... powiedziałaś, że odejdziesz, jeżeli okaże się, że jest ktoś jeszcze. A ja potrzebowałem czasu, żeby zakończyć sprawę z Jocelyn. Nie chciałem cię zranić, ale nie chciałem też okazać się potworem wobec niej.

- Potworem? W jaki sposób?

- Wyrzucając ją z pracy i zostawiając na lodzie. Ona przeszła bardzo ciężkie chwile. Wcale nie wspominam o tym dlatego, że mieliśmy coś w rodzaju romansu. Jocelyn potrzebowała pomocy, więc jej pomogłem.

Cassandra wysunęła się z uścisku i usiadła na kanapie.

- Kiedy nie mogłam się dzisiaj do ciebie dodzwonić, poszłam na Spring Street.

Właśnie tego pragnął uniknąć.

- Chciałam rzucić okiem na Jocelyn Lane. Sprawdzić, czy ją poznaję i chyba również, co czuję. Nie znałam przecież całej historii.

- I?

- To było nic w porównaniu... - Urwała. - Doznałam ciężkiego rozczarowania. - Wzruszyła ramionami. - Wydarzenia sprzed czterech lat znaczą teraz dla mnie bardzo niewiele, Art. Cokolwiek ci mówiłam... było, minęło, wtedy nasz związek dopiero się zaczynał. - Spojrzała mu w oczy. - Czy rzeczywiście sądziłeś, że z powodu przeszłości opuszczę cię tuż przed urodzeniem dziecka, mimo wszystkich przeżyć, które są nasze, wspólne? Teraz jednak zastanawia mnie, co naprawdę jest nasze, skoro masz do mnie tak mało zaufania, że bardziej ufasz komuś obcemu.

Westchnął. Co mu zostało do powiedzenia? Cassandra miała słuszność, przecież wyłożyła swoje racje tak logicznie, precyzyjnie. Musiała zresztą mieć rację, bo dotyczyło to jej uczuć. A on powinien był wykazać więcej przenikliwości, zdobyć się na ogląd spraw z jej punktu widzenia. Cóż, spieprzył wszystko.

- I co teraz? - spytał. Wzruszyła ramionami.

- Nic. - W jej oczach gościł smutek, lecz także chłód. - Nic nie możesz zrobić, Art, i ja też nie mogę.

- Powiem ci tylko, że zamierzam wyekspediować tę dziewczynę z powrotem na Florydę.

Cassandra odrzuciła głowę do tyłu.

- Nie rób tego! - wykrzyknęła. - Właśnie tego nie chcę najbardziej ze wszystkiego, Art.

- Dlaczego?

- Przed chwilą o tym rozmawialiśmy. To nie jest wina tej dziewczyny... tej Onyx. Udało jej się tylko dlatego, że między nami czegoś brakowało. Udało jej się, bo nie ufałeś mi wystarczająco, żeby powiedzieć, co się stało.

A teraz chcesz ją wsadzić do paki, jakby to cokolwiek załatwiało.

- Pomyślałem, że to będzie dobry początek.

- To byłby najgorszy początek z możliwych.

Spojrzał na nią i zaczął podchodzić, powoli, bo obawiał się, że Cassie każe mu trzymać się na dystans. Rozumiał wszystko, co powiedziała, nawet to o Onyx, ale nie miał pojęcia, czego chciała. Usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

Spojrzał na obrączkę, którą włożył tam przed czterema laty. Patrzył na jej ciało, które znał tak dobrze jak swoje. Pojmował, jak straszliwie ją zawiódł. Ale co dalej? Nie umiałby żyć, gdyby się nie pogodzili.

- Cassie... - Próbował ją objąć, ale go powstrzymała.

- Nie teraz, Art. Muszę przygotować obiad, więc możesz wracać na plan.

66

Nóż lśnił, a on nie mógł oderwać od niego wzroku, nawet gdy wiedział, że uderza, nawet kiedy patrzył, jak wchodzi w ciało. Ból był jak od dziesięciu tysięcy noży, odbierający świadomość. Krew uderzyła mu do głowy, zalała ciało, czuł ciepło pod dłońmi. I jeszcze krzyk, w jego wnętrzu wzbierał krzyk, ale zamarł, a on wiedział, że umiera...

Nie - powiedział. - O Boże.

- Chris? Otworzył oczy.

- Sarah?

- Chris? - powtórzyła. Głos jakby dochodził do niego echem, Sarah zakryła usta dłonią. - O mój Boże, zbudziłeś się.

Przetarł oczy. Czyżby się ocknął? Miał wrażenie, że szybuje. I nie panuje nad lotem.

Biała szpitalna sala nie zaskoczyła go. Od dawna już ocierał się o granicę snu, chwilami nieznacznie ją przekraczał. A sny... wiedział, co się zdarzyło. Gerard i tamten człowiek.

Ale Sarah. Co ona tutaj robi?

Właśnie się nad nim nachylała, całowała go w policzek i mówiła tym dalekim głosem coś o sprowadzeniu Jake'a i Barbary.

- Poczekaj! - zawołał, wyciągając do niej rękę. Ale ona już biegła do drzwi.

Znowu zapadł w sen. Kiedy się zbudził, weszli rodzice, a za nimi Sarah, więc zorientował się, że spał tylko kilka minut, może nawet sekund. Sarah nigdy nic nie robiła powoli.

Wyraźnie musiał wyobrażać sobie tę scenę wiele razy, odkąd odzyskał kontakt z rzeczywistością.

Barbara wyglądała w jego wizjach dokładnie tak jak teraz: przerażona dławiała krzyk, zasłaniając usta ręką. Ale za nic nie wyśniłaby mu się reszta: Barbara i Jake przytuleni do siebie, ojciec chyba bardziej przerażony niż matka.

Wszyscy troje się ściskali, a Chris czuł się jak dzieciak i z odrazą do siebie myślał, że zaraz się rozplacze. Nagle przypomniał mu się ból w brzuchu.

- Bardzo cię boli? - spytała Barbara, głaszcząc go po czole.

- Nie jest tak źle - odpowiedział sennie. - Przed chwilą zaczęło. To chyba przychodzi falami. -

Przeniósł spojrzenie na Jake'a, potem znów na Barbarę. Na Sarah nie chciał patrzeć. Nie cierpiał jej za to, że przyszła, choć nie rozumiał powodu. - Mam wrażenie, że to dalszy ciąg snu.

- Leżysz tu już wiele godzin - cicho powiedział Jake.

- Ale wiedzieliśmy, że przez to przebrniesz - dodała Barbara. W oczach miała łzy, ale jeszcze nie płakała.

Sarah podeszła i usiadła na wysokości jego kolan.

- Policja nie może się doczekać rozmowy z tobą.

- Sarah! - rzucił ostrzegawczo Jake.

- Daj spokój, Jake - powiedziała. - Bardzo wyraźnie dała do zrozumienia, że potrzebują od niego informacji.

Jake zrobił krok do przodu.

- Sarah, nie musimy bombardować go takimi wiadomościami akurat w tej chwili.

Chris patrzył na matkę. Jak to możliwe, że się kompletnie nie załamała?

- Sarah - odezwał się Jake. - Nie chcę być nieuprzejmy, ale chętnie porozmawiałbym z Chrisem w cztery oczy. Może pójdziecie z Barbarą na małą kawę?

- Dobrze - powiedziała cicho. - Przepraszam, nie powinnam była zaczynać. Nie chciałam nikogo zdenerwować.

Kiedy Sarah i Barbara wyszły, Chris spojrzał na Jake'a. Myślał najpierw, że Jake od razu zacznie go wypytywać... ostatniego wieczoru dużo mówił o tym, że Chris nie umie sobie z niczym dać rady. Tak uważał wtedy. Co sądził teraz?

Ale Jake bynajmniej nie robił wrażenia zdolnego do powiedzenia czegoś podobnego. Człowiek o tak smutnym wyrazie twarzy nie może zdobyć się na tamten ton głosu.

- Chris - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Nie wiem, dlaczego tak źle się stało, chociaż się domyślam. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

- Dlaczego oni tam byli, tato? Po co przyszli do domu?

Jake powoli i głęboko zaczerpnął tchu.

- Myślałem... Miałem własne głupie plany. Dwóch ludzi z mojej dawnej ochrony osobistej, trochę gróźb, trochę perswazji. Gdyby nie było cię w domu, metoda zapewne okazałaby się skuteczna. Od Arta wiem jednak, że źle się poczułeś.

Chris skinął głową.

- Chciałem iść do pracy, ale nie mogłem. Jake patrzył mu prosto w oczy.

- Bardzo cię przepraszam. Chris pokręcił głową.

- To ja powinienem cię przeprosić. Po prostu... ech, zapomnieć o tym chyba nam się nie uda. Czy... kiedy mam porozmawiać z policją?
- Kiedy będziesz do tego gotów. Policja wie już od nas wszystko, co trzeba.
- Jak to możliwe? - Rana zaczynała go palić. - A Paryż? A obrazy?
- Po co im wiedzieć absolutnie wszystko - odparł Jake. - Muszą złapać Gerarda i jego przyjaciela. Dokładna znajomość szczegółów twojego tam pobytu nie pomoże im szybciej ich ująć. - Zmarszczył brwi. - Wygląda na to, że boli cię jak wszyscy diabli.
- Chris pokręcił głową. Wrażenie było przyjemne, stwierdził bowiem, że leży na puchowej poduszce.
- W którym szpitalu jestem?
- Niestety w Bellevue.
- Od kiedy w Bellevue dają pacjentom puchowe poduszki?
- Jake się uśmiechnął.
- Odkąd wprowadził się tam syn Barbary Grayson. A tak naprawdę, to Sarah kupiła tę poduszkę u Altmana.
- Właśnie, co tutaj robi Sarah? Czyżbym coś przegapił?
- Myślałem, że to my coś przegapiliśmy. Pojawiła się całkiem po prostu, grając bardzo zatroskaną przyjaciółkę od serca. - Pokręcił głową. - Nie chcę być niemiły, ale nie pomaga tutaj.
- Czyli ty do niej nie dzwoniłeś - powiedział Chris. - I mama też nie?
- Nie, nikt do niej nie dzwonił. Po prostu uznaliśmy, że znowu się dogadaliście. Przypuszczałem, że cię odwiedziła na plenerze.
- Nie widziałem jej, odkąd ze sobą zerwaliśmy. Jake uśmiechnął się dziwnie.
- Wobec tego bez większego ryzyka pomyłki możemy chyba przyjąć, że to ona chce się dogadać z tobą.
- Chris spojrzał gdzieś za plecy ojca. Powrót Sarah

w obecnych okolicznościach nie zaskoczył go. Ludzie podobni do niej żyli takimi wydarzeniami, uwielbiali tragedie ze szczęśliwym zakończeniem.

- Ona do mnie nie wróci - stwierdził cicho Chris. - Chcę powiedzieć, że ja sobie tego nie życzę.

Jake wziął jeszcze jeden głęboki oddech.

- Posłuchaj, Chris. Chcę, żebyś z czegoś zdawał sobie sprawę. Może wiesz, co powiem, w każdym razie mam nadzieję, że nie uznasz tego za niespodziankę. - Powiódł palcem po krawędzi prześcieradła.

- Zarówno ja, jak i matka chcemy, żebyś wiedział, że o tym, kim jesteś, co robisz, z kim chcesz być, decydujesz sam. My zawsze będziemy cię kochać i stać za tobą. Zawsze.

Nie odpowiedział, to wszystko wydawało mu się teraz takie odległe. Ale jak ojciec może zachowywać spokój wiedząc, że Barbara była z Gerardem?

- Co cię niepokoi? - spytał cicho Jake. - Odpowiadam za każde swoje słowo i mówię też w imieniu matki. Wszyscy musimy być wobec siebie bardziej uczciwi i mniej ingerować w sprawy drugich. To jedyna droga dla nas. W ciemno akceptujemy twój wybór sposobu życia, bo życie jest twoje.

Cokolwiek będziesz w nim robił, masz na to zgodę.

Chris uśmiechnął się.

- Myślę, że łatwiej będzie się tego trzymać tobie niż mamie, ale dziękuję.

Jake pokręcił głową.

- Barbara się zmieniła, Chris. - Uśmiechnął się, i był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki Chris zobaczył na twarzy Jake'a od wieków. - Chyba przeszła rodzaj szokowej terapii.

- To wspaniale. Nie rozumiem jednak... dla mnie samo myślenie o tym... - Zadrżał i poczuł przeszywający ból. - Nie mogę.

- To nie myśl. Posłuchaj. Będziemy się bardzo starali nie mieszać w wasze życie, kiedy nie będziecie tego chcieli, i włączać się w nie, kiedy odczujecie potrzebę. Nie wiem, na przykład, jak układa się życie Ellie z Mar-



kiem, ale to jest jej życie. I tak właśnie wszyscy powinniśmy postępować.

W jego głosie nie było pewności. Wprawdzie sprawiał wrażenie, że wierzy w to, co mówi, ale czy nie było tak zawsze?

Co najdziwniejsze, Jake powiedział to z takim smutkiem, że Chris omal nie zawołał „Dalej, nie żartuj, wtrącaj się”. Wiedział jednak, że popełniłby szaleństwo, że ojciec miał rację.

- Więc to właśnie... Aha - rzucił nagle Jake. - Wiesz, kto był u ciebie w odwiedzinach? Caitlin Cornell.

- Naprawdę? Była tutaj? Kiedy?

- Wczoraj. Nie widziałem jej, ale mówiła mi matka. Albo Ellie, już nie pamiętam. No... porobiło jej się nagle mnóstwo kłopotów z *Księżniczką przeznaczenia*.

- Z jakiego powodu? Kiedy?

- Na razie kręca bez niej. Wszystko zaczęło się od sceny miłosnej z Neilem Campbellem.

Chris już to sobie wyobrażał. Prawdopodobnie Neil Campbell zachował się jak rasowy sukinsyn.

- Tato, przecież to Campbell robi problemy, a nie Caitlin. Nigdy nie widziałeś kogoś takiego jak ona. Jest po prostu śliczna. I naturalna, i... taka radosna, to jest prawdziwe odkrycie. A gdybyś wiedział, co ona... co ona przeszła...

Jake uśmiechał się.

- Co jest?

- Zdaje się, że mocno cię oczarowała. Kiedy to wszystko się stało?

Chris poczuł ostry, rwący ból w brzuchu, po chwili znów przyszła ulga.

- Nie wiem. Na plenerze. Ona jest taka... Każdy by się w niej zakochał.

- Aty?

Zamknął oczy. Czuł coś takiego, w to nie wątpił. Ale sobie nie ufał. Po tym, co robił w Paryżu...

wyraźnie nadal eksperymentował, nadal był niepewny.

Pewność miał tylko co do Caitlin. I co do tego, że ją

kocha, że jej pragnie. Czy ta pewność brała się z przeświadczenia, że nie może jej mieć, czy też była autentyczna?

- Dobra - powiedział Jake, i Chris otworzył oczy. -Mniej więcej rozumiem.  
Ale Chris nie chciał mu dawać nic do zrozumienia. Po prostu nie mógł sobie ufać.

67

Zegna państwa David Hartman. Miłego dnia. Caitlin odłożyła słuchawkę, a Craig wyłączył telewizor.

- Co takiego powiedział?! - zawołał. Leżał na łóżku i miał na nogach buty.  
- Art kazał mi powtórzyć, że nic się nie zmieniło. Kręcą dziś sceny u Bloomingdale'a.  
- Cholera. - Craig zwiesił nogi na podłogę i wstał. - Będę musiał podyskutować z McCulloughem.  
- Nie - rzuciła, zanim jeszcze to pomyślała.  
- Dlaczego nie?

Skubnęła paznokcie, a potem przygryzła jego krawędź.

- Cait?

Nie wiedziała zupełnie, od czego zacząć. Popełniła olbrzymi błąd, dopuszczając do powrotu Craiga. Tego jednego na świecie była absolutnie pewna. Przez całe popołudnie i wieczór poprzedniego dnia Craig gadał, gadał i gadał, w ogóle jej nie słuchając. „Zrobimy to, zrobimy tamto”, mówił, czym zaskoczył Caitlin, bo sprawiał wrażenie szczerego. Zachowywał się, jakby nigdy ze sobą nie zerwali. A ona nie chciała go pytać „Co słychać u Onyx?”, bo Onyx zupełnie jej już nie obchodziła. Po prostu nie chciała być z Craigiem.

W nocy na szczęście po prostu poszli spać, Craig pocałował ją i na tym się skończyło.

Teraz jednak był cały szczęśliwy, że znowu są razem i znowu się wściekał na Arta, więc musiała to przerwać, zanim Craig nie zacznie sobie przedstawiać sytuacji w zupełnie fałszywym świetle.

- Cait, co jest? I nie krzyw się. Usiłowała.

- Właśnie się zastanawiałam - powiedziała cicho.

- Nad czym? - Powiedział to tak, jakby już znał odpowiedź.

- Ja po prostu... no, to nie wyjdzie. Nie możemy być ze sobą.

O Boże, twarz mu naprawdę pobladła.

- O czym ty mówisz?

Wydawało jej się, że pytanie zadał obcy człowiek.

- Po prostu nie jestem szczęśliwa.

Przez chwilę się nie odzywał, tylko na nią patrzył. Sądziła, że zacznie płakać albo wybuchnie gniewem, albo zrobi cokolwiek. On jednak tylko powiedział bardzo spokojnie:

- Nie rozumiesz. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Wiem, co cię gryzie, Cait. Wciąż jeszcze masz urazę z powodu tej historii z Onyx. Wiem o tym. Dlatego właśnie myślę, że gdybyśmy się teraz pobrali, wyszłoby to nam obojgu na dobre. Wiesz, że zawsze mogłaś na mnie polegać i będziesz mogła w przyszłości. Zawsze.

Przełknęła ślinę. Serce biło jej tak szybko i mocno, że nie była pewna, czy jest w stanie coś powiedzieć.

- Craig - westchnęła lękliwie. - Nie chcę wyjść za ciebie za męża. Przepraszam. - Wydawał jej się kimś obcym. I nagle przypomniała sobie Eugene'a. Powiedziała mu w końcu „nie”... i już nigdy go nie zobaczyła.

Craig zaczął się poruszać jak na zwolnionym filmie. Wstał z łóżka, stanął przed nią, potem odwrócił się, wziął marynarkę i stanął przed nią jeszcze raz. Przedtem sprawiał wrażenie, jakby patrzył jej w oczy niczego nie widząc, teraz natomiast patrzył z taką intensywnością, jakby nigdy nie miał przestać.

- A więc dobrze - powiedział cicho. - Mówisz teraz

nie, i to jest twoje ostatnie słowo. Więcej się nie zobaczymy.

- Możemy zostać przyjaciółmi.

- Nie ma mowy. Jeśli nie chcesz, to do widzenia. - Odwrócił się i wyszedł. Zamknął za sobą drzwi, uważając, żeby nie trzasnąć, i już go nie było.

Caitlin spoglądała na drzwi z oczami pełnymi łez. Dlaczego musiał postawić sprawę na ostrzu noża? Nawet mnie nie obchodzi, czy jestem z nim w przyjaźni, pomyślała. Taka jest prawda.

Może i po części rzeczywiście była to prawda. Caitlin martwiła się jednak, jak Craig będzie żył, jak będzie sobie dawał radę.

Wyjdzie ode mnie i jeszcze przed końcem dnia nie będzie go wśród żywych. Przeczynała, że to się musi zdarzyć.

Oczami wyobraźni widziała Craiga wchodzącego na jezdnię, może celowo, a może przypadkiem, i wtedy...

Czemu robisz z siebie wielką damę, z powodu której ktoś miałby się zabijać? - skarciła się.

Nie chodziło jednak o wielkość czy małość. To po prostu już się kiedyś zdarzyło. Eugene, a teraz może Craig, i jeszcze Chris, choć jego jedyne naprawdę chciała.

Zadzwoił telefon, więc serce podskoczyło jej do gardła. Wywałą ją z filmu albo Craig już nie żyje. Okazało się jednak, że to Ellie Grayson.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że Chris z tego wyjdzie - powiedziała. - Niedługo go wypuszczą na rekonwalescencję w domu.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Caitlin. - Naprawdę miło z twojej strony, że zadzwoniłaś.

- Przyszłaś do szpitala, więc... Cieszę się, że cię poznałam, Caitlin, mimo tych okoliczności. Może się jeszcze zobaczymy. Zadzwoię, kiedy będą nowe wiadomości na temat Chrisa.

- Dobrze. Dzięki.

Ellie Grayson rozłączyła się i Caitlin poczuła, że ma

ochotę się rozplakać. Powinna być szczęśliwa z powodu wiadomości o Chrisie i była. Ale wszystko się skończyło, ich „związek”, nadzieja na opowiedzenie Ellie o matce i namówienie jej na napisanie artykułu, wszystko.

68

Barbara podniosła głowę i zobaczyła na korytarzu Jake'a zbliżającego się z dwiema filiżankami kawy. Wyglądał strasznie, był wymizerowany, zmęczony i ledwie powłóczył nogami, toteż przez cały dzień nikt nawet nie zwracał mu głowy. Szokujące, że ludzie potrafią prosić o autograf, nawet gdy człowiek siedzi przed szpitalnym pokojem syna. Poprzedniego dnia tak było.

Jake nie wyglądał ani na jotę lepiej niż przed nocą, mimo iż wiedział już, że Chris wydobrzeje. I to było dziwne: kiedy Barbara pokonała pierwszą falę hysterii, to ona stała się podporą ich dwojga. Jake nadal był kompletnie rozbity.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy podał jej kubek.

Usiadł, upił łyk kawy, odstawił kubek i pochylił głowę. Nie zwiesił, lecz właśnie pochylił, tak jak robił to już drugi dzień, gapiąc się w przestrzeń i co pewien czas przecierając oczy.

Nie rozmawiali prawie o niczym innym tylko o Chrisie, ale Barbara była zadowolona, że sprawy tak się ułożyły. Dzięki temu miała czas uświadomić sobie pewne rzeczy, zebrać myśli, po prostu być z Jakiem, u jego boku, i nie martwić się ani słowami, ani przyszłością, z wyjątkiem przyszłości Chrisa. Czowała się mocna, z każdą godziną mocniejsza. Na minione okropne epizody, takie jak przygoda z Philippe'em, inaczej mówiąc Gerardem, patrzyła jak na zamierzchłą przeszłość. To Jake nie umiał się wyłączyć. Opowiedział jej wszystko, strumieniem wylewając z siebie płaczliwe słowa, tłumacząc, jak to cała wina spada

na niego, bo sądził, że poradzi sobie z Philippe'em i jego groźbami przy pomocy ludzi z ochrony osobistej. Barbara miała wrażenie, że Jake nigdy sobie nie wybaczy, i bardzo mu współczuła, bo dokładnie rozumiała jego stan ducha; w takim samym znalazła się odkrywszy, że Philippe był z Chrisem. - Jake - powiedziała cicho.

- Mhm. - Nadal przecierał oczy, ale wreszcie obrócił się i spojrzał na nią. Wzrok miał nieobecny, przerażony.

- Musisz z tym skończyć.

- Dlaczego?

- Bo to cię zniszczy. Bo Chris wyzdrowieje.

- Skąd mamy wiedzieć?

- Tak powiedzieli lekarze. Może nawet jutro go wypiszą, jeśli się okaże, że zrobili już wszystko, co powinni.

- Co oni wiedzą? - Znowu zaczął trzeć nasadę nosa. Westchnęła.

- Wiedzą, że wyzdrowieje. Ja też to wiem, czuję. Opadł na oparcie ławki i westchnął.

- Uwierzę, kiedy zobaczę. Jego głos brzmiał pusto.

- W żaden sposób nie mogłeś wiedzieć, że Chris będzie w mieszkaniu - powiedziała już trzeci, czwarty, a może nawet piąty raz. Do Jake'a ta prawda zdawała się jednak nie docierać. - Posłuchaj mnie, Jake. Nie możesz tego zrozumieć?

Sięgnął do kieszeni po papierosy, a potem wlepił wzrok w sufit.

- Cholera. Nie zeszlabyś ze mną do holu? Tutaj nie wolno palić.

- Chodźmy.

Trudno to było wyjaśnić, ale nagle ogarnęła ją radość. Po raz pierwszy od tak dawna poprosił ją, żeby coś z nim zrobiła, dlatego że jej potrzebował, a nie z obowiązku. Wiedziała, że tego uczucia nie potrafiłaby wyjaśnić nikomu. Joanna chciałaby się dowiedzieć, czy już poszli razem do łóżka.

Tymczasem ona będąc z Philippe'em pojęła, że z Jake'em najbardziej brakuje jej czułości,

serdeczności i zainteresowania. I kiedy wreszcie pozwoliła sobie na nadzieję, odniosła wrażenie, że te uczucia wracają.

Zeszli nie do holu, który był zawsze zatłoczony, lecz do małego lekarskiego pokoju wypoczynkowego. Jake usiadł na kozetce w kącie, Barbara poszła jego śladem i w milczeniu przyglądała się, jak mąż zapala papierosa i opiera się o ścianę. Coś w tej sytuacji przypominało jej dni zaraz po ślubie, kiedy Jake był niemal sparaliżowany myślami o przyszłości, i to ona przez krótki czas wносиła do ich związku ufność, optymizm, radość.

- Jake - powiedziała cicho. - Ja wiem, że on wyzdrowieje.

- Powtarzasz to w kółko - odparł, ale w jego głosie nie było irytacji tylko niedowierzenie i lęk.

- Musisz zrozumieć: to tylko twoje poczucie winy każe ci myśleć, że coś z nim jest nie w porządku, że nie wydobrzeje. A może nawet umrze.

- Nie mów tego.

- Mogę powiedzieć, ponieważ się tego nie boję. Pierwszy raz, odkąd przybyli do szpitala, otwarcie spojrzał jej w oczy.

- Mówisz to szczerze, prawda?

Przytaknęła skinieniem głowy, oczy zaszczyły jej łzami, przyciągnęła Jake'a do siebie.

- Co ja zrobiłem? - szlochał Jake.

- Już dobrze, wszystko minęło - powiedziała cicho. - Musimy nabrać do tego dystansu. Ja już to chyba zrobiłam, Jake. Ale ty też musisz. - Uświadomiła sobie nagle, że nie były to zwykłe słowa pocieszenia, że przyjęła Jake'a z powrotem, znowu chciała z nim być, i wiedziała, że wszystko się ułoży, jeśli i on zdobędzie się na wysiłek.

- Dużo się dowiedziałam o swoich błędach. Nie wyrażałam zdania, nie wiedziałam, czego chcę, bałam się tego, czego pragnęłam. A teraz wiem, że chcę zacząć od nowa. I nie boję się tego powiedzieć.

Oczy błyszczały mu od łez.

- Wobec tego ja nie boję się spróbować.

Mocno przytulił ją do siebie.

69

Czy można będzie pożyczyć, kiedy pan przeczyta? Mężczyzna spojrzął na Onyx.

- Pani czytuje „Wall Street Journal”?

- Kiedy tylko mam okazję. - Skrzyżowała nogi i swobodnie wyciągnęła się na siedzeniu. Miejsce w pierwszej klasie. Niewiarygodne. Kobieta za kontuarem Pan Am omal nie zesrała się z wrażenia na widok jej szpanu. Co za fart. Lot pierwszą klasą do Los Angeles z bogato wyglądającym sąsiadem po prawej. Ciemne ubranie, opalenizna (mieszkaniec Los Angeles?), krótko mówiąc, najprawdopodobniej przyzwoicie wyglądający biznesmen nieco ponad pięćdziesiątkę. - Jestem aktorką, ale mam sporą lokatę w papierach. - (Dziewięćdziesiąt sześć dolarów po zakupie biletu, czasem jednak drobna przesada nie zaszkodzi).

- O - zdziwił się mężczyzna. - Odłożył gazetę i wyciągnął rękę. - Nazywam się Mike Rafferty.

- Onyx Jones. - Przytrzymała jego dłoń dłużej, niż się tego spodziewał, a kiedy spojrzął jej w oczy, jakby zadając nie wypowiedziane pytanie, zatrzymała na chwilę oddech. Och, na twój widok mocniej bije mi serce.

- Czyli aktorka - powiedział, kiwając głową. Uśmiechnęła się.

- Niestety, tylko tyle. Ale świat finansjery zawsze mnie fascynował.

- To świetnie. Będę w Los Angeles tylko do końca tygodnia, ale może miałabyś ochotę wyskoczyć gdzieś na drinka albo na kolację. Osobiście zajmuję się marketingiem, sądzę jednak, że i na giełdzie nieźle się znam, więc może uda mi się podsunąć ci kilka typów.



Oho, pewnie. Przebiegła dłonią po jego udzie i obserwowała, jak facet się temu przygląda. Był zbyt tępy, żeby zdjąć obrączkę.

- Dobry pomysł - powiedziała. - Nawet bardzo dobry.

Podnietliwy sukinsyn. Ale takie znajomości w końcu procentowały. Nie zamierzała popełniać następnych błędów. Miała w sobie coś, co budziło pożądanie u wielu mężczyzn, a kto powiedział, że jest coś złego w uczciwej wymianie? Odtąd będzie brała swoje z góry, to nie ulegało wątpliwości. I nie wolno jej oglądać się za siebie.

70

Dobry wieczór, witają państwa Mary Hart...

- ...i John Tesch.

Caitlin nastawiła głośniejszy telewizor i oparła się na poduszkach.

Kamera znowu pokazała Mary Hart

- W Nowym Jorku dziś wieczorem skończył się koszmar rodziny Graysonów. Christopher Grayson dochodzi do siebie w szpitalu Bellevue po zranieniu nożem podczas incydentu, który wydarzył się w mieszkaniu Graysonów przy Piątej Alei. Policja doniosła tymczasem o zatrzymaniu dwóch mężczyzn oskarżonych o napad z bronią w ręku. Sprawcy, obaj narodowości francuskiej, zostali zatrzymani na lotnisku Kennedy'ego w następstwie wielkiej obławy nowojorskiej policji. Rzecznik rodziny, a jednocześnie przyjaciółka Chrisa Graysona, Sarah Tarłów, informuje, że policja odzyskała również dwa wartościowe płótna, w których rabunku najwyraźniej usiłował przeszkodzić Chris Grayson...

Caitlin wyłączyła telewizor i zasłoniła oczy. Boże. Miała dość wszystkiego. Wszystko było okropne. Wyniesiono ją pod samo nieba, jakby leciała balonem, a potem nagle kazano skoczyć.

Cieszyła się, że Chris zdrowieje, ale...

O nic z tego wszystkiego nie prosiła. Nie chciała być gwiazdą, nawet nie aktorką. Pragnęła tylko szczęśliwie żyć z Craigiem. I jego też uczynić szczęśliwym. I co się stało? Teraz wszystko wydawało się potworne, a ona przypominała jedną z nieustannie narzekających gwiazd, których tak nie znosiła. Miała mnóstwo pieniędzy, może nawet czekała ją sława. Leżała na białym łożu w biało-różowo-złotym pokoju jednego z najelegantszych hoteli świata, samotna i smutna. Gwiazdy zawsze mówiły: „Jestem tylko odrobinę zmęczona powtarzaniem jednej roli przez wiele lat. Muszę pokonać własne aktorskie ograniczenia”. A ona wtedy myślała: „Na co one narzekają? Są bogate!” Teraz sama znalazła się w ich sytuacji. Podobno z jej winy powstały kłopoty na planie. Ale przecież próbowała zagrać jak najlepiej. Nagle przestało mieć dla niej tak wielkie znaczenie, że być może będzie musiała oddać rolę, było to nic w porównaniu z samotnością.

W magazynach pisano, że dobrze jest czasem spędzić trochę czasu w samotności, nie „mieć” mężczyzny i tak dalej. Caitlin czuła się jednak okropnie oszukana.

No i był Chris. Zwierzyła mu wszystkie sekrety.

Omal przez to nie wróciła do Craiga.

Chris był taki wyrozumiały. Taki zszokowany, kiedy powiedziała mu o wszystkich strasznych chwilach w swoim życiu, i taki miły za każdym razem. Obiecał być jej aniołem stróżem. A ona wykazała się nadzwyczajną tępotą, uwierzyła, że w ten sposób chce jej powiedzieć coś innego, że mu się podoba.

Wszyscy ją opuścili. Nawet Art McCullough, jej „przyjaciół”. On też był bardzo przyjacielski. Aż za bardzo. Dopóki nie popsuła dużej, ważnej sceny. Teraz do rozmów z nią miał „Bryana”. Ten zresztą okazał się Alvi-nem. Bo na domiar złego wszyscy mieli tu fałszywe imiona i nazwiska. A jeśli Art rozmawiał z nią osobiście, to się wydzierał, tak jak dzisiaj: „Nie mam czasu, żeby się tobą zajmować co pięć minut, Caitlin. Będzie

rozmowa, kiedy skończymy wprowadzać zmiany". I trzasnął słuchawką.

Dziwne. Kiedy po raz pierwszy usłyszała o wypadku Chrisa, pomyślała natychmiast: „O Boże, umrze i nie będziemy mogli się pobrać". Tak było. Teraz ledwie pojmowała, skąd wzięło się w niej tyle tępoty, okropnej tępoty. Myślała: „Wydobrzeje, ale ja z nim nie będę, bo nic dla niego nie znaczę. Dla Arta też nie. Dla nikogo".

Zwierzyła mu swoje najgłębsze, najbardziej mroczne sekrety, i co teraz będzie? Wszystko się pogmatwało.

Głowa jej pękała, na taki ból nie pomagają aspiryny. Żeby wziąć ich nie wiadomo ile, po prostu nie przechodzi. Craig zawsze jej mówił: „Weź mój środek uspokajający. Rozbolało cię z nerwów." Albo: „Masz drinka, Caitlin. Jeszcze się nie nauczyłaś, że to z nerwów?"

Może rzeczywiście winne były nerwy. Może gdyby zadzwoniła na pokojówkę i poprosiła o drinka... tylko jakiego? O, butelkę wina. I weźmie do tego pigułki Craiga. Zawsze wydawało jej się, że łykanie tych pigułek i picie są największą głupotą świata, jaką można robić, tym razem jednak było inaczej. Potrzebowała czegoś, co złagodziłoby ból głowy i odpędziło od niej nieproszone myśli. Nie zamierzała się zaćpać. Tylko wziąć parę pigułek i wypić trochę wina. To wszystko.

Absolutnie nie! - powiedział Art. - Cholera jasna, ile razy mam wam, panowie, powtarzać? Poprawić tę scenę, a nie pieprzyć. Co wy robicie? Co wy sobie myślicie, na miłość boską?

Neil Campbell spojrział na Bairda Cane'a i rozrzucił ręce.

- Może wy nie macie dość, ale ja się poddam. Domagasz się niemożliwości, Art. Pisać tekst dla takiej beznadziejnej...

Art zerwał się z łóżka i chwycił Neila Campbella za kołnierz.

- Jeszcze jedno słowo, Campbell... - Rozluźnił chwyt, bo zobaczył przerażenie w oczach zszokowanej ofiary. -

Co jest z tobą, do kurwy nędzy? Słyszę, że wszędzie dookoła rozpowiadasz, jaką to prostytutkę uprawiasz.

- Może to prawda - powiedział Campbell - skoro podpisałeś kontrakt na rolę Audrey z tą kiczowatą panią.

- Ho, ho, ho. A może zwyczajnie boisz się konkurencji? Kiedy ukażą się recenzje...

Baird Cane wstał z łóżka, przy okazji strącając przepelnioną popielniczkę na podłogę.

- Słuchajcie, chłopcy, mam do rozpracowania scenę. Jeśli chodzi o mnie, to możecie się tłuc do ostatniego zipnięcia, ale nie tutaj.

Art omal się nie roześmiał. Rzeczywiście chciał walki z Campbellem. Przez cały dzień miał ochotę komuś przyłożyć, a Neil był do tego idealnym kandydatem. Art nie spał, spędził noc bez Cassandry, rozwiązania nadal nie widział, a scenariuszowy nonsens wydawał się nie mieć końca.

Nagle spostrzegł promienny uśmiech na twarzy Bairda Cane'a. Obrócił się.

W drzwiach stała Cassandra.

- Dobra, panowie, wynoście się stąd złapać trochę powietrza. Zostawcie mnie na parę minut z żoną. I macie wrócić z gotowymi odpowiedziami. Dość tych bredni. - Neil Campbell przerzucił scenopis, a Baird zapalał papierosa. - No, mówię poważnie. Wynoście się stąd!

- Nie powinieneś był ich tak przeganiać - powiedziała Cassandra, kiedy obaj znikli za drzwiami.

Podeszła do niego i objęła go za szyję.

- Czemu nie? - spytał cicho. Uśmiechnęła się.

- Twoja scenarzystka powiedziała, że od rana zachowujesz się jak maniak.

- Coś takiego?

Cassie potwierdziła skinieniem głowy.

- Co jeszcze powiedziała?

- Że wszelka pomoc z mojej strony będzie mile widziana - szepnęła Cassie. - W przedmiocie ukojenia twojej

złości i tak dalej. Ale wcale nie dlatego przyszłam. - Wpatrywała się w niego błękitnie lśniąco oczami. - A dlaczego?

- Bo cię kocham. I brakowało mi ciebie. - Przesunęła rozczapierzone palce między jego włosami i zsunęła je na kark. - I chcę, żebyś dziś wieczorem był w domu - wymruczała.

Telefon zadzwonił i Cassie aż podskoczyła.

- Jej, jak głośno!

- Dzięki temu słyhać go nawet wtedy, kiedy na mnie krzyczysz - roześmiał się, ruszając w kierunku aparatu. - Nie ruszaj się. - Podniósł słuchawkę.

- Tak. Sekretariat *Księżniczki przeznaczenia*.

- Dzięki Bogu! - powiedział dziewczęcy głos. - Połączono mnie, ale nie wiedziałam... Czy pan zna Caitlin Cornell?

- Oczywiście. A co?...

- Czy ona mieszka w tym hotelu?

- Tak. Co...

- Proszę szybko sprawdzić, co się dzieje w jej pokoju.

Nie bierze narkotyków. Jestem tego pewien. Nigdy nie widziałem nawet, żeby piła alkohol. - Głos należał do Arta.

- Więc co to znaczy? - Tym razem głos kobiety. - Próba samobójstwa?

- Jezu. - To znowu głos Arta. - Nie mogę uwierzyć. Była taka szczęśliwa. - Urwał, lecz po chwili odezwał się znowu. - Z wyjątkiem kilku ostatnich dni. A ja nieszczęśliwie jej pomogłem.

Ona płacze - powiedział głos.

- Zbudź ją.

- Nie. Niech płacze. - To powiedział ktoś nowy. Mężczyzna.

Otworzyła oczy. Dookoła stało mnóstwo ludzi i gapili się na nią tak samo jak tłum na kogoś, kto zasłabł na ulicy. Ale to byli lekarze. Art McCullough, w garniturze.

I pielęgniarki. Jeden z mężczyzn miał na fartuchu tabliczkę z napisem: „St. Luke's-Roosevelt Hospital". Spojrzała na Arta. Uśmiechał się.

- Jak się czuje moja ulubiona gwiazda?

Wino i tabletki. Otarła sobie twarz. Była wilgotna i gorąca.

- Kto mnie tutaj przywiózł? Skąd tu się wzięłam?

- Zadzwoiła do nas twoja przyjaciółka Dawn - powiedział Art. - A my wezwaliśmy ambulans.

- Dawn? Ja nie...

- Zadzwoiłaś do niej na chwilę przed utratą przytomności - powiedział Art.

Jeden z lekarzy wystąpił z tłumku.

- Caitlin, ile proszków wzięłaś? Proszków. Proszków od bólu głowy...

- Trzy tylenole. Lekarz spojrzał na Arta.

- W pobranej od ciebie próbce krwi znaleźliśmy sporą ilość kodeiny.

Chciała pokręcić głową, ale w chwili, gdy lekko nią poruszyła, poczuła się, jakby ktoś chciał ją rozplatać tasakiem.

- Wzięłam tylenol - powiedziała.

Lekarz przyglądał jej się ze ściągniętymi brwiami.

- Kupiony w sklepie? Czy taki na receptę?

- To były proszki Craiga. - Potarła czoło, ale ból nie chciał ustąpić. - Nie przypominam sobie telefonu do Dawn. Gdzie ona jest?

- Będzie tu później - powiedział Art. - Nie mogła wyjść z pracy.

Nagle zobaczyła, że Art coś mówi, a właściwie szepcze lekarzowi. Chwilę później ten przyciszonym głosem wyprosił wszystkich z pokoju, w końcu sam również wyszedł. Kiedy drzwi się zamknęły, Art przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Caitlin, chcę wiedzieć, co się zdarzyło.

- Nic - rzuciła, zanim zdążyła pomyśleć. - Niedobrze mi od rozmów z ludźmi.

- Z jakiego powodu? - spytał cicho.
- To nie ma znaczenia - odparła, trzymając się za skronie. - Załatw tylko, żeby mnie stąd wypuszczono i możemy wracać na plan. Jeżeli jeszcze mnie chcesz.

Wyglądał na zszokowanego.

- Jak to jeżeli? O czym ty mówisz? Oczywiście, że chcę. Wszyscy chcą.
- Mhm. Już to widzę. Neil Campbell wychodzi z siebie.
- Daj spokój z Neilem Campbellem. Wszystkim jest bardzo przykro z powodu tego incydentu.
- Dlaczego? Dlaczego wszystkim... chcesz powiedzieć, że wszyscy wiedzą, co się stało? I co... ludzie myślą, że próbowałam...?
- A nie próbowałaś?
- Nie. - W zasadzie było to prawdą.
- Caitlin, jak mogłaś pomylić kodeinę z tylenolem? Gdzie były tabletki?
- W pudełeczku. Często miewałam bóle głowy. Craig zawsze dawał mi proszki.
- A ty po prostu brałaś od niego bez pytania, co ci daje?
- Tak.

Westchnął. Przez moment Caitlin sądziła, że Art wyjdzie. Ostatnią odpowiedź wyburczała bardzo groźnym tonem. Ale zamiast tego Art spojrzał jej w oczy.

- Caitlin, nie mów mi nic, jeżeli nie chcesz. Masz prawo do prywatności, szczególnie w sprawie tego... incydentu. Muszę ci jednak powiedzieć coś, o czym myślę od dawna. Możesz to przyjąć albo odrzucić, albo nawet wykopać mnie stąd, kiedy ci to powiem, ale posłuchaj do końca.
- Zgoda.
- W sprawie tabletek... musiałaś chyba się orientować, że jest jakaś różnica, że to nie pocziwa stara aspiryna ani zwykły tylenol. Jeśli nawet nie wiedziałaś, to powinnaś. A jeśli wiedziałaś, to czy nie mogłaś zadzwonić do mnie, porozmawiać... - Pokręcił głową. -

Przepraszam, wiem, że ostatnio ci nie pomagałem. Ale masz wokół siebie tak wielu ludzi, którzy się o ciebie troszczą. Nie tylko do mnie mogłaś się zwrócić. Wzruszyła ramionami. Co on wie?

- Caitlin, to prawda. A teraz o tym, że „nie wiedziałaś”. Problem jest ten sam co po naszym pierwszym spotkaniu, gdy zostawiłaś wszystko w rękach Craiga. Widzisz, Caitlin, kiedy sama o sobie decydujesz, błyszczysz. Jesteś najlepszą aktorką, jaką widziałem od lat. I nie mówię tego po to, żeby poprawić ci samopoczucie. To prawda. Sama zresztą podjęłaś kroki, żeby się usamodzielnić.

Zerwanie z Craigiem było pierwszym udanym. Oczywiście nie zdawałem sobie sprawy z ogromu presji, jaką czułaś, i mam do siebie o to duże pretensje. Ale myślę... - Urwał. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo starannie ważył, co powiedzieć dalej. - W ostatnich dniach zrobiłaś wiele nowych kroków i dokonałaś wielu odkryć w sobie, których być może nigdy nie zamierzałaś dokonywać. Na tym opiera się aktorstwo. I to może wzbudzić w człowieku wielki lęk. Ale nie cofaj się, nie zaczynaj jak dawniej mówić: „Ja nic nie wiem, jestem niczym, a w tym, co robię, nie ma żadnego sensu”. Omal nie wyekspediowałaś się na tamten świat. Co wtedy myślałaś?

- Właściwie nie myślałam. Miałam gigantyczną migrenę i chciałam się jej pozbyć. Po prostu nie myślałam.

- Cóż, wobec tego musisz zacząć teraz. Niemyślenie zabija twoją siłę. - Przez chwilę się nie odzywał.

- Jesteś wspaniałą aktorką, bo polegasz na intuicji i nie analizujesz bez końca tego, co robisz. Ale na miłość boską, Caitlin, jeśli przeniesiesz ten zwyczaj w inne rejony życia, to zawiniesz się z tego padołu w bardzo młodym wieku. Nie możesz brać kodeiny i udawać, że o tym nie wiesz. Nie możesz uciekać od sukcesu udając, że go nie ma. - Znow urwał. - Kiedy to robisz, wszystko rozwalasz. Nie mogę do tego dopuścić.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Było pół na pół, trochę wiedziałam, a trochę nie.



- Mniejsza o to - powiedział Art łagodnie. - Póki nie masz ochoty powtarzać tego doświadczenia... Staraj się już nigdy nie dopuścić do czegoś podobnego. A jeśli czujesz, że się obsuwasz... jest przecież wokoło tylu ludzi, którzy chcą, żebyś była szczęśliwa.

Co do tego bardzo się mylił. Nie miała nikogo, może z wyjątkiem jego i Dawn. Ale mogła być przecież sama. Teraz to zobaczyła. Art miał rację z tym, że unikała problemów.

- Caitlin? Spojrzała na Arta.

- Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, obiecałaś mi, że przyjdiesz do mnie, jeśli coś cię będzie niepokoić. Czy obiecujesz to jeszcze raz?

- Nie wiem. - Nie chciała polegać na nikim.

- Caitlin.

- Posłuchaj. Mówię uczciwie. Nie wiem. Teraz akurat chcę liczyć na siebie.

Spojrzał jej w oczy.

- Na tę osobę, która jest mocna? Czy na tę, która udaje, że z niczym sobie nie umie poradzić?

Spuściła wzrok.

- Chyba na tę mocną. Przede wszystkim muszę się stąd wydostać.

- Na razie nic z tego. Do wieczora masz pozostać pod obserwacją.

Przygryzła wargę. Dobrze byłoby poleżeć. Ale najpóźniej wieczorem chciała wyjść. Szpitale są niebezpieczne.

Art wstał.

- Dobra. Muszę wracać do hotelu. Na jutro cię potrzebujemy, to wiesz. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że spodoba ci się sposób, w jaki przerobiliśmy tę scenę. Był za wąty dialog i widz nie miał sposobu, żeby poznać twoje myśli.

- Nie wiem - powiedziała. - Paskudnie mi ze świadomością, że spieprzyłam tę scenę. Myślę, że mogłabym zagrać ją tak, jak była napisana, Art. Już się nie boję.

- To wspaniale. Ale tak czy owak, nowa wersja na pewno spodoba ci się bardziej, Caitlin. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Obiecałem przyjacielowi, że zawiadomię go, kiedy się zbudzisz. Chce tu wpaść i powiedzieć ci cześć.

- Craig?

Art sprawiał wrażenie ciężko zdumionego.

- Oczywiście, że nie.

- Przecież nie Neil Campbell.

- Caitlin, może naraziłem cię na trudne chwile, ale sądzę, że mimo wszystko znam cię lepiej, niż się zdaje. Wierz mi. Poszedł.

Dziwne. Przecież nie mógł mieć na myśli Chrisa. A jednak mówił o przyjacielu w rodzaju męskim.

Kto jeszcze mógłby?... Dziennikarz.

No nie, Art by jej tego nie zrobił.

Wstała z łóżka i na miękkich nogach wyszła do łazienki. Boże, głowa jej pękała. Ale nie zamierzała brać nawet aspiryny. Spojrzenie w lustro było czymś okropnym. Wyglądała jak topielica.

Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi i odwróciła się. Wszedł Chris. Jak to możliwe? Czyżby nie leżał w łóżku z wielką raną od noża?

- O mój Boże - wyrwało jej się mimo woli. - Co tutaj robisz?

Uśmiechnął się.

- Ledwie się ruszam. Ale nie mogłem już wytrzymać w szpitalu i wczoraj wieczorem mnie wypuścili.

- Urwał na chwilę. - Tylko Art wie, że tutaj jestem.

- Jak długo już czekasz?

- Od rana, odkąd Art zatelefonował i powiedział mi, co się stało. Usiądź - powiedział. - Wyglądasz równie kiepsko jak ja.

Podeszła do łóżka, nadal czując mordercze łupanie w głowie, i usiadła na krawędzi, a Chris wybrał krzesło.

Przez moment czuła się dziwnie, bo tak strasznie wyglądała w szpitalnym szlafroku i w ogóle, ale w gruncie rzeczy, jakie to miało znaczenie? Chris nie był nią zainteresowany.

- Caitlin, co się stało? - spytał cicho. - Dlaczego to zrobiłaś?

Przez sekundę trzymała oczy zamknięte. Sprawiał wrażenie, jakby mówił z wielkim przejęciem.

Kiedy podniosła powieki, zobaczyła, że patrzy na nią tak samo jak wtedy na zdjęciach w plenerze, jakby ją kochał.

- Nie wiem - powiedziała. - Właściwie nic takiego nie zrobiłam. Rozmawialiśmy na ten temat z Artem. Po prostu nie myślałam.

- Mogłaś się zabić, mogłaś nie wyjść ze śpiączki... Kiedy spojrzał jej w oczy, omal się nie rozplakała. Bo co by było, gdyby Chris umarł? Nawet jeśli teraz był z kim innym, to i tak go kochała.

- Wiem, wiem. Nie zamierzam robić tego więcej. - Wlepiała wzrok w swoje dłonie. Za każdym razem, kiedy patrzyła na Chrisa, zakochiwała się w nim od nowa, choć właśnie do tego nie mogła dopuścić. - Cieszę się, że ty też dochodzisz do siebie - powiedziała.

- Dużo o tobie myślałem, leżąc w szpitalu - powiedział.

Odwróciła się. Pewnie.

- Odmieniłaś moje życie, Caitlin. Podniosła głowę.

Znów miał w oczach wyraz tej „miłości”.

- Może jest za wcześnie, żeby mówić o takich sprawach - ciągnął - ale dla mnie to prawda. Nie mogłem przestać o tobie myśleć.

- A co sądzi na ten temat Sarah? - Nie mogła tego nie powiedzieć.

Pokręcił głową.

- Sarah... Sarah pojawiła się na scenie, kiedy usłyszała, że zostałem ranny. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi. - Zrobił pauzę. - Czy wiesz cokolwiek na temat tego, co mi się przydarzyło? Pytam o przyczyny.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chcesz powiedzieć, że przeszkodziłeś w rabunku?

- To wcale nie było tak. - Ujął jej dłoń i spoglądając na nią, mówił dalej: - Kiedy pojechałem do Paryża... - Wziął głęboki oddech. - Kiedy pojechałem do Paryża, byłem z jednym z tych mężczyzn. - Przerwał. - To znaczy byłem z jednym z nich w łóżku. A on teraz... przyjechał i próbował, no, wyciągnąć pieniądze od mojego ojca.

- Boże. Naprawdę?

Chris znów podniósł głowę z bardzo zawstydzonym wyrazem twarzy.

- Czy twój ojciec im zapłacił?

- Nie. Ja... Ech, to długa historia, ale właśnie z tego powodu zraniono mnie nożem.

- Cieszę się, że policja ich złapała. To szczęście, że tak się stało. I że z tobą wszystko jest w porządku.

Przyglądał jej się z lekkim zdziwieniem.

- Nie niepokoi cię to, co powiedziałem?

- Masz na myśli to, że byłeś z facetem?

- Tak, bo przecież byłem. Spojrzała na jego dłoń.

- Wczoraj wieczorem naprawdę zrobiłam coś złego

- powiedziała. - Myślę, że mogę ci wyjaśnić... Widzisz, chyba rzeczywiście zrobiłam to celowo, przynajmniej do pewnego stopnia, chociaż w tamtym momencie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Czulałam się tak paskudnie i tak mi było przykro z mojego powodu i jeszcze dlatego, że być może mnie nienawidzisz. Pomyślałam sobie, że muszę ponieść karę, ponieważ powiedziałam „nie” Craigowi, postanowiłam polegać tylko na sobie. I naprawdę omal nie umarłam, a wszystko przez to, że spoglądałam za siebie i lękałam się tych wszystkich ludzi z mojej przeszłości. Spoglądanie za siebie jest największym szaleństwem na całym bożym świecie.

Przysunął się do niej na łóżku.

- Czy uznasz, że i ja jestem szalony, jeśli powiem, że się w tobie zakochałem?

Nie wierzyła własnym uszom. Wyglądał, jakby mówił szczerze i poważnie. Wiedziała, że właśnie w takiej sytuacji specjalistka od rad z „Kącika złamanych serc” napisałaby: „Moja miła, zapomnij o nim. Poszło to zbyt szybko i nie należało mu wierzyć”.

Ale kochała go. I na dziewięćdziesiąt dziewięć procent była pewna, że z wzajemnością. A co powiedział jej Art? Że musi być silna i nie wolno jej udawać słabości, musi odpowiadać za swoje życie.

- Jeśli ty jesteś szalony, to ja również, bo i ja cię kocham.

Wtedy ją pocałował i było to cudowne. Przez ułamek sekundy czuła lęk, ponieważ przypomniła sobie odczucie, jakie miała, będąc z Eugene'em, i zaczęła się wyłączać, ale zaraz powiedziała sobie „nie”. On może być twój. Wolno ci. I pojęła, że na to właśnie czekała, to jest szczerze uczucie, i teraz może żyć długo i szczęśliwie.